

TEN THRILLER TRZYMA W NAPIĘCIU
JAK DZIEWCZYNA Z POCIĄGU

517

Książka tak wciągająca,
że nie będziecie w stanie jej odłożyć.

Oprah.com

GDZIE JEST
MIA?

ALEXANDRA BURT

Świat Książki

ALEXANDRA BURT
**GDZIE JEST
MIA?**

Z angielskiego przełożyła
Grażyna Woźniak


Świat Książki
wydawnictwo

Tytuł oryginału
Remember Mia

Wydawca
Grażyna Woźniak
Agnieszka Koszałka

Redaktor prowadzący
Tomasz Jendryczko

Redakcja
Maria Wirchanowska

Korekta
Marzenna Kłos

Copyright © Alexandra Burt, 2015
Copyright © for the Polish translation by Grażyna Woźniak, 2016

Świat Książki
Warszawa 2016

Świat Książki Sp. z o.o.
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Skład i łamanie
CMYK-DTP STUDIO
Marzenna Łopaciuk

Dystrybucja
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o., sp. j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
e-mail: hurt@olesiejuk.pl, tel. 22 733 50 10
www.olesiejuk.pl

ISBN 978-83-8031-251-7

Skład wersji elektroniczej: pan@drewnianyrower.com

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

CZĘŚĆ 1

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

CZĘŚĆ 2

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

CZĘŚĆ 3

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

CZĘŚĆ 4

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Podziękowania

Wszystkim matkom, w szczególności mojej
Wszystkim córkom, w szczególności mojej

CZĘŚĆ I

– Nie mogę się wytłumaczyć – odrzekła Alicja – ponieważ, jak pan widzi, nie jestem sobą.

Lewis Carroll, *Alicja w Krainie Czarów*,
tłum. Antoni Marianowicz

ZAGINIĘCIE: SIĘDMIOMIESIĘCZNE NIEMOWLĘ ZNIKA Z ŁÓŻECZKA

Brooklyn, Nowy Jork – Nowojorski Departament Policji prosi o pomoc w ustaleniu miejsca pobytu siedmiomiesięcznej Mii Connor.

Rodzice dziecka i policja w Nowym Jorku proszą o pomoc w śledztwie i zwracają się do mieszkańców ulicy North Dandry i okolic o zgłaszanie się świadków jakichkolwiek podejrzanych zdarzeń w nocy z dwudziestego dziewiątego na trzydziestego września lub wczesnym rankiem trzydziestego.

Mia Connor po raz ostatni była widziana przez swoją matkę Estelle Paradise (lat 29) około północy, gdy ta położyła ją do snu. Matka odkryła zniknięcie dziecka następnego dnia rano po przebudzeniu. W tym czasie ojciec dziewczynki przebywał poza miastem.

„Cała ta sytuacja jest niezwykle frustrująca – powiedział Eric Rodriguez, rzecznik prasowy nowojorskiej policji, podczas piątkowej konferencji prasowej. – Mamy nadzieję, że ktoś zgłosi się do nas z informacjami, które pozwolą nam odnaleźć dziecko”.

Prosimy o pilny kontakt pod numerem infolinii 1-888-267-4880, jeśli ktoś posiada informacje na temat miejsca pobytu niemowlęcia. Zapewniamy pełną dyskrecję.

Mia Connor ma brązowe oczy, blond włosy, mierzy sześćdziesiąt trzy i pół centymetra, waży sześć i pół kilograma. W dniu zniknięcia była ubrana w białe jednoczęściowe spiozki z nadrukiem ciasteczek. Ma dwa dolne ząbki.

Rozdział 1

– Pani Paradise?

Głos dobiega nie wiadomo skąd. Mój umysł jest ociężały, czuję się tak, jakbym próbowała biec pod wodą, ale wciąż tkwiła w miejscu.

– Stan niestabilny. Ciśnienie osiemdziesiąt na sześćdziesiąt i spada.

O Boże, jednak nie umarłam.

Poruszam nogami, przesuwam je z trudem. Światło wdziera mi się pod powieki. Słyszę jazgotliwe ujadanie psów, sapanie, brzęczenie metalowych znaczków przy obrożach.

– Miała pani wypadek.

Twarz mnie pali, myśli w głowie są rozrzucone jak zakurzone pudła na ciemnym strychu. Uświadamiam sobie, że coś tu nie gra.

– O Boże, jej głowa!

Słyszę przerywany dźwięk syreny, który zaraz staje się dla mnie udręką.

Muszę im powiedzieć... Otwieram usta, wargi zaczynają formułować słowa, lecz ból w głowie staje się nie do zniesienia, klatka piersiowa płonie, a dzwonięcie w lewym uchu paraliżuje mi lewą stronę twarzy. Chcę ich poprosić, żeby pozwolili mi umrzeć, ale słyszę tylko dźwięk niecierpliwego rozdzierania materiału.

– Odsuńcie się.

Moje ciało eksploduje, wygina się w łuk.

Nie taki był plan.

*

To, co widzę, jest mętne i zamazane. Rozróżniam zarys sylwetki kobiety w błękitnym kitlu przekładającej plastikową rurkę nad moją głową i w tej samej sekundzie moje nozdrza napełniają się zimnym powietrzem. Kobieta naciska dźwignię pod łóżkiem i podjeżdżam do góry, naciśnięcie kolejnej podnosi wezłowie łóżka, a wraz z nim górną część mojego ciała do pozycji pionowej.

Świat staje się wyraźniejszy. Pielęgniarka ma włosy związane w koński ogon, kieszenie jej swetra są rozciągnięte. Obserwuję, jak wyrzuca plastikowe rurki i papierowe opakowania do kosza. Odgłos zamykania metalowej pokrywy brzmi definitywnie, wywołuje we mnie uczucie, którego nie potrafię nazwać, niejasne poczucie straty, jakbym patrzyła na kieszonkowca uciekającego z moją torebką i znikającego w zakamarkach szwankującej pamięci.

Słyszę przesadnie łagodny męski głos.

– Muszę pani założyć wkłucie centralne.

Głos należy do lekarza w białym fartuchu, który mówi do mnie jak do dziecka, które trzeba pocieszyć.

– Proszę się rozluźnić, nic pani nie poczuję.

A to dobre. Podnoszę ręce i czuję przeszywający ból w ramieniu, który promieniuje aż do szyi. Postanawiam więcej tego nie robić.

Alkohol pozostawia na ręce lodowaty ślad i jeszcze bardziej wyciąga mnie ze stanu otępienia. Patrzę, jak lekarz wprowadza długą igłę pod skórę mojej dłoni. Zapomniany wacik leży w załamaniu koca z bawełny wafłowej, na którym dostrzegam jaskrawoczerwony ślad krwi podobny do szkarłatnej litery. Doznaję olśnienia, które jednak szybko gaśnie, niczym zawilgotniała zapalka. Nie poddaję się, koncentruję uwagę na szkarłacie, podążając za wspomnieniem, które jest jak skrzypnięcie schodów tuż przed pojawieniem się potwora.

Najpierw przypominam sobie ciemność.

Później krew.

Mia. Mój Boże, Mia!

Wspomnienie krwi nie chce zniknąć, błyski szkarłatu eksplodują niczym błyskawice na niebie, rozświetlają wszystko dookoła, po czym gasną, pogrążając mój świat w mroku. Krwawe wizje bledną i znikają, pozostawiając po sobie czarną drżącą linię na monitorze.

Otacza mnie pisk gumowych podeszew na linoleum. Ktoś klepie mnie w ramię.

To się nie dzieje naprawdę. To tylko przypadkowa wizja, nic więcej. To nic nie znaczy.

Pielęgniarka delikatnie ścisną mi ramię i otwieram oczy.

– Pani Paradise. – Jej głos brzmi łagodnie, niemal przeprasząco. – Przykro mi, ale mam obowiązek budzić panią co kilka godzin.

– Krew – mówię i zaciskam powieki, jakbym próbowała przywołać tamten obraz. Czy to ja się odezwałam? Niemożliwe, mój głos brzmi inaczej. – Nie rozumiem, skąd się wzięła ta krew.

– Krew? Jaka krew? – Pielęgniarka spogląda na nienagannie podłączone wkłucie. – Czy pani krwawi?

Odwracam głowę w stronę okna. Na dworze jest ciemno. Wnętrze pokoju odbija się w oknie, tworząc niedoskonałą kopię rzeczywistości.

– O Boże! – Mój podniesiony głos brzmi tak, jakbym mówiła do zepsutego mikrofonu. – Gdzie jest moja córka?!

Pielęgniarka przekrzywia głowę i nerwowo poprawia koc.

– Zawolałam lekarza – mówi i wychodzi z pokoju.

Rozdział 2

Głosy wpływają do mojego pokoju niczym leniwe obłoki, mieszając się z zapachem naleśników, syropu, tostów i kawy, od którego przewraca mi się w żołądku.

Czuję dotyk czyjejs dłoni na ramieniu.

– Pani Paradise? Jestem doktor Baker.

Zauważyłam tylko wiek lekarza (jest młody), jakby umysł nie pozwalał mi zarejestrować niczego więcej. Czyżbym go już spotkała? Nie mam pojęcia. Moje ciało i zmysły szwankują. Odkąd to jestem taka zapominalska i rozkojarzona?

Mężczyzna ma na sobie biały lekarski kitel z wyszytym na kieszeni nazwiskiem: „dr Jeremy Baker”. Wyjmuje z niej długopis i świeci mi latarką prosto w oczy. Ból jest tak dotkliwy, że zaciskam powieki. Odwracam głowę, wyciągam rękę i macam lewą stronę twarzy. Teraz już rozumiem, dlaczego dźwięki, które do mnie docierają, są przytłumione. Obandażowali mi całą głowę.

– Jesteśmy w szpitalu County Medical. Karetka przywiozła tu panią... – Zawieszła głos i spogląda na zegarek. Zastanawiam się, dlaczego czas ma znaczenie. Czyżby lekarz liczył godziny, chciał być aż tak dokładny? – Trzy dni temu, piątego.

Trzy dni. A ja nie pamiętam ani jednej minuty.

Zapytaj go, no dalej, zadaj mu pytanie.

– Gdzie jest moja córka?

– Miała pani wypadek samochodowy. Doznała pani urazu głowy i musieliśmy panią wprowadzić w stan śpiączki farmakologicznej.

Nie odpowiedział na moje pytanie. Zwraca się do mnie, jakbym była dzieckiem, które nie jest w stanie zrozumieć bardziej złożonych zdań.

Wypadek? Nie pamiętam żadnego wypadku.

– Znalaziono panią w samochodzie, na dnie wąwozu. Miała pani wstrząśnienie mózgu, uszkodzone żebra oraz rozliczne siniaki na kończynach dolnych. Przyjechała pani do nas z poważnym urazem głowy. Mózg był opuchnięty, dlatego musieliśmy wywołać u pani stan śpiączki farmakologicznej.

Nie pamiętam żadnego wypadku. Co się dzieje z Jackiem? Tak, Mia jest pod jego opieką. Musi być. Spróbuj jeszcze raz.

– Czy córka była razem ze mną w samochodzie?

– Była pani sama – odpowiada lekarz.

– A więc jest z Jackiem? Mia jest z moim mężem?

– Wszystko się ułoży.

Krew była tylko wytworem mojej wyobraźni, niczym więcej. Mia jest z Jackiem, jest bezpieczna. Dziękuję Bogu.

Powiedział, że wszystko się ułoży.

– Na tym etapie nie mamy pewności, czy nie doszło do uszkodzenia mózgu, ale teraz, kiedy odzyskała pani przytomność, będziemy mogli przeprowadzić wszelkie konieczne badania, żeby sprawdzić, co się dzieje. – Daje znak stojącej obok pielęgniarki. – Straciła pani dużo krwi i musieliśmy

podać płyny, żeby ustabilizować pani stan. Opuchlizna zejdzie w ciągu kilku dni, tymczasem musimy dopilnować, żeby w pani płucach nie było płynu.

Sięga po jakieś ustrojstwo i pokazuje mi je.

– To jest spirometr. Pielęgniarka wszystkim dokładnie pani wytłumaczy. W zasadzie chodzi o to, żeby piletka jak najdłużej nie opadła. Proszę powtarzać ćwiczenie co dwie godziny. – Ostatnie polecenie skierowane jest do pielęgniarki.

Bułgotanie w klatce piersiowej doprowadza mnie do szału. Powstrzymuję się od kaszlu. Przyczyną bólu w lewym boku są pewnie uszkodzone żebra. Zastanawiam się, czy zdołam nie zasnąć przez dwie godziny, budzić się co dwie godziny, używać tego ustrojstwa przez dwie godziny, czy o co mu tam chodziło.

– Zanim zapomnę... – Doktor Baker spogląda na mnie z góry. Przez chwilę milczy i już zaczynam podejrzewać, że przegapiłam jego pytanie, on jednak odzywa się ściszym głosem: – Byli tu dwaj policjanci i chcieli z panią rozmawiać. Nie zamierzam im na to pozwolić, dopóki nie przeprowadzimy jeszcze kilku badań. – Kiwa głową w stronę pielęgniarki, rusza w kierunku drzwi, lecz odwraca się i dzieli ze mną jeszcze jedną informacją. – Niedługo zjawi się pani mąż. Czy możemy jeszcze do kogoś zadzwonić? Może do któregoś z krewnych lub przyjaciół?

Kręcę głową i natychmiast tego żałuję. Uderzenia młota rozsadzają mi czaszkę. Moja głowa przypomina wielką opuchniętą banie, a pulsowanie w uchu odwraca uwagę od bolących żeber. Nie mam najmniejszej kontroli nad powiekami. Odpywam w sen, chociaż nurtuje mnie tak wiele pytań. Biorę głęboki wdech, jakbym szykowałam się do skoku z trampoliny. Zbieram wszystkie siły, żeby wydobyć z siebie głos.

– Gdzie wydarzył się ten wypadek?

Dlaczego lekarz jest taki zaskoczony? Czyżbym nie pamiętała więcej rzeczy, niż mi się wydaje?

– Przykro mi, ale niewiele mogę pani powiedzieć na temat wypadku – odpowiada. Sprawia wrażenie przygaszonego, jakby zmuszał się do zachowania spokoju, żebym i ja się nie denerwowała. – Wiemy tylko, że pani samochód został odnaleziony w północnej części stanu, w wąwozie. – Milczy przez chwilę. – Doznała pani wielu obrażeń. Niektóre z nich są wynikiem wypadku. Czy pamięta pani, co się stało?

Zastanawiam się nad tym, co powiedział. Analizuję każde słowo. Wypadek. Wąwóz. Nic mi nie świta w głowie. Moją pamięć zastąpiła czarna dziura.

– Nic nie pamiętam – przyznaję.

Lekarz marszczy czoło.

– Ma pani na myśli... wypadek?

Wypadek. Wymawia to słowo w taki sposób, jakbym wszystko pamiętała. Chcę mu powiedzieć, że jeśli zrobi mi rentgen głowy, zobaczy na nim cień w miejscu, gdzie kiedyś była pamięć.

Zaczynam chwytać, o co chodzi. Zanim cokolwiek powiem, koncentruję się, konstruuje pytanie, powtarzam je w myślach, biorę głęboki wdech i dopiero wtedy się odzywam.

– Nie rozumie pan. Nie pamiętam wypadku ani tego, co się wydarzyło wcześniej.

– Czy pamięta pani, żeby chciała sobie zrobić krzywdę?

– Zrobić sobie krzywdę? O czymś takim chyba bym pamiętała, prawda? Co się dzieje z moją pamięcią?

– Jeśli nie, to znaczy, że została pani postrzelona.

Ktoś do mnie strzelał, czy zrobiłam to sama? O co on mnie właściwie pyta?

Odwracam głowę w lewo, najbardziej jak tylko mogę, i dostrzegam wyciągniętą nogę siedzącego na krześle w korytarzu policjanta. Ciekawe, o co w tym wszystkim chodzi.

Doktor Baker spogląda przez ramię i ponownie kieruje wzrok na mnie. Podchodzi do łóżka i zniża głos.

– Nie pamięta pani.

Tym razem nie pyta, lecz stwierdza fakt, jakby wreszcie to do niego dotarło.

– Nie mam pojęcia, czego nie pamiętam – mówię. To dosyć zabawne, jeśli się nad tym zastanowić. Chichoczę, a lekarz znowu marszczy czoło.

Zaczyna mnie to irytować. Kręcimy się w kółko. Staram się nie zasnąć, ale to trudne.

Później lekarz zaczyna mówić o moim głosie, że jest „monotonny”, że mam „ograniczony zasób i intensywność odczuwania emocji”, a moje reakcje są „słabe i stłumione”. Nie rozumiem, o co mu chodzi. Czy powinnam się więcej uśmiechać, być bardziej radosna? Chcę go o to zapytać, lecz wtedy słyszę słowo, przy którym cała reszta przestaje się liczyć.

– Amnezja – mówi lekarz. – Nie jesteśmy na razie pewni przyczyny. Może to być amnezja wsteczna albo pourazowa, może nawet związana z przeżytą traumą.

Kiedy słyszysz słowo „amnezja” z ust człowieka w białym kitlu, sprawa jest poważna. I ostateczna. „Nie pamiętam” brzmi niezobowiązująco. „Och, jestem taka zapominalska”. Mam amnezję, czyli to coś więcej niż zapominalstwo. Co dalej? Lekarz zapyta mnie, który mamy rok? Jak nazywa się obecny prezydent? Czy pamiętam swoją datę urodzenia?

– Amnezja wsteczna oznacza, że nie pamięta pani tego, co wydarzyło się bezpośrednio przed utratą pamięci. Amnezja pourazowa jest skutkiem uszkodzenia mózgu i może obejmować wydarzenia wielu godzin, dni czy nawet dłuższego okresu. W końcu przypomni sobie pani wydarzenia z odległej przeszłości, ale może pani nigdy nie odzyskać wspomnień tego, co zdarzyło się tuż przed wypadkiem. Amnezji nie da się zdiagnozować badaniem rentgenowskim, jak na przykład złamanej kości. Przeprowadziliśmy już rezonans magnetyczny i tomografię mózgu. Wyniki obydwu tych badań okazały się niejednoznaczne. Na tym etapie nie istnieje pewny dowód na to, że pani mózg został uszkodzony, jednak brak dowodu to nie dowód braku. Możliwe, że doszło do mikroskopijnych uszkodzeń, których rezonans i tomografia nie są w stanie wykazać. Uszkodzenie włókien nerwowych jest nie do wykrycia przez żadne z tych badań.

Milczę. Nie jestem pewna, czy powinnam o coś jeszcze zapytać ani nawet czy dobrze go zrozumiałam. Wiem tylko, że nie może mi powiedzieć nic pewnego, więc po co pytać.

– Możliwe, że cierpi pani na amnezję dysocjacyjną. Uraz mózgu spowodować wyparcie z pamięci określonych informacji związanych ze zdarzeniem. Tego rodzaju amnezji również nie da się wykryć żadnym badaniem. Musiałaby się pani spotkać z psychiatrą lub psychologiem. Nie wybiegajmy jednak za daleko w przyszłość. Neurolog zleci jeszcze kilka badań. Jak już mówiłem, czas pokaże.

Biorę głęboki wdech. Lekarz dzieli się ze mną faktami natury medycznej, ale nie mogę się pozbyć wrażenia, że coś przede mną ukrywa.

– Proszę powtórzyć, gdzie mnie znaleźli.

– W wąwozie w Dover, na północy stanu. Przywieziono tu panią z tamtejszego szpitala. Dover? Dover. Nic. Pustka w głowie.

– Nigdy nie byłam w Dover.

– Właśnie tam panią znaleziono, po prostu pani nie pamięta. – Lekarz wsuwa długopis do kieszeni kitla. – Miała pani szczęście – dodaje. Rozstawia palec wskazujący i kciuk, pokazując rozmiary tego szczęścia. – Tyle brakowało, żeby kula spowodowała poważne uszkodzenia. Naprawdę wiele szczęścia. Proszę o tym pamiętać.

Kula. Zostałam postrzelona albo sama to sobie zrobiłam. Szczęście. Zależy, jak na to spojrzeć. „Proszę o tym pamiętać”. Zabawne. Odruchowo sięgam ręką do ucha.

– Powiedział pan, że mam uszkodzone ucho. Co się z nim stało?

Lekarz zwleka z odpowiedzią.

– Nie ma go. Rana była zainfekowana i musieliśmy podjąć decyzję o amputacji. – Świdruje mnie wzrokiem. – Mogło być gorzej. Jak już mówiłem, miała pani szczęście.

– Rzeczywiście szczęście – mówię, chociaż kiedy myślę o tym uchu, właściwie wcale się nim nie przejmuję.

– Można je będzie zrekonstruować.

– A co tam teraz jest? Dziura?

– Niewielki otwór odprowadzający płyny, ale poza tym rana przykryta jest fałdem skóry.

Otwór odprowadzający płyny. Jestem dziwnie nieporuszona faktem, że fałd skóry przykrywa dziurę w mojej głowie, gdzie do niedawna znajdowało się ucho. Mam amnezję. Zapomniałam zamknąć samochód. Zgubiłam parasol. Nie mam ucha. To wszystko bez znaczenia.

– I pan to nazywa szczęściem?

– Żyje pani i tylko to się liczy.

Ponownie słyszę ten buczący dźwięk, a później głos lekarza staje się przytłumiony, jakby ktoś przekręcił gałkę głośności.

– Co z moim uchem?

Patrzy na mnie zdumiony.

– Pamiętam, co pan powiedział. Chodzi mi o to, czy będę słyszeć. Wszystkie dźwięki wydają się przytłumione.

– Kiedy była pani nieprzytomna, przeprowadziliśmy elektrofizjologiczne badanie słuchu. – Sięga po leżącą na nocnej szafce teczkę, otwiera ją i przegląda papiery. – Słuch uległ co prawda pogorszeniu, ale w nieznacznym stopniu. Zlecimy więcej badań, w zależności od wyników kolejnej tomografii mózgu. Musimy zaczekać.

Patrzę na nogę siedzącego za drzwiami policjanta i zastanawiam się, czy jego zadaniem jest chronić mnie, czy chronić kogoś przede mną.

– Coś sobie przypomniałam – mówię bez zastanowienia. – Muszę się dowiedzieć, czy to, co widzę... Ja... Wydaje mi się, że coś pamiętam, ale to nie są właściwie wspomnienia, tylko skrawki wspomnień.

Jakbym przeglądała album ze zdjęciami, nie wiedząc, czy oglądam swoje czy cudze życie. Krew. Mnóstwo krwi.

– Być może nie będzie pani pamiętać wszystkiego minuta po minucie, ale w którymś momencie zdoła pani połączyć ze sobą kropki. Chociaż może nie wszystkie elementy uda się poskładać, tak jak w wierszyku o Humptym Dumptym.

– Jestem bardzo zmęczona – mówię i sływa na mnie ulga.

„I wszystkie konie na zamku, i wszyscy dworzanie złożyć go w całość nie byli w stanie”. Dziekie konie. Dochodzę do wniosku, że krew była tylko wymysłem. Uludą.

– Proszę dać znać pielęgniarce, gdyby chciała pani kogoś powiadomić. I niech pani nie zapomina o spirometrze, co dwie godziny...

Wskazuje na coś, co znajduje się za mną.

– Z tyłu jest pompa infuzyjna. Gdyby ból okazał się zbyt silny – wręcza mi pudeleczko z czerwonym przyciskiem – proszę nacisnąć czerwony guzik, a dostanie pani dodatkową dawkę morfiny. Istnieje zabezpieczenie chroniące przed podaniem zbyt dużej ilości leku w określonym czasie. Czy ma pani jakieś pytania?

Wcześniej dostałam nauczkę, więc teraz kręcę głową bardzo nieznacznie.

Patrzę za wychodzącym lekarzem i w pokoju natychmiast zjawia się pielęgniarka. Koncentruję się na jej wyjaśnieniu, jak działa żółte ustrojstwo. Mam wdychać powietrze do rurki, aż podniesie się pileczka, i nie dopuścić do tego, żeby opadła, najdłużej jak tylko się da.

Gierpię na amnezję. Nie mam ucha. Czuję się... Mam wrażenie, jakbym zachowywała się nie tak jak należy. Powinam wrzeszczeć jak opętana, ale wyjaśnienie mojego braku emocji przez doktora Bakera – nazwał to „spłaszczaniem afektu” – wydaje się logiczne. Umieć sobie poradzić z logiką, gorzej z uczuciami.

Oni coś przede mną ukrywają. Być może chronią rannych ludzi – szczególnie tych, którzy zostali postrzeleni, stracili ucho, znaleźli się o włos od śmierci – przed innymi złymi wiadomościami. Pewnie

o to chodzi. Może dowiem się wszystkiego od policji albo od Jacka, kiedy w końcu przyjedzie. Powiedzieli mi już, że straciłam wiele godzin ze swojego życia; czy może mnie czekać coś gorszego?

Trzymam spirometr w prawej dłoni. Wdmuchuję powietrze do rurki i bezmyślnie obserwuję wznoszącą się czerwoną kulkę, która ma tam pozostać jak najdłużej. Zaciskam powieki, żeby siłą woli zmusić kulkę do posłuszeństwa. Nagle wracają do mnie strzępki obrazów, jakbym miała je zapisane na wewnętrznej stronie powiek. Mój umysł eksploduje, rozpada się na drobniauferki kawałki.

Mia nie jest z Jackiem. Ona zaginęła.

Uświadamiam to sobie tak gwałtownie, że kable podłączone do mojej klatki piersiowej zaczynają drżeć, a maszyny znajdujące się za moimi plecami działają na zwiększonych obrotach. Pikanie przyspiesza, upodabniając się do dudnienia końskich kopyt, ze stępa przechodzi w kłus, a później w galop. Zaginięcie Mii stanowi niezaprzeczalny fakt, nie potrafię go jednak logicznie powiązać z konsekwencjami. Puste łóżeczko. Ubranka, butelki i pieluszki – wszystko zniknęło. Szukałam jej i nie mogłam znaleźć. Poszłam na policję i... czarna dziura.

Przyglądam się elementom tej układanki, próbuję je ze sobą połączyć, niszczyć to, co już ułożyłam, i zaczynam od nowa. Pamiętam, że poszłam na komisariat, ale to, co wydarzyło się później, jest zamazane, mętne jak wspomnienia z dzieciństwa. Mój umysł bawi się głuchy telefon, powtarza mi przeinaczone informacje, ubarwione i niepewne, które łatwo błędnie zinterpretować.

Za każdym razem, kiedy kulka spirometru wędruje do góry, pojawiają się nowe wizje: kabina w toalecie, mop, klatka schodowa, gołębie, zapach świeżej farby. Później obraz blednie, jakby ktoś przygasił światło; widzę fragmenty ciał niebieskich – Słońca, Księżycy, i gwiazdy. Mnóstwo gwiazd.

Co ja robiłam w Dover? Co się stało z moją córką i dlaczego nikt o niej nie wspomina?

Gdy tak leżę w szpitalnym łóżku, mam świadomość upływającego czasu, zapadającego mroku za oknem, dnia przemieniającego się w noc i znowu w dzień. Tęsknię za... przywilejami dzieciństwa, wspomnieniem matki, która zajmowała się mną, kiedy byłam chora i leżałam w łóżku z grypą lub jakąś inną dziecięcą chorobą, świnką czy wietrzną ospą. Później jednak przypominam sobie, że byłam zdrowym dzieckiem, odpornym na wirusy, bolące gardło i zaczerwienione oczy.

Nie wiem, co powiem Jackowi, kiedy się wreszcie zjawi. Będzie mnie wypytywał o dzień zaginięcia Mii. O poranek, kiedy odkryłam, że jej łóżeczko jest puste. Amnezja to po prostu kolejny punkt na długiej liście moich licznych niedostatków. Same braki.

Musiałam oszaleć, bo do głowy przychodzi mi tylko jedno: wyobrażam sobie moją córkę i moje ucho znajdujące się w tym samym miejscu, i wiszące nad nimi – jak w dziecięcej karuzeli – słońce, księżyc i gwiazdy, świecące najjaśniej jak to tylko możliwe, w otoczeniu ciemności. Chaotyczny wszechświat rozświetlony przez ciała niebieskie.

Kładę dłonie na udach. Moje ciało zamiera, uspokaja się. Przeżyłam wypadek. Zostałam postrzelona lub próbowałam sobie zrobić krzywdę. Straciłam ucho. Mam w głowie dziurę, przez którą sączą się płyny.

Nic mnie to nie obchodzi. Mia zaginęła. Nie potrafię znieść myśli o niej. Chcę, żeby cierpienie minęło, ale nie potrafię się pozbyć jej obrazu. Unoszę palec, żeby wcisnąć guzik zwiększający dawkę morfiny i odplynąć. Waham się, w końcu odkładam aparacik. Muszę się zastanowić. Muszę od czegoś zacząć. Puste łóżeczko. Kropki. Muszę połączyć kropki.

Rozdział 3

Każdej nocy przeżywałam na nowo narodziny mojej córki: jej pierwszy wdech zaczerpnięty na zimnej porodówce, który zamienił się w głęboki oddech, a następnie rozpaczliwy krzyk, próbę poradzenia sobie z nieuniknionym przejściem z mojego łona do zewnętrznego świata.

Każdego ranka uświadamiałam sobie, że jej płacz potrafi głęboko przeniknąć do moich snów. Budziłam się z takim uczuciem, jakby milion małych bomb eksplodowało w mojej głowie. Później włączała się pamięć mięśniowa. Obudź się, wstań z łóżka, nakarm ją, przebierz, umyj, weź na ręce, ukołysz. Karmienie, przebieranie, mycie, noszenie, kołysanie.

Przestałam rejestrować, która jest godzina, dzień miesiąca czy nawet tygodnia. Byłam nieświadoma wydarzeń, którymi żyła reszta świata, i od miesięcy nie miałam w ręku książki czy czasopisma. Moje życie ograniczyło się do pamiętania o określonych czynnościach, przeżywania dni podobnych do siebie niczym dwie krople wody i spełniania ciągle tych samych obowiązków, niewymagających żadnego świadomego wysiłku.

Kiedy podniosłam się z kanapy, świat wokół mnie najpierw zawirował, a później się zatrzymał. Nasłuchiwałam porannego kolkowego płaczu Mii, który przez pół roku od jej urodzenia nawiedzał mnie w snach setki razy. Ostatnio płacz docierał do mnie z opóźnieniem, jakby zniekształcony, co mogło być znakiem pewnego dystansu między nami.

Tego ranka nasłuchiwałam, lecz dom pogrążony był w ciszy.

Ruszyłam boso korytarzem i zatrzymałam się przed jej drzwiami, które były uchylone. Pasek od zegarka odcisnął się na mojej skórze, jakbym przez całą noc była związana. Dochodziła dziewiąta; przespałam bite sześć godzin, co dotąd mi się nie zdarzało. Zwykle o tej porze Mia próbowała się podciągnąć na szczebelkach łóżeczka, z oczami pełnymi łez i gniewu.

Na krótką chwilę ogarnął mnie spokój, wyobraziłam sobie pulchne niemowlę leżące pod kołderką, aniołka pogrążonego w słodkim śnie.

Drzwi były uchylone, tak jak je zostawiłam kilka godzin wcześniej. Otworzyłam je na tyle, żeby się przez nie prześlizgnąć, i weszłam do pokoju. Nagle coś mnie tknęło, serce stanęło mi w gardle.

Karuzela z Dzwoneczkiem wisząca nad łóżkiem była przekrzywiona i wyglądała inaczej, jakby brakowało któregoś elementu. W pokoju, ledwie widocznym w świetle poranka, które sączyło się przez okno, panowała cisza. Stojące pod oknem łóżeczko było puste i milczące. Opuszczone. Nie zostało w nim nawet ślad jej ciała na pościeli.

Zaczęło mi pulsować w zębach trzonowych, kiedy sprawdziłam okna i potrząsnęłam żeliwnymi kratami. Przeszukałam całe mieszkanie, sprawdziłam każde okno po dwa razy. Ani śladu mojej córki.

Pobiegłam do frontowych drzwi. Zamki były nietknięte. Porysowany metal i podrapana farba na ścianie stanowiły rezultat mojej nieudolnej próby zainstalowania dodatkowej zasuwki. Wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Poza Miał.

Nic nie dowodziło, że ktoś był w naszym domu – nie zauważyłam żadnych śladów na podłodze ani porozrzucanych przedmiotów – nic nie zostało przesunięte, a jednak czułam wokół siebie dziwną energię. Mieszkanie, choć fizycznie nietknięte, wydawało się splądrowane.

Uświadomiłam sobie bezsensowność tej sytuacji – Mia zniknęła, lecz nie było śladu, ani jednego dowodu na to, że ktoś ją zabrał. Żadnych odłamków szkła na podłodze, otwartych na oścież drzwi, powiewających na wietrze zasłon w uchylonym oknie. Odsuniętego pospiesznie prześcieradła, zostawionego smoczka ani rozrzuconych na dywanie zabawek.

911.

Pobiegłam do kuchni, chwyciłam słuchawkę wiszącego na ścianie telefonu i zamarłam w bezruchu. Suszarka do naczyń była pusta: ani śladu butelki, śliniaczka, smoczka. Puszki z mlekiem i miarki.

Rzuciłam się do kosza na śmieci. Powinny w nim być zużyte pieluszki. Kosz okazał się pusty, nie było w nim nawet plastikowego worka.

Otworzyłam drzwi lodówki. Zniknęły wszystkie butelki z mlekiem, które przygotowałam poprzedniego wieczoru.

Wróciłam do pokoju. Błat przewijaka, zwykle wyłożony pieluszkami i kocykiem, był pusty. Otwarta na oścież szafa też ziała pustką; nie został w niej ani jeden wieszak czy leżący na dnie bucik.

Wysunęłam szuflady komody i przekonałam się, że wszystkie ubranka zniknęły. Nie znalazłam ani jednego guzika czy wciśniętej w róg metki. Stojący na komodzie koszyk, w którym trzymałam pieluszki i oliwkę, też był pusty. Zostały tylko ogołoczone meble.

Przeszukałam cały pokój, każdą szufladę i zakamarek szafy. Serce podeszło mi do gardła. Zniknęła nie tylko Mia, lecz także najmniejszy ślad jej obecności.

*

Siedemdziesiąty komisariat przy Lawrence Avenue na Brooklynie znajdował się pięć minut drogi pieszo od North Dandry. Kiedy weszłam przez szklane drzwi budynku, pracownik recepcji uniósł palec i wskazał słuchawkę, dając znak, żebym zaczekała, aż skończy rozmawiać.

Woźny pchał przed sobą wiadro w neonowożółtym kolorze i postrzępiony mop. Miał na sobie niebieski kombinezon i przezroczyste ochraniacze założone na białe adidas. Patrzyłam, jak przesuwa wiadro po podłodze, myjąc ją okrężnymi ruchami, wkłada mop do wyżymaczki i wyciska z niego wodę.

Spojrzałam na swoje odbicie w mokrej podłodze i zobaczyłam kobietę kołyszącą się w przód i w tył, w rytm pracy mopa. Bawełniane sznurki ślizgały się po linoleum: ślizg, zamoczenie, wyżęcie, ślizg, zamoczenie, wyżęcie.

Dźwięk kroków przywrócił mnie do rzeczywistości. Za moimi plecami jednocześnie otworzyły się drzwi i zadzwonił telefon. Policjant w jasnobłękitnej koszuli, z krawatem wsuniętym za pasek spodni, podszedł do stanowiska recepcji, trzymając za wytatuowane ramię niskiego, wychudzonego mężczyznę. Człowiek ten był bliski katonii. Policjant szturchnął go, żeby się ruszył, uderzając jego klatką piersiową o krawędź lady. Jego krzywy uśmiech i obojętna mina wskazywały na to, że przeżywał podobne sytuacje zbyt wiele razy, by się nimi przejmować.

– Niech ktoś spiszę jego dane i pobierze odciski palców – zwrócił się policjant do recepcjonisty. – Nie chcę widzieć jego gęby, dopóki nie wytrzeźwieje.

– Muszę z kimś porozmawiać. – Powiedziałam to tak głośno, że recepcjonista spojrzał na mnie znad słuchawki. – Proszę mi pomóc.

– Chwileczkę – odezwał się policjant. – Wróć do pani, jak tylko będę mógł.

Stał zbyt daleko ode mnie, żebym mogła odczytać jego nazwisko na przypiętym do koszuli identyfikatorze. Sprawiał wrażenie młodego, może nawet zbyt młodego. Czy mnie zrozumie, czy sam jest ojcem, czy pracował przy sprawach dotyczących porwań? Zastanawiałam się, czy powinnam poprosić o bardziej doświadczonego policjanta.

– Muszę z kimś porozmawiać! – powtórzyłam jeszcze głośniej.

Policjant podszedł do mnie niepewnym krokiem.

– O co chodzi?

Słowa przegalopowały przez mój mózg, później pojawiły się w nim obrazy zamków i zarygowanych drzwi.

Pomocy! – krzyknęłam w myślach. Otworzyłam usta, lecz nie wydobyło się z nich żadne słowo. Głośno przełknęłam ślinę, a echo tego dźwięku odbiło się w cichych korytarzach komisariatu. Byłam gotowa przyznać się do wszystkiego, co zrobiłam, co musiałam zrobić, bo nikt nie znika z zamkniętego na cztery spusty domu.

Dopadły mnie mdłości. Przyjęłam je z ulgą, chciałam wyrzucić z siebie prawdę, przyznać się do winy. Nie chciałam walczyć z uciskiem w gardle. Ślina napłynęła mi do ust, instynktownie ścisnęłam nozdrza, żeby nie zwymiotować nosem.

Policjant odsunął się, jakbym była trędowata.

– Łazienka jest tam. – Wskazał na drzwi znajdujące się trzy metry od nas.

W pomieszczeniu szarpnęły mną torsje, osunęłam się na podłogę i podparłam rękami. Dreszcze wstrząsnęły moim ciałem, skóra pokryła się warstwą potu. W końcu zdołałam się dźwignąć i kiedy przyglądałam się swojemu odbiciu w lustrze, szukałam wyjaśnienia, nie spuszczać wzroku z nieznamym, która odwzajemniała moje spojrzenie. Byłam wściekła na kobietę w lustrze, kobietę z nieumyętymi włosami, podkrążonymi oczami pełnymi przerażenia, która zajęła miejsce prawdziwej mnie.

Kiedy wróciłam na korytarz, policjant wciąż na mnie czekał.

– Proszę pani? – W jego głosie pobrzmiwało zniecierpliwienie, jakbym niepotrzebnie zawracała mu głowę.

Nie wiedziałam już, co mam powiedzieć. Czyżby ktoś przeniknął przez ścianę i zrobił numer w stylu Houdiniego, gdy spałam? Kiedy magik wyciąga z kapelusza niekończący się szal, wszyscy wiedzą, że mają do czynienia z prostą sztuczką, ale to się działo naprawdę. A ja nie wiedziałam, czy jestem ofiarą, czy sprawcą. Popelniono przestępstwo. Tylko jakie?

Nie wiem, gdzie jest moja córka.

To bardzo ogólne stwierdzenie, obejmujące wszystkie możliwe okoliczności, lecz nie wskazujące na żadną z nich. Bez wytykania winnych palcami i określania charakteru przestępstwa. Prosty fakt.

Nie wiem, gdzie jest moja córka.

Nie potrafiłam znaleźć ani jednego logicznego wyjaśnienia zniknięcia Mii.

Powiedz to, powtarzałam sobie w myślach, po prostu to powiedz. No mów!!! Próbowałam się zmusić, ale kobieta, którą się stałam, nie chciała mnie słuchać. Nikt nie potrafił jej pomóc.

Nikt mi nie pomoże. Nikt mi nie pomoże. Nikt mi nie pomoże.

Powtórzyłam te słowa trzykrotnie, jak przysięgę, w nadziei, że znajdę w tym wszystkim chociaż cień logiki.

Kiedy przeniosłam wzrok z detektywa na to, co działo się w korytarzu za jego plecami, wytatuowany mężczyzna, którego widziałam wcześniej, rzucił się w kierunku wyjścia. Policjant odwrócił się i pobiegł za nim. Wytatuowany facet, który nie czuł się pewnie na nogach, zdążył dobiec do szklanych drzwi, zanim policjant go złapał.

Skoncentrowałam wzrok na podłodze i drobniotkich plamkach na niebieskim linoleum. Ugięły się podę mną kolana, musiałam być w ciągłym ruchu, żeby krew w moim ciele nie przestała krążyć.

Nikt mi nie pomoże.

Opuściłam komisariat i szłam przed siebie. Czułam się wewnętrznie znieczulona, lecz jednocześnie oczyszczona, gotowa pogodzić się z faktami. Odrętwienie opuściło mnie dostatecznie dawno, żebym pojęła wagę tego, co pewnie zrobiłam. Mijając sklepową wystawę, kątem oka dostrzegłam kobietę, która przyglądała się swoim rękoma, jakby dawno ich nie widziała.

W tym krótkim, lecz straszliwym momencie trzeźwości dotarło do mnie, że mogą to być ręce potwora.

Rozdział 4

– Przyjechałem tu prosto z lotniska. Nic nie rozumiem. Co tu się stało, do diabła? – Chociaż mówię szeptem, jego słowa przeszywają mnie na wylot. Wydają się znajome. Nie same słowa, lecz uczucia, które we mnie wywołują. Jack poniżał mnie już tyle razy. Popeniłam tak wiele gaf – z początku drobnych, później większych.

Trzęsą mi się ręce, w końcu zaczyna drżeć całe ciało. Nie wiem, czy to ze strachu, czy z gniewu. Wbijam wzrok w zaniepokojoną twarz Jacka i szukam w niej chociaż cienia empatii, lecz on jest profesjonalny w każdym calu, począwszy od ubioru, przez postawę, na minie skończywszy.

– Ktoś ją porwał, Jack.

– Co to znaczy: „ktoś ją porwał”? Gdzie ona jest? – Odstawia teczkę na nocną szafkę, strącając z niej plastikowy kubek. – Co tu się dzieje, do diabła?

– Jack, ja...

– Wyjeżdżam na kilka tygodni, a ty masz wypadek w... Dover? Coś ty tam robiła? To wiele godzin drogi stąd! – Macha ręką, jakby chciał mnie uciszyć, kiedy próbuję otworzyć usta. – Kto gubi dziecko, Estelle? No kto? Powiedz mi, kto gubi własne dziecko?

Zaciskam wargi. Nie patrzę mu już w oczy.

– Dlaczego zabrałaś ją do Dover?

W pokoju panuje cisza, nie licząc buczenia i pikania maszyn za moimi plecami.

– Właśnie wcale jej tam nie zabrałam, Jack. Nie mam pojęcia, skąd się tam wzięłam.

– Rozmawiała ze mną policja... Nie, czekaj, „rozmowa” to nieodpowiednie słowo. – Krzywi się i pochyla się nade mną. Wyciąga palec wskazujący, jakby chciał mi pogrozić jak dziecku. – Zostałem przesłuchany. Zatrzymali mnie na lotnisku, zawieźli na komisariat i przesłuchali jak pospolitego przestępcę. Coś ty im powiedziała?

– Nic takiego: że wyjechałem z miasta i...

– I co?

– Nic więcej. O co ci chodzi? Co niby miałam im powiedzieć?

– Mieli do mnie mnóstwo pytań. Traktowali mnie, jakbym był podejrzanym.

– Przecież wiesz, że zawsze najpierw podejrzewają rodziców.

– Nigdy w życiu nie czułem się tak upokorzony. Jeśli mój szef się dowie... – urwał w pół zdania. – Gdzie ona jest? Powiedz mi, co się z nią stało.

– Zaginęła, Jack. – Przeraza mnie chłód w jego spojrzeniu. Zbiera mi się na płacz, ale to by go jeszcze bardziej rozgniewało. Czas spędzony z Jackiem nauczył mnie, jak powstrzymywać łzy.

– Wiem, że zaginęła i że jej szukają. Chcę wiedzieć, jak do tego doszło. Opowiedz mi o wszystkim. Rozmawiałem z policją i lekarzami, ale chcę to usłyszeć od ciebie.

Zaczynam od tego, jak odkryłam, że łóżeczko jest puste. Była niedziela, więc żadnego z robotników nie było w domu. Zadzwoniłam do Liebermana, ale wyjechał z miasta, jak co weekend. Opowiadam, że nic się nie zgadzało i że poszłam na komisariat. Jack nie mówi, że wszystko będzie dobrze ani że jakoś sobie z tym poradzimy. Mówi tylko:

– Kontynuuj.

Kiedy kończę opowieść, kręci głową.

– Nie powinienem był wyjeżdżać z miasta. Oszukałaś mnie. Powiedziałaś mi, że dobrze się czujesz, a ja ci uwierzyłem. Zostawiłaś ją gdzieś? Powiedz, gdzie ją zostawiłaś.

Jack wszystko sobie poukładał w głowie, jak zawsze. W jego świecie zadaje się pytania i uzyskuje odpowiedzi, ale nie jesteśmy na sali sądowej, a ja nie potrafię mu wyjaśnić, co się stało, chociaż bardzo chcę.

– Jack...

– Zapewniałaś mnie, że dobrze się czujesz, a teraz zobacz, co zrobiłaś.

– Przepraszam, Jack. Tak mi przykro.

– Przepraszam to za mało. Moja córka zaginęła. Zaginęła! Czy to do ciebie dociera?

– Nie wiem, Jack. Po prostu nie wiem.

– Nie wiesz, gdzie ją zostawiłaś?

– Nigdzie jej nie zostawiałam. Nie mam pojęcia, gdzie jest.

– Zostawiłaś ją z opiekunką? Albo w żłobku? Może...

– Nie, nie było żadnej opiekunki. Ani żłobka.

– Powiniem był to przewidzieć. Nie należało... – urywa w pół zdania.

Powiedziałeś, że zmiana otoczenia wyjdzie mi na dobre, pamiętasz? To będzie taki nowy początek – twierdziłaś. Uwierzyłam ci, Jack. Pomyślałam, że mogę zostawić tamtą kobietę, która przejęła kontrolę nad moim życiem, ale ona nie chciała się ode mnie odczepić.

– To wszystko nie ma sensu. – Twarz Jacka niespodziewanie się rozluźnia. – Zachowywałaś się dziwnie, odkąd urodziłaś Mię. Pracowałem za dużo albo spałem do późna; zawsze coś ci nie pasowało. Zaczynam myśleć, że od początku to sobie zaplanowałaś.

– Zaplanowałaś? Co zaplanowałaś?!

– Poznajesz prawnika, bierzesz z nim ślub, rodzisz mu dziecko, rozwodzisz się z nim, dostajesz alimenty i pomoc w wychowaniu dziecka. To zaplanowałaś.

– I to niby ty jesteś moim wygranym losem na loterii? Nie mamy złamanego grosza, pamiętasz? Przyjąłeś tę pracę w Chicago, bo jesteśmy splukani.

– Usiłuję tylko zrozumieć, co się stało. Przez cały czas cię wspierałem. Co się z tobą stało, Estelle? Czyżbyś któregoś dnia obudziła się i powiedziała sobie: Pieprzyć Jacka, pieprzyć Mię, pieprzyć wszystkich? Tak po prostu? Robiłem wszystko, czego ode mnie oczekiwałaś, ofiarowałem ci to, czego pragnęłaś. Nadszedł czas, żebyś ty zrobiła coś dla mnie.

Przyglądam mu się bez słowa.

– Powiedz mi prawdę. Możemy to jeszcze naprawić.

– Miałam wypadek. Cierpię na amnezję. Nie wiem, co się stało. – Mój głos brzmi jednostajnie, jak głos robota recytującego nagrane oświadczenie.

– Załóżmy przez chwilę, że naprawdę nic nie pamiętasz. Wytłumacz mi tylko, jak to się stało, że do mnie nie zadzwoniłaś. Wytłumacz mi to. Jestem jej ojcem, więc jak to możliwe, że do mnie nie zadzwoniłaś? Czy wtedy też miałaś chwilę tego swojego wariactwa?

– Wariactwa?

– Mam na myśli jeden z tych momentów, kiedy wszystko wymyka ci się spod kontroli. Kiedy nie jesteś w stanie wziąć dziecka na ręce, przestać płakać, kiedy śledzisz mnie w drodze do biura, przeskakujesz moje rzeczy, nie masz siły podnieść słuchawki i zadzwonić pod 911! Właśnie o takie chwile mi chodzi. Mam mówić dalej?

W świecie Jacka wszystko jest czarne lub białe. Najstraszniejsze jednak jest to, że muszę mu przyznać rację – do niczego się nie nadaję. Próbowалам być dobrą matką, usiłowałam robić to co inni. Szkoda, że nie potrafiłam mu wytłumaczyć, jak mocno się starałam.

– Wszystko w porządku?

Odwracamy się w kierunku drzwi, w których stoi pielęgniarka z pustą tacą w rękach.

– Przepraszam – odzywa się Jack, a ja kiwam potakująco głową. – Będziemy mówili ciszej. Wszystko okej.

Jack nie lubi być upominany. Zniża głos, lecz jego wzrok jest pełen tłumionego gniewu.

– Pod drzwiami siedzi policjant. Zdajesz sobie sprawę z powagi sytuacji?

Przytakuję.

– Wiesz, co on tutaj robi? – Jack nie czeka na odpowiedź, tylko ciągnie szeptem: – Nie siedzi tam, żeby cię chronić.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Nie mogę opanować drżenia w głosie.

– Potrzebujesz prawnika.

Wzdrygam się na te słowa.

– Jack, ja nie jestem kryminalistką. Nie pamiętam, co się stało. Mam w głowie mętlik! – Czy to możliwe, żeby amputowane ucho pulsowało? Wiem, że moje wybuchy tylko utwierdzają Jacka w przekonaniu, że postradałam zmysły. Pewnie wyglądam jak jeleni tuż przed zderzeniem z maską samochodu. – Kiedy się obudziłam, już jej nie było. Zniknęły wszystkie jej rzeczy. Naprawdę nic więcej nie pamiętam.

– Coś się musiało wydarzyć. Może płakała, a ty się zdenerwowałaś? Zrobiłaś jej coś?

Próbuję się dźwignąć do pozycji siedzącej, ale ból żeber jest rozzdzierający.

– Spójrz na mnie. – Jack zbliża się i ściska mój podbródek, obracając moją głowę w swoją stronę. – Spójrz mi w oczy i powiedz, co się stało.

– Myślisz, że skrzywdziłabym własną córkę?

Jack jest zmieszany moim pytaniem. Otwiera szerzej oczy, lecz natychmiast odzyskuje panowanie nad sobą i szepcze: – Nie twierdzą, że ją skrzywdziłaś. Mówię tylko, że obwiniam cię za to, co się stało. – Otwiera teczkę. – I jeszcze jedno.

Jack zawsze ma w rękawie jakiegoś asa.

– Nie wiem, czy to do ciebie dotarło, ale istnieje możliwość, że spędzisz resztę życia za kratkami albo przypięta pasami do szpitalnego łóżka, jeśli nie przypomnisz sobie, co się stało. Musimy potraktować sytuację, w której się znalazłaś, z należytą powagą. – Zaciska usta w wąską kreskę i dodaje: – Długo rozmawiałem z lekarzami i jeśli zdołam przekonać prokuratora okręgowego, umieścimy cię w klinice specjalizującej się w problemach z pamięcią.

Przez chwilę patrzę na niego, później spuszczam wzrok.

– Gdzie się mieści ta klinika? – pytam.

– Tutaj, w Nowym Jorku. Pracuje tam lekarz, jakiś obcokrajowiec, gdzieś ze Wschodu, specjalizujący się w przywracaniu pamięci straconej w wyniku urazu. – Jack rozluźnia ramiona, ale nawet jego drogi garnitur nie jest w stanie ukryć faktu, że mój mąż przypomina balon, z którego zeszło powietrze. – Musisz podpisać dobrowolną zgodę na przyjęcie na oddział psychiatryczny na czas nieokreślony.

Próbuję podzielić myśli na niewielkie, możliwe do przyswojenia porcje. Nie bardzo mi to wychodzi. Przywracanie pamięci. Wyobrażam sobie przewody wczepione w mój mózg, serum prawdy i obrazy przerzucane z mojej siatkówki na monitory komputerów. Oddział psychiatryczny. Czas nieokreślony. Mam wyrazić zgodę na przyjęcie do wariatkowa bez możliwości wypisu.

– Nie muszę iść do szpitala psychiatrycznego. Nie jestem wariatką.

Jack przekrzywia głowę i unosi brwi, jakby przyłapał dziecko na kłamstwie.

– W twoich oczach jestem niezrównoważona, prawda? Dlaczego nie powiesz tego głośno? Uważasz, że zwariowałam, tak?

– Nie zdiagnozowano u ciebie choroby, ale moim zdaniem potrzebujesz pomocy, a ta klinika może się dla ciebie okazać jedyną szansą i przede wszystkim jedyną szansą dla Mii. – Jego głos brzmi teraz kojąco, wręcz uwodzicielsko. – Nie sądzę, żebyś miała wybór. To wszystko.

Zmuszam się, żeby zwiesić nogi z łóżka. Moje skarpetki z gumowaną podeszwą szukają lepkiego linoleum. Czuję się, jakbym tkwiła w zawieszeniu, nie mam gruntu pod nogami. Kiedy tylko kończę pisać swoje nazwisko, dopada mnie przemożna chęć, żeby zacisnąć palce w pięść i ryć długopisem po swoim podpisie, aż rozerwę papier na strzępy.

Jack wyciąga mi długopis z ręki i spogląda na zegarek.

– Ten lekarz pomoże mi odzyskać pamięć i wtedy znajdziemy Mię. Dowiemy się, co się stało, prawda, Jack?

Mój mąż zamyka teczkę i wychodzi z pokoju, zanim udaje mi się postawić stopy na ziemi.

Rozdział 5

Dzień po rozdaniu dyplomów powiedziałam sobie: Masz rok na to, by zdecydować, co chcesz zrobić z resztą swojego życia. Czekałam na jakiś znak, interwencję siły wyższej, jedną z tych rzeczy, w które wierzą ludzie biegający po poradę do wróżki. Szłam Pięćdziesiątą Siódmą Ulicą i mówiłam sobie, że następny billboard, który przyciągnie mój wzrok, nadruk na samochodzie, na płócienniej torbie czy zaplątana pod moimi nogami ulotka wskaże mi odpowiedź.

Pracowałam wówczas w infolinii firmy sprzedającej ubezpieczenia medyczne i to tam poznałam kobietę, która już na pierwszy rzut oka nie pasowała do tego miejsca. Delilah, w średnim wieku, niska i przysadzista, miała ciało pokryte tatuażami, które zadziwiająco skutecznie ukrywała pod białymi za dużymi bluzkami i swetrami. Trzymała się z daleka od dwudziestoparolatków zajmujących pozostałe boksy. Za każdym razem, gdy podwijiała rękawy, sygnalizując, że ma na linii trudnego klienta, na jej ramieniu pokazywał się tatuaż „Martwi nie zdradzają tajemnic”.

– Nie możesz oderwać wzroku od mojego tatuażu – zauważyła pewnego dnia z sąsiedniego boksu, kończąc połączenie.

– Niezłe hasło – odparłam.

– To dość zabawna historia.

– Martwi nie zdradzają tajemnic? Co w tym może być zabawnego? – zdziwiłam się.

Delilah opowiedziała mi, że przez dwadzieścia pięć lat pracowała jako strażnik więzienny. Z roku na rok traciła umiejętność pracy z ludźmi i wiarę w nich. Zostawił ją mąż, a ich pięcioro dzieci przestało się do niej odzywać. Aby jakoś przetrwać, postanowiła zmienić pracę i zatrudniła się w obsłudze klienta.

– Tutaj każdego dnia muszę nad sobą pracować – wyjaśniła, przybierając neutralny ton, i odebrała kolejny telefon.

To, co powiedziała, zaintrygowało mnie i zmusiło do zastanowienia nad niedoskonałościami własnego charakteru. Nigdy nie nawiązywałam długotrwałych przyjaźni, nie zbudowałam z nikim głębokiej relacji i właściwie przez całe życie byłam odludkiem. Zastanawiałam się, czy powinnam poznać jakichś nowych ludzi, czy raczej właściwych ludzi, a może po prostu otworzyć się na świat i znaleźć w nim swoje miejsce. Jeszcze tego samego dnia rzuciłam pracę w infolinii.

Dwa dni później zatrudniłam się jako hostessa w La Lunie, knajpie na Manhattanie, często odwiedzanej przez sędziów, prokuratorów, prawników i zastępy menedżerów pracujących w sąsiednich budynkach. Okolice La Luny przy Lexington i Pięćdziesiątej stanowiły skupisko restauracji i barów, biurowców, kancelarii prawniczych i gdzieś tam Starbucksów dla przełamania monotonii.

Po wielu tygodniach zauważyłam mężczyznę czekającego na wolny stolik. Nie był olśniewająco przystojny i nie miał w sobie nic nadzwyczajnego, co przykułoby moją uwagę, a mimo to nie mogłam się doczekać, aż znajdzie się na początku kolejki.

– Jack Connor – przedstawił się i poprawił krawat. Czekał jeszcze na dwie osoby i poprosił mnie o najlepszy stolik w lokalu. Spodobał mi się sposób, w jaki spojrzął mi w oczy i ważył każde słowo.

Poszedł za mną do stolika na samym końcu restauracji, rozejrzał się, po czym wskazał na stół znajdujący się tuż przy wejściu.

– Chyba wolałbym tamten.

Tak poznałam Jacka. Ja próbowałam stanąć na wysokości zadania, a on stwierdził, że to, co mu zaproponowałam, nie jest wystarczająco dobre. Później Jack odczytał łagodnym barytonem nazwisko z identyfikatora na mojej bluzce.

– Estelle Paradise.

Przez lata nasłuchiwałam się żartów ze swojego nazwiska i byłam przygotowana na kolejny, który jednak nie nastąpił. Jack był szczupły i wysportowany, lecz głębokie cienie pod oczami świadczyły o nadgodzinach i pracy ponad siły. Zauważyłam, że jego lewa brew jest wyraźnie uniesiona i wygięta w łuk, jakby poddawał otaczający go świat nieustannej obserwacji.

– Przyglądasz się mojemu oku – powiedział.

– Nie chciałam, przepraszam. – Zarumieniłam się i odwróciłam wzrok. W jego twarzy było coś lekko odpychającego, a jej wyraz sugerował wieczne niezadowolenie.

– Hypertrofia – wyjaśnił, marszcząc brwi. – Zaburzenie równowagi mięśniowej, jedna brew jest bardziej wygięta niż druga. To dziedziczne. Kiedy byłem młodszy, nosiłem okulary, ale bez operacji jedno oko zawsze będzie się znajdowało nieco wyżej niż drugie.

Następnego dnia wstąpił po pracy na drinka. Siedział przy barze i mnie obserwował.

– Wiesz, co powinnaś zrobić? – zapytał.

– Co takiego? – Trzymałam przed sobą plik jadalospisów niczym tarczę.

– Zwracać baczniejszą uwagę na to, co się dzieje przy twoich stolikach.

– Niby po co?

Posłał mi zdziwione spojrzenie.

– Żeby wiedzieć, którzy goście jedzą już deser albo chcą zapłacić rachunek. To usprawniłoby proces przydzielania wolnych stolików.

– Postaram się zapamiętać – odparłam i roześmiałam się, usiłując nie patrzeć na jego oko.

– Umówisz się ze mną? – Głos Jacka zadrżał lekko, lecz zauważalnie.

– Nie wolno nam się umawiać z gośćmi – skłamałam i strzepnęłam niewidzialny pyłek ze swojej bluzki. Nikogo nie obchodziło, z kim się umawiamy; kelnerki i hostessy zmieniały się tu jak w kalejdoskopie.

Jack nie spuszczał wzroku z moich piersi; w końcu wstał i dopił drinka.

– A jeśli przestanę tu przychodzić, to się ze mną umówisz?

– Na twoim miejscu nie robiłabym sobie większych nadziei – odparłam.

Miesiąc później umówiliśmy się na pierwszą randkę. Włożyłam swoją najlepszą małą czarną, bez rękawów, a on miał na sobie spodnie khaki i niebieską rozpiętą koszulę. Poszliśmy najpierw do kina, a później na kolację, podczas której oboje za dużo wypiliśmy. Byłam tak zamroczona alkoholem, że musiałam mu się zwierzyć ze swoich problemów z płaceniem czynszu, ponieważ zaproponował, że w tym miesiącu zrobi to za mnie.

– Daj spokój – powiedział. – Pozwól sobie pomóc.

Rozbroił mnie tymi słowami. Każdego innego wieczoru poczułabym się urażona. W końcu zdążyłam się przyzwyczaić do samodzielności i zawsze jakoś dawałam sobie radę, jednak tym razem z pieniędzmi było krucho, a spłacanie pożyczki studenckiej porządnie dawało mi w kość.

– Sztuki wyzwolone? Już lepiej nie mieć żadnego dyplomu – skomentował później Jack.

I tak utknęłam na dobre jako hostessa. Wszystkie stanowiska kelnerek, wiążące się z wysokimi napiwkami, były pozajmowane. Nie miałam pojęcia, co chcę zrobić ze swoim życiem, i zastanawiałam się, czy w opowieści Delilah tkwiło choć ziarno prawdy.

Tamtego wieczoru koszula Jacka pachniała krochmałem, a ja zastanawiałam się, jak by to było go pocałować, poczuć dotyk jego ust na swoich wargach. Smak innego życia, które mogłabym poznać,

gdybym pozwoliła mu sobie pomóc.

Na naszej drugiej randce, podczas której spodziewałam się, że rzeczywistość obnaży dzielące nas różnice, Jack okrył mnie swoim płaszczem, kiedy w drodze do restauracji zrobiło się chłodniej. Szorstka wełna i gładka podszewka były jak żywcem wyjęte ze wszystkich znanych mi filmów romantycznych. Facet, który okrywa swoim płaszczem ramiona dziewczyny, jest uosobieniem dobra. Dobrzy faceci dają kobiecie swój płaszcz, a żli zdejmują z niej ubranie. Podczas kolacji opowiedziałam mu o moich regułach randkowania.

– Żadnego seksu przez trzydzieści dni. – Chciałam w ten sposób wy badać jego intencje, ale Jack nawet nie mrugnął okiem.

– Zgodnie z moimi zasadami nie uprawiam seksu przez sto osiemdziesiąt dni, ale w porządku, niech będzie po twojemu – odparł. – A więc zaczęliśmy się oficjalnie spotykać?

– Po której jesteś stronie? – zapytałam, kiedy mijaliśmy budynek MetLife. – Mam na myśli pracę – dodałam, przysuwając się bliżej. – Zawsze ciekawiło mnie, skąd prawnicy wiedzą, czy wolą być adwokatami czy oskarżycielami. Dla mnie to dwie strony barykady.

– Po prostu decydujesz się na jedną z nich – odparł, marszcząc brew, jakby moje pytanie było kompletnie pozbawione sensu.

Kiedy zapytałam go, czym chciałby się zajmować za kilka lat, odparł:

– Chciałbym zostać zastępcą prokuratora okręgowego, później prokuratorem okręgowym i wreszcie sędzią.

– A jeszcze później ubiegać się o jakiś publiczny stołek, na przykład burmistrza? – zażartowałam.

– Burmistrza? – Zawiesił głos. – Nie sądzę. Kiepsko sobie radzę z tłumem i publicznymi wystąpieniami. Może Sąd Najwyższy? Tam przedstawia się orzeczenia w formie pisemnej, coś w sam raz dla mnie.

Jack był arogancki, lecz jego nadmierna pewność siebie wydawała mi się nieszkodliwa, ożywcza i sprawiała, że miałam ochotę dowiedzieć się czegoś więcej na jego temat.

– Obrońcy pewnie dostrzegają we wszystkich dobro – powiedziałam. – Prokuratorzy podejrzewają każdego o popełnienie przestępstwa. Czy wybór któregoś z tych ról nie jest przypadkiem konsekwencją tego, co nosimy w sercu?

– W sercu? Co za emocjonalny sposób patrzenia na świat.

– Opowiedz mi o swoim dzieciństwie – poprosiłam, chcąc zmienić temat.

Jack wyrecytował swoje młodzieńcze przeżycia jak listę zakupów.

– New Jersey, szkoły publiczne, drużyna zapasów, samotnie wychowująca mnie matka. – Zawahał się, lecz po chwili mówił dalej: – W zasadzie jestem jedynakiem. Moja matka pracowała w bibliotece publicznej w Nowym Jorku. Ledwie wiązaaliśmy koniec z końcem. Była świętą kobietą, ani razu nie podniosła na mnie głosu.

– Co to znaczy, że „w zasadzie” jesteś jedynakiem?

Jack opowiedział, że jego ojciec, Earl, zostawił jego matkę, zanim Jack wyrósł z pieluch. Earl, kierowca ciężarówki, który większość roku spędzał w trasie, poznał inną kobietę, właścicielkę salonu piękności, Elbę. Rzucił posadę tirowca – matka Jacka prosiła go o to latami – i został kierowcą miejskiego autobusu. Nie zniknął z życia Jacka; zrobił coś znacznie gorszego.

– Wpadłem na swojego ojca w szkole, pod gabinetem dyrektora. Nie widziałem go od lat, nie pamiętałem nawet, kiedy ostatni raz się do mnie odezwał. Z jakiegoś dziwnego powodu, który mógłby zrozumieć chyba tylko inny dziesięciolatek, założyłem, że ojciec przyjechał do szkoły po mnie. Kiedy już miałem rzucić się mu w ramiona, usłyszałem w głośniku komunikat dyrektora: „George Connor przozony do mojego gabinetu”. Właśnie wtedy dowiedziałem się, że mam przyrodniego brata George'a, i że mieszkamy na tyle blisko, żeby chodzić do jednej szkoły. Dzieliło nas dokładnie pięć przecznic.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc zapytałam o matkę. Wydał westchnienie, które zabrzmiało jak jęk.

– Można powiedzieć, że zaharowała się na śmierć – odparł i zorientowałam się, że to dla niego trudny temat. – Po incydencie z moim przyrodnim bratem zaczęła pracować na trzy etaty, żeby posłać mnie do prywatnej szkoły. Od dawna nie czuła się dobrze, a kiedy wreszcie poszła do lekarza, było za późno. Zbyt długo ignorowała objawy i zdiagnozowano u niej raka okrężnicy. W końcu wysłano ją na operację, ale lekarze tylko zszli ją z powrotem, bo nie mogli nic poradzić. Nastąpiły przerzuty do mózgu i wątroby.

Pomyślałam o swojej rodzinie i tym, że moja matka nie miała wyrzutów sumienia, robiąc karierę fotograficzną. Przypomniałam sobie wszystkie wieczory, kiedy na stole brakowało kolacji, a drzwi do ciemni były zamknięte. Wiele lat po śmierci rodziców nadal nie mogłam się zdecydować, czy powinnam się czuć ograbiona z jej uwagi, czy szczęśliwa, że zrealizowała się zawodowo.

Tego wieczoru złamaliśmy zasadę trzydziestu dni bez seksu i kochaliśmy się po raz pierwszy. Sytuacja wymknęła się nam spod kontroli. Jack miał problem z odpakowaniem prezerwatywy, ja nie wiedziałam, co zrobić z nogami. Kiedy obudziłam się następnego ranka, Jack siedział na łóżku, gorączkowo zapisując coś w notatniku.

– Pisziesz dla mnie wiersz? – zażartowałam.

– Przemówienie – odparł.

Miał wygłosić przemówienie podczas corocznej gali sponsorowanej przez New York City Bar Association[1] przed ponad ośmiuset studentami prawa. Przez dwa tygodnie pisał kolejne wersje przemówienia. W dniu gali patrzyłam, jak wygłasza mowę bez śladu zdenerwowania. Mówił z przekonaniem, nawiązując kontakt wzrokowy ze słuchaczami, sypał anegdotami i żartami. Jednak coś było nie w porządku; w głosie i zachowaniu Jacka nie dało się dostrzec nawet cienia emocji. Później dowiedziałam się, że publiczne wystąpienia nie były jego jedynym problemem.

W drodze na salę bankietową Jack przeprosił mnie na chwilę; był zlany potem. Ludzie pytali o niego, chcieli poznać błyskotliwego młodego prawnika, który wygłosił tak inspirujące i przekonujące przemówienie. Czekałam przed toaletą, później sprawdziłam w szatni i za kulisami, ale Jack rozplynął się w powietrzu. Kiedy do niego zadzwoniłam, połączyłam się z pocztą głosową, więc w końcu postanowiłam wezwać taksówkę i wrócić do domu. Znalazłam go wymiotującego za przenośną toaletą na parkingu.

Wymamrotał coś na temat problemów z żołądkiem.

– Wróć i powiedz mojemu szefowi, że nabawiłem się grypy żołądkowej – powiedział na jednym wydechu i znowu zaczął wymiotować. Przeraziły go nie tylko publiczne wystąpienia, lecz także konieczność towarzyskiego obcowania z ludźmi.

– To tylko drobny atak paniki. Nic wielkiego, pracuję nad tym – wyjaśnił mi później. – Wolę salę sądową od bankietowej, i co z tego?

*

Kilka miesięcy później oznajmiłam Jackowi, że mogę być w ciąży. Po długiej chwili milczenia na jego twarzy pojawił się niepewny uśmiech.

– Pobierzmy się – powiedział, kiedy czekaliśmy na wynik testu.

– Nie podejmuj decyzji pod wpływem tego, co zrobił twój ojciec, Jack – odparłam i natychmiast pożałowałam swoich słów. Jack osłupiał i wyglądał na zranionego. Szybko się jednak otrząsnął i posłał mi uśmiech, tym razem pełen prawniczej pewności siebie.

– Nie obchodzi mnie, co zrobił ojciec. Nie pozwalam na to, żeby błędy innych ludzi wpływały na moje decyzje. I przede wszystkim – dodał łagodnym głosem, ujął w dłonie moją twarz i mnie pocałował – chcę to zrobić i kropka.

Zanim w okienku wyniku pojawiła się blada różowa kreska, byliśmy zaręczeni. Żadne z nas nie było pewne, czy podejmujemy właściwą decyzję, lecz ufałam Jackowi, i wierzyłam, że taka się okaże. Odsunęłam od siebie wątpliwości i zebrałam uczucia, jak muszelki na plaży. Były wśród nich podekscytowanie, radość i natychmiastowe pragnienie urodzenia dziecka, przejścia od stanu ciąży do macierzyństwa. Wszystkie związane z tym emocje dotyczyły mnie do żywego, jak po poparzeniu słonecznym. Nawet w tamtej chwili doznawałam poczucia niedopasowania, które miało mi towarzyszyć w następnych miesiącach.

Pojechaliśmy do sądu i pobraliśmy się przed obliczem sędziego pokoju. Obyło się bez białej limuzyny, rzucania ślubnego bukietu grupie piszczących druzhen, wesela, miesiąca miodowego, upominania Jacka przez teścia, żeby dobrze opiekował się jego córką, i rodziny, która mogłaby wnieść toast za państwa młodych. Jack nie przepadał za fetowaniem, a mnie było wszystko jedno.

Urzędnik w sądzie zrobił nam zdjęcie, jedyną naszą pamiątkę z dnia ślubu. Jack miał na sobie czarny garnitur i granatowy krawat. Ja włożyłam białą bawełnianą sukienkę, pasującą do wielu okazji. Na zdjęciu Jack obejmuje mnie ramieniem i pozwala mi się do siebie przytulić. Na ścianie za naszymi plecami wisi plan budynku sądu – jasne linie na niebieskim tle przypominają wydruki wiszące na ścianie gabinetu mojego ojca. W lewym rogu zdjęcia, chociaż próbowałam ją później z niego wyciąć, widać ławkę sądową, a na niej psującą ujęcie aktówkę Jacka.

Planowaliśmy znaleźć odpowiednią ramkę na nasze ślubne zdjęcie, lecz ostatecznie pozostało w tej oryginalnej – prostej, z czarnego drewna. A później o tym zapomnieliśmy.

*

W dniu badania USG w dwudziestym tygodniu ciąży zaproszono nas do maleńkiego gabinetu. Spojrzałam na wznoszący się nad klawiaturą monitor.

– Cześć, jestem Debra – przedstawiła się kobieta w nieskazitelnym różowym kitlu. – Zanim zaczniemy – kontynuowała, energicznie stukając w klawisze – czy chcecie poznać płęć dziecka?

Płęć dziecka. Popatrzyłam nerwowo w dół, na nieznacznie powiększony brzuch. Jak do tej pory ciąża była ledwie widoczna i myśl o tym, że noszę w sobie ludzką istotę, chociażby maleńką – nie wspominając już o jej płci – wydawała mi się niewiarygodna.

– Tak, chcielibyśmy ją poznać – odparł Jack.

Prawdę mówiąc, nie podjęłam jeszcze decyzji i to, że Jack odpowiedział w moim imieniu, doprowadziło mnie do szewskiej pasji. Byłam wściekła, że zdecydował za mnie. Wiedziałam jednak, że jeśli później go o to zapytam, przywoła jakąś moją wypowiedź, która jego zdaniem świadczyła o tym, że chciałam się dowiedzieć, że był to dobry pomysł, że wspólnie chcieliśmy poznać płęć dziecka i że właśnie tak należało postąpić.

Piełęgniarka popatrzyła na mnie i skinęła głową, a ja zmusiłam się do uśmiechu. Wstała i wyłączyła światło. Pokój był ciepły i przytulny, panująca w nim ciemność pozwoliła mi ukryć łzy, które napływały mi do oczu.

– Przepraszam, jest zimny – powiedziała Debra, wyciskając żel na mój brzuch, aż zadrżałam.

Jack chwycił mnie za rękę i wspólnie wpatrywaliśmy się w trójkątny wycinek czarnego jak smoła tła.

– Oto i ono – odezwała się Debra i przyłożyła końcówkę aparatu do mojego brzucha. – Tu mamy kręgosłup – docisnęła mocniej, żeby uzyskać wyraźniejszy obraz.

Kręgosłup mojego dziecka, małeńkie kostki ułożone w idealną linię, przypominał cudowny sznur pereł. Ścisnęło mnie w gardle, z zachwytem wpatrywałam się w monitor. Debra coś przełączyła i obraz się zamazał. Szybko zamrugałam, żeby niczego nie przegapić.

Pielęgniarka zmieniła ustawienia aparatu i na ekranie pojawiła się twarz. Z początku wydawała się odrobinę upiorna, przypominała maskę czaszki, lecz była to najpiękniejsza twarz, jaką w życiu widziałam. Usta zdawały się ściągnięte, podbródek lekko cofnięty. Ledwie mogłam oddychać na myśl o tym, że kilka centymetrów pod moją skórą znajduje się ludzka istota.

Z daleka dobiegał mnie głos pielęgniarki pokazującej na monitorze najważniejsze organy.

Krtań w porządku, przekrój mózgu, nerki, wątroba, płuca i serce też.

Kiedy powiedziała „serce”, Jack ścisnął mnie za rękę. Mocno.

Ku jego niezadowoleniu obsesyjnie szukałam informacji na temat rozwoju płodu w macicy. Szczególnie zafascynowała mnie historia lekarza, który wykonał operację serca płodu u kobiety z ciążą pozamaciczną. Artykuł opisywał nienaruszony, w pełni przezroczysty worek owodniowy i małeńkie dziecko, nie większe niż dwa i pół centymetra, unoszące się w płynie owodniowym, z pochyloną główką i uniesionymi nogami.

Byłam dopiero w pierwszym trymestrze, a już znałam nazwy wszystkich wrodzonych chorób serca: zwężenie zastawki aortalnej, ubytek przegrody międzykomorowej, całkowicie nieprawidłowe ujście żył płucnych, i poprosiłam o przeprowadzenie szczegółowych badań w tym kierunku, lecz mój ginekolog się nie zgodził.

– Nie ma powodu, by podejrzewać, że państwa dziecko jest obciążone jakimkolwiek defektem genetycznym. – Doktor Bowers zdjął okulary i popatrzył na mnie, jakbym była dzieckiem domagającym się wycieczki do Disneylandu. – Oboje z mężem jesteście zdrowi, więc pani obawy są po prostu nieuzasadnione.

Jeszcze zanim doktor Bowers odmówił dodatkowych badań, Jack przestał ze mną chodzić na wizyty, posunął się nawet do tego, że nie pozwolił mi się umówić z innym specjalistą. Nie chciał też ze mną rozmawiać o artykułach, które czytałam, więc starałam się zagłuszyć łęki w mojej głowie, zamknąć je w bezpiecznym miejscu razem z niepokojem i paniką.

Pielęgniarka powiedziała nam, że dziecko rozwija się prawidłowo, badanie USG wyszło idealnie, chociaż byłam tak zdenerwowana, że dziecko niespodziewanie zaczęło wywijać we mnie koziolki.

– Mamy idealnie zdrowe dziecko, słyszałaś? – zapytał Jack, głaszcząc mnie po policzku.

– A teraz poznamy jego płeć – odezwała się pielęgniarka i mocniej nacisnęła na mój brzuch. – Oczywiście, jeśli dziecko zdecyduje się z nami podzielić tą informacją. Dziewczęce narządy wyglądają jak trzy kreski, chłopięce... No cóż, tak jak można się tego spodziewać. Niestety małeństwo podciągnęło nóżki i nic nie widać.

– Ja widzę, to dziewczynka. – Wskazałam na monitorze trzy linie, które wydały mi się jednoznacznie określać płeć dziecka.

– Nie daj się ponieść wyobraźni, jeśli nie chcesz się gorzko rozczarować – odparł Jack, marszcząc brwi. Ścisnął mnie mocniej za rękę, jakby próbował zgasić mój entuzjazm.

Pielęgniarka tylko się do niego uśmiechnęła. Rozumiałam ją; trudno było się nie uśmiechać do przyszłego ojca i nie cieszyć się przywilejem dzielenia tych wyjątkowych chwil z przyszłymi rodzicami.

– To dziewczynka – powtórzyłam.

– Pani ma rację, możecie kupować różowe ubranka – usłyszałam głos Debry. – Wydrukuję wam zdjęcie.

Wyobraziłam sobie wstążki i sukienki, zestawy do herbaty i domki dla lalek, warkoczce, końskie ogony i lakiery do paznokci. Wszystkie moje zmartwienia w magiczny sposób zniknęły, jak ślady stóp na piasku wymazane przez falę oceanu: w jednej sekundzie były, w drugiej już nie.

Po trzydziestu dwóch godzinach porodu, co zdaniem doktora Bowersa było „czymś normalnym u pierworódki”, czułam się wykończona i marzyłam tylko o tym, żeby ból się skończył i żeby wreszcie mogła zasnąć. Po czterech godzinach bezskutecznego parcia lekarz zasugerował cesarskie cięcie.

Kiedy Mia wreszcie przyszła na świat, była sina i bezwładna. Lekarz udrożnił jej gardło i po chwili dłużej jak wieczność położył mi ją na piersi. Leżała w moich ramionach otulona flanelowym kocykiem i patrzyła na mnie. Chociaż przygotowywałam się do porodu, chodziłam do szkoły rodzenia oraz na zajęcia z opieki nad niemowlętami i udzielania pierwszej pomocy, oglądałam w telewizji niezliczoną ilość porodów, zarówno naturalnych, jak też cesarek, i wyobrażałam sobie tę chwilę setki razy, i tak byłam zaskoczona. Mia była piękna i krucha, a ja przerażona tym, że mogę jej zrobić krzywdę.

Za największy cud uważałam to, że okazała się zdrowa. Całe to liczenie paluszków nie miało dla mnie większego sensu. A co z jej sercem, mózgiem, płucami? Kiedy zapytałam pielęgniarkę o liczbę punktów w skali Apgar, popatrzyła na mnie ze zdumieniem.

– To piękne dziecko, idealne w każdym calu, wszystko w porządku.

Co ona mogła wiedzieć? To, co trzymałam w ramionach, było wynikiem podziału i namnażania komórek, procesu, który rozpoczął się w szaleńczym tempie kilka chwil po zapłodnieniu. Komórki powędrowały jajnikami do macicy. Przed końcem pierwszego tygodnia pojedyncza komórka przemieniła się w ich miliony, tworząc organizm dostatecznie duży, żeby dało się go zobaczyć bez mikroskopu. Komórki utworzyły mięśnie, system krwionośny, szkielet, nerki i organy reprodukcyjne, system nerwowy, narządy zmysłów i skórę. Serce zaczęło bić po trzech tygodniach. Teraz Mia przyszła na świat, a ja nie mogłam cofnąć czasu i naprawić tego, co mogły zepsuć felerne komórki.

Jednak później spojrzałam w oczy Mii, stalowoszare i niezdolne się skoncentrować na jednym punkcie, lekko niekształtne i skośne – obrzęk powiek sprawił, że nie mogła ich całkiem otworzyć – i zrozumiałam, że ona mnie potrzebuje, a ja jestem tu po to, żeby ją chronić, i przez tę krótką chwilę nie martwiłam się zupełnie niczym.

1 Nowojorskie stowarzyszenie zawodowe amerykańskich prawników (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Rozdział 6

Słyszę głośnie pukanie do drzwi. Zanim zdążę otworzyć oczy, do pokoju wchodzi dwóch mężczyzn, którzy przedstawiają się jako oficerowie wydziału dochodzeniowego Walter Daniel i Sydney Cameron. Daniel jest krępkim mężczyzną w średnim wieku. Jego potężne ciało sprawia, że policjant wygląda łagodnie; jego oczy też się wydają łagodne. Wyjmuje niewielki notes w skórzanej oprawie i staje przy moim łóżku, gotowy do robienia notatek.

Zaczynam od dnia, w którym przeprowadziłam się na North Dandry, a Jack pojechał do Chicago. Opowiadam o zamkach, które kazałam zainstalować, na co detektyw Daniel kiwa głową z aprobatą. Kiedy zaczynam się płatać, zwalniam i upominam samą siebie, by rozważnie dobierać słowa. Gdy kończę opowieść na tym, jak opuściłam komisariat policji, detektyw Daniel daje znak młodszemu oficerowi, którego nazwiska już nie pamiętam. Bardzo niski policjant z kobiecymi dłońmi wstaje i wychodzi z pokoju. Detektyw Daniel przysuwa sobie krzesło i siada obok mojego łóżka.

Dudni mi w głowie i mam wrażenie, jakbym była podłączona do woreczka z kofeiną. Usiłuję wszystko sobie przypomnieć i jednocześnie staram się nie mówić za dużo. Bacznie obserwowałam jego twarz i zauważyłam, że podczas mojej opowieści jej wyraz się zmienił; najpierw Daniel przestał się uśmiechać, później unosił coraz wyżej brwi, aż wreszcie je zmarszczył. W końcu jego twarz przestała wyrażać cokolwiek.

Kiedy mówię mu, że nie mam pojęcia, gdzie jest moja córka, przestaje notować i sprawia wrażenie, jakby nie zrozumiał powagi sytuacji. A przecież użyłam słowa „porwanie”.

Siedzi tylko i mi się przygląda. Patrzy w taki sposób, jakbym była dzieckiem opowiadającym, że pod łóżkiem czai się potwór. Dociera do mnie, że mi nie wierzy, i ta świadomość jest jak cios młotem. Nie będzcie żadnego komunikatu o zaginięciu dziecka, konferencji prasowej, specjalnej infolinii, rozkazów dla podwładnych. Powinien się tym wszystkim zająć, lecz on tylko mi się przygląda. Nie wierzy mi? Muszę go przekonać.

– Zamknęłam drzwi! Nikt nie mógł wejść do środka – jestem tego pewna. Wiem, że powinnam była... Ale ja nie... Nigdy nie zostawiałam otwartych drzwi! Sprawdzalam to co wieczór!

– Policja już szuka pani córki. – Oficer zamyka notes i wsuwa długopis do kieszeni marynarki. Wstaje z krzesła, ciężko wzdycha i ściąga usta, kiedy jego kolana wydają trzeszczący dźwięk. – Jak pani sądzi, co się wydarzyło?

Zamykam oczy i biorę głęboki wdech. Odór środka dezynfekującego jest obezwładniająca, a migrena, która zaczęła się za galkami ocznymi, teraz przemieściła się na tył czaszki.

– Proszę, ktoś musiał coś zobaczyć. Ja niczego nie pamiętam, ale wiem na pewno, że nigdy nie byłam w Dover. Kiepsko sobie radzę z czytaniem map, nie wiedziałabym, jak tam dotrzeć. Nie pojechałabym tam bez powodu. To takie zagmatwane!

– Może po prostu postanowiła się pani tam zatrzymać. Może to nie był cel pani podróży, tylko miejsce postoju.

– Postoju przed czym?

Policjant puszcza moje pytanie mimo uszu.

– Będziemy potrzebowali zdjęcia pani córki.

– Mam ich setki, w domu. Są w czarnym futerale na aparat, na kartach pamięci.

– Znaleźliśmy je. – Zawiesza głos, po chwili mówi dalej. – Potrzebujemy aktualnego portretu, wie pani, takiego, żeby było widać twarz, którą ktoś mógłby rozpoznać.

Zastanawiam się nad tym przez chwilę.

– Trudno w nią wycelować obiektywem aparatu. Mia bała się flesza, więc ostatnio nie robiłam jej zdjęć. Była taka marudna, nie chciałam jej... – Muszę być czujna. Mówić wolno i z sensem. Muszę go przekonać. – Nie mam żadnych jej aktualnych zdjęć. Ona ma dopiero siedem miesięcy. Lekarze mówili, powiedzieli mi, że ma... problem z kolkami. Twierdzili, że wszystko z nią w porządku, że to tylko kolki. Miały jej przejść lada dzień.

– Ile miesięcy ma pani córka?

– Siedem.

– Dzieciom w tym wieku nadal dokuczają kolki? Ja mam trójkę. Nie mogę powiedzieć, żebym to ja się nimi opiekował, ale najmłodszy syn miał kolki. Dzieci zwykle szybko z nich wyrastają. – Unosi podejrzliwie brwi. – Czy była z nią pani u lekarza?

Smoczek, ciepłe kąpiele, miękkie kocyki. Dopilnuj, żeby się jej odbiło. Noś ją na rękach. Spaceruj z nią, zabieraj na przejażdżki samochodem. Postaraj się ukoić jej ból.

– Lekarze zrobili kilka badań na problemy z refluksem. Przybierała na wadze, ani razu nie miała gorączki. Lekarz stwierdził, że nic jej nie dolega i trzeba to po prostu przeczekać. – Powiedzieli mi też, że jeśli poczuje, że sobie nie radzę, powinnam zawieźć Mię do najbliższego szpitala, ale nie wspominam o tym detektywowi.

– W porządku – odpowiada policjant i zapisuje coś w notatniku. – A co z próbką DNA, ze szczotki albo z butelki, z której piła? Albo może zrobiła pani odcisk jej dłoni lub stopy przy pomocy któregoś z tych zestawów do kupienia w supermarketach?

Kręcę głową.

– A szczotka do włosów lub do zębów? Chodzi mi o taką plastikową szczoteczkę do nałożenia na palec.

Kręcę głową.

– Pieluszka? Musiała pani zostać chociaż jedna brudna pieluszka?

Ponownie kręcę głową.

– Wszystko zniknęło – mówię tak cicho, że nie jestem pewna, czy mnie usłyszał.

– Zniknęło – powtarza, jakbym właśnie mu powiedziała, jaki mamy dzień tygodnia.

Dlaczego nie jest zaniepokojony?

– Tak, wszystko zniknęło: jej ubranka, butelki. Nic nie zostało. Jej szafa była pusta, pieluszki zniknęły, mleko też. Dosłownie wszystko.

– Wiemy o tym. A zatem chce mi pani powiedzieć, że ktoś porwał pani córkę i że ta sama osoba zabrała wszystkie jej rzeczy? To bardzo dziwne przestępstwo. – Policjant chowa notes do kieszeni, jakby majaczenie wariatki nie było warte zapisywania, po czym krzyżuje ramiona na piersi. – Skoro drzwi były zamknięte przez całą noc i następnego dnia, kiedy odkryła pani, że łóżeczko jest puste, musi istnieć jakieś inne wyjaśnienie. Będę z panią szczery, to wszystko nie ma sensu.

Brutalnie powiedziane.

– Wiem, jak to brzmi, ale nic więcej nie mogę panu powiedzieć.

Twarc Daniela się rozluźnia. Policjant pochyla się do przodu.

– Znajdę ją tylko, jeśli będę wiedział, gdzie szukać. – Zawiesza głos, by po chwili powtórzyć: – Gdzie powinienem jej szukać? – Jego głos jest łagodny, jakby próbował nakłonić dziecko do powiedzenia prawdy.

– Co pan próbuje powiedzieć? Że wiem, gdzie jest Mia, i zachowuję to dla siebie?

– Wiedziała pani, że zaginęła, i nic z tym nie zrobiła.

Ma rację. Nie umiem na to zareagować.

– Jeśli wie pani, gdzie ona jest, musi mi to pani wyjawić – ciągnie oficer. – Ona jest taka maleńka, bezbronna, głodna i wyziębiona. I przede wszystkim całkiem sama.

Zaciskam usta, żeby powstrzymać płacz. Nie chcę, żeby widział moje łzy. Zawsze kiedy płakałam w obecności Jacka, to tylko pogarszało sprawę.

– Czy kiedykolwiek czuła się pani zdolna do tego, żeby skrzywdzić swoje dziecko?

Czy byłabym zdolna ją skrzywdzić? Kręcę głową, bo nie mam odwagi się odezwać. Obrazy pojawiają się jak za naciśnięciem guzika, wyświetlają się na ścianie niczym slajdy z projektora: zaciśnięte pięstki, nogi przyciągnięte do brzuszka, milczący dziecięcy gniew skierowany przeciwko mnie. Moja bezradność, miłość niezdolna ukoić jej bólu.

– Czy często płakała? – pyta policjant.

– Miała kolki, wie pan, była bardzo marudna... Ale nigdy bym jej skrzywdziła. Była całym moim życiem.

Coś się zmienia w jego oczach; po chwili detektyw kiwa głową, jakby nie spodziewał się innej odpowiedzi. Gwałtownie się odwraca i wychodzi z pokoju, jakby wszystko, co ode mnie usłyszał, było bez znaczenia. Dopiero wtedy uświadamiam sobie, że mówiłam o Mii w czasie przeszłym.

ŻADNYCH NOWYCH DONIESIEŃ W SPRAWIE SIEDMIOMIESIĘCZNEGO NIEMOWLĘCIA, KTÓRE ZNIKNEŁO Z ŁÓŻECZKA

Brooklyn, Nowy Jork – Po gorączkowych poszukiwaniach dziecka, które zostało porwane z łóżeczka w mieszkaniu na Brooklynie we wczesnych godzinach porannych w niedzielę pierwszego października, nie ujawniono żadnych nowych szczegółów sprawy.

Według Erica Rodrigueza, rzecznika NYPD, policja nie wie, w jaki sposób porywaczowi udało się wejść do domu. „W tym momencie nie mamy rysopisu podejrzanego. Nie posiadamy również numeru rejestracyjnego samochodu, żeby przekazać go innym organom. Brakuje naocznych świadków, zaś cała okolica została przeszukana przez policjantów i psy – powiedział Rodriguez. – Sprawdzamy kilka tropów, ale jak na razie nie wiemy nic na pewno”.

„W przypadku wielu porwań dzieci w sprawę zamieszane jest jedno z rodziców, jednak tym razem mamy ich oboje na miejscu, co czyni tę sprawę nieco bardziej skomplikowaną” – stwierdził detektyw Robert Wilczek.

Jak doniosło nam jedno z naszych źródeł, zaginięcie tego dziecka jest szczególnie niepokojące ze względu na fakt, że matka nie zgłosiła go od razu na policji.

Policja prosi wszystkie osoby posiadające informacje w tej sprawie o kontakt z infolinią: 1-888-267-4880.

Rozdział 7

Mia Paradise Connor i ja zostałyśmy wypisane ze szpitala pięć dni po porodzie. Jack wrócił do pracy, przejął nocne karmienia w weekendy, a ja spałam, jadłam i brałam prysznic, kiedy miałam taką możliwość.

Byłam zachwycona i zdumiona tym, co stworzyłam. Wpatrywałam się w Mię, jej pulchne policzki i małe ptasi dzióbek drgający we śnie. Kąpałam ją, wycierałam do sucha i delikatnie wmasowywałam lawendowy tonik w jej skórę. Nie była już noworodkiem z podpuchniętymi oczami i podkurczonymi nogami: jej paląkowate nóżki się wyprostowały, stożkowata czaszka zaokrągliła, a luszcząca się skóra stała się różowa i miękka.

Kiedy Mia zaczęła być bardziej świadoma otoczenia, przyglądała się mojej twarzy, starając się ją zapamiętać, jakbym mogła jej zapewnić cały niezbędny komfort i miłość. Budziła się w moich ramionach, otwierała oczy, gorączkowo wodziła wzrokiem po mojej twarzy i kiedy ją rozpoznawała, natychmiast się uspokajała.

Łatwo było rozróżnić rodzaje płaczu Mii: jeden oznaczał skargę z powodu drobnej niewygody, na przykład cisnącej skarpetki lub zbyt ciepłego kaftanika. Był płacz sygnalizujący zmęczenie, rozkojarzenie lub znudzenie, którym dawała mi znać, że jest gotowa na drzemkę. Był też bardziej uporczywy płacz, który ustawał dopiero po podaniu butelki. Kiedy Mia miała około trzech miesięcy, pojawił się nowy rodzaj płaczu: gwałtowny i rodzierający, jakby ktoś wbijał w jej ciało igłę. Nie chciała już być noszona, chociaż wcześniej ją to uspokajało, i protestowała za każdym razem, kiedy próbowałam ją kołysać w ramionach. Jej stawy sztywniały i kiedy tylko owijałam ją w kocyk, zaciskała piąstki, wyginała plecy w łuk i napinała mięśnie.

„Chcesz przywrócić marudnemu dziecku poczucie bezpieczeństwa? Wypróbuj tradycyjną metodę odtworzenia warunków panujących w łonie matki. Wystarczy ci do tego kocyk i umiejętność złożenia go w odpowiedni sposób”.

Gwałtowny płacz Mii był nie tyle prośbą, ile pilnym żądaniem wyeliminowania tego, co jej dokuczalo. Wkladała w niego coraz więcej energii, płakała głośniejsze, żarliwie pochłaniała pokarm i protestowała z coraz większym zaangażowaniem. Jeśli nie odpowiadałam na jej potrzeby w tej samej sekundzie, wpadała w histerię. Zastanawiałam się, czy rzeczywiście cierpi i dlatego tak żarliwie uskarża się na ignorowanie jej potrzeb. Wychodziłam z siebie, żeby zareagować błyskawicznie, obsesyjnie usiłowałam nie dopuścić do jej zdenerwowania i w rezultacie Mia wysysała ze mnie całą energię. Godziłam się na to, lecz ona była nienasycona.

Dawałam z siebie wszystko, a mimo to coś poszło nie tak. Przestałam być kobietą, która uwielbia spędzać czas z dzieckiem w ramionach. Zastąpił ją ktoś inny, kogo żadna z nas nie rozpoznawała. Budziłam się tak samo niewyspana jak przed położeniem się do łóżka i byłam wiecznie zmęczona. Jednak później obliczyłam, że dzięki weekendowym karmieniom Jacka oraz temu, że do późna w nocy to on opiekował się Mią, mogłam przespać sześć godzin w ciągu nocy przynajmniej cztery razy w tygodniu. Żyłam dalej, zajmowałam się Mią, karmiłam piersią, śpiewałam jej, kąpałam ją, ale czułam, że coś się koszmarnie popsulo. Co się stało z euforyczną miłością, którą z początku odczuwałam? Dlaczego nie byłam już szczęśliwa? Gdzie się podziała magia?

Każdego ranka osaczała mnie rzeczywistość. Przez sekundę czy dwie po przebudzeniu odczuwałam spokój, lecz zaraz otulała mnie zatęchła warstwa smutku. Czułam się tak, jakbym odgrywała jakąś rolę, a uczucie to było najsilniejsze, kiedy spotykałam inne matki w parku. Wydawały się bardziej radosne, szczęśliwe i zadowolone z bycia matkami niż ja kiedykolwiek byłam lub mogłabym być. Chciałam się podpiąć pod ich opowieści, udawać jedną z nich, jednocześnie uznawszy mój brak entuzjazmu za wadę charakteru. Postanowiłam ją jakoś zrekompenzować.

Robiłam zdjęcia. Leica X2, wystarczająco mała, żeby można ją było obsługiwać jedną ręką, stała się moją nową obsesją. Fotografowałam Mię pod każdym możliwym kątem. Robiłam zdjęcia stóp, paluszków u nóg: podwiniętych i rozcapierzonych, mięciutkich paznokietków, które tak łatwo się wyginały. Jej drobniutkich rączek chwytających małe przedmioty. Uszu podobnych do płatków róży, poruszających się w górę i w dół, kiedy piła mleko z mojej piersi, różowych warg obejmujących sutek.

Pewnego dnia podczas karmienia Mia zasnęła i chociaż dawno przestała ssać, jej język nadal wydawał młazszcące odgłosy. Kiedy spała, była plastyczna, jej nogi zdawały się pozbawione kości. Pocałowałam ją, czując pod ustami miękkość galaretki, i moje usta jakby się w nią zapadły. Sięgnęłam po swoją leicę i pstryknęłam kilka zdjęć błękitnym żyłkom na jej powiekach, cieńszym niż najcieńsza nitka. Na skroni Mii znajdowała się większa żyła, niczym rozszerzające się ujście wpływającej do morza rzeki, której prądy czekają na połączenie się z falami. Zrobiłam bliskie ujęcia mleka z piersi spływającego po jej policzku w stronę ucha, dokumentując każdą najdrobniejszą kropelkę, która nie dosięgła celu. Sfotografowałam swoje napęczniałe, cieknące piersi, drobinki pokarmu spadające z moich popękanych i obolałych sutków.

Nagle flesz aparatu zdenerwował Mię, doprowadził ją wręcz do furii. Zaczęła płakać i nie chciała przestać, jakby moje próby utrwalenia jej na zdjęciach napeliły ją obrzydzeniem. Kołysałam ją, przykładając jej główkę do swojej piersi, nic jej jednak nie uspokajało: ani kołysanki, ani mój łagodny głos, ani mój sutek, nic. Od tamtej pory płakała przy każdym karmieniu.

Śpiewałam jej: *Śpij maleństwo, śpij. Ojciec twój owieczki pasie, matka słodki owoc niesie, po nim smacznie zaśnieś. Śpij maleństwo, śpij.*

Moim sposobem na nadrobienie niedostatków w roli matki było chodzenie od lekarza do lekarza. Wszyscy oni stawiali jednakową diagnozę, jakbym sama powinna wiedzieć, co z tym fantem zrobić: kolki. Poza tym dziecko jest zdrowe. Powód płaczu nieznany. Brak ewidentnych przyczyn.

Chociaż Jack zdawał się akceptować ciągły płacz Mii, coraz bardziej martwiły go rachunki za wizyty u lekarzy.

– Wszyscy powtarzają ci to samo: kolki – perswadował. – Mnóstwo dzieci je ma. Przejdą jej, zanim się spostrzeżemy.

– Chcę ją zabrać do innego szpitala. Może istnieją jakieś inne badania. Jeśli nie dostaniemy zwrotu z ubezpieczenia, zapłacimy z własnej kieszeni.

Na wspomnienie pieniędzy malujące się w oczach Jacka współczucie przygasło. Lekko zeszytniał – widziałam, jak jego plecy się prostują, a oczy mrużą. Bałam się przyznać, że dawno wykorzystałam limit na swoich kartach kredytowych.

– Dajmy jej jeszcze miesiąc czy dwa – powiedział, wychodząc z domu. – Nic jej nie będzie.

Kiwnęłam głową, jeszcze bardziej wyczerpana niż przed kilkoma minutami, o ile to w ogóle było możliwe. Dwa miesiące oznaczało sześćdziesiąt dni i tyle samo nocy.

– Wiesz, że masz bzika? – rzucił jeszcze Jack i trzasnął drzwiami.

Pewnego sobotniego ranka, o godzinie zbyt wczesnej, żeby wstać, i zbyt późnej, żeby znowu zasnąć, sięgnęłam ręką i zorientowałam się, że łóżko po stronie Jacka jest puste.

Usłyszałam głos, który niemal przyprawił mnie o panikę, wysoki świergot, którego do tej pory nie słyszałam. Wstałam i poszłam do pokoju Mii. Jack trzymał ją pod pachy: pięciomiesięczny marudny i niespokojny tobołek, który wykonywał palcami ruchy jak dyrygent orkiestry.

– Dlaczego nie chcesz spać? – zapytał Jack i sam udzielił sobie odpowiedzi zawodzącym, wysokim głosem:

– Nie mam ochoty. Wolę się rozglądać, zamiast spać.

– Jak to możliwe, że mówisz? – Jack udawał skonsternowanego.

– Ja wszystko potrafię, tatusiu.

Jack udawał, że rozmawiają, zmieniając głos na cieniutki, kiedy wcielał się w rolę Mii.

– Dlaczego się nie uspokoisz, malutka? Czy coś cię trapi? – Twarz Jacka wyrażała szczerą troskę.

Mia wymachiwała w powietrzu rękami i nogami.

– Nic mi nie dolega, tatusiu.

– Wiedziałem o tym. Nakarmiłem cię, zmieniłem ci pieluszkę, zaczękałem, aż ci się odbije. Nie masz powodów, żeby się dąsać. – Zaczęła ją delikatnie kołysać w zagłębieniu łokcia, ustawiając rękę pod idealnym kątem. – No proszę, księżniczko. Tak lepiej, prawda?

– Dużo lepiej, tatusiu.

– Odpręż się i śpij, kochanie. Mamusia nie lubi, kiedy tyle płaczesz.

– Ale ja jestem tylko niemowlęciem.

– Ciągle jej to powtarzam, ale mnie nie słucha.

Moje życie zamieniło się w pasmo butelek, pieluszek i płaczu. Czasami przez dzień czy dwa nie miałam szansy zmrużyć oka. A kiedy wreszcie mi się udawało, spałam jak zabita, po czym budziłam się nagle, przechodząc ze stanu śpiączki do czuwania, jakby ktoś chwycił mnie za ramię i potrząsnął.

Półprzemyślna jeździłam po dziecięce ubranka, krążyłam po sklepowych alejkach, wrzucając do wózka buciki, śpioszki, skarpetki. Kupowałam wszystko, co mogłoby ukoić jej płacz: saszetki o zapachu rozmarynu, balsamy i budziki z nagrany szumem wodospadu, grzechotki i misia odtwarzającego dźwięki z łona matki. Niezależnie od tego, co kupiłam, nigdy nie miałam poczucia, że daję jej to, czego ona potrzebuje. Mogłabym wykupić cały asortyment sklepu, a moje wysiłki i tak spелzłyby na niczym, bo w głębi duszy wiedziałam, że jestem oszustką.

Pewnego dnia, objuczona torbami pełnymi zakupów, wróciłam do domu. Jack był w swoim gabinecie, rozmawiał przez telefon, trzymając Mię w ramionach. Wyglądała na spokojną i opanowaną, miała rozluźnioną twarz i rozchylone usta. Kiedy tylko wyciągnęłam do niej rękę, jej buzia stężała, a usta wygięły się w podkówkę, jakby chciała powiedzieć: „Jak śmiesz się do mnie zbliżać?”. Natychmiast się cofnęłam, jakbym dotknęła palcami gorącego kamienia.

– Płacz za każdym razem, kiedy biorę ją na ręce. Ona mnie nienawidzi. Co robię nie tak?

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Płacz, kiedy ją trzymam. Na pewno robię coś nie tak.

– Robisz wszystko jak należy. Spokojnie, to tylko dziecko – odparł Jack.

Powiedziałam mu, że ciągle martwię się o to, że ktoś ją skrzywdzi, że udusi się poduszką, kocykiem albo czymś zadławi. Jack kazał mi przestać wyobrażać sobie najgorsze.

– Nie myśl tyle – powiedział – i przestań być wiecznie taka spięta.

Tak jakby udawanie, że nic się nie dzieje, mogło pomóc. W jego świecie wszystko było w jak najlepszym porządku. Dzieci nie umierały na zespół nagłej śmierci łódeczkowej, nie dławili się kulkami, nie dostawały wysokiej gorączki, nie krztusiły się wymiocinami. Nie zapadały na tajemnicze choroby, które diagnozowano zbyt późno.

Odąd w moim łonie pojawiła się Mia, nosiłam w sobie zwierzę, które przyszło na świat tego samego dnia co ona. Z początku rzadko dawało o sobie znać, później zaczęło rosnąć w siłę, ale potrafiłam je kontrolować, jeśli byłam dostatecznie czujna. W końcu zaczęło mi stawiać opór, a ja poczułam się bezsilna. Nie mogłam uciec. Myśl o nadciągającym nieszczęściu nie odstępowała mnie na krok, niczym dzika bestia na krótkiej smyczy, od której nie umiałam się uwolnić. Nikt nie był w stanie mnie przekonać, że jest inaczej. Nie chciałam brać Mii na ręce, bo dopóki tkwiła w ramionach Jacka, to

on był za nią odpowiedzialny. Jakbym mogła mu przekazać tę odpowiedzialność jak pałeczkę. Wiedziałałam, że podczas jego warty nic jej się nie stanie.

Tamtego dnia w gabinecie Jack podał mi Mię, trzymając jedną rękę pod jej główką, a drugą podtrzymując nóżki. Była bezpiecznie otulona kocymi.

– Muszę iść do pracy. Wróć za kilka godzin. – Podał mi zawiniątko niczym ofiarę.

Nagle w moim umyśle pojawił się obraz kozła ofiarnego zarżniętego na omszałym kamiennym ołtarzu. Niemał poczułam na palcach dotyk lepkiej krwi. Zobaczyłam świetlisty punkt wielkości źrenicy jaśniejący pod jej miękkim ciemiączkiem. Pod tym punktem czaił się demon, przez którego mnie odpychała, płakała i zawodziła za każdym razem, kiedy próbowałam jej dotknąć. Gdyby udało mi się dostać do tego punktu, wywiercić maleńki otwór, demon mógłby się uwolnić i obie odzyskałybyśmy spokój.

Stałam jak słup soli, bojąc się wziąć Mię na ręce. Jack patrzył na mnie skonsternowany, jego wargi wygięły się w półśmiech, kiedy próbował odzyskać nad sobą panowanie.

Wyjęłam nożyczki ze stojaka na długopisy i wyszłam z gabinetu. W toalecie w korytarzu odłożyłam nożyczki na brzeg umywalki i wycisnęłam na dłoń antybakteryjny żel. Przyglądałam się swojemu odbiciu w lustrze i zbierałam się na odwagę, by opowiedzieć Jackowi o ciemności i cieniach, które spowily moje życie. Życie ograniczone do maleńkiej dziurki, przez którą świat wydawał się posępny i zniekształcony. Widziałam przez nią krew, zimny kamień ołtarza założony ostrymi przedmiotami, wyszczerbionymi i spiczastymi, zdolnymi z łatwością przebić się przez miękką tkankę ciemiączka. Ostre przedmioty, takimi jak para nożyczek na brzegu umywalki.

Pokój dziecięcy przesycił zapachy posypki, oliwki, balsamu, rumianku i rozmarynu oraz brudnych pieluch. Jack wiele razy zwracał mi uwagę, żebym regularnie je wyrzucała.

Karuzela nad łóżeczkiem – kolorowy zestaw motylków, chrząszczy i kwiatów z Dzwoneczkiem pośrodku – poruszała się delikatnie pod wpływem powiewu z wentylatora. Firanki i zasłony były zaciągnięte. Bujany fotel stał milcząco obok łóżeczka, przykryty białym kocem, podnózek był pobrudzony smugami czarnej pasty z butów Jacka.

Opróżniłam torby z zakupami i włożyłam wszystkie przedmioty do stojących na białej półce koszy, przekonując samą siebie, że dopóki zachowam porządek w pokoju, nie dopuszczę do rozprzestrzenienia się chaosu. Wyjęłam ubranka i sięgnęłam po nożyczki, żeby odciąć metki.

Trzymałam w dłoni zimny metal. Zanim zdążyłam odciąć pierwszą metkę, do pokoju wszedł Jack z Mią na rękach. Nie płakała, wodziła beznamiętnie oczami po pokoju. W końcu skupiła wzrok na wentylatorze. Jack ułożył ją na mojej piersi i pocałował mnie w czoło.

– Muszę iść do pracy, już jestem spóźniony.

Chciałam, żeby został w domu, ale nie wiedziałam, jak go o to poprosić. Jack delikatnie pogłaskał policzek Mii. Otworzyła usta, z których wysunął się smoczek, jakby dając upust kumulującemu się w niej napięciu. Próbowała odszukać wargami smoczek, ale go nie znalazła. Skrzywiła buzię.

Usłyszałam trzask zamykanych frontowych drzwi. Jack wyparował, podobnie jak spokój Mii.

Trzymałam ją kilka centymetrów od siebie, jakby dystans między nami mógł ją ukoić, złagodzić jej niezadowolenie wywołane moją obecnością. Zniosła się płaczem, który nasilał się z każdą sekundą. Odwróciłam się, żeby położyć ją na przewijaku, kiedy kątem oka dostrzegłam błysk metalowego przedmiotu. Światło i obracające się ramiona wentylatora rzucały upiorne cienie, które kazały mi sięgnąć po nożyczki i zacisnąć na nich palce. Ciało Mii zdawało się wibrować. Jej purpurowa twarz wyglądała tak, jakby miała zamierzać zignorować konieczność napełnienia płuc powietrzem.

Zmusiłam się do tego, żeby nie zwracać uwagi na nożyczki, lecz one zdawały się pulsować, żyć własnym życiem. Zacisnęłam powieki, ale nożyczki uniosły się i popłynęły w moją stronę. Były coraz bliżej i bliżej, kierowały ostre końce w stronę czaszki Mii, gotowe uwolnić jaśniejszego demona ukrytego pod tkanką łączną.

Ostrożnie ułożyłam Mię w łóżeczku. Kiedy wysunęłam dłonie spod jej ciała, modliłam się, żeby przeżyła. Pomimo mojej obecności.

Tego dnia rozumiałam, że jestem zdolna do wszystkiego, nawet do uciszenia jej płaczu. Wtedy właśnie dotarło do mnie, że gra toczy się o życie Mii. I po raz pierwszy krzyczałam tak głośno, że zagłuszyłam jej wrzaski.

„Kilka godzin” Jacka zawsze przemieniało się w dwunastogodzinny dzień pracy. Przyciskając czoło do okna w oczekiwaniu na jego powrót, próbowałam sobie przypomnieć, od jak dawna unikał wszelkiego fizycznego kontaktu ze mną. Kiedy po raz ostatni przytulił mnie lub pocałował i od jak dawna był taki skryty? Jack coraz bardziej się ode mnie oddalał, stał się wręcz lodowaty, prawie się do mnie nie odzywał. Zostawanie w pracy do późna stało się regułą, a tworzony przez niego dystans dostarczył kolejnego zmartwienia mojemu zmordowanemu umysłowi.

Patrzyłam, jak Jack wysiada z błyszczącego czarnego samochodu. Kiedy wszedł frontowymi drzwiami, jego spojrzenie emanowało milczącym potępieniem.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział, co tak naprawdę oznaczało: „Gdybyś odebrała rzeczy z pralni, byłbym na czas. Cały dzień siedzisz w domu, więc dlaczego nie ugotowałaś obiadu, ani nie posprzątałaś?” – Złapanie taksówki trwało całą wieczność – dodał.

Zdążył już otworzyć aktówkę i wyjąć z niej BlackBerry.

Taksówkę? Czy dopiero co nie widziałam, jak wysiada ze zwykłego samochodu?

Patrzymy na siebie przez chwilę, w końcu spuszczam wzrok. Wiem, że zmieniłam się fizycznie, dostrzegam to w oczach Jacka za każdym razem, kiedy na mnie patrzy. Ważyłam pewnie tyle co w liceum, może nawet mniej. Jednak moje rysy twarzy jakby skorodowały i w ciągu ostatnich dwóch miesięcy postarzałam się o dziesięć lat. Przed urodzeniem Mii bywałam u fryzjera co dwa miesiące. Chodziłam na siłownię, jogę, pilates, do wyboru do koloru, a teraz straciłam całą energię.

– Miałaś wrócić po kilku godzinach.

– O co ci do cholery chodzi? – odparł Jack. – Możesz mi powiedzieć, czego ty ode mnie wymagasz? Chcę to zrozumieć, bo wydawało mi się, że zarabianie pieniędzy to jest dokładnie to, co powinienem robić.

Próbowałam sobie ułożyć w głowie odpowiedź, ale jak miałam mu to wszystko wytłumaczyć, skoro mój umysł był taki zaśmiecony i kruchy? Przez ułamek sekundy Jack wyglądał jak mały chłopiec czekający na reprimendę od rodziców. Zobaczyłam jego lęk, że powiem coś jeszcze, że zacznę go wypytywać, na co ani ja, ani on nie mieliśmy siły. Chciałam go zapytać, dlaczego powiedział, że przyjechał taksówką, skoro wysiadł ze zwykłego samochodu, i o to, czy ma romans, ale nie byłam pewna, czy chcę poznać odpowiedź. Jego dystans błądł w porównaniu z szaleństwem, które zżerało mnie od środka.

Hej, kochanie, witaj w domu! Wiesz co? W głowie naszej córki zagnieździł się demon i z każdą minutą coraz trudniej mi się powstrzymać od wbicia ostrego przedmiotu w jej ciemiączko.

– Płakała przez cały dzień. Już nie wiem, co mam robić, Jack.

To przez demona.

– Zabrałaś ją na spacer?

Nie wychodziłaś z domu od wielu dni.

– Ona wiecznie płacze. Po co miałabym z nią wychodzić?

Ona płacze przez demona. Jeśli się do niego dobiore, wszystko wróci do normy.

– W takim razie co robiłaś?

Nie odpowiadam.

Pomóż mi, Jack. Boję się, że ją skrzywdzę.

– Ona nie płacze przez cały czas, Estelle. Teraz nie płacze, prawda? Płacze czasami, jak wszystkie niemowlęta. W ten sposób się komunikuje.

Usiadł na kanapie i otworzył teczkę.

– Mam robotę, porozmawiamy później, okej? – W roztargnieniu wbił palczki w resztki chińszczyzny, stukając w klawisze swojego BlackBerry.

– W porządku – powiedziałam bardziej do siebie niż do niego. Wyjrzałam przez okno, moje odbicie było zdeformowanym ciałem w morzu ciemności.

W miarę jak ogarniała go senność, Jackowi zwykle poprawiał się humor. Kiedy już leżeliśmy w łóżku, zobaczył, że wpatruję się w sufit. Zapytał miękko i łagodnie o czym myślę.

– O różnych potwornościach – odparłam lekko i radośnie. – Najczęściej o demonach.

Zbył moje słowa mało entuzjastycznym uśmiechem.

– No cóż... skoro to nic poważnego. Zawsze możesz poprosić o pomoc opiekunkę parę razy w tygodniu. Ja też ci pomogę w miarę możliwości.

– Jasne – odparłam. Nasze rozmowy były tylko zniekształcaniem rzeczywistości, którą oboje zdecydowaliśmy się zaakceptować. Jack nie mógł mi pomóc.

– W takim razie nie ma o czym gadać.

– Racja, nie ma o czym – powiedziałam i poczułam, jak wokół mojego serca zaciska się zimna pięść.

– Przepraszam za moje wcześniejsze zachowanie. Jak ci minął dzień? – zapytał Jack, przekręcił się i przykrył ramiona kocem.

– Jak zwykle.

Zastanówmy się. Na myśl o tym, że jutro czeka mnie identyczny dzień jak dziś, mam ochotę skoczyć z mostu. Czuję się tak, jakbym tkwiła na dnie ciemnej studni, zanurzona po kostki w mętnej wodzie, na której powierzchni – tak na pierwszy rzut oka – unoszą się zdechłe ropuchy, pajęczyny pełne zasuszonych robaków i żuków.

Oddech Jacka był wolny i miarowy. Nie musiałam na niego patrzeć, żeby wiedzieć, że zasnął. Ale w gruncie rzeczy nie miało to znaczenia, bo nawet gdyby nie spał, nie zniósłby i połowy tego, co się we mnie kotłowało. I nie wiercie w to, co mówią – z dna studni nie można zobaczyć gwiazd.

Rozdział 8

Zaparkowałam przed budynkiem Jacka i obserwowałam zmieniające się światła uliczne oraz przepływające obok mnie samochody. Kiedy strażnik poszedł na obchód, wjechałam windą na piąte piętro i odkryłam, że w żadnym z biur nie pali się światło, poza gabinetem Jacka.

Wsluchując się w stłumione głosy dobiegające zza jego drzwi, wyobrażałam sobie, czym zajęte są jego dłonie, widziałam języki pełzające niczym węże, ubrania przewieszane przez oparcia biurowych foteli lub zmarszczone wokół kostek jak golfy, zastanawiałam się, czym pachnie jego pokój. Obserwowałam swoje odbicie w szklanych drzwiach i nie mogłam uwierzyć w to, kim się stałam. Nie byłam już kobietą, lecz wiedźmą w workowatych ciuchach, z przetłuszczonymi włosami i budzącym dreszcz triumfalnym rechotem. Wiedziałam, że jestem bezradna, bo moce każdej wiedźmy są ograniczone.

Chwilę później zadudniłam pięściami w drzwi. Jack gwałtownie je otworzył, popatrzył na mnie, najpierw ze zdumieniem, później w jego oczach zapalił się gniew. Odwróciłam się bez słowa i uciekłam. Dotarłam do samochodu, roztrzęsiona, niezdolna zebrać myśli, ale jakimś cudem zdołałam wrócić do domu. Kiedy zatrzymałam się na podjeździe, byłam zdziwiona, że mi się to udało.

Aashi, opiekunka do dziecka, spała na kanapie w pokoju Mii. Była studentką medycyny z Indii, wiecznie niewyspaną, za to wyrozumiałą i cierpliwie znoszącą kolki małej. Pachniała kardamonem i anyżem, a jej górna warga wydawała się ciemniejsza niż reszta twarzy. Nadal trzymałam rękę na jej ramieniu, kiedy otworzyła oczy.

– Pani Connor, Mia ani razu się nie obudziła. Nakarmiłam ją około dziesiątej i od razu zasnęła – szepnęła, odgarniając z twarzy zasłone czarne włosy i pobrzękując kolorowymi bransoletkami.

– Musiała być bardzo zmęczona – odparłam. – Spędziłyśmy cały dzień w parku, na świeżym powietrzu... – Brzmiało to jak opis przyjemnego spaceru, podczas gdy w rzeczywistości Mia wrzeszczała w wózku, aż wreszcie zasnęła z wyczerpania.

Popatrzyłam na córeczkę leżącą spokojnie jak aniołek w swoim łóżku, gdy zaledwie kilka godzin wcześniej wymachiwała rączkami w kierunku mojej twarzy, a jej usta przypominały otwartą ranę.

Aashi wyszła, a ja chodziłam po mieszkaniu, nie mogąc sobie znaleźć miejsca. W końcu zatrzymałam się przed gabinetem Jacka. Nie chciałam węszyć, ale moje zachowanie w jego biurze – chwila zupełnego szaleństwa – domagało się wyjaśnienia, którego nie miałam. Czysty irracjonalizm. Jack będzie zadawał pytania, będzie chciał się dowiedzieć, co mnie opętało. Potrzebowałam logicznego powodu, dowodu jego niewierności, przyczyny, dla której nie mogłam mu już ufać. Potrzebowałam zdjęcia, listu, czegoś namacalnego, co usprawiedliwiłoby mój wyskok.

Stałam w progu, patrzyłam na półki i szafki z dokumentami. Nie miałam pojęcia, czego szukam. Po narodzinach Mii Jack wziął na siebie płacenie rachunków, całą papierkową robotę, za co byłam mu wdzięczna. Nie poradziłabym sobie z kolejnym obowiązkiem, szczególnie takim, z którym należało się uporać w określonym terminie. Ale może jego przejęcie kontroli nad finansami było tylko sposobem na to, żeby zwiększyć kontrolę nad kobietą, która sama nad niczym nie panowała? Cóż za ironia, że właśnie różnice, które nas do siebie zbliżyły, czyli obowiązkowość Jacka i moje beztrioskie podejście do

życia, moja fascynująca go nieprzewidywalność, teraz nas od siebie oddalały. Nie wspominając o tym, że całkowicie zawiodłam w roli matki.

Kiedy wszedłam do gabinetu, zaskrzypiały deski podłogi i otoczył mnie znajomy zapach skóry. Obserwując siebie z boku, widziałam kobietę podejrzliwie myszkujejącą pośród książek, strzelającą oczami, spodziewającą się, że ze ściany spadnie zabytkowy obraz i wysunie się zza niego poźółkła ze starości koperta z sekretną zawartością. Palce kobiety ześlizgnęły się po drewnie – prawie zdarła sobie przy tym paznokcie – kiedy próbowała otworzyć zamkniętą szufladę. Patrzyłam na nią, jak przesuwając opuszkami palców po spodzie biurka, przestawia przypadkowe przedmioty, unosi klawiaturę, podkładkę pod myszkę i organizer, lecz rzeczywistość okazała się obojętna. Kobieta nie znalazła ukrytych szuflad, tajemnych schowków, tylko nowoczesne wyposażenie gabinetu. Otrzeźwił ją dopiero dzwonek telefonu.

Odsunęłam się gwałtownie od biurka. Krzesło z hukiem przewróciło się na podłogę. Telefon nie dawał za wygraną.

Dryń, dryń.

Odgłos natarczywego dzwonięcia w końcu ustąpił niemowlęcemu płaczowi, który odbijał się echem po całym domu. Wyświetlacz leżącej na biurku Jacka elektronicznej niani pokazywał skalę głośności płaczu Mii: sześć na dziesięć. Później światełko przeniosło się z połowy skali na sam szczyt. Telefon zamilkł, by po chwili jeszcze bardziej się rozdzwonić. Zignorowałam krzyki Mii płynące z urzędzenia i otarłam łzy, które spływały mi po policzkach i wsiąkały w sweter. Spojrzałam na ścienny zegar. Wskazywał północ.

Dobiegający z urzędzenia gulgot zamienił się w kwilenie, kwilenie w zawodzenie, a zawodzenie w rozdzierający wrzask. Światełko pozostało na samym szczycie skali, dopóki ostatni gulgoczący dźwięk nie rozplynął się w powietrzu. I wreszcie zapanowała cisza.

Opuściłam gabinet i wszedłam przez sypialnię do garderoby Jacka. Było to istne чудо złożone z zabudowanych półek z drewna klonowego i stali szlachetnej, oddzielone ścianą od mojej garderoby; do której prowadziły osobne drzwi. Koszule Jacka, ułożone kolorami, nienagannie wyprasowane, zajmowały jedną ścianę, buty drugą. Spojrzałam na najwyższy rząd półek, do których można się było dostać z pomocą przesuwanej drabiny.

Niepewnie minęłam wysokie lustro. Wyobraźnia spletała mi figla, podsuwając mi obraz Jacka sprządzającego wygląd swojego markowego garnituru, paska i butów.

Kiedy podeszłam bliżej, odbicie w lustrze odwzajemniło moje spojrzenie. Zobaczyłam nieznaną kobietę, przypadkowego gościa, który gniewnie mi się przyglądał. Mierzyłam ją wzrokiem, próbowałam ją nawet zmusić do sympatycznego uśmiechu, lecz jej matowe oczy wydawały się puste jak u lalki. Nie jednej z tych ślicznych lalek w eleganckich sukienkach i lokach na głowie, tylko szmacianki z przekrzywionymi oczami z guzików wiszących na wystrzępionej nitce. Złodziejki dostatecznie potężnej i przebiegłej, by odebrać mi to, co najcenniejsze: opanowanie, trzeźwość umysłu, radość i tę część mnie, która była matką. Nie mogąc oderwać wzroku od tej znajomej, a jednak gorszej bliźniaczki, posledniej kopii mnie, mierzyłam się z nią spojrzeniem, zastanawiając się, czy już się kiedyś spotkałyśmy; jednak ani ona nie mogła sobie przypomnieć mnie, ani ja jej.

Tamtej nocy w garderobie Jacka, otoczona nienagannie wyprasowanymi koszulami i wypucowanymi do połysku butami, rozpadłam się na milion drobnych kawałeczków. Ściany napierały na mnie. Czulałam się zagrożona przez własną skórę, przejeżdżające ulicą samochody, trąbiące taksówki i wycie syren. Tykanie zegara – słyszałam je wyraźnie, dobiegające z przeciwnej strony mieszkania – niesło w sobie przekaz, którego nie byłam w stanie rozszyfrować. Przesłałam dostrzegać różnicę pomiędzy tym, co dobrze mi znane, a tym, co dziwaczne i obce. Widziałam świat przez szkło powiększające, a mój tracący trzeźwość umysł mógł w każdej sekundzie eksplodować i rozbryznąć się na wykrochmalone koszule i wyglansowane buty Jacka. Byłam rozdętym

nieboszczykiem i potrzebowałam pomocy, musiałam nadać temu wszystkiemu sens, o ile to w ogóle było możliwe.

Eksplozja białego szumu. Z głębi klonowych półek dobiegł mnie głos, który w przeciwieństwie do mojego mówił z sensem.

Pudełko – odezwał się. – Gdzie ono jest?

Pudełko niepasujące do reszty przedmiotów w garderobie?

Właśnie to.

Stare i zniszczone pudełko, które widziałam za każdym razem, gdy wieszalam do szafy czyste ubrania Jacka i które w jednym tygodniu mój mąż stawiał na najwyższej półce, a w następnym na półce niżej.

Tak, stare poźółtkie pudełko na zdjęcia, z otworami w metalowych kółkach, prostokątne i płaskie, większe niż pudełko na buty.

Czy mam je odszukać i otworzyć?

Tak, poszukaj go, a później zajrzyj do środka.

Przeciągnęłam drabinę na sam koniec półki, metalowe kulki sunęły w prowadnicach, bucząc niczym stado szerszeni. Zrzuciłam buty i wdrapałam się na górę.

Oto i ono: niepozorne i zwyczajne tekturowe pudełko. Udało mi się zejść z drabiny, nie upuszczając go, usiadłam na podłodze i postawiłam je obok siebie.

Pudełko trudno było otworzyć; musiałam unieść pokrywkę z dwóch stron jednocześnie. Rozpoznałam logo z zamkiem umieszczone w prawym dolnym rogu: Rosenfeld, Manhattan, jeden z największych salonów sukien ślubnych w Nowym Jorku, jeśli nie w całym kraju. Rozdzieliłam warstwy bibuły. Zdjęcia miały pozaginane rogi, były poźółtkie ze starości i przedstawiały ludzi, których nie znałam. Obok chłopczyka w niebieskim płaszczu stała kobieta i trzymała dłoń na jego ramieniu.

Akt własności. Jack wspominał o tym, że podczas studiów prawniczych obracał nieruchomościami, ale nie wiedziałam, że jest właścicielem kamienicy z brunatnego piaskowca na brooklyńskiej North Dandry.

Zanim zdążyłam się zastanowić nad znaczeniem tego dokumentu, natrafiłam na czarny, dość ciężki woreczek. Wyczułam kształt broni przez aksamitny materiał. Wyjęłam rewolwer. Wyglądał na starszy model, chociaż w gruncie rzeczy nie znałam się na broni, dlatego odsunęłam od siebie lufę i zakreściłam bębenkiem w prawą stronę. Był pusty.

Pod woreczkiem leżało zalaminowane pozwolenie na broń wystawione na nazwisko Jacka. Nie wiedziałam, że ma broń, a co dopiero zezwolenie na nią, chociaż wydało mi się to logiczne, w końcu był prawnikiem. W rogu pudełka znalazłam opakowanie nabojów.

Wyspałam kilka z nich na dłoń. Były zimne i wydawały cichy stukot, zderzając się ze sobą. Załadowałam i zamknęłam bębenek, ostrożnie położyłam palec na spuście. Rozumiałam, dlaczego Jack ma rewolwer – było to dość częste wśród prawników – lecz trudno mi było uwierzyć, że przez cały ten czas nie miałam pojęcia o jego istnieniu.

Skierowałam lufę w stronę twarzy i zajrzałam do środka. Poczułam dziwne ukojenie i gdy zaczęłam się zastanawiać, jak by to było wsunąć sobie do ust zimną lufę, usłyszałam tykanie zegarka. Później moją uwagę zwrócił szeleszczący dźwięk pieluchy, woń dziecięcej zasyпки i smród oszustwa, która to kombinacja w jednej sekundzie przywołała mnie do porządku. Uniosłam wzrok.

Jack stał w drzwiach garderoby ze śpiącą Mią na rękach. Ja trzymałam w ręku broń. Patrzył na mnie wzrokiem pozbawionym wyrazu. Schowałam dłonie za plecami i przez sekundę miałam zamiar kopnąć pudełko, żeby schowało się pod koszulami, prześlizgnęło się po ręcznie tkanym dywanie niczym duch do swojej kryjówki. Niepotrzebnie się martwiłam; Jack skoncentrował się na tym co zwykłe.

– Nie słyszałaś jej płaczu? – zapytał lodowatym tonem.

Po raz kolejny okazałam się nie dość czujna. Zawiodłam w roli matki.

Niektórych słów Jack po prostu nie używał, nigdy nie wypowiadał ich głośno, a mimo to ciągle je słyszałam – niedoskonała, nieodpowiednia. Zła matka i żona. Pełna wad. Nie powinno mnie tam być: ani wcześniej w jego gabinecie, ani teraz w jego garderobie, w ogóle w jego domu i życiu, koniec kropka. Nie powinien być matką jego dziecka.

– Co to jest? – zapytałam, pokazując mu akt własności i jednocześnie trzymając za plecami broń. Zaskoczyła mnie siła, z jaką to powiedziałam. Nic się nie zgadzało: Jack, Mia, tykający zegar, rewolwer, zdjęcia i akt własności. – Nie jesteście aż tak splukani, jak to przedstawiasz. Kiedy próbowaliśmy związać koniec z końcem, ty byłeś właścicielem domu o wartości... miliona funtów? Zamierzałeś mi o tym w ogóle powiedzieć? Co jeszcze przede mną ukrywasz?

Skulił się w sobie, wyglądał teraz jak mały, skarcony, nieśmiały chłopiec.

– Próbowałem go sprzedać, ale nie udało mi się znaleźć kupca.

Patrzyłam na niego ze zdumieniem, nagle uświadomiwszy sobie, jak niewiele o nim wiem.

– To tylko inwestycja na sprzedaż, w zasadzie ruina. Chciałabyś, żebym przysporzył ci jeszcze więcej zmartwień? Jakbyś nie miała ich wystarczająco dużo.

– Skoro jestem twoją żoną, chyba powinnam wiedzieć wszystko na temat twoich finansów.

– Nie mieliśmy żadnych problemów, dopóki nie wpadłaś w obsesję, nie zaczęłaś chodzić do tych wszystkich lekarzy, kiedy byłaś w ciąży, i robić tych wszystkich badań, które zdały się psu na budę. Nie było problemu, dopóki sama go nie stworzyłaś.

– Dla ciebie to nic takiego? A może po prostu nie chciałeś, żebym się o tym dowiedziała?

– Tego nie powiedziałem. Jesteśmy splukani, jeśli cię to interesuje. – Podniósł głos i poczułam, jak zrzuca maskę, staje się znowu sobą. – Nasze ubezpieczenie zdrowotne jest absolutnie wystarczające. Ale ty uparłaś się na tych wszystkich specjalistów, u których wizyty nie są refundowane. I rozumiem to, naprawdę. Martwiłaś się. Ale na tym się nie skończyło, mam rację? Nawet po urodzeniu Mii ty nadal...

Widziałam, że szuka odpowiednich słów, żeby nazwać moje szaleństwo. Czy rzeczywiście oszalałam? Czy można tylko lekko zblizkować? Liznąć szaleństwa? Martwiłam się o Mię. Nadal tak było. Martwiłam się o nią bez przerwy.

– Od tamtej pory karmisz tę bestię, prawda?

Wybuchłam stłumionym śmiechem. Ładne porównanie. Karmię tę bestię? A co z twoją córką? Wiedziałam, co zaraz powie. Tylko jaka...

– Zaczęłaś prowadzić całkowicie zdrowe dziecko od lekarza do lekarza. To nie jest normalne.

Normalne? Cóż by ze mnie była za matka, Jack, gdybym nie próbowała pomóc własnemu dziecku? Jaką bym była matką?

– Z nią jest coś nie w porządku. Za dużo płacze. Nie rozumiesz tego? – Moje oskarżenia jak zawsze wywołały u niego jeszcze większy gniew. Jack uważał nadmierną płaczliwość Mii za wytwór mojej wyobraźni.

– Nic jej nie dolega, zupełnie nic. To, że nie potrafisz się zająć dzieckiem, nie oznacza, że z nim jest coś nie w porządku. Prowadzasz Mię od lekarza do lekarza i wszyscy powtarzają ci to samo: kolki, z których wkrótce wyrosnie. Nie możesz się dłużej upierać przy tych wszystkich badaniach, które do niczego nie prowadzą. Pozwalałem ci na to dostatecznie długo, ale muszę wreszcie położyć kres temu szaleństwu.

Jack przyglądał mi się przez długi czas, po czym zrobił krok do tyłu. Głos miał spokojny, lecz jego szyje pokrywały czerwone plamy.

– Nie wiem, co zrobić, ale nie mogę ci dłużej pozwolić tego ciągnąć.

Umysł Jacka nie umiał sobie poradzić z tak nieprzyjemnym uczuciem: nie wiedział, co zrobić. Był zbyt racjonalny, żeby zaakceptować chaos. Próbował mnie poskładać do kupy, lecz wreszcie zrozumiał, że wyczerpał wszystkie możliwości.

Decyzja o tym, żeby wziąć ze mną ślub z powodu ciąży, odbiła mu się czkawką. Nie tylko nie dotrzymywałam swojej części umowy, lecz także nie pozwalałam mu realizować jego części. Czekало go

mnóstwo pracy: rozpoczęte sprawy sądowe, przygotowanie świadków, przesłuchania. I chociaż był wykończony, wiedziałam, że ciśnienie związane z pracą w perwersyjny sposób sprawia mu przyjemność, w przeciwieństwie do tego, co każdego wieczoru czekało na niego w domu. Odrzuciłam głowę do tyłu i zaniosłam się wymuszonym śmiechem.

– Całe to małżeństwo było błędem. No dalek, Jack, oto twoja szansa, żeby się uwolnić.

Kiedy ktoś rozpadał się na kawałki, Jack potrafił go posklejać. Cztery, sześć czy nawet dziesięć kawałków... przy odpowiedniej ilości kleju był w stanie wszystko naprawić. Kiedy ja się rozpadłam, kawałków było tyle, że nie dało się ich zliczyć. Tu nie było liczby, tylko ilość. Były jak piasek. Niepoliczalne. A kiedy Jack czuł się zapędzony do narożnika, atakował.

Podszedł do mnie, jakby chciał mnie rozszarpać.

– Posłuchaj tego, co mówisz... Nie zachowujesz się racjonalnie. Jeździsz za mną do pracy, przychodzisz do mojego biura, robisz mi wstyd. Nie wiem, co się z tobą dzieje, ale potrzebujesz pomocy.

Obserwowałam go, kiedy zamilkł i pokręcił głową. Później jego głos stał się lodowaty.

– Znalazłem cię tu, w mojej garderobie, podczas gdy Mia zdierała sobie gardło od placzu. Czy to jest twoim zdaniem racjonalne zachowanie?

Mia poruszyła się, sięgnęła drobnymi rączkami po coś niewidzialnego, z jej ust wyrwał się zaniepokojony pisk. Jack strzelał oczami na prawo i lewo. Kiedy wreszcie się odezwał, mówił szeptem: – Nie mogę ci dłużej ufać w kwestii opieki nad moją córką. To się musi dzisiaj skończyć. – Przekładał Mię z jednego ramienia na drugie, a ona coraz bardziej się denerwowała. W jej oczach zebrały się łzy i wiedziałam, że tylko butelka może ją uspokoić. – Estelle, to się musi skończyć. Dlaczego nie możesz się zachowywać...

– Jak? Normalnie? Tego ode mnie oczekujesz? Normalności?

Stał bez słowa. Jego twarz niczego nie wyrażała, ale trafiłam w sedno. Jack pragnął normalnej kobiety, a ja byłam jej przeciwieństwem. Pif-paf, przegrałeś, Jack.

– Potrzebujesz pomocy – powiedział. – Jutro się tym zajmiemy. Potrzebujesz profesjonalnej pomocy.

Czekałam, aż wyjdzie z garderoby. Pilnowałam się, żeby nie odwrócić się do niego plecami. Poszłam do kuchni, wstałam butelkę z mlekiem do mikrofalówki, po czym wsunęłam broń głęboko do szuflady ze szpargałami.

Nakarmiłam Mię, położyłam ją do łóżeczka i poszłam do gabinetu, gdzie Jack ślezczał nad aktami. Wyglądał tak, jakby nic się nie stało. Kiedy mnie zobaczył, jego zachowanie uległo zmianie. Wydawał się podenerwowany. Usiadłam na fotelu przed jego biurkiem i skrzyżowałam nogi. Zmusiłam się do uśmiechu i miałam nadzieję, że wypadło to naturalnie. Chciałam go uspokoić, sprawić wrażenie zdrowej na umyśle.

– Musimy o czymś porozmawiać – odezwał się Jack.

Wzięłam głęboki wdech i wolno wypuściłam powietrze.

– Zamierzasz mi teraz powiedzieć o swojej dziewczynie, tej z biura?

– Nie ma żadnej dziewczyny. Chciałem ci o niej powiedzieć, kiedy przyjdzie odpowiedni moment, ale ostatnio żaden moment nie jest odpowiedni, do diabła. – Zawiesił głos. – Ta kobieta w moim biurze nazywa się Victoria Littlefield.

Nazwisko brzmiało znajomo, lecz nie potrafiłam go skojarzyć.

– Victoria pracuje w biurze prokuratora okręgowego i rozmawialiśmy na temat pewnego stanowiska. – Wstał, podszedł bliżej i zniżył głos do szeptu: – Oczywiście dopóki nie wparowałaś do gabinetu jak szalona. Nie dziwię się, że nie zaproponowała mi tej pracy, skoro dowiedziała się, że mam żonę wariatkę. Ta praca to spełnienie moich marzeń. Za dziesięć lat sam mógłbym zostać prokuratorem okręgowym. Ale to już nieważne, prawda?

Jego oczy powiedziały mi wszystko, czego nie wyraził słowami: że moje zachowanie było kulą do wyburzenia, która wyrwała zięjącą dziurę w kruchych fundamentach naszego małżeństwa i jego kariere.

– Nie masz pojęcia, przez co przechodzę – mówił dalej. – Czasami zbaczam z drogi i jadę przez godzinę, żeby zatankować. Ta godzina w samochodzie, w samotności, to od wielu miesięcy moje jedyne chwile normalności.

Powstrzymywałam łzy. Jack był w potrzasku. Stał się więźniem kobiety, która nie radziła sobie z własnym życiem.

– Wiem, że masz więcej obowiązków przy dziecku, ale to ja wstaję w nocy, żeby ją nakarmić, a następnego dnia idę do pracy. I nie przerzucam tam papierków. Nie mogę przyjechać do domu za każdym razem, kiedy do mnie dzwonisz. Poświęciłem całą swoją karierę, żeby zdobyć stanowisko prokuratora okręgowego, a ty... – Zamilkł, zrezygnowany. – To się musi skończyć. Jutro idziemy do lekarza.

*

Kiedy zjawiłam się w klinice, Jack czekał przy drzwiach. Wyglądał nienagannie w ciemnoszarym garniturze od Hugo Bossa, swoim ulubionym, stylowym i eleganckim. Jak zwykle włożył do niego białą koszulę i szary krawat. Spóźniłam się i Jack wyglądał na poirytowanego. Zauważyłam to po sposobie, w jaki uniósł brew, kiedy weszłam. Gdy mnie zauważył, na jego czole pojawiły się zmarszczki głębokie jak nigdy wcześniej. Ogarnęło mnie poczucie winy. W końcu czas Jacka był bezcenny.

– Przepraszam za spóźnienie. – Wystawiłam twarz do pocałunku, ale on tylko musnął wargami mój policzek.

Przez całe spotkanie mój mąż był uosobieniem profesjonalizmu. Jego nieskazitelny garnitur i nakrochmalona koszula świadczyły o sukcesie, który odniósł. Powiedział lekarzowi, że mam „obsesję na punkcie nieistotnych szczegółów” i nie chcę „przyjąć kolki za diagnozę”, a on „ze wszystkim musi sobie radzić sam”. Podczas tej przemowy rzucił mi ukradkowe spojrzenie, pewnie zastanawiając się, co doprowadziło go do roli „jedynego żywiciela rodziny i jej podpory”. Bezustannie mnie wspierał, a ja byłam wiecznie wykończona i przygnębiona.

Doktorowi Wellsowi wystarczyło jedno spojrzenie na mnie. Wyjął z szuflady bloczek i zaczął wypisywać receptę.

– Jeśli nic się nie zmieni, zwiększymy dawkę. – Kazał mi wrócić za miesiąc i opowiedzieć o swoich postępach. – Kiedy dziecko zacznie przesypiać noce, pani życie się zmieni. Niektóre młode matki potrzebują więcej czasu, żeby się przystosować do nowej sytuacji. Cierpliwości.

Zorientowałam się, że mam do czynienia nie z psychiatrą czy terapeutą, ale ze zwykłym lekarzem rodzinnym. Bo wizyty u specjalistów słono kosztują, a „doktor Wells też może wypisywać recepty na leki antydepresyjne”.

Ten konował naprawdę uważa, że wystarczy mi odrobina czasu i snu?

– Oczywiście – powiedziałam z uśmiechem i sięgnęłam po torebkę. Była ciężka, w środku radośnie pulsowała broń Jacka.

W drodze powrotnej do domu Jack sprawiał wrażenie zadowolonego. W jego świetle każdy problem dało się rozwiązać i fiolka pastylek w mojej torebce miała wszystko załatwić. Wystarczy, że trzy razy wybiorę zawartość pomarańczowej buteleczki, a jego życie wróci do normy.

– Powiedz, że nic ci nie będzie. – Jego głos zabrzmiał łagodnie, niemal krucho. – Musisz zażywać lekarstwa i jakoś sobie z tym radzić.

– Z tym?

– Z życiem, radzić sobie z życiem. Chodzić z dzieckiem na spacer, spotykać się z innymi matkami w parku, sam nie wiem, robić to co inne matki.

Miałam dosyć tych jego dobrych rad, które próbował mi wcisnąć jak wędrowny hochsztapler wciśka lekarstwo na wrzody. Śmiechu warte. Jakby pogawędki z innymi mamami i jedna pigułka dziennie mogły rozwiązać moje problemy.

– To nic trudnego, jeśli się nad tym zastanowić. – Kiedy zatrzymaliśmy się na światłach, objął mnie ramieniem i przytulił. – Twój problem polega na tym, że przesadnie wszystko analizujesz. Tu nie chodzi o bycie doskonałą, tylko o zmniejszenie pieluchy, podgrzanie butelki.

Jego uścisk wydał mi się udawany. Wyrzalam przez okno samochodu, koncentrując wzrok na drzewie, które było prawie tak wysokie jak wznoszący się za nim budynek. Zastanawiałam się, czy głębokość, na jaką zapuszczają się korzenie drzewa rzeczywiście dorównuje jego wysokości. Wydawało mi się niemożliwe to istnienie przerażającej, sekretnej części miasta niewidocznej dla jego mieszkańców.

Po pigułkach miałam dziwne sny. Prawie nie spałam i byłam tak zmęczona, że mniej się wszystkim przejmowałam, lecz udawałam, że jest okej. Kiedy powiedziałam Jackowi, że chcę odstawić leki, zamarszczył brwi.

– Nie mogę po nich spać i zaczęły mi wypadać włosy – poskarżyłam się.

Spojrzał na moją głowę. Jesteś pewna? – pytały jego oczy, jakbym próbowała mu je zamydlić.

– Tu piszą, że ten lek nie wywołuje takich skutków ubocznych – stwierdził, czytając ulotkę. – Suchość w ustach, wysypka, mdłości, wymioty, płytki oddech. Ani słowa o wypadaniu włosów. Może powinnaś zacząć brać witaminy?

– A co z drętwieniem rąk i nóg?

– Zapisz się na siłownię. Taką, która zapewnia opiekę nad dzieckiem. Może za mało się ruszasz.

Albo po prostu udaję, że nic mi nie jest? – chciałam zapytać. – Jestem oszustką. Czy to może być efekt uboczny przyjmowania leków?

Musiałam obiecać Jackowi, że nadal będę je brała. Miesiąc później chciałam wierzyć, że czuję się lepiej, ale strach nadal we mnie tkwił – w mojej głowie, gardle, klatce piersiowej. Ścisłał mi serce i żołądek. Bałam się, że stanie się coś strasznego, najokropniejsza rzecz, jaką tylko potrafię sobie wyobrazić. Jack nie spełnił obietnicy, że będzie mniej pracował, i kiedy tydzień później raz wrócił wcześniej do domu, był w świetnym humorze. Z ledwie widocznym grymasem wręczył mi pudełko chińszczyzny na wynos.

– Twoje ulubione. Radzisz sobie o niebo lepiej – zauważył. – A tobie jak się wydaje? – Nie czekał jednak na moją odpowiedź. Mówił o pieniądzach i hipotece, i o naszych problemach finansowych w związku z nieruchomością. Miał już dosyć długów, a wizja przejścia nieruchomości obciążonej hipoteką przez bank nie pozwalała mu się starać o wymarzoną posadę prokuratora generalnego. Dlatego właśnie wpadł na pewien pomysł.

– Pomysł? – zapytałam. – Jaki pomysł?

– Skończyły nam się możliwości, więc podjąłem decyzję – powiedział. Jego słowa przelatywały obok, prawie do mnie nie trafiając. – Rzecz w tym, że gospodarka ledwo zipie, wysokie pensje dla współpracowników w wielkich kancelariach to już przeszłość, ale można jeszcze zarobić na obrocie walutą, akcjami i długami. Pewna firma z Chicago chce mnie zatrudnić.

– Przeprowadzamy się?

– Tak jakby. Mój plan ma też związek z tą kamienicą do remontu, obciążoną wielką hipoteką. Najemcy nie będą chcieli mieszkać w hałasie. Za pieniądze zarobione w Chicago spłacę hipotekę, dokończę remont i najpóźniej za rok będziemy mogli ją sprzedać albo wynająć.

Patrzył na mnie błyszczącymi oczami, jakby znalazł rozwiązanie wszystkich naszych problemów. Wiedziałam, że jest mądry, uwielbiałam go za to, ale był też przebiegły i zdeterminowany, żeby zdobyć wszystko, czego chciał, i rzeczywiście to dostawał.

– Nie mogę uwierzyć, że wcześniej o tym nie pomyślałem – mówił. – Pośrednictwo w świadczeniu usług prawnych to złya złota; pozwala zaoszczędzić na rachunkach dla ekskluzywnych kancelarii adwokackich. Dzięki outsourcingowi nie trzeba opłacać składek pracowniczych. Niedługo wyjdziemy z dolka – zapewnił. – Przyjąłem ofertę firmy Walter Ashcroft z Chicago i zamierzam się tam przeprowadzić, a ty będziesz mogła zamieszkać w domu na Brooklynie.

Jack nie był złym człowiekiem. Nie patrzyłam na niego przez różowe okulary, ale nie byłam też szczególnie krytyczna. Kiedyś dobrze mnie traktował i miał szlachetne intencje. Nie brakowało mu nadziei, nawet więcej niż nadziei – wiary. I oto postanowił, że przeprowadzę się do kamienicy na Brooklynie, która, jak sam stwierdził, była w stanie ruiny. Pasuje do mnie, pomyślałam.

Chciałam, żeby przy mnie był, na wypadek gdyby mój stan się nie poprawił, ale nie wiedziałam, jak go o to poprosić, więc dwa miesiące później jechałam samochodem na North Dandry, a Jack czekał na lotnisku na samolot do Chicago.

– Nie twierdzą, że mi się to podoba, ale nie widzę innego wyjścia – powiedział, kiedy do niego zadzwoniłam. – Kierownik budowy mieszka na górze i zarządza remontem w dwóch pozostałych mieszkaniach. Nazywa się Lieberman. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała pod moją nieobecność, zwróć się do niego. Nie będziesz musiała nawet kiwnąć palcem. Ekipa od przeprowadzek wnieś wszystko do domu i rozpakuj. To będzie najłatwiejsza przeprowadzka w twoim życiu.

– Nie trzeba mnie pilnować, Jack.

– Mówię tylko, że gdybyś czegoś potrzebowała, możesz na niego liczyć. Nie będzie mnie trzy, góra cztery tygodnie, a później przyjadę do domu na weekend. Mówiłem ci o tym w zeszłym tygodniu, pamiętasz?

Czyby usiłował mi wmówić, że mam problemy z pamięcią?

– Obiecuję, że będę przylatywał do domu najczęściej, jak tylko się da, w zależności od tego, ile będę miał pracy. Poza tym nie chcę przegapić momentu, kiedy Mia zacznie raczkować.

– Nagram to, niczego nie przegapisz – odparłam i zdumiało mnie, jak racjonalnie i normalnie zabrzmiały moje słowa.

Poprzedniego wieczoru obserwowaliśmy półroczną Mię, która próbowała się podeprzeć na dłoniach. Potrafiła się już przekreślić z pleców na brzuch i odwrotnie, lecz nie złagodziło to mojego strachu przed śmiercią łóżeczkową. Mia nadal nie przesypiała nocy i wołała butelkę od stałego pokarmu.

Usłyszałam stłumione głosy i dźwięk przekładania komórki z jednej ręki do drugiej, później sygnał detektora i głos nakazujący komuś zejść na bok. Wyobraziłam sobie Jacka z podniesionymi ramionami i ręczny wykrywacz metalu wodzący po jego ciele.

– Jestem już przy bramce. Pamiętaj o lekarstwach, okej?

– Jasne. – Wiedziałam, że Jack liczył moje pigułki i przestał to robić, dopiero gdy zamówiłam w aptece następną porcję.

Zjechałam na prawą stronę i uderzyłam w krawężnik, ale wystarczyło mi kilka sekund, żeby odzyskać kontrolę nad samochodem.

– Cześć. Zadzwonię później, dobrze?

Rozłączyłam się bez słowa i cisnęłam telefon na siedzenie pasażera. Chociaż Jack uważał, że wszystko ze mną w porządku, czułam się jak wariatka. Gdybym spojrzała w lusterko i zobaczyła na swojej głowie folię aluminiową, nie byłabym zdziwiona. Zauważyłam tabliczkę z nazwą North Dandry i zaparkowałam. Wylączyłam silnik i spojrzałam na kamienicę z brunatnego piaskowca. Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam ciało Mii przewieszzone przez bok fotelika i jej główkę wygiętą pod dziwnym kątem. Była pogrążona w słodkim śnie. A ja zapomniałam zapiąć jej pas.

UJAWNIONO NOWE SZCZEGÓŁY ŚLEDZTWA: MATKA PORWANEGO NIEMOWLĘCIA ZOSTAŁA ZNALEZIONA NA PÓŁNOCY STANU TYDZIEŃ PO ZAGINIĘCIU CÓRKI

Brooklyn, Nowy Jork – Policja ujawniła nowe szczegóły śledztwa w sprawie zaginięcia siedmiomiesięcznej Mii Connor. Jak doniosło anonimowe źródło, matka dziewczynki, Estelle Paradise, została znaleziona w wąwozie w pobliżu Dover w stanie Nowy Jork, mniej więcej trzy godziny drogi od miasta. Odnaleziono ją kilka dni po zaginięciu niemowlęcia. Estelle Paradise miała poważne urazy głowy i klatki piersiowej, była leczona z powodu hipotermii i innych obrażeń powstałych w wyniku wypadku.

Znalazł ją mężczyzna wyprowadzający psy. „Pognały przed siebie, jakby je kto gonił – powiedział o swoich dwóch brązowych labradorach. – Nie dało się ich zatrzymać. Zwykle przybiegają, kiedy na nie gwizdzę, lecz tym razem zbiegły do wąwozu. Już myślałem, że je zgubiłem, kiedy usłyszałem szczekanie”.

Wąwóz, nazywany przez miejscowych Echem, ma głębokość dwudziestu czterech metrów. Ze względu na stromość zbocza, wydobyć z niego rannej matki zajęło ratownikom sześć godzin. W akcji pomagała jednostka straży pożarnej z Dover.

Kobietę zabrano do szpitala w Dover, a później przetransportowano do kliniki w Nowym Jorku. Jej stan zmienił się z poważnego na stabilny. Żaden z lekarzy nie odniósł się oficjalnie do odniesionych przez nią obrażeń.

Nie ujawniono żadnych nowych informacji na temat porwania Mii Connor.

Rozdział 9

– Panowie detektywi – doktor Baker zwraca się do nich w drodze do drzwi. – Macie najwyżej pół godziny. Jeśli pacjentce podskoczy ciśnienie, przerwiemy to.

Policjanci czekają, by lekarz wyszedł z pokoju.

– Jestem detektyw Wilczek – przedstawia się jeden z nich. – Będę prowadził śledztwo. Pamięta pani detektywa Daniela? – wskazuje na korpulentnego mężczyznę w średnim wieku. – Doceniamy pani gotowość do współpracy, pani Paradise – mówi i wyciąga notes. Jest mężczyzną po czterdziestce, szczupłym i żyłastym, z włosami ostrzyżonymi na jeża. Paznokcie ma ogryzione do żywego.

Doktor Baker zabrał mi pompę z morfiną. Staram się nie zwracać uwagi na ból promieniujący z za prawego oka.

– Chciałbym, żeby opowiedziała nam pani wszystko od początku. Rozumiem, że może być pani zmęczona powtarzaniem tego samego, ale chciałbym to usłyszeć od pani.

Mój plan dnia, praca Jacka w Chicago, ostatnie dni przed zaginięciem Mii, poranek, kiedy zorientowałam się, że łóżeczko jest puste. Wilczek notuje, nie przerywając mi. Kiedy nie pisze, obraca kciukiem wąską ślubną obrączkę na lewej dłoni.

– Proszę mi opowiedzieć o zamkach. Dlaczego kazała je pani zamontować?

Zastałam w mieszkaniu otwarte okno, uchylone drzwi, przekrzywione żaluzje. Niby nic wielkiego, lecz mimo to się zaniepokoiłam i nie potrafiłam sobie wmówić, że to tylko wiatr. Mój zdrowy rozsądek przypominał ducha – w jednej sekundzie był, w drugiej zniknął. Całkowicie. Jakby rozplywał się w powietrzu. Zastanawiałam się, czy w domu nie ma tajemnych wejść i korytarzy, jak w starej nawiedzanej posiadłości. Czasem przyłapywałam się na szukaniu na ścianach i podłogach śladów po nieproszonych gościach, ale oczywiście nigdy ich nie znalazłam.

– Chciałam być bezpieczna.

– Czula się pani zagrożona? Czyżby ktoś pani groził?

– Nie, nic podobnego. Przez większość czasu mieszkalam sama; to były wyłącznie środki ostrożności.

– Czy w ciągu ostatnich dni przed zaginięciem córki wydarzyło się coś dziwnego?

Pewnego razu pościel na moim łóżku była skłębiona, jakby jakiś nadprzyrodzony gość ośmielił się w nim położyć pod moją nieobecność. Innego dnia po powrocie do domu zauważyłam, że lustro wisí krzywo. Czyżbym to sobie wyobraziła, czyżby moje postrzeganie świata było zaburzone? Moja pierwsza myśl brzmiała: „Ktoś tu jest”, ale dom był pusty, więc ją od siebie odsunęłam.

– Nic takiego sobie nie przypominam – mówię.

– Kto miał dostęp do pani mieszkania?

Zastanawiam się przez chwilę.

– Jack. Ekipa od przeprowadzek. Człowiek, który instalował zamki. – Mój puls niespodziewanie przyspiesza. – Człowiek, który instalował zamki... był dziwny, nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Przeszukaliśmy całe mieszkanie na obecność odcisków palców. Te na drzwiach pochodzą od mężczyzny, który zakładał zamki. Sprawdziliśmy jego alibi i wykluczaliśmy z grona podejrzanych. Ten człowiek opiekuje się starszymi rodzicami. Znaleźliśmy też odciski palców pani męża, głównie na

meblach. Inne pochodzą od członków ekipy przeprowadzkowej. – Głos Wilczka jest spokojny, życzliwy. – Czy zdarzały się dziwne telefony? Czy ktoś panią obserwował? Czy pamięta pani jakąś niecodzienną sytuację? Nawet pozornie błahy fakt może się okazać istotny.

Ktoś przestawił mój stolik kawowy, przesunął go w bok. Na dywanie zostały ślady po nogach, tak jakby duch mojej matki, poirytowany moim brakiem umiejętności ustawiania mebli sam się pofatygował, żeby porządnie ustawić stolik. Machnęłam na to ręką, akceptując swój spaczony i niepokładany dom.

– Nie pamiętam nic osobliwego – mówię.

Kolejne pytanie brzmi:

– Proszę mi przypomnieć, dlaczego nie wezwała pani policji?

– Wzięłam telefon do ręki, wykręciłam numer, ale wtedy zauważyłam, że zniknęły jej butelki. Podobnie jak ubranka i cała reszta. Nie rozumiałam, co się stało.

– I co pani zrobiła?

– Szukałam jej, wszędzie. W samochodzie. W bocznych uliczkach, w najbliższej okolicy, wszędzie. Zapytałam bezdomną kobietę, czy niczego nie widziała. Sprawdziłam nawet śmietnik. – Gryzę się w język, ale jest już za późno. Słowo „śmietnik” odbija się echem w mojej głowie. To nie brzmi dobrze. „Szukałam swojej córki na śmietniku”. Dlaczego w ogóle to powiedziałam? Jak mogłam dopuścić do siebie możliwość, że moja córka została wyrzucona do kosza jak śmieć?

– Twierdzi pani, że chodziła ulicą tam i z powrotem. Czy poprosiła pani kogoś o pomoc? – Głos Wilczka nadal brzmi spokojnie.

Kręcę głową.

– Czy rozmawiała pani z robotnikami w pani domu?

– Była niedziela, wszyscy mieli wolne.

– A z sąsiadem? – Zagląda do notatek. – Pan Lieberman mieszka w tym samym budynku, prawda?

Poprosiła go pani o pomoc?

– W weekendy odwiedza siostrę. Wyjeżdża w piątek po południu. Dzwoniłam do niego kilka razy, ale nie zdołałam się nawet nagrać na sekretarkę.

– Jak pani wówczas sądziła, co spotkało pani córkę?

Składam koc w harmonijkę, jego waflowy splot mieni mi się przed oczami. Szukam porządku w całym tym chaosie.

Skoncentruj się na pytaniu.

– Nie miałam pojęcia.

– Czy zadzwoniła pani do męża?

– Nie. – Zwieszam głowę, zastanawiając się, gdzie bym teraz była, gdybym od razu zadzwoniła do Jacka. Jack wezwałby policję, natychmiast wrócił do domu, jak zawsze wiedziałby, co robić. To, że do niego nie zadzwoniłam, było moim kolejnym błędem.

– Jack dopiero co wyjechał i rozpoczął nową pracę. Wiedziałam, że nie będzie mógł do mnie dzwonić codziennie i że przyjedzie do domu za tydzień lub dwa.

Wilczek pochyla się do przodu, poprawiając krawat.

– Dlaczego nie poprosiła go pani o pomoc? Jest prawnikiem, ma możliwości i kontakty, o których rodzice innych porwanych dzieci mogą tylko marzyć.

– Ja nie... Byłam skołowana. Miałam w głowie mętlik.

– Czy mąż dzwonił do pani od chwili wyjazdu z Nowego Jorku?

– Tak, rozmawialiśmy. Niezbyt długo, zapytał tylko, jak się czujemy, czy wszystko w porządku, jak nam się mieszka w nowym domu, takie tam.

– Proszę nam powiedzieć, dlaczego wyszorowała pani całe mieszkanie.

Wyszorowałam całe mieszkanie? A tak, rzeczywiście. Pamiętałam to. Byłam na skraju paniki. Tak, panika to odpowiednie słowo. Musiałam się czymś zająć. Czułam ukojenie, kiedy środki czyszczące

gryzły mnie w oczy i nos, kiedy walczyłam o każdy oddech, jakby ktoś zaciskał mi palce wokół płuc, przyjął na ulgą krztuszenie się i kaszel. Kiedy wróciłam na North Dandry z komisariatu, od samego progu uderzył mnie smród kawy i stęchłego powietrza w domu niewietrzonem od wielu dni, a może nawet tygodni. Później zobaczyłam brud: zatkany odpływ i zapleśniałą obwódkę wokół baterii zlewozmywaka. Zająłam się pracą pośród wiader, ścierek i stalowych zmywaków. Kiedy zużyłam pierwszą szczoteczkę do zębów, wyjęłam następną z szafki w łazience. Zamoczyłam włosie w wybielaczu i szorowałam fugi między kafelkami, za pomocą kostek lodu wyczyściłam młynek do odpadków. Sprzątałam pokój za pokojem, zdejmowałam przedmioty z półek, zmywałam, przecierałam, szorowałam. Kiedy dłonie zaczęły mnie piec, a skórki wokół paznokci praktycznie się rozpuściły, dotarło do mnie, po co to wszystko robię – żeby naprawić coś, co niekoniecznie było moją winą. Użyłam żrących środków czyszczących, to prawda. Detektyw Wilczek chce wiedzieć dlaczego i wcale mu się nie dziwię. Wiem, co sugeruje.

On czeka na odpowiedź, ale brakuje mi logicznego wyjaśnienia, więc milczę. Wyglądam przez okno, jakbym mogła tam znaleźć właściwe słowa.

– Proszę wyjaśnić, dlaczego wyszła pani z komisariatu, nie zgłosiwszy zaginięcia. Podniesienie słuchawki i odłożenie jej po tym, jak zorientowała się pani, że zniknęły również rzeczy córki to jedno, ale później postanawia pani zgłosić sprawę na policję. Idzie pani na komisariat, ale nie prosi nikogo o pomoc. Musi pani zrozumieć, że to nie ma sensu. Brakuje nam intruzka, śladów włamania, mamy tylko zaginione dziecko i matkę, która niczego nie pamięta.

– Doktor Baker powiedział panu, że mam amnezję, prawda?

– Pani Paradise. – Detektyw Wilczek przysuwa bliżej krzesło i spogląda na mnie łagodnym wzrokiem. – Dzieci nie znikają ot tak z zamkniętych mieszkań. Nie znikają bez śladu. Czy chce mi pani powiedzieć, że ktoś przeniknął przez mury i uciekł z całą szafą ubrań i dziesiątkami niemowlęcych butelek? Pudłami pieluch? I zrobił to wszystko, kiedy pani spała?

Muszę mu przyznać rację. Przypomina to scenę z melodramatycznej opery mydlanej.

– Przegapiła pani wizytę u lekarza – ciągnie Wilczek. – Chodziło o jakieś planowe szczepienie. Była pani na wszystkich poprzednich wizytach, a na tej nie. Dlaczego?

– Zapomniałam.

Nie poszłam na planowe szczepienie? Za żadne skarby nie opuściłabym szczepienia, musiał istnieć jakiś ważny powód. Coś nie daje mi spokoju, lecz nie potrafię tego nazwać.

– W żłobku powiedziano nam, że nie udostępniła im pani wypełnionej karty szczepień.

– Żłobek wymagał ode mnie takiej karty, a ponieważ ominęłam jedną z wizyt szczepiennych, nie wiedziałam powodu, żeby tam wracać. Poza tym nie zależało mi na zapisaniu Mii do żłobka, tylko na zostawianiu jej tam na kilka godzin od czasu do czasu.

– Czy ustaliła pani z lekarzem nowy termin wizyty?

– Miałam zamiar, ale później... – Zaciskam usta. Chcę zostać sama, muszę się nad tym wszystkim zastanowić, nie potrafię ubrać myśli w słowa.

– Co się stało później?

– Mia zniknęła.

Wilczek spuszcza głowę i studiuje swoje notatki.

– Proszę opowiedzieć o bezdomnej kobiecie.

– Siedziała na rogu ulicy, widziałam ją już wcześniej i pomyślałam, że jeśli tkwiła tam przez całą noc, to może... – Dociera do mnie, że skoro policjant o niej wie, musiał z nią rozmawiać. – Przesłuchiwał pan ją? Co powiedziała?

Obserwuję jego oczy ślizgające się po notatkach.

– Wolałbym nie rozwódzić się nad tym, co powiedzieli inni, skoro mogę to usłyszeć od pani.

– Była zdeorientowana. Miała psa. Nic więcej nie pamiętam.

– Niech nam pani opowie o foteliku samochodowym – poprosił Wilczek.

Słyszę dobiegające zza moich pleców piszczenie, dźwięk przyspiesza. Zniecka uderza mnie myśl: zostawiłam fotelik na krawężniku i dałam bezdomnej moją walizkę. Potrząsam z niedowierzaniem głową. Serce pulsuje mi w gardle. Jak mogłam postąpić tak głupio i nieodpowiedzialnie? Dlaczego to zrobiłam?

– Nie wiem, co panu powiedzieć. – Staram się zachować spokój, ale czuję wzbierające pod powiekami łzy. Serce mi wali, głowa kołysze się na boki. Doktor Baker nazywa to „tikami na tle nerwowym”. – Jeśli dobrze zrozumiałam lekarza, cierpię na amnezję. Na skutek pourazowej traumy wymazałam z pamięci wydarzenia ostatnich dni przed wypadkiem. Moja pamięć tak daleko nie sięga.

– A więc nie o wszystkim mi pani mówi?

– Właśnie to próbuję panu wytłumaczyć: nie mam bladego pojęcia. Nie mogę wiedzieć o tym, czego nie wiem. – Ostatnia uwaga wywołuje u mnie uśmiech, którego nie udaje mi się powstrzymać.

– Czas minął. – Doktor Baker wsuwa głowę do pokoju i kończy przesłuchanie.

Kiedy zamykają się za nim drzwi, Wilczek wstaje, by wyjść.

– Znaleźliście krew? – Pytam i natychmiast żałuję swoich słów.

Uważaj. Musisz bardziej uważać na to, co mówisz.

– Krew? Co ma pani na myśli? – pyta detektyw Wilczek z obojętną miną.

Czyżby istniały różne rodzaje krwi? Krew to krew.

Nie mów tego na głos.

– Po prostu zastanawiam się, czy znaleźliście ślady krwi.

– Czekamy na raport kryminologów, ale jak już mówiłem, te środki czyszczące... Proszę do mnie zadzwonić, jeśli coś sobie pani przypomni. Do zobaczenia wkrótce.

Przytakuję i zamykam oczy.

Kilka minut później wstaję; chwięję się niepewnie, lecz po chwili odzyskuję równowagę. Szuram stopami po podłodze, zamiast je unosić, dzięki czemu łatwiej mi iść. Chwytam za klamkę. Nie mogę się powstrzymać przed wyjrzeniem na korytarz. Ciekawe, co by było, gdybym po prostu ruszyła przed siebie. Mój strażnik zauważa ruch i nieznacznie pochyla się do przodu.

Niemowlęcy płacz płynie przez szpitalne korytarze, prosto do otwartych drzwi, i celuje dokładnie w moją korę słuchową, wbija się w nią niczym strzała w środek tarczy.

Zatrząskuję drzwi. Opieram się o nie, jakbym chciała powstrzymać fale dźwięku. Przeczesałam palcami włosy i przytrzymuję głowę, z początku delikatnie, a po chwili ciągnę za włosy z całych sił. Zaczyna mi pulsować czaszka, ale płacz niemowlęcia przebija się przez ból. Gdybym mogła obciąć sobie zdrowe ucho, żeby uciszyć ten dźwięk, zrobiłabym to.

Mia zaginęła, a ja jestem główną podejrzaną.

Kiedy tak siedzę na podłodze szpitalnego pokoju, zaczynam widzieć siebie nie przez przyzmat tego, jaka jestem, lecz tego, jaka na pewno nie jestem.

Nie jestem zrozpaczoną matką z czerwonymi, zapuchniętymi oczami, błagającą porywacza, żeby oddał jej dziecko. Doktor Baker nazwał mój stan „zobojętnieniem”, brakiem reakcji emocjonalnych, oznaką przebytej traumy, a może nawet urazu mózgu. Żałuję, że nie ma go teraz przy mnie. Zobaczyłby, jak reaguję na dziecięcy płacz. Nie jestem matką proszącą. Mówię rzeczy, które mnie samej wydają się podejrzone, uśmiecham się, chociaż nie mam powodu do wesołości. Zadaję pytania, kiedy nie potrafię sobie czegoś przypomnieć. Mogę sobie tylko wyobrazić, co myślą o mnie teraz policjanci.

Widziałam w telewizji matki oszalałe z rozpacz, ściskające ukochane maskotki swoich dzieci, matki obiecujące, że nigdy nie przestaną szukać. Obejmujących je ojców, wspierających krewnych, którzy ocierali łzy i usiłowali trzymać emocje na wodzy. Widziałam matki na pierwszych stronach gazet, ze szklanym wzrokiem, których ból przynajmniej na kilka godzin przytępiła tabletką valium. Cierpienie w oczach rodziców jest przykre nawet dla widzów, emanuje z telewizyjnych odbiorników – jest niepohamowane, niezamaskowane i dotyka do żywego.

Jednak nawet wśród tych rodziców zdarzają się potwory. Potwory kłamiące na temat zniknięcia swoich dzieci, błagające wymyślonych porywaczy o litość, wariaci dotknięci zespołem Münchhausena[2], tulący w ramionach martwe lub na wpół żywe dzieci. Zdarzały się niemowlęta tuż po narodzinach wepchnięte do kosza na śmieci w toalecie supermarketu, z nieodciętą pępowiną.

W uszach dźwięczą mi słowa Jacka: „Możemy to jeszcze naprawić”. Czyżbym zrobiła coś, co wymaga naprawy? Pamiętam nożyczki i inne ostre przedmioty w pobliżu Mii i że kabel od lampy wiszący obok jej łóżeczka działał mi na nerwy. Jeśli musiałam ją znieść po stromych schodach, zawsze wkładałam ją do samochodowego fotelika. Ostre krawędzie, tępe zakończenia i znaczna wysokość wydawały mi się zbyt kuszące.

Mam pewne podejrzenia. Nie zwierzę się z nich nikomu, tylko sobie.

2 Zaburzenie pozorowane, polegające na wywoływaniu u siebie lub u swojego dziecka objawów somatycznych w celu wymuszeniu na personelu medycznym hospitalizacji.

Rozdział 10

Z zarządcą nieruchomości poznałyśmy się przed kamienicą na North Dandry. Jack zatrudnił niejaką Yolandę Drake z Hudson Bay Property, żeby nadzorowała remont domu. Kobieta zaczęła mówić, gdy tylko wysiadłam z samochodu.

– Niektóre nieruchomości są... – zawiesiła głos, szukając właściwego słowa – przekłete – dokończyła wreszcie i uniosła wskazujący palec.

– Przekłete? Czy to nie lekka przesada? – Zmrużyłam z niedowierzaniem oczy i delikatnie poprawiłam główkę Mii, żeby jej nie obudzić. Nie mogłam uwierzyć, że zapomniałam ją przypiąć w foteliku.

– Nie, właśnie przekłete. Wykonawcy skończyły się pieniądze, podwykonawca zrezygnował, robotnicy ukradli materiały z placu budowy i nikt nie dostał stosownych pozwoleń. Istne pasmo nieszczęść. Nigdy dotąd nie spotkałam się z tyloma problemami przy jednej nieruchomości. Wykonawcy mieli się wywiązać z kontraktów, ale trzeba ich pilnować. W tej sytuacji nikomu nie jest do śmiechu, a już szczególnie pani mężowi.

Udałam entuzjazm z powodu tego, że tak ochoczo podzieliła się ze mną plotkami, i kiwnęłam głową.

– Tę nieruchomość należało wynająć lub sprzedać wiele miesięcy temu i teraz wszyscy się niecierpliwia. Genialny pomysł, żeby ktoś tu stale był i wszystkiego dopilnował. David Lieberman to niezły spec i potrafi utrzymać swoich ludzi w ryzach. Lieberman raportuje mnie, a ja raportuję pani mężowi.

Przestraszyłam się pomruku, który przeszedł w donośny huk, na dźwięk którego aż się wzdygnęłam. Z ogromnego zielonego metalowego kontenera połączonego z jaskrawożółtym zsytem budowlanym przymocowanym do ściany domu numer 517 wydobyła się chmura pyłu. Po kilku sekundach byłyśmy nim pokryte od stóp do głów.

– Czy zna pani planowaną datę zakończenia?

Tego określenia używał Jack. Planowana data zakończenia oznaczała moment, w którym najemcy przestaną znosić uciążliwości remontu. Zastanawiałam się, co też strzeliło Jackowi do głowy, że uznał moją przeprowadzkę do remontowanego domu za dobry pomysł.

– Czas pokaże. Wykonawcy nigdy nie dotrzymują ustalonych terminów.

– Mąż mówił, że to kwestia kilku miesięcy.

Yolanda Drake przestąpiła ciężko z nogi na nogę i uniosła brwi.

– No cóż, wszystko jest możliwe – powiedziała i wręczyła mi klucz. – Od tej chwili dom należy do pani – dodała, wycierając rękę w ołówkową spódnicę.

Odprowadzałam ją wzrokiem, dopóki nie zniknęła za rogiem. Klucz do domu numer 517 był ciepły w dotyku. Odwróciłam się w kierunku samochodu. Mia spała spokojnie w swoim foteliku, ukołysana do snu mrużeniem silnika.

Włączyłam elektroniczną nianię, zostawiłam jeden z odbiorników na miejscu dla pasażera, a drugi uważnie schowałam do torebki. Otworzyłam wszystkie okna w samochodzie mniej więcej na

centymetr i wyłączyłam silnik. Na dworze panowała przyjemna temperatura szesnastu stopni, niebo było pochmurne. Przyciemnione szyby praktycznie uniemożliwiały zajrzenie do wnętrza samochodu.

Mieszkanie A1 znajdowało się na parterze. Oceniałam, że jeśli Mia zacznie płakać, zdążę wrócić do samochodu w pół minuty. Nie chciałam jej budzić, wiedziałam, że wpadnie w szał, a ja znowu będę się zastanawiać, jak ciężkie musi być jej życie, skoro reaguje na nie tak gwałtownym protestem. Każda drzemka dawała mi nadzieję, że po przebudzeniu będzie spokojniejsza i szczęśliwsza.

Weszłam po schodach do frontowych drzwi. Otworzyły się, zanim włożyłam klucz do zamka. Przede mną stał mężczyzna w butach ze stalowymi noskami, pokryty trocinami przypominającymi wiórki kokosowe na cieście. Stał na progu, krawędź żółtego kasku zasłaniała mu oczy. Uniósł głowę i omiół mnie spojrzeniem. Zszedł po schodach i skręcił w lewo. Patrzyłam, jak odchodzi ulicą. Szedł na szeroko rozstawionych nogach, wyprostowany jak struna.

Weszłam do budynku. Zatrzymałam się na chwilę, wciągnęłam zapach świeżej farby i przytłumioną woń środków dezynfekujących. Na drzwiach naprzeciwko mnie widniały dwa złote pochyłe znaki: A1. Po lewej znajdowało się wejście zasłonięte brezentową zasłoną, żeby kurz nie wydostawał się na zewnątrz.

Do moich nusz dobiegł upiorny pisk, sprawiając, że sięgnęłam po elektroniczną nianię. Zielony wskaźnik natężenia dźwięku niczego nie pokazywał, urządzenie milczało. Rozdzierający jęk zamienił się w gardłowy pomruk. Wylączyłam urządzenie i włączyłam je z powrotem. Nadal cisza. Kiedy włożyłam klucz do zamka i otworzyłam drzwi, dotarło do mnie, że to odgłosy remontu dobiegające zza zasłony z brezentu: stolarze pilowali drewno, wyprawiali ściany lub układali deski podłogowe.

Podłoga w mieszkaniu o powierzchni stu osiemdziesięciu metrów kwadratowych była wykonana z solidnego wiśniowego drewna charakterystycznego dla północnej części stanu Nowy Jork. Mieszkanie miało imponującą długość trzynastu metrów. Z korytarza wchodziło się do salonu, który zajmował tył budynku. Po lewej stronie znajdowały się dwa pomieszczenia: kuchnia i jadalnia, z której również można było przejść do salonu. Po prawej mieściła się łazienka i dwie sypialnie.

Słyszałam echo własnych kroków. Wpadające do mieszkania światło było zbyt mocne, raziło mnie w oczy. Irytująco białe ściany pozbawione były wyrazu. Sprawdziłam drzwi i okna. Drzwi wejściowe zaopatrzone w zasuwkę z podwójnym cylindrem otwieraną kluczem, a także zamek wpuszczany, stosowany zwykle w starszych budynkach, który praktycznie uniemożliwiał włamanie.

Nagle z elektronicznej niani dobiegły głośne trzaski, które po kilku sekundach zamilkły. Przelączyłam ją na drugi kanał. Cisza. Wróciłam do pierwotnego ustawienia i usłyszałam męski głos. Zanim dobiegłam do samochodu z urządzeniem w dłoni, cisza zamieniła się w delikatne pomrukiwanie, później pojękiwanie, aż wreszcie w głośny protest. Przerywanym wrzaskom Mii towarzyszyły rozpaczliwe próby złapania powietrza.

Wsunęłam rękę do torebki w poszukiwaniu kluczyków, a kiedy uniosłam wzrok, stałam oko w oko z mężczyzną w butach z okutymi noskami. Przeniósł spojrzenie z samochodu wibrującego od krzyków na mnie i elektroniczną nianię, którą trzymałam. Zadzwońiła moja komórka; firma od przewodządek chciała potwierdzić adres. Kiedy się odwróciłam, mężczyzny już nie było.

Tydzień później stanęłam przy oknie, rozsunałam zasłony i wyjrzałam w jesienną noc. Było prawie ciemno, ulice opustoszały, nie licząc kilku osób, które wyprowadzały psy na ostatni spacer, zanim te zwiną się w kłębek na kanapie lub podłodze w kuchni. Liście poniewierały się jak papierowe śmieci, by w końcu trafić do studzienek kanalizacyjnych, na żelazne kraty w oknach lub do kałuż na chodniku.

Zaciągnęłam zasłony, tak by spotkały się w połowie szerokości okna, i odgrodziłam się od ciemności. Zmierzch w Nowym Jorku nie był moją ulubioną porą dnia. Hałasy miasta – ruch uliczny, głosy zabieganych ludzi i wrzaski dzieciaków na szkolnym boisku po przeciwnej stronie ulicy – nigdy całkowicie nie ustawały, lecz zwalniały jak zegar, który trzeba ponownie nakręcić.

Jakiś czas później ocknęłam się z drzemki z brzęczącym echem w uszach. Przez chwilę nasłuchiwałam, ale w domu panowała cisza. Zamknęłam oczy. Brzęczenie rozległo się znowu i dotarło do mnie, że to pewnie dzwonek do drzwi. Podeszłam do nich i zerknęłam przez wizjer. Dostrzegłam niewyraźny zarys męskiej sylwetki.

– Tak? – odezwałam się przez zamknięte drzwi.

– Pani Paradise?

– Tak.

– Nazywam się David Lieberman.

Z początku nie skojarzyłam nazwiska, lecz zaraz przypomniałam sobie, że Jack i zarządczyni nieruchomości wspominali o mieszkającym piętro wyżej najemcy doglądającym remontu. Miałam przeczucie, że mężczyzna nie odejdzie, dopóki z nim nie porozmawiam.

– Chwileczkę – powiedziałam, ignorując popiskującą w łóżeczku Mię. Otworzyłam drzwi, nie zdejmując łańcucha, i popatrzyłam przez szparę.

– Jak ciśnienie? – Lieberman spojrzął na swoje ręce i zaczął sobie czyścić paznokcie.

– Co takiego? – Miałam ochotę powiedzieć, żeby zostawił mnie w spokoju, lecz pewnie przekazałby to Jackowi, a ten zadzwoniłby do mnie i skarcił za niegrzeczne zachowanie. W końcu zdaniem Jacka Lieberman był tu po to, żeby nam pomóc.

– Ciśnienie. Wody.

– Słucham?

– Ciśnienie wody. – Akcentował każdą sylabę, jakbym nie znała angielskiego albo była przygłucha.

– Coś z nim nie w porządku?

Przekrzywił głowę.

– W mieszkaniu ktoś płacze – zauważył.

– Co mogę dla pana zrobić? – Zignorowałam jego komentarz.

– Jeśli wyjmie ją pani z łóżeczka, przestanie płakać. Słyszałam ją przez cały dzień. – Przyglądał mi się z uwagą. – Ściany w tym domu nie są specjalnie cienkie, ale dźwięki i tak się niosą.

– To co z tym ciśnieniem wody? – zapytałam, starając się zachować obojętną minę.

– Brała pani ostatnio prysznic? – Otaksował mnie spojrzeniem przez szparę w drzwiach: przetluszczone włosy, pognieciona koszulka i spodnie, których nie zmieniałam od tygodnia. – Jest problem z hydrauliką, robotnicy naprawiają rury.

– Nie zauważyłam.

– Ona nie przestanie płakać, dopóki nie weźmie jej pani na ręce. – Wyciągnął szyję, żeby zobaczyć, co się dzieje za moimi plecami.

Doszłam do wniosku, że moja wystudiowana obojętność jest błędem.

– Zadzwonię do pana, gdy już sprawdzę to ciśnienie, dobrze?

Zamknęłam drzwi. W drodze do pokoju dziecięcego zauważyłam swoje odbicie w lustrze. Wyglądałam na wycieńzoną, miałam zapadnięte policzki, moje oczy przypominały czarne dziury otoczone głębokimi cieniami. Nie pamiętałam, kiedy ostatnio brałam prysznic.

Kilka godzin później znów rozległ się dzwonek do drzwi. Tym razem je otworzyłam i stanęłam w progu. Zupełnie zapomniałam o rurach i ciśnieniu wody.

– Ciśnienie wydaje się w porządku – skłamałam – ale szczerze mówiąc wcześniej też nie zauważyłam problemu.

– Czy miałaby pani coś przeciwko, gdybym to jednak sprawdził?

Nic nie powiedziałam.

– Spotkałem pani męża kilka razy. – Zawahał się lekko, nim dodał: – Prosił, żebym miał panią na oku.

– Nie potrzebuję niańki.

– Może źle się wyraziłem. Chciał, żebym w razie czego pani pomógł. Hydraulika, elektryka, czegokolwiek będzie pani potrzebowała, wystarczy powiedzieć. Jestem albo przez ścianę, albo na górze. Z wyjątkiem weekendów, wtedy nigdy mnie tu nie ma. Odwiedzam siostrę, która mieszka w północnej części stanu. Za to w dni robocze, od poniedziałku do piątku, jestem do pani dyspozycji. – Uśmiechnął się do mnie i przekrzywił głowę. – Nie zadzwoniła pani i wtedy dotarło do mnie, że nie ma pani mojego numeru. – Podszedł bliżej i podał mi kawałek papieru. Poczulałam zapach trocin i oleju.

– Nie wiem, co mój mąż panu powiedział, ale dostałam od firmy przeprowadzkowej kontakty do hydraulików i elektryków.

Lieberman skinął głową.

– Czy ma pani pojęcie, jak długo czeka się w tym mieście na elektryka? Ma pani ważniejsze sprawy na głowie – dodał i uniósł brwi.

Z głębi mieszkania dobiegało marudzenie Mii.

– Racja – powiedziałam i sięgnęłam do drzwi.

– Spędzam całe dni w otoczeniu gwoździarek i pił. Czasami bywa tak głośno, że później godzinami dzwoni mi w uszach – powiedział i poklepał dłonią prawe ucho. Uśmiechnął się, nie pokazując zębów, i zdjął czapkę z logo New York Yankees. – Wracam wieczorem do domu i słyszę przez podłogę płacz dziecka. Mówię tylko, że musi być pani trudno tak całkiem samej.

Bez czapki wyglądał młodziej.

– Sprawdzę ciśnienie i tym razem do pana zadzwonię, słowo.

– W porządku. Jak się pani nie odezwie, po prostu tu wrócę – powiedział i się roześmiał.

Posłałam mu uśmiech – przyjacielski, lecz niezachęcający. Nim zamknęłam drzwi, usłyszałam przesuwanie brezentu i przez sekundę odgłosy prac się wzmożyły. Później zasłonę zaciągnięto i znów nastąpiła cisza.

*

Kilka przecznic od North Dandry mieścił się żłobek oferujący opiekę na godziny.

– Oto nasz regulamin. Godziny przyprawdzania dzieci do tej grupy są elastyczne, wystarczy je ustalić z opiekunką. – Siedząca w recepcji kobieta w średnim wieku ubrana w pobrudzony lodami mundurek wręczyła mi plik papierów.

Zwiedziłyśmy budynek. Za szklaną ścianą dwie opiekunki w różowych uniformach siedziały w wyściełanych bujanych fotelach; każda z nich trzymała w ramionach niemowlę.

– Dziecko musi mieć komplet aktualnych szczepień – powiedziała recepcjonistka i wsunęła okulary głębiej na nos. – Dostała pani ode mnie listę wymaganych przez prawo szczepień. Proszę ją pokazać pediatrze. To standardowa procedura.

Minęłyśmy okno pokoju dla maluchów, gdzie około tuzina dzieci, w trzy- i czteroosobowych grupach leżało na podłodze, jak rozrzucone litery alfabetu.

Dołączyła do nas kobieta w fioletowym kitlu. Przedstawiła się jako dyrektorka i popatrzyła na wymachującą rączkami i nóżkami Mię.

– Czy pani córka ma jakieś specjalne wymagania, o których powinniśmy wiedzieć? – zapytała.

Tymczasem Mia na chwilę przestała płakać, żeby zaczerpnąć tchu.

– Jest dzisiaj trochę marudna – powiedziałam, usiłując wetknąć jej do buzi smoczek.

– Proszę pamiętać o karcie szczepień. Nie będziemy jej mogli przyjąć, jeśli karta okaże się niekompletna – przypomniała mi kobieta w fiolecie.

Podpisałam wymagane dokumenty i wręczyłam jej czek regulujący wpisowe.

Kiedy wyszłam ze żłobka, pomyślałam o rzeczach, które ostatnio wzbudziły mój niepokój: butelka, którą – jak mi się wydawało – zostawiłam na blacie, odnalazła się w lodówce, ubranka rozwieszane przeze mnie na łóżeczku znalazły się w koszu na pranie, okna same się uchylały, a brudne pieluchy, które zostawiałam w różnych miejscach, lądowały w koszu. Pewnie to tylko gra mojej wyobraźni; Jack raczej nie przylatywałby z Chicago do Nowego Jorku, żeby potajemnie mnie sprawdzać i przesuwac rzeczy w domu. Zawinił „mózg mamusi”, jak nazywali go niektórzy, zakładając, że część mózgu, która niegdyś odpowiadała za planowanie i przewidywanie przyszłości, była teraz zajęta opieką nad dzieckiem. Pewnie nie mogłam się odnaleźć w nowym otoczeniu, ale nie potrzebowałam jeszcze jednego powodu do zmartwień.

Mia spała w wózku, kiedy weszłam do sklepu żelaznego kilka przecznic od North Dandry. Sprzedawca w sklepie „Taylor. Narzędzia, systemy zabezpieczeń i zamki” nosił fartuch z wyszytym kursywą na kieszeni imieniem LARRY, które ledwie można było odczytać; nieco bardziej zawiłe imię byłoby całkowicie nieczytelne. Larry wdrapywał się na drabiny i ściągał pudła z najwyższych półek, podczas gdy ja słuchałam uważnie jego wykładu, usiłując zapamiętać typy zamków, które mogłabym u siebie zamontować.

– Jaki rodzaj zamków posiada pani obecnie? – zapytał i wsunął wielkie okulary głębiej na nos, zostawiając odciski palców na szklach. Spoglądał na mnie zza nich zażawionymi oczami.

– Zasuwkę otwieraną od zewnątrz kluczem, a od wewnątrz ręcznie. Mam też łańcuch. – Mia poruszyła się w wózku i wiedziałam, że od wybuchu płaczu dzielą ją minuty.

– Szuka pani dodatkowego zabezpieczenia? Na przykład zamka z rygłem?

– Strzeżonego pan Bóg strzeże.

Mia zaczęła się wiercić i wymachiwać rączkami. Zakolysałam wózkiem, wiedząc, że wzięcie jej na ręce nie pomoże. Miałam nadzieję, że zdążę kupić zamek, nie wysłuchując rad Larry'ego na temat uspokajania niemowląt. Mia wydawała się bardziej zadowolona w wózku niż u mnie na rękach, jakby mój dotyk był dla niej największą karą.

Oczy Larry'ego za szklami okularów wydawały się ogromne, kiedy podniósł głos, żeby przekrzyczeć płacz Mii.

– A co pani powie na klasyczny system alarmowy, głośny jak diabli? – zapytał. – Firma ochroniarska przyśle do pani samochód w ciągu kilku minut od włączenia się alarmu. Mamy specjalną promocję: dwadzieścia procent zniżki plus bezpłatna instalacja.

– Nie chcę nikogo powiadamiać, tylko porządnie zamknąć drzwi. – Jeździłam wózkami w przód i w tył, próbując uspokoić Mię.

– System alarmowy to...

– Proszę mi powiedzieć, które z zabezpieczeń mogę zamontować sama. – Zerknęłam na zegarek. Larry odebrał to jako gest zniecierpliwienia i zaczął zdejmować tekturowe pudełka i metalowe części z półki za plecami. – Potrzebuję też narzędzi – dodałam. – Śrubokrętu i wiertarki.

– Ależ ma silne płuca. – Larry popatrzył na Mię, której twarz poczerwieniała, a usta przypominały wrota piekieł.

– Niech mi pan poda to, o co proszę. I nie zapomni o narzędziach.

Nie zraziła go moja obcesowość.

– Na pewno sobie pani poradzi? Porozmawiam z szefem; na pewno się zgodzi, żeby dorzucić pani bezpłatny montaż, jeśli mieszka pani w okolicy.

– Mieszkam niedaleko stąd – przyznałam, ponownie spoglądając na zegarek.

– Sam mogę zamontować te zamki, jeśli pani chce. – Podszedł bliżej, a kiedy sięgnęłam po pudła, nie od razu mi je podał. – Mówię poważnie. Mamy teraz specjalną promocję.

Po zapłaceniu wyszłam ze sklepu, świadoma tego, że mnie obserwuje, kiedy mijałam szklaną witrynę. Zauważyłam malujące się na jego twarzy rozczarowanie, kiedy zapłaciłam gotówką.

Wiedziałam, że chciał zerknąć na moją kartę kredytową i zapamiętać nazwisko, może nawet wyszukać je później w internecie. Albo poprosić mnie o prawo jazdy, żeby dowiedzieć się, gdzie mieszkam.

W domu od razu zabrałam się do pracy, ale szybko dotarło do mnie, że przeceniłam swoje możliwości. Nie potrafiłam nawet utrzymać wiertarki w ręku ani precyzyjnie wyznaczyć miejsc, w których powinny się znaleźć śrubki.

Dwie godziny później metalowe drzwi mieszkania były porysowane i wgniecione. Przyglądałam się elementom, które kupiłam w sklepie żelaznym. Wczytywałam się w zamieszczone na pudełkach instrukcje, aż kompletnie straciły sens. Rygiel wydawał mi się zbyt długi i nie mogłam znaleźć stalowej wkładki. Jeden z zamków był wyposażony w swobodnie obracający się cylinder, ale śrubki były zbyt krótkie, żeby dosięgnąć drewnianego szkieletu pod framugą drzwi. Byłam sfrustrowana, spocona i zniechęcona; miałam poobijane kłykcie.

Adres i telefon do sklepu żelaznego były wydrukowane na rachunku i liczyłam, że oferta Larry'ego dotycząca darmowej instalacji jest nadal aktualna. Zadzwoiłam do sklepu i poprosiłam go do telefonu. Słyszałam odgłos przekładania papierów i wiszącego nad drzwiami dzwonka. W końcu Larry podniósł słuchawkę. Przedstawiłam się, powiedziałam, co kupiłam, i zapytałam, czy nadal mogę skorzystać z usługi bezpłatnego montażu.

– No właśnie – odezwał się Larry i usłyszałam w tle dźwięk otwierania i zamykania kasy. – Byłem ciekaw, czy poradziła sobie pani z zamkami. Mogę wpaść po pracy i rzucić na nie okiem. Przypomni mi pani swój adres?

– North Dandry 517, mieszkanie 1A. Dom jest w tej chwili remontowany i zamierzałam poprosić o pomoc kogoś z robotników, ale... No cóż... Nie chcę im przeszkadzać.

– Jak już mówiłem, zajmę się tym po pracy. To taki ukłon w kierunku naszych klientów.

Umówiliśmy się na konkretną godzinę i odłożyłam słuchawkę. Jeśli Larry szybko uwinie się z robotą, ani Lieberman, ani Jack nie dowiedzą się, że zainstalowałam dodatkowy zamek. Kiedy skończyłam rozmawiać z Larrym, z pokoju Mii dobiegł cichy płacz. Nie zapowiadało się, żebym w najbliższym czasie wzięła prysznic, lecz przynajmniej montaż zamków wydawał się pewny. Gdy już nakarmiłam i przewinęłam Mię, wzięłam ją na ręce i stanęłam przy oknie wychodzącym na ulicę. Okno było wyposażone w oryginalne kraty z kutego żelaza, które wydawały się bardzo solidne i bezpieczne, chyba że ktoś postanowiłby je przeciąć piłką do metalu.

Larry zjawił się z pasem z narzędziami ciasno zapiętym na biodrach, ponad którym zwisał mu brzuch. Ostrożnie ułożył wszystkie elementy na terakocie w korytarzu.

– Zamki mają swoją osobowość, wie pani? – powiedział.

– No cóż, jakoś nie znalazłam z nimi wspólnego języka – przyznałam i przelożyłam Mię z jednego biodra na drugie.

Mia niespodziewanie zapiszczała, przez co Larry upuścił na ziemię wiertarkę, która zostawiła w kafelku postrzępioną rysę.

– Cholera – zaklął i przyjrzał się szkodzie. – Przestraszyła mnie ta mała. Wymienię to pani za darmo.

Nie chciałam, żeby znowu tu przychodził.

– Niech się pan nie przejmuj. Sama to naprawię. W korytarzu jest mnóstwo takich płytek.

To, z czym biedziłam się przez kilka godzin, jemu zajęło dwadzieścia minut.

– Mogę pani jeszcze jakoś pomóc? – zapytał, wkładając narzędzia do czerwonej skrzynki. – Skoro już tu jestem. Prawdziwa ze mnie złota rączka. – Puścił do mnie oczko i wierzchem dłoni otarł pot z czoła. – Jeśli to dla pani nie kłopot, proszę zadzwonić do mojego szefa i pochwalić moją pracę. Zbliżają się święta, czas premii.

Obiecałam, że to zrobię i że odezwę się, gdybym jeszcze czegoś potrzebowała, i szybko zamknęłam za nim drzwi. Były poobijane, z poodpryskiwaną farbą, lecz przynajmniej miałam zamki, dzięki którym mogliśmy się czuć bezpiecznie. Jack nie będzie miał możliwości tak po prostu

wparować do mieszkania bez zapowiedzi, nawet jeśli ma klucz. A ja nie będę musiała się zastanawiać nad stanem swojego zdrowia psychicznego za każdym razem, kiedy coś będzie leżało nie na swoim miejscu.

Później tego samego wieczoru podeszłam do kominka i przesuwałam pogrzebaczem polana, aż wreszcie ogień zaczął wesoło trzaskać. Usiadłam przed kominkiem w pozycji lotosu i trzymałam dłonie w górce, dopóki byłam w stanie znieść ciepło płomieni. Rozejrzałam się po skromnie urządzonej sypialni, na którego wyposażenie składały się kanapa, krzesło i stary stół.

Architekt Jacka postanowił urządzić w kamienicy cztery mieszkania, żeby wykorzystać rosnące ceny nieruchomości. Jedno zajmował Lieberman, drugie ja. Dwa pozostałe mieszkania nadal były w remoncie. Wyobraziłam sobie, jak musiał wyglądać ten budynek sto lat temu. Pod warstewką zużycia i zaniedbania skrywał się dawny przepych. Salony zmniejszono o połowę, kuchnie również stały się mniejsze, chociaż bardziej praktyczne, a przestronne hole zniknęły całkowicie. Drzwi prowadzące do salonu straciły dawny blask, zaś marmurowe gzymsy kominków wymieniono. Tynki pozostały nienaruszone, lecz tu i ówdzie dało się zauważyć, że były latane. Wszystkie wewnętrzne drzwi i listwy nosiły ślady zużycia, ale miało to swój czar – piękno niedoskonałości. Byłam ciekawa, skąd się wzięły poszczególne rysy i zadrapania. Pokoje były przestronne i wysokie na cztery metry. Piękne mahoniowe drzwi stanowiły najbardziej charakterystyczną cechę tego mieszkania.

Stiuki na suficie, wykonane raczej maszynowo niż ręcznie, były z masy papierowej, nie z gipsu. Połączenie luksusu, dawnej świetności i ozdobnej bylejałości nadawało wnętrzu magiczny urok. Ponieważ mieszkanie na parterze miało dokładnie taki sam rozkład pomieszczeń jak to na pierwszym piętrze, wydzielono cztery identyczne apartamenty, do których wchodziło się z holu stworzonego z dawnego foyer.

Lewa część domu, mieszkania 2A i 2B, nadal była w remoncie, za to prawa – 1A i 1B – została wykończona prawie dziewięć miesięcy wcześniej.

Podczas naszego pierwszego spotkania pani Drake wyjaśniła mi sytuację prawną budynku. Większości nie zrozumiałam, ale dotarło do mnie, że wydłużenie remontu dwóch mieszkań było spowodowane pozwem złożonym przez Jacka przeciwko wykonawcom. Ugoda określała termin, w jakim musieli oni dokończyć remont lewej części domu.

Płomień w kominku uspokoił się i rzucał na ściany subtelne cienie, których widok przynosił mi ukojenie. Gdy różnokolorowe pelgające płytki zamieniły się w dogasającą pomarańczową lunę, zmorzył mnie sen.

Następnego ranka – cztery puste butelki leżące na kanapie stanowiły dowód nocnych karmień – zażyłam dwie tabletki aspiryny na ból głowy. Czekałam, aż szum w uszach ustanie i myśli przestaną się kotłować.

Usłyszałam dzwonek do drzwi, a tuż po nim płacz Mii. Poszłam do jej pokoju, wzięłam ją na ręce i ku mojemu zdziwieniu uspokoiła się w tej samej sekundzie, w której dotknęła ustami butelki.

Wyrzałam przez wizjer i zobaczyłam przemykający za drzwiami cień. Po kilku minutach dzwonek zabrzmiał ponownie. Tym razem otworzyłam drzwi. Na progu stał David Lieberman. Skłonił głowę i zdjął czapkę.

– Muszę zmierzyć ciśnienie. Wygląda na to, że będziemy musieli przepłukać rury.

– Wydawało mi się, że już wszystko naprawione – powiedziałam i dotarło do mnie, że ból głowy ustał. – Kuchnia czy łazienka?

– Kuchnia. Układ rur w tym budynku to istny labirynt.

– Mam odkręcić wodę i co później?

– Mogę? – Lieberman położył rękę na drzwiach i zamarł. – Co tu się stało? – zapytał, gładząc powierzchnię drzwi opuszkami palców, pieszcząc każdą rysę i wgłębienie.

– Kazałam zamontować dodatkowy zamek.

– Kazała pani zamontować dodatkowy zamek – powtórzył zdziwiony, pocierając łuszczącą się farbę. – Niskie ciśnienie to niedogodność, ale zbyt wysokie potrafi narobić poważnych szkód – stwierdził, sięgając po miernik.

Mia marudziła w łóżeczku, poirytowana i niesklonna do drzemki. Słyszałam, że się niecierpliwi, przerwy między kolejnymi utyskiwaniami stawały się coraz krótsze, a protesty głośniejsze i bardziej natarczywe.

Otworzyłam szerzej drzwi i zesłałam Liebermanowi z drogi. Ruszył prosto do kuchni i przykręcił miernik do kranu. Wymamrotałam przeprosiny i poszłam do pokoju Mii, żeby zmienić jej pieluszkę. Położyłam ją na przewijaku i pochyliłam się nad nią, przemawiając łagodnie, w nadziei, że będzie grzeczna. Zabawka, którą jej podałam, wylądowała na podłodze. Mia była zachwycona, że uwolniła się z pieluchy, prostowała nóżki, ciesząc się nagłym uczuciem swobody. Przepełniała ją czysta radość, dopóki nie nadszedł czas założenia nowej pieluszki. Staralam się ją czymś zająć, lecz jej ciało się napięło, a nóżki zeszytywniały do tego stopnia, że trudno mi było przełożyć przez nie pieluszkę i zapiąć rzepy. Kiedy wreszcie skończyłam, Lieberman nadal tkwił pod zlewem w kuchni.

– Czy nie powinien na to rzucić okiem hydraulik?

Wyraźnie pamiętałam, że Lieberman miał tylko doglądać pracy wykonawców. Stał przy zlewie i odkręcił kran, z którego poleciało kilka kropel wody. Z rur wydobył się buczący odgłos, później ściany wokół nas zaczęły wibrować i poczułam drżenie podłogi pod stopami.

– Muszę zakręcić główny zawór wody. – Lieberman wskazał Mię na moich rękach. – Będzie pani musiała przez jakiś czas używać butelkowanej wody.

– Jak długo to potrwa?

Nie zdążył nawet wypakować narzędzi, więc zaczęłam się zastanawiać, czym się zajmował przez cały ten czas, kiedy ja zmieniałam Mii pieluszkę, przebierałam ją i karmiłam resztką mleka, którego nie dopiła przed drzemką. Poczułam lekkie zniecierpliwienie.

– Zajmę się rurami – powiedział i sięgnął po klucz. – A pani niech tylko pójdzie po wodę. – Wskazał na leżącą na blacie torebkę.

Nie miałam ochoty ubierać się i biec do sklepu po wodę, ale wzięłam torebkę i wyszłam, szczęśliwa, że mogę uciec od pojękujących rur i towarzystwa Liebermana.

Kiedy mijalam sklep, do którego zwykle chodzę, Mia płakała. Postanowiłam pójść przecznieć dalej. Chwilę później zaczęło padać, więc nakryłam wózek koczykiem. Zanim weszłam do sklepu, Mia już spała. Sprzedawca stał w otoczeniu zafoliowanych czasopism pornograficznych i pewnie miał pod ręką strzelbę.

Chwyciłam baniak z wodą i podeszłam do kasy. Postawiłam baniak na ladzie. Kiedy sięgnęłam do torebki, okazało się, że nie ma w niej portfela. Grzebałam bezsensownie po przegródkach pełnych chusteczek i rachunków, podczas gdy sprzedawca przyglądał mi się ukradkiem. Wymamrotałam przeprosiny i szybko wyszłam ze sklepu.

Kiedy wróciłam na North Dandry, Liebermana już nie było. Wszedłszy do kuchni, od razu zauważyłam swój portfel pod sterą poczty i innych papierów. Obok stała butelka wody. Pokręciłam głową, karcąc się w duchu za roztargnienie.

Otworzyłam drzwi lodówki. Ogarnęła mnie dojmująca rozpacz na widok rzędu butelek wypełnionych mlekiem dla niemowląt.

Nie próbowałam nawet szukać logicznego wytłumaczenia tego, że nie pamiętam, co robiłam zaledwie kilka godzin wcześniej. Gdzieś pomiędzy portfelem, wodą, a mlekiem musiałam przyznać sama przed sobą, że nie jestem już zapominalska tylko chorobliwie zagubiona.

Próbowałam o tym zapomnieć, ale nie potrafiłam. Natarczywy głos w mojej głowie szeptał: O czym jeszcze zapomnisz?

OKOLICZNOŚCI PORWANIA MII CONNOR

Brooklyn, Nowy Jork – Społeczeństwo żyje sprawą zaginięcia siedmiomiesięcznej Mii Connor. Okoliczności jej zniknięcia wydają się co najmniej niepokojące.

Krótko przed zaginięciem córki Estelle Paradise kazała zamontować w mieszkaniu dodatkowe zamki. Według sprzedawcy ze sklepu „Taylor. Narzędzia, systemy zabezpieczeń, zamki” chciała „odgrodzić się od ludzi”. Sprzedawca opisał ją jako „załęknioną i nerwową”, dodał również, że „nie zajmowała się dzieckiem. Mała przez cały czas płakała”.

Trzydziestego września kamera przemysłowa w sklepie zarejestrowała, jak Estelle Paradise (lat 27) próbuje kupić baniak wody. Nie płaci za niego, lecz wybiega ze sklepu, zostawiając baniak na ladzie. Pierwszego października Estelle Paradise odkrywa, że łóżeczko jej córki jest puste. Nie powiadamia o tym fakcie policji.

Na nagraniu z kamery przemysłowej widać, jak w niedzielę wchodzi do budynku Siedemdziesiątego Komisariatu na Brooklynie i biegnie z wymiotować do łazienki, a następnie opuszcza komisariat, nie rozmawiając z posterunkowym, który zapamiętuje ją jako „zaniedbaną i wycieńczoną”.

Estelle Paradise zostaje znaleziona czwartego października na dnie wąwozu w Dover, w stanie Nowy Jork, z obrażeniami, które zagrażają jej życiu. Pośród znalezionych w samochodzie przedmiotów znajduje się pistolet. Piątego października trafia do szpitala na Brooklynie w stanie ciężkim. Następnego dnia jej mąż, ojciec Mii, Jack Connor (lat 38) przyjeżdża do szpitala. Według anonimowego źródła zarzuty zostaną jej postawione za jakieś dwa tygodnie, w zależności od postępów w rekonwalescencji. Obecnie jej stan określa się jako stabilny.

CZEŚĆ 2

*Zaczynij od początku – odparł z powagą Król –
doczytaj do końca, a potem przerwij czytanie.*

Lewis Carroll, *Alicja w Krainie Czarów*,
tłum. Antoni Marianowicz

WIADOMOŚĆ Z OSTATNIEJ CHWILI NIE POSTAWIONO ŻADNYCH ZARZUTÓW ESTELLE PARADISE, MATCE ZAGINIONEJ SIĘDMIOMIESIĘCZNEJ MII CONNOR

Brooklyn, Nowy Jork – Do tej pory nie postawiono formalnych zarzutów Estelle Paradise, matce zaginionego niemowlęcia, Mii Connor.

W poniedziałek rano wszyscy z niecierpliwością czekali na pojawienie się Estelle Paradise w budynku sądu i ewentualne postawienie jej w stan oskarżenia. W związku z brakiem ciała prawnicy za najbardziej prawdopodobny zarzut uznawali morderstwo drugiego stopnia lub nieumyślne spowodowanie śmierci.

Oświadczenie prokuratora okręgowego wprawilo wszystkich w osłupienie.

Wygłosił on krótkie przemówienie dla mediów, których przedstawiciele zebrali się w sądzie wiele godzin wcześniej. „Estelle Paradise oczekuje obecnie na udzielenie jej pomocy psychiatrycznej w miejscu, którego lokalizacja nie zostanie ujawniona. Na tym etapie nie zostaną jej przedstawione żadne formalne zarzuty. Na czas trwania śledztwa odmawiamy wszelkich komentarzy. Nie będę też odpowiadać na żadne pytania”.

Kiedy prokurator okręgowy Barrymore odsunął się od mikrofonu, wśród dziennikarzy zawrzało. Biuro prokuratora okręgowego nie odpowiedziało na żaden z telefonów od rozlicznych stacji informacyjnych.

Rozdział 11

Kiedy przejeżdżamy przez rzekę Hudson, dostrzegam kątem oka miasteczko Creedmoor przycupnięte na wzgórzu z widokiem na East River. Jack jest przybity, zachowuje się niemal jak w transie. Prowadzi w milczeniu, dopóki nie skręca gwałtownie w prawo, niemal doprowadzając mnie do wymiotów. Wbijam obcasy w dywanik, ponieważ istnieje tylko jedna rzecz, której Jack nienawidzi bardziej niż damskich lez: wymiociny na jego antracytowych siedzeniach ze skóry korynckiej. Samochód ślizga się jak na podłożu ze szklanych kulek, po czym gwałtownie staje.

Patrzę, jak Jack chowa twarz w złożonych dłoniach. Nagle pochyla się, jego ramiona zaczynają drżeć, trze dłońmi oczy. Dociera do mnie, że on płacze. Podnosi na mnie wzrok, a ja jestem zdumiona.

Nie udziela mi się jego ból, być może dlatego że od tak dawna przeżywałam w samotności własny, że nie potrafię już pocieszyć Jacka. Patrzę na płynące z jego oczu łzy i przypominam sobie różne fakty: łzy szczęścia wypływają z prawego oka, pierwsza łza z lewego oka sygnalizuje ból, ale nie pamiętam, czy to prawda, czy mit – tak czy owak Jackowi nie do twarzy z łzami. Robię serię głębokich wdechów, żeby uspokoić żołądek i jednocześnie próbuję zrozumieć, co się dzieje z moim mężem. Zanim jednak udaje mi się coś wymyślić, Jack bierze się w garść i jego wybuch kończy się równie szybko, jak się rozpoczął. Kiedy wreszcie się odzywa, mówi tak cicho, że ledwie mogę go zrozumieć.

– Przez całe życie potrafiłem sobie radzić z problemami innych. Nagle dzieje się coś takiego, a ja kompletnie, kurwa, nie wiem, co robić.

Opowiada mi, że nie może zasnąć, tylko przewraca się z boku na bok, gryząc się tym wszystkim, i że nie jestem tą samą kobietą, którą poślubił – tamta była zaradna i godna zaufania – a on zastanawia się, czy ona jeszcze kiedyś do niego wróci, zresztą to i tak bez znaczenia, bo nie już nie będzie takie samo. Opowiada mi też, że jest rozdarty – nie zdradza tylko pomiędzy czym a czym – i całymi dniami rozmyśla o tym, co naprawdę się wydarzyło. Takie życie nie ma sensu, poza tym ciągnęła walka wcale nie jest przejawem odwagi, on nie ma już siły walczyć za nas oboje, a miłość do córki to jedyne, co mu pozostało. Mia jest taka mała i krucha i nigdy nikogo nie skrzywdziła, to wszystko jest pozbawione sensu, on nie daje już sobie z tym rady, ale zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby sprowadzić naszą córkę do domu. Na koniec dodaje:

– Nie wiem, co zrobiłaś lub czego nie zrobiłaś, Estelle, ale nie mogę się nad tym dłużej zastanawiać i dlatego muszę się wycofać.

Wycofać się. Nie potrafię sobie wyobrazić, z czym by się to miało wiązać. Wyobrażenia podpowiada mi coś złowieszczonego i ostatecznego, ale mam trudności z zebraniem myśli i nie jestem pewna, co się dzieje, więc tylko siedzę, słucham i patrzę na niego, mając nadzieję, że moja twarz wyraża współczucie i zaangażowanie. Chcę być pomocna i mam nadzieję, że jestem, lecz nie mogę być tego pewna. Ogarnął mnie błogi stan zobojeźnienia na jego ból i chcę w nim trwać tak długo, jak tylko się da.

– Spotkałem w swoim życiu ludzi winnych, niewinnych i takich, co do których nie mam pewności, czy byli winni, czy nie, i wszyscy oni mieli prawo do procesu i obrony, na tym właśnie polega rola prawnika, na tym opiera się cały system prawny. Ale ten przypadek jest inny, osobisty, chodzi o moją córkę.

Jack przez cały czas usiłuje obejść to, co naprawdę chce powiedzieć. Jego emocjonalną rozterką jest miłość do córki – muszę przyznać, że wie, co jest w życiu ważne – ale chciałabym, żeby powiedział wprost: „Nie wiem, czy jesteś winna, czy nie”. Do tego to się sprowadza.

Później rozwdzi się nad tym, że niczym sobie na to nie zasłużył, chciał tylko ją chronić, otaczać opieką, i że musi się skoncentrować na tym, co jest ważne, a nie może tego zrobić, kiedy jest przy mnie. Wylączęm się, nie celowo, tak się po prostu czasami dzieje, a kiedy wracam do rzeczywistości, nie jestem pewna, czy nie umknęło mi coś istotnego. Jack używa słów takich jak „wątpliwość” i „odpowiedzialność”, łatwo mu one przychodzą, podobnie jak „zrozumienie” i „lekceważenie”. Mój umysł krzyczy, jednak nie potrafię zinterpretować słów, które kołają mi się w głowie, nie umiem ich ustawić we właściwym porządku, nadać im sensu. Usiłuję się skoncentrować, sformułować logiczne zdanie, które przekonaloby go, że zasługuję na jego zaufanie. Pragnęłabym mu wykrzyknąć, że to właśnie ja chciałam ją chronić, że w niczym się nie różnimy, że ja też na to wszystko nie zasłużyłam i co u diabła ma znaczyć, że Jack zamierza się wycofać?

Doznaję naglego olśnienia i widzę, że to on mnie zawiódł, że to jego należy obwiniać, że to on nie spełnił swojego obowiązku, że ja przynajmniej próbowałam, podczas gdy on... po prostu postawił na mnie krzyżyk. Mia nie była bezpieczna, ponieważ ja nie czułam się dobrze, a on mnie zostawił, więc de facto porzucił nas obie dawno temu.

Jednak nie mówię mu tego, ponieważ wiele razy rozmawialiśmy o moich uczuciach i wiem, że Jack ma dość dyskusowania o moim bólu. Teraz chodzi wyłącznie o niego i o powód, dla którego podjął decyzję o... jak on to nazwał? O wycofaniu się.

– Przepraszam – mówi i załamuje mu się głos. – Nie potrafię myśleć o tym, co spotkało moją córkę i jednocześnie cię kochać.

Spoglądam na swoje odbicie w bocznym lusterku. Jack ma rację, jak zawsze; nie sposób powiedzieć, co zrobiłam. Nie można mi zaufać. Chcę go pocieszyć, zapewnić, że go rozumiem i że powinien się skoncentrować na odnalezieniu naszej córki, chcę powiedzieć coś rozsądnego, okazać mu wsparcie i czuję, że mi się uda, ufam sobie na tyle, by uwierzyć, że mogę go jakoś podnieść na duchu. W moim słowniku muszą się znajdować właściwe słowa.

– Czasami wyobrażam ją sobie martwą – mówię, patrząc prosto przed siebie. Słyszę swój głos, cichy i potulny, i wiem, że po raz kolejny go zawiódłam.

Później Jack zostawia mnie w izbie przyjęć w Creedmoor, a kiedy pielęgniarka schyla się po moją walizkę, dociera do mnie, że wyszedł bez pożegnania. Dopiero wtedy zaczynam się zastanawiać, ile porażek poniósł w życiu Jack, i nie przychodzi mi do głowy ani jedna, oprócz mnie. Jack nie widzi się w roli przegranego, ot co. A ja postanawiam porzucić nadzieję i po prostu dalej żyć. Jack jest tam, ja tu i oboje musimy sobie jakoś radzić. Z dala od siebie. Bez trudu wyobrażam sobie, że go nie ma, wiem, co to znaczy, kiedy ktoś odchodzi, znika, gubi się, zostaje porwany, czy co tam jeszcze.

Dokładnie pamiętam, że tak właśnie się czułam i tak myślałam, ale później przedstawiają mi inną wersję. Dowiaduję się, że krzyczałam, że drapałam sanitariuszy, wbijałam im paznokcie w rękę, zostawiając na ich skórze krwawe ślady. Przypominam sobie fotografię wiszącą w gabinecie mojego ojca, która przedstawiała Riverside Church, wybudowany mniej więcej w tym samym czasie co Creedmoor. Wyobrażam sobie, jak Riverside, podobny do budowli z klocków lego, piął się cegła po cegle w kierunku nieba, podczas gdy zamek Creedmoor, zbudowany z cegły i kamienia, rozpełznął się po łąkach tego imponującego majątku. Creedmoor to teraz moje życie i zamierzam je przeżyć, bo co innego mi pozostało?

Później pielęgniarka wbija mi igłę w ramię, a jeszcze później leżę w łóżku i wpatruję się w wiszącą nad drzwiami zegar. Pielęgniarka wybiega z pokoju, jakby ją ktoś gonił. Nie winię jej za to. Miałabym ochotę zrobić to samo.

Godzinę później siedzę na skórzanej kanapie naprzeciwko dużego okna. Ze swojego miejsca widzę kominy starej fabryki zbudowane z cegieł w kolorze zakrzepłej krwi.

Mogłabym przysiąc, że jeden z kominów, ten z lewej, jest przechylony niczym krzywa wieża w Pizie. Chociaż nie przyciągnął jak dotąd turystów – nikt nie robi sobie przed nim rodzinnych zdjęć ani nie popija kawy w pobliskiej kafejce – to mój ulubiony komin.

Przekrzywiony komin zdaje się być intruzem pośród idealnych kątów i stworzonej ręką człowieka harmonii. Jego niedoskonałość jest mi znajoma; wyobrażam sobie, jak wyciągam rękę przez okno, sięgam do wzgórza i przywracam krzywy komin do idealnie pionowego stanu. Chcę mu pomóc, ocalić go przed uprzykrzonym losem, uwolnić od roli wyrzutka pośród innych kominów wznoszących się równo ku niebu.

Do gabinetu wchodzi mężczyzna i przedstawia się jako doktor Solska Ari. Jest lysiejącym facetem po pięćdziesiątce, z rumianymi policzkami i doskonałymi licówkami na zębach, nienagannie eleganckim, pachnącym krochmałem i pastą do butów. Okulary siedzą mu nisko na nosie. Dopiero kiedy podajemy sobie ręce, zauważam, że jest średniego wzrostu, a mimo to wytwarza wokół siebie aurę olbrzyma.

Nasza pierwsza sesja schodzi na pogaduszkach na neutralne tematy i ćwiczeniach pamięci. Lekarz niczego nie notuje, tylko nagrywa.

– Opowiem ci o swoim pierwszym przypadku w karierze psychiatry – mówi, wpatrując się w przestrzeń. – Kobieta jadła jajko i nagle, ni stąd, ni zowąd, straciła pamięć. Nie rozumiałem, jak to możliwe. Co spowodowało, że jej pamięć przestała funkcjonować? Jeśli nie dojdzie do uszkodzenia mózgu, nic nie przepada, umysł nie zapomina. Wspomnienia są upchane w przegródkach, które czasami są zamknięte na skutek emocjonalnego cierpienia lub hormonów stresu. Dawniej uważano, że ludzie cierpiący na amnezję po prostu nie chcą pamiętać. Część neurologów sądzi, że nie są w stanie sobie przypomnieć. Ja plasuję się gdzieś pomiędzy: zgadzam się po trosze i z jednym, i z drugim.

Sluchając lekarza, uzmysławiam sobie, że najbardziej uderzającą cechą jego charakteru jest spokój. Nieskończenie cierpliwy i uważny, wydaje się kimś w rodzaju przeciwieństwa grabarza – wyciąga na powierzchnię to, co pod nią ukryte. Pragnę wierzyć, że doktor Ari pomoże mi znaleźć moją córkę, chciałabym któregoś dnia wrócić myślami do tego momentu i wspominać lekarza, który przywrócił mi pamięć, dziecko, życie.

Na koniec sesji doktor pyta mnie, co czułam, kiedy powiedziano mi, że mam amnezję.

– Zamęt – odpowiadam. – Miałam w głowie mętlik.

– Rozumiem, że gra może się toczyć o życie twojej córki. Czas jest na wagę złota i powinnaś zrozumieć, że czeka nas mnóstwo pracy – mówi, a po chwili dodaje: – Muszę cię też prosić o zaufanie.

Unoszę brwi. Zaufanie. Zaufaj mi, a wszystko się ułoży – czyżby to właśnie chciał powiedzieć? To aż takie proste i jednocześnie takie skomplikowane?

– Czy tamta kobieta od jajka odzyskała pamięć? Nie mogło przecież chodzić o głupie jajko, prawda? – pytam z ironicznym uśmiechem.

– Oczywiście, że nie – odpowiada, poprawiając nienagannie zawiązany krawat. – Nic nie jest takie proste i od samego początku nie chodziło o jajko. Zaproponuję ci pewien układ: jeśli dowiemy się, co spotkało twoją córkę, opowiem ci o kobiecie, która jadła jajko.

Następnego dnia, na początku naszej drugiej sesji, doktor Ari pyta mnie o najbezpieczniejsze miejsce, jakie potrafię sobie wyobrazić.

– Rodzaj schronienia, kryjówki, w której czujesz się bezpieczna.

– Nie jestem pewna – mówię i spoglądam na niego zmieszana.

– Czy zwracasz uwagę na swój oddech, kiedy jesteś zrelaksowana?

Jego pytanie wydaje mi się głupie.

– Raczej nie – odpowiadam i zastanawiam się, czy chodzi mu o miejsce takie jak plaża.

– W stresujących sytuacjach często marzymy o tym, żeby przenieść się w bezpieczne miejsce – mówi. – Czy kiedykolwiek w takiej chwili marzyłaś o tym, żeby znaleźć się gdzieś indziej?

Każdego dnia pragnę się znaleźć gdzieś indziej – myślę, ale nie mówię tego na głos.

– Spróbuj wyobrazić sobie bezpieczną kryjówkę.

Wiem, co chciałby usłyszeć, i do głowy natychmiast przychodzi mi szereg miejsc:

– Plaża, ławka w parku, wodospad, czy o to chodzi?

– Zupełnie nie – odpowiada, bawiąc się długopisem. – To nie są dobre miejsca.

– Sama nie wiem – mówię. – Zadał mi pan pytanie. Ja na nie odpowiedziałam. Dlaczego te miejsca nie są dobre?

– Stereotypy, nie tylko stereotypy. Jak pragnienie podróży dookoła świata. Kto by chciał podróżować i nie mieć swojego miejsca? Wiecznie w ruchu. Ludzie tylko tak mówią, ale nikt tak nie myśli. Zastanów się nad tym. – Zawiesza głos i odkłada długopis na biurko. – A więc nigdy nie miałaś kryjówki?

Wzruszam ramionami.

Oczy lekarza się rozjaśniają.

– To może pomyślimy o sposobie, w jaki można się tam dostać? Wyobraź sobie środek transportu, który zabierze cię w spokojne i bezpieczne miejsce. Nie musisz wiedzieć, o jakie miejsce chodzi, przypomnij sobie podróż, którą odbyłaś, jakąś wyprawę. Dam ci przykład. – Zdejmuje okulary i odchyła się na fotelu. – Wiele lat temu, daleko stąd, jako mały chłopiec spędzałem weekendy w domu mojej babci. Pamiętam, że jej łóżko było bardzo wysokie, czułem się niemal tak, jakbym spał w chmurach. Oczywiście ja byłem mały, a łóżko Daadi było po prostu wysokie, ale tak to sobie wówczas wyobrażałem. Jako dziecko często miewałem koszmary, lecz kiedy spałem w domu Daadi, nie budziłem się w nocy, nie bałem się potworów. Jej łóżko było magiczne, na swój sposób, ale jednak magiczne.

– Wydawało mi się, że pytał pan o środek transportu. Nic nie rozumiem.

– To łóżko przenosiło mnie w świat pięknych snów. Już ich nie pamiętam, ale wyśniłem ich wiele. Nic nie mogło mnie wtedy zranić, zahamować. Każdego ranka budził mnie zapach nashta^[3]. Babcia przygotowywała je, śpiewając. – Jego oczy zachodzą mgłą, jakby myślami znajdował się daleko stąd. Szybko jednak wraca do siebie, marszczy brwi, a jego oczy domagają się ode mnie wspomnienia dziecięcej sielanki.

– Pańską kryjówką było łóżko babci, już rozumiem. Niestety nie mam podobnych wspomnień – mówię. – Ani babci, ani nashta. – Myślę o jego opowieści i próbuję sobie przypomnieć miejsca, które odwiedziłam jako dziecko. Przypominam sobie tylko chorobę lokomocyjną w samochodach, na łodziach, a nawet w autobusach. – Uwielbiam jeździć windą. – Jestem zdumiona, że to powiedziałam. Dociera do mnie, że to prawda, jest coś kojącego w szumie, ściskającym się żołądku, otwieraniu i zamykaniu drzwi i świadomości, że wystarczy nacisnąć guzik, żeby przenieść się dokładnie tam, gdzie chcę.

Doktor Ari odpręża się; wygląda na zadowolonego.

– A więc winda. Opowiedz mi o swojej ulubionej, a później do niej wsiądź.

Zamykam oczy.

– Winda ma błyszczące rozsuwane srebrne drzwi, które spotykają się pośrodku. Drzwi otwierają się i wsiadam.

– Jest wygodna i przestronna. – Głos doktora Ariego brzmi kojąco. – Światła są przygaszone, jest prawie ciemno. Możesz pojechać, gdzie tylko zechcesz. Nikt poza tobą nie kontroluje windy. Wejść do środka, obróć się i stań przed znajdującym się obok drzwi panelem. Panel jest prostokątny, guziki są okrągłe i podświetlone. Zaczynają się od dziesiątki, kończą na jedynce.

Wyobrażam je sobie. Naciskam guzik. Drzwi cicho się zamykają. Jestem bezpieczna i zamknięta w tym ciemnym pudle. Kiedy winda zjeżdża w dół, czuję ucisk w żołądku, lecz później siły się równoważą i tuż przed tym, jak winda się zatrzymuje, doświadczam uczucia lekkości.

– Doskonale – mówi z uśmiechem doktor Ari. – Chcę, żeby ta winda była dla ciebie miejscem spokoju i samokontroli. Za każdym razem, kiedy ogarnie cię niepokój, chcę, żebyś wsiadła do windy

i zjechała na niższe piętro. Im niżej zjedziesz, tym większy ogarnie cię spokój.

– Czemu ma służyć to ćwiczenie?

– Kiedy się zdenerwujemy lub przestraszymy, nasze ciała reagują w sposób bardzo pierwotny. Pewnie słyszałaś o odruchu „uciekaj albo walcz”. W obliczu zagrożenia organizm wysyła nam wyraźne sygnały: zmienia się ciśnienie krwi, tempo oddechu, tętno, temperatura, napięcie mięśni i nie tylko.

– Rozumiem – mówię, wyobrażając sobie tygrysy szablozębne polujące na zebry.

– Nasze ciała przygotowują się do walki lub ucieczki – kontynuuje doktor Ari. – Chcę, żebyś stawiała czoło swoim lękom, zmusiła swój organizm do „odpowiedzi relaksacyjnej”. Kiedy już nauczysz się odprężyć, z czasem wykształcisz w sobie umiejętność wchodzenia w stan podwyższonej świadomości. To właśnie nasz cel: bycie świadomym.

– Brzmi całkiem łatwo – mówię.

– Ale takie nie jest. Zwalczanie pierwotnych reakcji wymaga treningu. Odpowiednio przeszkolona pielęgniarka później z tobą poćwiczysz.

Im dłużej o tym myślę, tym trudniej mi wyobrazić sobie scenariusz, który byłby korzystny dla zebry.

– To oznacza, że kiedy spróbuję odzyskać pamięć, nie będę się bać ani uciekać. Każę swojemu ciału się odprężyć i zachować czujność.

Walka nie ma sensu, kiedy stanie się oko w oko z tygrysem szablozębnym, a zebra biega chyba wolniej od niego. Przyczajenie się oznacza według mnie pewną śmierć.

– Taki mamy plan. Nie będziesz ani przed nią uciekać, ani z nią walczyć.

– Z nią, czyli...

– Z przeszłością.

– Racja – mówię, ale nie mogę przestać myśleć o tygrysie zatapiającym kły w mojej szyi.

*

Rankiem w dniu naszej trzeciej sesji East River okrywa wilgotna koldra mgły, znajome kominy znikają pod jej gęstą warstwą. Najpierw słyszę dobiegający z oddali głos doktora Ariego, a po chwili dociera do mnie sens jego słów.

– Opowiedz mi o Mii. – Jego głos jest cichy, lecz nieznośny sprzeciwu.

Liczyłam na serum prawdy i silne leki, które zmuszą moje wspomnienia do powrotu. Spodziewałam się hipnozy, wyobrażałam sobie, że mój mózg zostanie chemicznie zmanipulowany. Jednak po dwóch sesjach z doktorem Arim doszłam do wniosku, że mogę liczyć tylko na siebie. Siebie, mój zamglony umysł i prowokacje lekarza.

– Mam panu opowiedzieć o Mii? – powtarzam pytanie, żeby zyskać na czasie. Koncentruję się na niewyraźnych i trochę upiornych kominach za oknem, oddalonych na bezpieczną odległość i oddzielonych ode mnie gęstą chmurą utkaną z kropelek wody. Żałuję, że warstwy skóry, które próbuje oderwać lekarz, nie są równie bezpiecznie od niego oddalone jak ta stara nieczynna fabryka.

Nie wiem, co się stało z moją córką Mią. Otwierałam szuflady, stare pudełka na buty i drzwi do schowków pod schodami. Zaglądałam do śmietników i pod łóżka. Szukałam jej. Córki nie można zgubić jak kluczy czy menu z daniami na wynos. Jedno wiem na pewno: kogoś ranka obudziłam się, a jej nie było, tak jakby pochłonęła ją czarna dziura. Po jej maleńkim ciałku nie został nawet ślad na obleczoneym prześcieradłem materacu. Ktoś ją zabrał, nie wyważając zamków i nie uszkadzając ościeżnic drzwi. Mia pozostawiła po sobie ciszę tak ogłuszającą, że w nocy nie mogę zmużyć oka.

W dobre dni, gdy zdołam przespać trzy godziny z rzędu, wyobrażam ją sobie z jakąś miłą parą z Arizony, w czyichś czułych ramionach. Jeśli wyobrażam sobie tę scenę dostatecznie długo, zaczyna

mi się wydawać niemal rzeczywista. W złe dni widzę ją okaleczoną i martwą pod warstwą zmieszanej z igliwiem ziemi, obok lupinek żółdзи i jelenich odchodów gdzieś w lesie na północy stanu Nowy Jork. W najgorsze dni czuję między palcami coś lepkiego i zastanawiam się, czy to ja jestem winna.

Jednak ani dobre, ani złe dni nie przynoszą prawdy. Potrzebowałam jasnego dnia. Dnia tak jasnego i spokojnego, łniącego i świeżego, żebym odważyła się przypomnieć sobie, co spotkało Mię.

Na razie muszę się zadowolić myśleniem o opuszczonej fabryce z przekrzywionym kominem. Wyobrażam sobie bezdomnych ludzi śpiących w niej na kartonach, zamroczonych ćpunów leżących w ciemnych zakamarkach pod kolorowym graffiti, na krańcu ludzkiej społeczności. Stary, zniszczony but, który stracił swoją parę raz na zawsze, lub skarpetka, której jakoś nie możemy znaleźć. Słyszę odgłosy kopania plastikowych butelek po tanim dżinie, które wzlatają w ciemność niczym gwiazdy, odbijają się od ścian i spadają z powrotem, żeby zakończyć żywot gdzieś pośród długich ciemnych korytarzy z oknami zabitymi na głucho przed killkudziesięcioma laty. Po całym tym drażeniu, zagłębianiu się we własną jaźń, obracaniu kamieni, które nie pozwalają się obrócić niczym głady przed wejściem do jaskiń, gdzieś pomiędzy obowiązkowym prowadzeniem dziennika i ciszą nocną, doszłam do wniosku, że jestem gotowa. Przypomnę sobie ostatni obraz Mii; spróbuję złapać prawdę za frak i nie wypuścić jej, choćby miała mnie zaciągnąć prosto do piekła.

Koncentruję wzrok na tym, co jest za oknem. Oboje z doktorem Arim czekaliśmy na tę chwilę. On chce rozwiązać zagadkę, której nie zdołali rozgryźć najlepsi nowojorscy specjaliści. Stawką w grze jest potwierdzenie jego legendarnych zdolności przywracania ludziom pamięci. Co zaś się tyczy mnie, jeśli nie zdołam wymyślić żadnego logicznego wyjaśnienia, spędzę resztę życia w więzieniu. Na swój sposób mi się poszczęściło, o ile w mojej sytuacji można w ogóle mówić o szczęściu – stan Nowy Jork zniósł karę śmierci wiele lat temu. Zawsze mogę wykorzystać argument niepoczytalności, bo jaka matka przy zdrowych zmysłach zabiłaby własną córeczkę? A jeśli nawet jej nie zabiłam, jaka kobieta przy zdrowych zmysłach nie wiedziałaby, gdzie jest jej dziecko? Tak czy inaczej tkwię po uszy w szambie.

– Mam panu opowiedzieć o Mii? – Głos brzmi jak puszczony z taśmy, w niczym nie przypomina mojego prawdziwego głosu. – Od czego by tu zacząć?

Jabłko Adama doktora Ariego unosi się i opada, kiedy ten przełyka. Lekarz odpycha fotel od biurka i odsuwa się jeszcze mniej więcej o metr. Spogląda na cyfrowy dyktafon, by upewnić się, że jest włączony.

– Zacznij, kiedy będziesz gotowa.

– Pamiętam... – Słyszę drżenie w swoim głosie. Czuję się niepewnie, mięśnie brzucha mam napięte. Usiłuję siedzieć prosto i zachować spokój. Dobieram słowa z namysłem, ponieważ mogą wywrócić mój świat do góry nogami.

Próbuję znaleźć powiązanie; sięgam po mazak, pragnąc wreszcie połączyć kropki. Spuszczam wzrok, staram się nie patrzeć doktorowi w oczy. Splatam dłonie na kolanach. Jestem zaskoczona sposobem, w jaki wróciła mi pamięć.

– Mów – zachęca lekarz.

Rozdział 12

W ciągu dnia tysiące czarnych jak węgiel wron lata nad posiadłością Creedmoor, a po południu zaczynają się zbijać w niewielkie stadka, by pod wieczór zebrać się na wspólnej grzędzie. Przez cały dzień robią straszny hałas swoim krakaniem, za to później uspokajają się i są cicho przez całą noc. Obserwuję je, jak parami budują gniazda z suchych gałązek, dziobią się po nogach w chwilach zdenerwowania, bawią się lupinkami od żołądździ i patyczkami. Powodem, dla którego się tu zbierają, może być chyba tylko widok budynku z lotu ptaka.

Odkrywam gniazdo na drzewie pod moim oknem, już całkiem skończone – widzę gałązki, piórka, liście, błoto – i obserwuję gołębiowatego ptaka składającego w nim pierwsze jajo. Ptak porzuca gniazdo tuż po tym, jak zaczynam się martwić losem jajka. Następnego dnia składa następne i zostawia oba na pastwę losu. Z każdą godziną mój niepokój wzrasta, lecz trzeciego dnia ptak przylatuje z powrotem i zaczyna wysiadywać jajka; od tego czasu prawie nie opuszcza gniazda.

Creedmoor jest jak dinozaur funkcjonujący według własnych reguł. Ośrodek wybudowano w latach dwudziestych ubiegłego wieku; jego najnowocześniejsze metody psychiatryczne szły z historii uwięzionej w murach po dekadach chemicznego wywoływania ataków padaczkowych i stosowania lobotomii. Nawet terapia elektrowstrząsami wróciła do łask lekarskiej społeczności, przemianowana na terapię elektro-konwulsyjną, którą przeprowadza się pod znieczuleniem, bez negatywnego wpływu na stan pacjenta.

Creedmoor, zbudowane według dawno zapomnianych zasad architektonicznych, szczyt się tym, że udzieliło schronienia między innymi Sylvii Plath, Edie Sedgwick i Edowi Geinowi. Ten ostatni okrył się złą sławą w latach pięćdziesiątych, kiedy okazało się, że ekshumował zwłoki z miejscowych cmentarzy i wytworzył pamiątki z ich fragmentów.

Budynek w stylu Kirkbride to pozostałość z początków dwudziestego wieku, relikw przeszłości, uważany dawniej za idealne schronienie dla chorych psychicznie. Budynek Kirkbride segregują pacjenta pod względem płci i stopnia nasilenia objawów choroby: mężczyźni zajmują jedno skrzydło, kobiety drugie, a w każdym ze skrzydeł cięższe przypadki zajmują niższe piętra, zaś spokojniejsi pacjenci – wyższe.

Nie wszyscy jednak uważają Creedmoor za relikw przeszłości. Słyszałam o inwestorach, którzy mieli poważne plany wobec ośrodka. Chcieli go zamienić w budynek mieszkalny, jednak z projektu ostatecznie zrezygnowano: korytarze były zbyt długie, a pokoje zbyt małe, żeby chcieli tu zamieszkać indywidualni klienci.

Jak na razie jestem w pokoju sama, bez współlokatorki. Rama mojego łóżka jest zrobiona z mocnych metalowych prętów, a pościel jest miękka, chociaż wysłużona po latach wygotowywania.

W dni robocze dzwonek na śniadanie rozlega się o siódmej, w soboty i niedziele o ósmej; pacjenci schodzą się do stołówki na końcu korytarza na głównym piętrze. Wszyscy mamy przypisane miejsca przy stołach. Stół obok mojego jest przeznaczony dla grupy anorektyczek. Nietrudno zgadnąć, co im dolega: zamiast jeść, przesuwały jedzenie na talerzach, wydziubując z niego kęsy jak mewy z góry śmieci. Ich palce wyglądają jak zanurzone w niebieskim atramencie. Włosy mają cienkie i puszące się jak u niemowląt, szkliwo na zębach w złym stanie.

Moim jedynym towarzyszem podczas posiłków jest kobieta w średnim wieku, Marge Ruiz. Marge jest spokojna i wygląda na dwadzieścia lat młodszą niż jest. Ktoś mógłby powiedzieć, że jej historia jest podobna do mojej; obie zawiniłyśmy tym, że milczałyśmy wtedy, kiedy należało mówić. Właściwie to obie znalazłyśmy się w wariatkowie przez gapiostwo. Marge postanowiła zachować śmierć swojej matki w tajemnicy, aż w końcu sąsiadów zaalarmował smród rozkładającego się ciała. Nie powiedziała mężowi i dzieciom, że jej matka zmarła; przez długie miesiące odwiedzała jej zwłoki, przynosiła jej świeże jajka, mleko i chleb.

Rodzina Marge przyjeżdża do niej co weekend. Okupują ogród dla gości, przesiadując na leżakach na zadaszonym tarasie. Marge ma piątkę dzieci i dwa razy tyle wnucząt. Co tydzień dostaje od nich nagrodę pocieszenia: białe tekturowe pudełko pełne posypanych cukrem croissantów – *cuernos de azúcar*.

Podczas gdy Marge spędza czas w otoczeniu rodziny, ja siedzę na fotelu ogrodowym w cieniu wielkiego dębu za głównym budynkiem. Obsesyjnie ćwiczę technikę z windą i w końcu udaje mi się osiągnąć spokój już w momencie otwierania się drzwi.

Wszędzie noszę ze sobą dziennik; zapisuję każde słowo i każdy obraz, jakie tylko przyjdą mi do głowy. Te obrazy, których nie potrafię zinterpretować, próbuję narysować. Po kilku dniach nie rozpoznaję, co jest na rysunkach, ani nawet nie jestem pewna, czy wyszły spod mojej ręki.

Doktor Ari dał mi dziennik podczas naszej pierwszej sesji.

– Opisz wszystko ze szczegółami – powiedział – nawet jeśli wydadzą ci się nieważne. Później może się okazać, że to właśnie one były najważniejsze. Zapisuj swoje myśli, a nawet sny. Wzory i powtarzające się motywy wiele nam mówią o tym, co próbuje się wydostać na powierzchnię. Wszystko jest istotne. Absolutnie wszystko.

Rysuję w swoim dzienniku kwadraty. Zaczynam od czterech kątów, a później wychodzę poza zarys i dorysowuję kolejne linie, dopóki nie wypełnią całej kartki. Oto czarne skrzynki, w których znajduje się moja przeszłość. Poprzez pisanie i rysowanie w dzienniku usiłuję zmusić dłonie, żeby nadały myślom realny kształt i otworzyły tę czarną skrzynkę. Wchodzę w stan odprężenia i pozwalam myślom błądzić, nie stawiam im żadnych barier czy ograniczeń. Widzę obrazy, lecz nie znam ich znaczenia. Tylko słońce, księżyc i gwiazdy pozostają w nich niezienne.

Czasami kiedy siedzę pod dębem w ogrodzie dla gości, dostrzegam przeblysk obrazu. Wiem, że tam jest, tuż pod powierzchnią. Obrazy unoszą się wokół mnie niczym chmura, kopie myśli, które kiedyś miałam – nie wiem, jak inaczej mogłabym to nazwać. Widzę coś w rodzaju repliki, skopiowanej kopii, i próbuję ją pochwycić niczym ryba przynętę. Nagle pojawia się jakiś motyw. Owoc. Mnóstwo owoców. Kosze pełne dojrzałych, pachnących, rozpękających się owoców. Chcę być takim owocem i jednocześnie nie dopuścić do momentu, w którym się rozpadnę. Ich miąższ jest soczysty, skórka odkaskuje po naciśnięciu i w końcu pęka, a ja – siłą woli – próbuję na to nie pozwolić.

Doktor Ari jest zadowolony, kiedy opowiadam mu o swoich wizjach, nachyla się w moją stronę i uważnie słucha każdego słowa. Pochodzi z Pakistanu i jest w Creedmoor legendą. Ściany jego gabinetu obwieszane są niezliczonymi dyplomami oprawionymi w ramki: tytuł licencjata, ukończenie studiów medycznych, rezydentura, wreszcie dokument mianujący go szefem oddziału psychiatrii w Creedmoor. Zastanawiam się, czy ma żonę, rodzinę. Na jego biurku brakuje zdjęć i przedmiotów zrobionych przez dzieci; ani śladu prywatnego życia.

Lubię myśleć o nim jako o magiku wykopującym z ziemi szkielety i przywracającym je do życia. Kiedy mu to powiedziałam, uśmiechnął się i odparł:

– Dzielę się. Może to nie jest tak olśniewające zajęcie jak wykopywanie antycznych waz, ale zazdroszczę ci tego sposobu patrzenia na świat. Większość szkieletów woli zostać pod ziemią. Moja praca nie jest lekka.

Wyznał, że specjalizuje się w tak zwanej terapii odzyskiwania pamięci, która „w zależności od przypadku” wymaga czasem użycia metod psychoterapeutycznych takich jak hipnoza, wykorzystania

leków uspokajająco-hipnotycznych, regresji wiekowej i wizualizacji kierowanej. Powiedział też, że terapia odzyskiwania pamięci nie jest formalnie uważana za metodę psychoterapii ani też stosowana w głównym nurcie psychiatrii.

Wydaje mi się, że element rozwiązywania spraw kryminalnych pojawił się w jego pracy przypadkiem. Zdaniem Olivera, jednego z sanitariuszy, Marge – również pacjentka doktora Ariego – mogła zamordować swoją matkę. Możliwe, że moja sprawa stanie się kolejnym kamieniem milowym imponującej kariery tego lekarza.

– Możemy się posługiwać wyłącznie informacjami, których jesteśmy świadomi. Wszystkie one tkwią w naszym mózgu, tylko przykryte warstwą kurzu. Rzecz w tym, żeby uzyskać dostęp do tego, co znajduje się pod spodem.

W drugim tygodniu terapii doktor Ari dużo opowiadał mi o sposobie, w jaki działa nasza pamięć.

– Pamięć to nic innego jak koncept wyjaśniający proces zapamiętywania. Wyobraź sobie, że próbujesz odnaleźć samochód na zatłoczonym parkingu. Byłaś obecna podczas parkowania, a mimo to nie potrafisz sobie przypomnieć jego dokładnej lokalizacji. Twoja podświadomość ją zna, a terapia odzyskiwania pamięci pozwoli ci wrócić do momentu, w którym parkowałaś samochód.

Byłam zdumiona faktem, że prokurator okręgowy zezwolił na tego rodzaju eksperyment. Jednak szczerze mówiąc ani władze stanu Nowy Jork, ani prokurator okręgowy, ani Medyczna Rada Psychiatrii nie mieli nic do stracenia. Wygląda na to, że postanowili przymknąć oko na etykę zawodową i dać szansę „śmiecicowej nauce”. Jestem świadoma faktu, że doktor Ari działa na obrzeżach nauki i zbywa moje ciągłe żarty z terapii odzyskiwania pamięci uśmiechem, jednak ani na moment nie przestaje być profesjonalistą.

Następnego dnia, czyli we wtorek, zastaję uchylone drzwi do jego gabinetu. Wchodzę bez zapowiedzi i zaproszenia. Natychmiast wyczuwam jego niezadowolenie. Cyfrowy dyktafon, który zwykle leży na biurku, nie został wyjęty z szuflady, zaś guziki kitla doktora są wciąż niezapięte. Weszłam do gabinetu bez pozwolenia, łamiąc nie tylko regulamin szpitala, lecz także etykietę i przede wszystkim ustalone przez lekarza zasady.

Zrobiłam to ze strachu. W piątek, kiedy opisałam mu dzień zniknięcia Mii, wspomniał o nowym kierunku w mojej terapii. Tamtego dnia jego oczy sprawiały wrażenie niespokojnych i miałam przeczucie, że dzisiaj będziemy kopać głębiej, zrobimy coś więcej niż tylko delikatne zdmuchnięcie piasku z kawałka antycznej wazy. Możliwe, że dzisiaj wydobędziemy całą wazę z jej piaszczystego grobu i – niczym archeolodzy – będziemy się z nią obchodzić jak z jajkiem, żeby nie rozbić jej na milion kawałków.

Siadam naprzeciwko doktora Ariego, który jakby za karę od dłuższego czasu nie zwraca na mnie uwagi. Nie jest typem człowieka, który oczekiwałby przeprosin, więc nie przepraszam go za impulsywne wtargnięcie do gabinetu. W końcu wymieniamy kilka banalnych uprzejmości i doktor zaczyna nieuważnie kartkować mój dziennik. Sprawia wrażenie, jakby czas go dzisiaj gonił, z całej jego postawy emanuje pośpiech, a ja czuję, że nie jestem przygotowana na to, co za chwilę nastąpi. Od postawienia mi oficjalnych zarzutów przez prokuratora okręgowego minęły niespełna dwa tygodnie, a on pewnie nie chce, żebym okazała się orzechem, którego nie zdołał rozgryźć. Zastanawiam się, co mu jeszcze zostało, czy zachował jakiegoś asa w rękawie, magiczną sztuczkę, która rozjaśni mi w głowie.

Z rozmyślań wyrывa mnie jego głos.

– Czy pamiętasz nasze rozmowy dotyczące zapomnienia i jego przyczyn?

Spędziłam długie godziny, czytając materiały poświęcone pamięci i sposobom radzenia sobie mózgu z jej utratą. Wszystko, co wiąże się z pamięcią, uważam za fascynujące, ale chcę się też popisać, udowodnić mu swoje zaangażowanie nawet po zakończeniu naszych sesji.

– Pamiętam teorię rozpadu i interferencji. Odzyskanie pamięci przy założeniu, że wspomnieniem udało się przebyć drogę do pamięci długoterminowej, nie jest możliwe wówczas, gdy ulegną one

zniszczeniu lub procesowi interferencji.

– Bardzo dobrze. Twój przypadek jest zadziwiający. Nie istnieją fizyczne dowody na uszkodzenie mózgu i nie potrafię stwierdzić z całą pewnością, dlaczego straciłaś pamięć. Odpowiedź poznamy dopiero wtedy, gdy odzyskasz wspomnienia. Nie istnieje magiczna pigułka, którą mógłbym ci podać, żaden test krwi ani badanie rezonansem magnetycznym nie zdradzą nam przyczyny, dla której nie potrafisz sobie przypomnieć przeszłości. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

Przytakuję, chociaż wiem, że nie mówi mi całej prawdy. Istnieją leki uspokajająco-hipnotyczne, które mogą pomóc odsłonić pamięć zamkniętą w mojej głowie, jednak on chce, żeby prawda wyszła na jaw sama, bo kto byłby w stanie oddzielić ziarno od plew, prawdę od wywołanych chemicznie wizji?

– Jest jednak coś, co może pomóc – kontynuuje lekarz i podaje mi cegłę. – Już czas, żebyśmy wybrali się do domu przy North Dandry 517.

Biorę do ręki cegłę z brunatnego piaskowca pochodzącą z North Dandry – miejsca, z którego zniknęła Mia. Próbuję się z nią oswoić, ale jej ciężar mnie przygniata. Tętno mi przyspiesza, w głowie czuję pulsowanie. Myśli galopują, żeby w końcu ułożyć się w najważniejszy przekaz: Nie mogę tam wrócić. Usiłuję przekonać samą siebie, że bólu nie da się uniknąć. Zmuszam swój oddech do zwolnienia, wyobrażam sobie winę, mój symbol spokoju i opanowania.

Doktor Ari obserwuje mnie czujnie jak jastrząb.

– Chyba czujesz się już trochę lepiej. Może byśmy...

– Nie mogę. – Słyszę drżenie w swoim głosie.

– Odwiedzenie miejsca, w którym to wszystko się stało, pomoże nam odtworzyć utracone wspomnienia – mówi. – Nie ma powodu się denerwować. Pozwól mi tylko wytłumaczyć, co zamierzam zrobić.

„Miejsce, w którym to wszystko się stało”. Po wypowiedzeniu słowa te zyskują realność. Tak naprawdę lekarz ma na myśli to, że wrócimy na miejsce przestępstwa.

– Odzyskanie pamięci jest znacznie bardziej prawdopodobne, jeśli odtworzymy okoliczności, w których doszło do jej utraty. Niektórzy kręcą nosem na tę metodę w przypadku amnezji pourazowej, jednak sama koncepcja nie jest niczym nowym. Podejmiemy próbę odtworzenia emocji, które towarzyszyły ci w momencie rodzenia się tamtych wspomnień.

Czy skoro wspomnienia się rodzą, mogą także umrzeć?

– Mówi pan o „odzyskiwaniu”, „okolicznościach” i „odtworzeniu” – odzywam się, robiąc palcami znak cudzysłowu przy każdym ze słów, których użył, żeby zamaskować to, co naprawdę będziemy robić. – Chce pan, żebym weszła do jej pokoju, zajrzała do łóżeczka?

Nie jestem pewna, czy potrafię się na to zdobyć. Myśl o powrocie do miejsca zniknięcia Mii napędza mnie strachem, który zaciska się wokół mojego serca jak pięść.

Spoglądam przez okno na przesuwające się po niebie chmury i nagle przychodzi mi do głowy pewna myśl, artykuł z jednego z czasopism medycznych rozrzuconych w którejś z licznych poczekalni w Creedmoor. Takotsubo. Kardiomiopatia wywołana stresem. Zespół złamanego serca. Obraz serca osoby cierpiącej na takotsubo przypomina pułapkę na osmiornice. Niemal czekam na dźwięk pękającego szkła i moment, w którym moje serce rozpadnie się na kawałki.

Doktor Ari – tak jakby potrafił czytać w moich myślach – podnosi się z fotela, okrąża biurko i staje przede mną, opierając się o blat z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

– Te wspomnienia są silne i potężne, ale gra toczy się o życie twojej córki, Estelle. Musimy spróbować, ty musisz. – Jego głos jest nakazujący. Spojrzenie również.

Chcę z nim współpracować i dowiedzieć się prawdy, podobnie jak on. Jednak przede wszystkim nie chcę się doprowadzić do ostateczności. Nie chcę pęknąć, jak pękają owoce w moim śnie.

Łóżeczko.

Zamki.

Pusta szafa.

– To może wizualizacja kierowana? Czy nie mogę po prostu udawać, że tam jestem? Czy to nie wszystko jedno? Może byśmy spróbowali i...

Lekarz kręci głową i wiem, że przegrałam tę bitwę.

– Pamiętasz, jak prosiłem, żebyś mi zaufała?

Wysliśmy poza wizualizację kierowaną i pogaduszki, teraz przyszedł czas na działanie. Nie pozostało nic więcej do powiedzenia. Nie ma co czekać na mędrca, który przyjdzie do mnie ze starożytnym remedium, żaden szaman nie wywróży mi przyszłości z porozrzuconych kostek, żadna szklana kula nie wyjawi mi prawdy. Jakaś cząstka mnie nie chce się poddać, ale wiem, że nie mogę zaprzeczyć potędze prawdy, tajemniczej i obezwładniającej. Jedyne, co mogę zrobić, to podążać w jej kierunku z wiarą, że mnie oświeci. Chcę przejść po linii na drugą stronę, lecz jednocześnie boję się, że spadnę w przepaść.

– Wierzy pan w piekło? – pytam.

– W sensie religijnym?

– Nie, w piekło na ziemi – odpowiadam.

Zastanawia się nad tym przez chwilę. Jego spojrzenie błądzi po pokoju, aż w końcu skupia się na mnie.

– Jestem muzułmaninem – mówi. – Wierzmy, że piekła strzeże Maalik, przywódca aniołów, który każe potępionym pozostać tam na wieczność, ponieważ odrzucili prawdę, kiedy została im objawiona.

– Maalik – powtarzam imię, sprawdzając, czy będzie miało na mnie jakiś wpływ. Żadnego. Czuję wewnętrzny chłód.

– Moja wiara mówi, że kiedy prawda zostaje ci objawiona, musisz ją przyjąć, a potem nie masz się o co martwić – mówi doktor Ari.

Nie znam islamu ani żadnej innej religii. Ledwie potrafię odmówić różaniec i tylko raz w życiu przyjęłam komunie świętą. Terapia elektrowstrząsami wydaje się spacerem po parku w porównaniu z piekłem, o którym wspomniał lekarz. Jego słowa dźwięczą mi w uszach, nie chcą dać mi spokoju. Przyjmij prawdę, która zostanie ci objawiona, nie odrzucaj jej. Potem nie będę już miała powodu do zmartwień.

– Czy powrót w tamto miejsce będzie jak zapłata funtem własnego ciała? – To odniesienie wydaje mi się znajome, kojarzy mi się z czymś więcej niż tylko z Szekspirem. Przykładam dłoń do ucha czy raczej miejsca, w którym się kiedyś znajdowało.

– Kiedy? – pytam w nadziei, że to kwestia tygodni.

– Wkrótce. Nadal mamy sporo do omówienia, zanim tam pojedziemy, ale obiecuję, że nie zrobimy tego, dopóki nie będziesz gotowa.

– W porządku – odpowiadam, wcale tak nie myśląc.

Spogląda na zegarek.

– Wrócimy do tego jutro.

Dokończymy jutro. Marge zapytała mnie kogoś dnia, jak sobie radzę. Nie odpowiedziałam jej, ponieważ nie mam poczucia, że w ogóle sobie radzę. Czuję się niekompletna, jakby ktoś zabrał mi część ciała, zostawił mnie pustą jak udręczone naczynie. Naczynie, którego nie można zamknąć, które nigdy już nie będzie w stanie utrzymać niczego w środku. Każde moje zranienie, każda emocja są spotęgowane tysiąc razy. Muszę znaleźć sposób na to, żeby sobie poradzić, nauczyć się żyć z tym bólem.

Przypominałam coś sobie, bez udziału świadomej woli, i nie potrafię przejść nad tym wspomnieniem do porządku dziennego. Weszłam w jego posiadanie złośliwym zrządzeniem losu. Nigdy nie będę w stanie zamknąć za sobą przeszłości i cieszyć się słoneczną, jaśniejszą przyszłością – nie zostało mi nic poza przeszłością, to z niej utkane jest moje życie. Mam tylko ją i nic więcej.

Pamiętam, że śpiewałam kiedyś Mii. Odchrząkiwałam, a ona koncentrowała wzrok na moich oczach i uśmiechała się. Na dźwięk pierwszej nuty zawsze przekrzywiła główkę.

Śpij maleństwo, śpij.

Gaworzenie, jakby próbowała śpiewać ze mną.

Ojciec twój owieczki pasie.

Ściągnięcie brwi, zmarszczka na czole.

Matka słodki owoc niesie.

Wzrok skoncentrowany na mojej twarzy, szybkie mrugnięcie.

Po nim smacznie zaśniesz.

Melodia kołysanki i wysoki ton mojego głosu wywołują u Mii pisk.

Śpij maleństwo, śpij. Śpij maleństwo, śpij.

Opuszczając gabinet, uświadamiam sobie, że ból porodu nigdy nie przeminie. Jestem jak brzeg omywany przez fale, siła uderzeń jest stała, a łącząca nas pępowina nigdy nie zostanie przecięta. North Dandry to najstraszniejsze miejsce, jakie potrafię sobie wyobrazić, lecz nie mam wyboru, więc się poddam.

Wychodząc, słyszę głos lekarza.

– Jutro opowiesz mi o swojej rodzinie.

Historia mojej rodziny nie jest ciężka – wprost przeciwnie, prawie nic nie waży, jak duch.

Opowiesz mi o swojej rodzinie. Takie proste pytanie, a taka skomplikowana odpowiedź.

Rozdział 13

Ktoś wcisnął mi do ręki grudkę gliny. Nawet teraz, po tylu latach, kiedy siedzę w gabinecie doktora Ariego, mam ją przy sobie. Zwalczam pokusę spojrzenia w dół, na swoją dłoń. Czasami udaje mi się zapomnieć o tej grudce gliny, lecz regularnie uświadamiam sobie, że ona tam jest, jak kamień w bucie, niepozwalający zrobić kroku naprzód. Jestem zdumiona intensywnością swoich odczuć po tylu latach.

Moja matka urodziła zdrową dziewczynkę – Marcię Paradise. Miałam wtedy jedenaście lat, a mój brat Anthony prawie osiemnaście. Był dzień roboczy, ale my nie poszliśmy do szkoły. Rodzice w końcu do nas zadzwonili i powiedzieli, że wracają do domu. Poprzedniego wieczoru przejrzałam zawartość regału i szafy, żeby wybrać książki i zabawki dla swojej młodszej siostry.

Zadzzwonił dzwonek, lecz zamiast rodziców na progu stało dwóch funkcjonariuszy policji i kobieta w beżowym płaszczu. Byli bardzo rzeczowi: moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym w drodze do domu ze szpitala – policjant użył słowa „karambol”, a ja nie wiedziałam, co to znaczy, lecz nie ośmieliłam się zapytać. Czy Anthony chciałby do kogoś zadzwonić? W ciągu kilku godzin ciotka Nell, nasza jedyna krewna, siostra mamy, przyjechała z New Jersey i zajęła kanapę w salonie. Miała czerwone, zapuchnięte oczy i nawyk darcia na strzępy chusteczek, których pudełka piętrzyły się na stoliku kawowym. Nell i moja mama, między którymi było dziesięć lat różnicy, miały ten sam kasztanowy kolor włosów i niemal identyczny profil. Nell nosiła krótsze włosy i wyglądała jak mniej wyrafinowana i zadbana wersja mamy.

Nic nie mówiłam, nie zadawałam żadnych pytań, chociaż nie byłam pewna, co tak naprawdę się stało. Następnego ranka otworzyłam gazetę i przyglądałam się zdjęciu przedstawiającemu scenę wypadku. Była to fotografia lotnicza wykonana z helikoptera wiadomości; przedstawiała ciąg samochodów, które powpadały jeden na drugi, tworząc coś w rodzaju akordeonu, maska-zderzak, maska-zderzak, niekończące się pasmo śmierci na szarej wstędze sztucznie namalowanej w zielonym krajobrazie. Drogi zdawały się tworzyć labirynt asfaltu i stalowych mostów, biegnących górą lub dołem. Trudno było uwierzyć, że gdzieś tam znajdowali się moi rodzice i siostrzyczka.

Poszłam do gabinetu ojca i wyjęłam okrągłe szkło powiększające, którego używał podczas studiowania swojej kolekcji zabytkowych map. Drżącą ręką umieściłam szkło nad zdjęciem w gazecie. Im usilniej próbowałam odszukać na nim naszego białego chevroleta suburba, tym bardziej punkciki druku zaczynały mi tańczyć przed oczami. Dostrzeżenie tego, co zostało z mojej rodziny, było niemożliwe i zastanawiałam się, czy ktokolwiek zrobił zdjęcie niemowlęciu. Całymi dniami czekałam, aż ktoś uprzątnie samochody i wydobędzie ciała moich rodziców.

– Zostaliśmy już tylko we troje – powiedziała ciotka Nell dzień przed pogrzebem – i musimy się zastanowić co dalej. – Upiła łyk kawy, zmarszczyła brwi i wrzuciła do niej jeszcze dwie kostki cukru. – Wiele rzeczy się zmieni, ale chcę, byście wiedzieli, że – odchrząknęła i utkwiała spojrzenie w kawie – im szybciej podejmiemy te trudne decyzje, tym lepiej.

Przyglądałam się śladom pozostawionym przez jej kubek na stole z topolowego drewna i miałam nadzieję, że uda się je zmyć płynem do czyszczenia marki Old English, który mama trzymała pod zlewem.

– Anthony i ja rozmawialiśmy już na ten temat i doszliśmy do wniosku, że będzie najlepiej, jeśli pojedziesz ze mną do Jersey, Stello.

– Mam tam mieszkać? – zapytałam.

– Tak – odparła ciotka Nell.

– Jak długo?

– Rzecz w tym – ciągnęła – że kiedy pojedziemy do Jersey, już tu nie wrócimy.

Rozejrzałam się dookoła.

– A co z domem? Co z naszymi rzeczami?

– Najrozsądniej będzie sprzedać dom. – Ciotka Nell przesunęła kubek na środek stolika, tylko pogarszając sprawę. – Razem z całym wyposażeniem.

Pomyślałam o przyjaciółach, których nie miałam, i parku położonym zbyt daleko od domu, żebym mogła chodzić do niego sama. Nagle ogarnęła mnie nieopisana panika.

Ciotka Nell śmierdziała starym papierosowym dymem i ciągle widziałam ją w otwartym kuchennym oknie z paczką virginia slims w dłoni. Co wieczór wyobrażałam ją sobie, jak zasypia z cieniem białym papierosem w salonie i puszcza z dymem cały dom.

– *Waisenkind* – powiedziałam, wodząc oczami po śladach pozostawionych na stole przez kubek z kawą.

– Co takiego?

– *Waisenkind*. To po niemiecku „sierota”. Uczyliśmy się w szkole. Dzieci pakowały walizki, a następnego dnia wysyłano je do obozów koncentracyjnych. To właśnie pisały kredą na walizkach: *Waisenkind*. Sierota. Chcę się sama spakować.

– To makabryczne, co powiedziałaś. Nie zrobisz nic podobnego. – Ciotka Nell pokręciła głową z odrazą.

– Ale co mogę ze sobą zabrać?

– Jakoś sobie poradzimy. – Ciotka Nell uśmiechnęła się i pokiwała głową tak, jak to robią dorośli, kiedy nie mówią tego, co naprawdę myślą.

Rozejrzałam się po domu. Pełno w nim było kurzu, jakby wszystkie sprzęty pokrył wystygły popiół z kominka. Najchętniej zebrałabym ten kurz i owinęła się nim, tworząc pierwszą z wielu warstw, pod którymi mogłabym ukryć swój smutek i które stworzyłyby ochronny pancerz, żeby nikt nie mógł mnie zranić. Po prostu udawaj, że nic ci nie jest – powiedziałam do siebie.

Ciotka Nell podniosła się i wstawiła kubek do zlewu. Ślady po kawie zrobiły się jeszcze większe i wsiąkły w drewno. Wątpiłam, żeby dało się je usunąć.

Wieczorem wdrapałam się na strych i z półki pełnej zakurzonych pudeł zdjęłam największą walizkę, jaką tylko zdołałam znaleźć. Spakowałam mapy ojca, zdjęcia matki, białe niemowlęce ubranko i parę bucików, gazetę z artykułem o karambolu i nagrodę zdobytą przez Anthony'ego na pikniku naukowym.

Kiedy po kilku dniach otworzyłam walizkę w New Jersey, były w niej same ubrania. Zapytałam ciotkę Nell, co się stało z rzeczami, które spakowałam, lecz ona pokręciła głową i powiedziała:

– Kurczone trzymanie się przeszłości w niczym ci nie pomoże. Musimy sobie jakoś radzić. – A kiedy się rozplakałam, dodała: – Dla mnie to też trudne. Nie rób scen.

Nikt nie wypowiedział tych słów na głos, ani Nell, ani Anthony: „Twoi rodzice nie żyją”. Mój umysł do pewnego stopnia pogodził się z ich śmiercią, ale nie mogłam się pozbyć wrażenia, że rozstałam się z nimi zbyt wcześnie.

Każdego ranka budziłam się z myślą, że to tylko sen. Nie tyle próbowałam sobie wmówić, że moi rodzice nadal żyją, ile – dzień po dniu – oswajałam się z myślą, że ich nie ma. Każdego ranka podczas tych kilku pierwszych sekund po otwarciu oczu wydawało mi się, że jednak nie umarli. I każdego ranka umierali na nowo. Każdy dzień rozpoczynałam z nadzieją i w ciągu kilku sekund ta nadzieja gasła. Dzień w dzień.

Robię przerwę i rozglądam się po przestronnym gabinecie doktora Ariego. Drzwi za biurkiem prowadzą, jak sądzę, do jego prywatnej toalety. Jestem świadoma, że zaczęłam opowiadać swoją historię, ale skąd się wzięła glina w mojej dłoni i pogrzeb? Nie myślałam o swoich rodzicach od lat, ostatnim razem pewnie w liceum, mniej więcej wtedy, gdy przestałam szukać twarzy swojej matki w tłumie, kiedy moje serce przestawało zamierać za każdym razem, gdy widziałam na ulicy białego chevroleta suburbaną.

– Doktorze Ari, dlaczego o tym opowiadam? W mojej rodzinie nie było żadnych sekretów, żadnych trupów w szafie. Dlaczego ludzi zawsze fascynuje ich dzieciństwo? – Nie mogę przestać ciągnąć za rękawy swojej bluzki, które sięgają już prawie końców palców. – Moje pierwsze wspomnienie z dzieciństwa pochodzi z czasów, gdy miałam dziesięć lat. Czy powinnam pamiętać coś, co wydarzyło się wcześniej? Wszystko zdaje się zaczynać w tym momencie, nie ma niczego wcześniej ani później. Nie wiem, czy to, co mówię, ma sens, ale chyba próbuję zrozumieć, czy istnieje powód, dla którego nie mam żadnych wspomnień z wczesnego dzieciństwa.

– Brak wspomnień nie oznacza, że to dzieciństwo było złe, ale brak złych wspomnień nie oznacza również, że było dobre. – Lekarz sprawia wrażenie dumnego z wygłoszonej uwagi, lecz malujące się na mojej twarzy zmieszanie zbija go z tropu. Krzyżuje nogi i poprawia się na fotelu, jakby przygotowywał się do długiego monologu. – W ciągu pierwszych lat najważniejsza jest więź. To, jakimi jesteśmy dorosłymi, pokazuje, czy mieliśmy pozytywne czy negatywne dzieciństwo, i to w sposób bardziej wiarygodny niż jakiegokolwiek wspomnienie z dzieciństwa czy jego brak. – Doktor Ari patrzy na mnie, jakby to wszystko wyjaśniało.

Jestem w kropce.

– A skoro siedzę w pańskim gabinecie, to oznacza...?

– Kiedy myślisz o swojej matce, jaka jest pierwsza...

– Bądźmy poważni i nazwijmy rzecz po imieniu. Usiłuję sobie przypomnieć, czy maczałam palce w zniknięciu swojej córki. Zresztą to za słabo powiedziane; mogłabym zadać prawdziwe pytanie, na które wszyscy oczekują odpowiedzi. – Czuję, że zaczynam się denerwować, serce wali mi w piersi, najchętniej wstałabym i przeszła się po gabinecie. – Zatem nie chcesz rozmawiać o swojej matce?

– Nie, nie, nic pan nie rozumie. Nie pamiętam swojej matki, jej zapachu, dotyku, obecności. Pamiętam, że była wiecznie zajęta, może nawet trochę wycofana, ale o czym to świadczy?

– Jak już mówiłem, na tym etapie o niczym – odpowiada lekarz.

– A jeśli... – Milknę, nie wiem, jak dokończyć.

– Wycofanie nie jest cechą dziedziczną ani genetyczną mutacją, jeśli się nad tym zastanawiasz – mówi doktor Ari.

– Może nie dziedziczną, ale co z wzorcami zachowań? Czy to możliwe?

– Nie powinniśmy z tego wyciągać żadnych wniosków. Podam ci przykład: dziecko osoby uzależnionej od narkotyków musi sobie jakoś z tym poradzić i jednym ze sposobów jest zachowanie tego w tajemnicy, co z kolei prowadzi do kolejnych sekretów. Myśl o zachowaniu dziecka bardziej niż o próbie radzenia sobie z mankamentami rodziców.

– Szkoda, że nie ma tu mojej matki, odpowiedziałyby nam na wiele pytań. – Próbuję się powstrzymać od sarkazmu, ale mi nie wychodzi.

– W moim zawodzie zwykle nie doprowadzamy do konfrontacji z rodzicami, jeśli nie jest to konieczne. Skłaniamy się raczej ku rozmowom indywidualnym.

– Dlatego tyle osób chodzi do psychiatry.

Doktor Ari zaciska wargi, aż całkiem znikają. Jego usta przypominają ranę zadaną nożem. Zaczyna postukiwać nogą, w końcu przesuwa się na brzeg fotela i pochyla w moją stronę.

– Myśl o mnie nie jak o psychiatrze, tylko... – Szuka w pamięci odpowiedniego słowa i po chwili jego twarz się rozjaśnia. – Akuszerce. Myśl o mnie jak o swojej akuszerce. Jestem tu po to, żeby pomóc ci sprowadzić na świat twoją pamięć. Ani współczucie, ani sympatia ci w tym nie pomogą. W ciągu najbliższych dni będziesz mnie ignorować, błagać, żebym przestał, i najpewniej przyjdzie taki moment, że mnie znienawidzisz. W końcu, gdy już będziesz tulić w ramionach prawdę, uświadomisz sobie, że przez cały czas byłem po twojej stronie.

A więc jest pan po mojej stronie? Chcę mu zadać to pytanie, ale się powstrzymuję. Gdy myślę o tym, co powiedział, dociera do mnie, że najbardziej zależy mi właśnie na tym, żeby mieć kogoś po swojej stronie. Postanawiam mu zaufać i pozwolić, żeby zabrał mnie do miejsc, do których wołałabym więcej nie zaglądać. Ponieważ chcę odnaleźć swoją córkę. Lub dowiedzieć się, co ją spotkało. Lub odkryć, co jej zrobiłam.

– Opowiedz mi o pogrzebie – prosi doktor Ari.

Jestem górnikiem, schodzę do szybu i muszę wydobyć na powierzchnię szlachetny kamień. Jeśli wspomnienia są jak klejnoty, będę się zapuszczała coraz głębiej i pozwolę, żeby to doktor Ari oddzielił tombak od tego, co naprawdę cenne.

Pogrzeb. Cóż to było za widowisko.

*

Stałam obok ciemnej dziury w ziemi i wpatrywałam się przed siebie, kiedy ktoś wcisnął mi do ręki grudkę gliny. Wystawiono trzy trumny – dwie duże i jedną małą pośrodku – a gdy grabarze opuścili je do dołu, jedna po drugiej, wyciągnęli spod nich liny obojętnym ruchem nadgarstków. Książd był młody i jego próba zapuszczenia wąsów zaowocowała kilkoma żałosnymi włoskami. Jego skóra pozbawiona była porów, jakby ktoś zanurzył go w wosku.

Nagle przypomniałam sobie Joan Hardaway, dziewczynę, która mieszkała na naszej ulicy i chodziła ze mną do szkoły. W szkole słyszeliśmy, że „się tnie”, ale żadne z nas nie wiedziało, co to naprawdę znaczy. Wiedzieliśmy tylko, że lubi sobie robić krzywdę. Joan Hardaway była pulchną dziewczyną z lupieżem i żółtymi zębami. Widziałam kiedyś jej nogi, kiedy przebierałyśmy się po WF-ie. Jej uda pokrywała czerwona pajęczyna zadanych sobie celowo cięć, które przypominały rysunki na piasku, nieczytelne, lecz świadczące o jakimś rodzaju bólu. Pamiętam, że pomyślałam sobie wtedy, jakie to dziwne: sprawiać sobie więcej bólu, żeby o nim zapomnieć. Wówczas wydawało mi się to nielogiczne.

Dostrzegając zdziwienie w oczach doktora Ariego, uświadamiam sobie, że nie odzywałam się przez dłuższą chwilę. Wspomnienie pogrzebu wywołuje u mnie dzisiaj równie silne mdłości jak piętnaście lat temu. Muszę być skoncentrowana, mówić wolno i z namysłem, dokładnie opowiedzieć, co się stało.

– Rzuciłam grudkę gliny, a ta odbiła się od trumny mojej siostry i upadła na wieniec.

Opowiadam doktorowi Ariemu, jak wcieliłam się w rolę postronnego obserwatora, ponieważ uczestniczenie w ceremonii było dla mnie zbyt bolesne, zaś obserwowanie siebie z boku do pewnego stopnia łagodziło cierpienie. Wyraźnie widzę siebie i Anthony'ego, stojących nad grobem i trzymających się za ręce. Zanim opuszczono trumny, rozplakałam się. Próbowałam się odsunąć od brata, ale mnie nie puścił, ścisnął moją dłoń tak mocno, że aż mnie zabolą.

– Nie, nie. Czekaście! – wrzasnęłam.

Żałobnicy również wydali z siebie zduszony okrzyk. Kobiety zaczęły lkać, przyciskając do ust chusteczki, ich oczy były szeroko otwarte, w stłumionych głosach dało się usłyszeć zażenowanie.

– Stella, proszę, nie rób tego – odezwał się błagalnie Anthony. – Nie ciągnij mnie tak. Przestań się wyrzywać...

Krzyczałam coraz głośniejsze, nic nie widziałam przez łzy, lecz wiedziałam, że wszyscy się na mnie gapia, wlepiając wzrok w dziewczynkę, która straciła nad sobą panowanie. Udało mi się wyrwać Anthony'emu i zrobić krok do przodu.

Nie miałam zamiaru skoczyć, nie byłam na to przygotowana. Po prostu straciłam grunt pod nogami, kiedy osunęła się ziemia na krawędzi grobu, tuż przy dywaniku ze sztucznej trawy. Wylądowałam niczym bryła świeżo wykopanej ziemi na jednej z dwóch większych trumien. Przetoczyłam się na plecy i spojrzałam w górę, czując w ramieniu pulsujący ból. Zapach gardenii był obezwładniający, drapały mnie ostre wieńce. Dziesiątki oczu wpatrywały się we mnie, niezliczona liczba rąk wyciągnęła się wyczekująco w moją stronę. Usiadłam na trumnie, nie wiedząc, czy leży w niej moja mama, czy mój tata, pod ostrzałem tych wszystkich spojrzeń. Nie patrzyłam na żałobników, lecz w niebo. Anthony w końcu pochylił się nad grobem i dźwignął mnie do góry, żeby reszta mogła mnie wyciągnąć.

Kilka godzin później wszyscy zebrali się w naszym domu, domu z zimnym, pełnym popiołu kominkiem, który sprawiał niezbyt przyjazne wrażenie. Usiadłam w fotelu, zwrócona twarzą do frontowych drzwi, więc pierwszą osobą, którą widzieli wchodzący goście, była dziewczynka z ponurą miną i pełnym talerzem na kolanach. Nałożyłam sobie porcję pulpetów, sałatki ziemniaczanej, małych kanapeczek i faszerowanych grzybów. Ciotka Nell posłała mi zdziwione spojrzenie, więc dołożyłam na wierzch jeszcze kilka kanapek. Siedziałam z talerzem na kolanach, nie zadając sobie trudu wzięcia widelca czy serwetki, bo i tak nie zamierzałam jeść. Obserwowałam falę ludzi wlewającą się do domu. Moja milcząca obecność przy drzwiach nie przyniosła dobrego efektu; dorośli nie wiedzieli, czy pogłaskać mnie po włosach, czy może podać mi widelec. Żadna z wchodzących do domu osób nie przywitała się ze mną, oprócz jednej pani w średnim wieku, z widocznym wąsikiem, która przez chwilę bacznie mi się przyglądała.

– Witaj, Sally – powiedziała, wyciągając do mnie dłoń. Jakże marzyłam o tym, żeby być jakąś Sally i znajdować się w zupełnie innym miejscu, ale nie poprawiłam tej kobiety ani nie uściśniłam jej ręki. Jej ciemnorude odrosty sprawiały wrażenie, jakby krwawiły jej włosy. – Przykro mi z powodu twojej straty – dodała.

– Dziękuję ci, Shirley – odparłam. – Bardzo ci dziękuję.

Popatrzyła na mnie, zbита z tropu, i poszła porozmawiać z ciotką Nell.

Przez cały czas, gdy siedziałam przy drzwiach, „Shirley” zerknęła na mnie podejrzliwie. Tkwiłam tam długo i obserwowałam wychodzących żałobników, dopóki wreszcie dom nie opustoszał.

Wtedy chwyciłam Anthony'ego za rękę i wciągnęłam go do gabinetu. Ściany były tam zawieszono czarno-białymi zdjęciami budynków, głównie przemysłowych. Pierwsza fotografia, wisząca tuż przy drzwiach, przedstawiała Lipstick Building u zbiegu Pięćdziesiątej Trzeciej Ulicy i Trzeciej Alei, który wyglądał jak piramida z owalnych pudełek na kapelusze. Były też zdjęcia kościołów. Rozpoznałam Riverside Church, a także Bryant Park Hotel i mój ulubiony budynek dworca Grand Central. Fotografie budynków wisiały w gabinecie taty zamiast zdjęć rodziny. Relacje mojego ojca ze światem były zbudowane z kamienia i stali, betonu i zaprawy.

Zasłony były zaciągnięte, stojąca w rogu wielka cedrowa komoda wydzieliała ostre, świrdujący w nosie zapach. Tata trzymał w niej swoją kolekcję starych map. Przez lata ich zapach, kojarzący się z wonią mokrej ścierki wrzuconej do zlewu ustąpił miejsca aromatycznej woni drewna. W powietrzu dało się też wyczuć słaby zapach dymu. Widziałam ciotkę Nell palącą na schodach przed domem lub w ogrodzie na tyłach, ale może zaczęła popalać również w fotelu mojego ojca, z nogami na biurku.

Wyobraziłam ją sobie w sukience mojej matki, krążącą po domu z nieodłącznym papierosem w rękę i snującą plany, o których żadne z nas nie miało bladego pojęcia.

Anthony zamknął za nami drzwi. Wilgotne wiosenne powietrze delikatnie unosiło cienkie jak pergamin projekty leżące na mahoniowym biurku ojca. Anthony spojrzął na mnie i spuścił głowę. Wyczytałam w jego postawie cień wstydu.

Popatrzyłam na jego twarz, która dramatycznie się zmieniła przez ostatni tydzień, jakby mój brat musiał bardzo szybko wy dorosnąć. Niepasujący do niego zarost i ciało większe i bardziej muskularne niż pamiętałam. Wydawał się taki dorosły i zaradny, że poczułam się przy nim maleńka.

– Nie potrzebujemy ciotki Nell, możemy sami się sobą zająć. Masz prawie osiemnaście lat, pozwolą ci się mną opiekować.

– Nie mogę tego zrobić, Stello.

– Właśnie że możesz. Oboje możemy. Ciotka Nell jest dla nas nikim, nie mogę na nią patrzeć, niech się pakuje i wynosi. Im szybciej, tym lepiej.

– Nie mogę się tobą zaopiekować i już. Nie chodzi o t-to, że nie chcę, p-p-po prostu... – Zaczął się jąkać, chociaż nie robił tego od lat. Zachował jednak spokój, jakby zdecydował, że nie może sobie pozwolić na tę dziecięcą przypadłość. Miał czerwone oczy i chodził po gabinecie, szukając odpowiednich słów i drogi ucieczki. – Za dwa miesiące idę do akademii wojskowej. – Jego słowa zawisły między nami i wyssały z pokoju całe powietrze. Świat stanął w miejscu, nawet zasłony przestały powiewać.

Bolało mnie gardło i przy każdym przełknięciu śliny wracał do mnie koszmar, w którym w dół mojego przełyku powolutku zsuwał się kos. Bezwzględność słów Anthony'ego dorównywała bólowi rozrywanych przez ptasi dziób tkanek. Serce waliło mi tak mocno, jakby kos utkwił w mojej klatce piersiowej i z każdą sekundą coraz bardziej rozkładał skrzydła. Zaczynałam rozumieć, dlaczego Joan cięła się, żeby uciec od bólu. Zastąpienie jednego cierpienia drugim mogło dawać wrażenie kontroli.

– Będzie lepiej, niż ci się wydaje – powiedział Anthony, a ja poczułam, że odłączam się od swojego ciała.

Echo kroków Nell stukającej obcasami po drewnianej podłodze w korytarzu stawało się coraz głośniejsze, lecz nagle ucichło i nie byłam już pewna, czy ktoś się do nas zbliża, czy się od nas oddala. W każdym razie przestałam cokolwiek czuć.

*

Doktor Ari przysuwa w moją stronę pudełko chusteczek. Nie szlocham, po prostu strużka łez spływa mi po policzkach, do ust, po szyi i pod koszulę. Smakują jak lzy, które wypłakałam w dniu pogrzebu, i zastanawiam się, czy lzy szczęścia smakują inaczej. Wspomnienie pogrzebu moich rodziców jest silne, chociaż nie wiem, dlaczego po tylu latach nadal ma nade mną taką władzę.

Siedzę wyprostowana i usiłuję nie okazywać bólu. Nie udaje mi się jednak oszukać doktora Ariego, wiecznie obecnego jastrzębia, który potrafi namierzyć cierpienie niczym ofiarę i w nie uderzyć.

– Jest mi bardzo przykro, że cię to spotkało – mówi.

– Czuję się bezpieczna w moim smutku i wmawiałam sobie, że gorzej już być nie może. Moi rodzice nie żyli, mój brat wyjeżdżał, a ciocia Nell żerowała na tym, co zostało z naszej rodziny i domu jak sęp skubiący padlinę przy drodze. Sięgnęłam dna. A jednak się myliłam. I to bardzo.

Spoglądam na swoje dłonie, spodziewając się, że zobaczę tamtą grudkę gliny. Są puste. Zdarliśmy dopiero pierwszą warstwę i oboje wiemy, że zostało ich jeszcze wiele, podobnie jak ran, które będziemy rozdrapywać aż do kości. Jestem wykończona; nie powiem mu niczego więcej.

Słyszę swój głos, który mnie zdradza.

– Proszę na mnie spojrzeć: siedzę tu i próbuję przypomnieć sobie coś tak... – Szukam odpowiednich słów, usiłując opisać kierunek, jaki obrało moje życie. – Co teraz? Nie mam pojęcia co dalej. – Może byłam po prostu dzieckiem, które straciło rodziców i czuło się samotne? Może moje dzieciństwo było tragiczne, ale moja tragedia rozpoczęła się na długo przed pogrzebem, być może nawet z chwilą moich narodzin? – Doktorze Ari, czy niektórzy ludzie rodzą się smutni? Nie introwertyczni i wycofani, tylko załamani? Czy wyszłam z łona matki z predyspozycjami do... nie wiem... smutku? Czy to możliwe?

– Istnieje genetyczna wrażliwość wywołana neuroprzekaznikami i czynnikami biochemicznymi, do tego dochodzą wydarzenia rozwojowe, takie jak śmierć twoich rodziców. Żałoba to niezwykle silny czynnik stresu, szczególnie w dzieciństwie.

Po raz pierwszy spoglądałam na siebie oczami ludzi obecnych na pogrzebie. Jaka byłam? Ekscentryczna? To jak patrzeć w krzywe lustro w wesołym miasteczku, z tą różnicą, że moje odbicie nie jest zniekształcone. Oto ja: posępna dziewczynka, siedząca przy drzwiach i gapiąca się na ludzi – właśnie taka jestem.

– Szczerze mówiąc, moja szklanka zawsze była do połowy pusta. Nie tylko teraz, gdy jestem dorosła, lecz także w dzieciństwie. Nie pamiętam żadnego momentu, w którym czułabym się szczęśliwa. Nie pamiętam, żebym skakała pod sufit, była upojona szczęściem, czy jak to tam nazwać. Nie potrafię przeżywać szczęścia, nie jestem do tego stworzona. – Wskazują na leżący przed nim dyktafon. – Zupełnie jak ten dyktafon. Potrafi tylko nagrywać dźwięk, nic więcej. Nie zarejestruje temperatury w tym pokoju ani pogody za oknem.

– Ośmielę się z tobą nie zgodzić.

– W jakiej sprawie? – pytam.

– Że nie było w twoim życiu szczęśliwych momentów. Może nie pamiętasz ich wszystkich, ale... – Zawiesza głos, po chwili jego twarz się rozjaśnia. – Kiedy byłem dzieckiem, babcia nauczyła mnie grać w *petiteia*, rodzaj gry planszowej. Takie uproszczone szachy. Wygrywa się w niej przewagą punktową, a nie pojedynczym pionkiem czy finałowym ruchem.

– To, że babcia nauczyła pana zasad gry planszowej, nazywa pan szczęściem?

– Chodzi nie tyle o grę, ile o fakt, że próbowała dać mi pewną lekcję. Pamiętam, że aby wygrać, należało otoczyć pionki przeciwnika.

– A więc nauczyła pana czegoś w rodzaju strategii wojennej, tak?

– Nie postrzegalem tego w kategoriach strategii; chodziło raczej o to, że cierpliwość zawsze zostaje wynagrodzona. Przede wszystkim jednak pamiętam stukot przestawianych na planszy pionków. Zapach herbaty, brzęczenie biżuterii babci. Cierpliwość, z jaką tłumaczyła mi znaczenie kolejnych ruchów, wyjaśniała reguły. Zawsze pozwalała mi powtórzyć ruch, jeśli był kluczowy dla rozgrywanej partii. Była dobrą i mądrą kobietą.

– Czy nadal pamięta pan, jak się w to gra?

– Nie bardzo. Chyba nigdy nie opanowałem perfekcyjnie zasad.

– I jaki z tego wniosek?

– Że każdy człowiek doświadcza w swoim życiu chwil szczęścia. Szczęście, podobnie jak smutek, skrywa się pod wieloma warstwami.

– Tak jak wspomnienia.

– Tak jak wspomnienia.

– Muszę tylko odnaleźć te chwile. – Zawieszam głos i zastanawiam się nad stosunkiem smutku do szczęścia w moim życiu. – Smutne momenty przypominam sobie bez trudu, szczęśliwe jakby się przede mną chowały.

Odwracam głowę i patrzę na szafki na akta zajmujące całą ścianę gabinetu, na szufladki strategicznie skrywające ich praktyczny cel. Płynnie wysuwające się szuflady wypełnione są starymi aktami. Nagrody doktora Ariego wiszą na ścianie symetrycznie, zabezpieczone pleksiglasem

i przytwierdzone do ściany niewidocznymi uchwytami. Lekarz nie życzy sobie żadnych oznak słabości w swoim uporządkowanym świecie, więc nawet ramki udają, że nie potrzebują gwoździ, żeby pozostać na miejscu.

– Anthony pewnie nawet nie wie, gdzie jestem.

Doktor Ari unosi brwi, po czym kartkuje moje akta, jakby trzymanie ich w dłoniach dawało mu iluzoryczną możliwość manipulowania znaną częścią mojej przeszłości.

– Niedługo o tym porozmawiamy. – Wyciąga z kieszeni zegarek, jakby nie wierzył w wiarygodność plastikowego zegara stojącego na biurku. – Na jutro chciałbym, żebyś zastanowiła się nad ideą szczęścia.

– To ono w ogóle istnieje? – pytam.

– Pamięć jest miejscem, które odwiedzasz, nie w którym mieszkasz. A zatem szczęście nie jest stanem permanentnym, lecz ulotną chwilą. Pomyślisz o takiej chwili?

Wieczorem, kiedy piszę w dzienniku, przypominam sobie opowieść doktora Ariego o babci. Usiłuję się skoncentrować raczej na szczęśliwym otoczeniu i szczegółach niż na samym uczuciu szczęścia. Próbuję myśleć o szczęśliwych momentach z przeszłości jak o elementach, które wystarczy ze sobą poskładać. Później do głowy przychodzi mi obraz budynku, którego nieruchome piękno kontrastuje z panującym w nim gwarem. W tym wspomnieniu mój ojciec ma na sobie granatowy garnitur i płaszcz, a ja sukienkę i czarne lakierowane buty, które piją mnie w palce. Przyjechaliśmy na dworzec Grand Central z okazji moich dziesiątych urodzin; ojciec obiecał mi zdradzić „dobrze strzeżony sekret”.

– Kiedy stąd wyjdziemy, będziesz jedną z niewielu wyróżnionych osób, które go znają – mówi konspiracyjnym tonem. Brakuje mu tylko czarnej peleryny i magicznej różdżki.

– Nie mówisz poważnie, prawda, tato? Żartujesz sobie?

– Jestem śmiertelnie poważny, Estelle. Czy wiesz, kim był Adolf Hitler?

– Pewnie, że wiem. Dyktatorem nazistowskich Niemiec. Ale chyba nie przyjechaliśmy tu na lekcję historii?

– Nie, przecież to twoje urodziny – odpowiada ojciec ze śmiechem.

– Co ma wspólnego Hitler z tym sekretem?

Ojciec zniża głos, nachyla się i szepcze mi do ucha:

– A gdybym ci powiedział, że wysłał szpiegów, żeby odkryli ten sekret?

– I udało im się?

– Nie, aresztowało ich FBI.

– Jest w to zamieszane FBI?

Ten sekret jest znacznie lepszy, niż mogłabym sobie wyobrazić.

Docieramy do hali głównej i tata łapie mnie za rękę. Patrzę na niego, a później podążam za jego wzrokiem w górę. Stoimy pod czymś w rodzaju astronomicznego muralu. Tło jest niebieskie, konstelacje złote. Malowidło pokrywa całe sklepienie hali. Od patrzenia w górę zaczyna mi się kręcić w głowie. Opuszczam wzrok, nadal trzymając dłoń ojca.

– Co to takiego? – pytam.

– Kochanie, oto dzieło pewnego francuskiego malarza. Jak sądzisz, ile gwiazd się tam znajduje?

Trochę mi słabo. Postanawiam nie patrzeć w górę i podaję liczbę, która wydaje mi się właściwa.

– Pięćset.

– Dwa tysiące pięćset. Malowidło miało przedstawiać niebo nad Morzem Śródziemnym. Większe gwiazdy symbolizują konstelacje zodiakalne.

– Co w tym niezwykłego i dlaczego szpiegzy próbowali to zdemaskować?

– Ależ nie, nie o ten sekret mi chodziło. Wrócimy do niego za chwilę. Chciałem ci pokazać to malowidło, ponieważ artysta popełnił błąd, nie zdając sobie z tego sprawy.

– Błąd? – Przyglądam się freskowi.

– Tak, użył starożytnego manuskryptu. Przez długi czas nie było wiadomo, dlaczego się pomylił. Widzisz, niektóre gwiazdy położone są na odwrót. W tamtych czasach kartografowie przedstawiali gwiazdozbiory znaków zodiaków jakby widziane z zewnątrz, z perspektywy Boga.

– Masz w domu ten manuskrypt?

– To by było jak mieć oryginał *Mony Lisy* w swoim salonie – odpowiada ze śmiechem ojciec. – Ale mam kopię. Pokażę ci, jak wrócimy. Chodźmy dalej.

Ściska mnie mocniej za rękę, kiedy idziemy w głąb dworca. Dochodzimy do starej windy towarowej. Ojciec naciska guzik i drzwi natychmiast się otwierają, jakby winda na nas czekała. Wsiadamy do środka i zjeżdżamy piszczącą i trzęsącą się kabiną. Uwielbiam moment tuż przed zatrzymaniem się windy, kiedy mam wrażenie, że nic nie ważę, a cały świat jakby na moment zatrzymuje się w miejscu.

Znajdujemy się w przemysłowej części budynku. Pomieszczenie jest duże, sklepienie wyższe, niż można się spodziewać pod ziemią. Jedną część zajmują metalowe szafy z kontrolkami, zaś drugą stare maszyny przypominające mechanizmy ogromnych zegarów. Podłoga to stalowa krata, czuję jej wibracje przez podeszwy butów. Bucha spod niej gorące powietrze, słyszę szum gigantycznych wiatraków pod stopami.

– Jesteśmy na miejscu! – oznajmia rozradowany ojciec. Czuję się tak, jakbym sprawiała mu zawód, jakbym powinna wiedzieć, dlaczego to pomieszczenie jest takie ważne. – M42 – dodaje.

– Racja. – Nie wiem, co innego mogłabym powiedzieć.

– To bardzo ważna część dworca. Mało kto wie o tej sekretnej piwnicy. Znajdujesz się w M42, na tajemnym podpoziomiu. I jakie to uczucie?

Rozglądam się dookoła i muszę przyznać, że gigantyczne mechanizmy wyglądają niezwykle tajemniczo, lecz mimo to czuję się rozczarowana.

– I właśnie ten sekret próbowali zdemaskować szpiedzy?

Ojciec zniża głos, jakby usiłował zachować w tajemnicy również swoją odpowiedź.

– Gdyby szpiedzy uszkodzili prostowniki, wyłączyliby z użytku cały dworzec podczas drugiej wojny światowej. To miejsce było tak strzeżone, że każdy, kto zapuścił się tu bez przepustki, kończył za kratkami... lub z kulą w głowie.

– Rozumiem.

– Czy wiesz, co to oznacza?

Nie mam pojęcia, więc tylko wzruszam ramionami.

– Oznacza to, że jesteś w miejscu, którego nie ma na żadnej mapie ani żadnym planie. Każdy budynek ma swój plan, zostaje zaprojektowany na papierze, zanim robotnicy położą pierwszą cegłę. Ściany podtrzymują dach, podłogi podtrzymują ściany i tak dalej, zaś architekci obmyślają i rozrysowują każdy centymetr budynku. Znajdujesz się w pomieszczeniu, o którym wie zaledwie garstka osób, chociaż każdego dnia przechodzą nad nim miliony ludzi. Fascynujące, nie sądzisz?

Zastanawiam się nad tym przez chwilę i zaczynam rozumieć jego entuzjazm.

– Chyba nie powinnam o tym nikomu mówić? – pytam, mrugając konspiracyjnie.

Ojciec marszczy brwi, ale tylko na moment. Później się uśmiecha.

– To nasz wspólny sekret. Pewnego dnia, może za dziesięć czy piętnaście lat, zaczną tu wpuszczać wycieczki z przewodnikami i telewizyjnych ekspertów. Wówczas wszyscy dowiedzą się o tym miejscu. – Spogląda na zegarek. – Jednak na razie to nasz sekret. Co o tym sądzisz?

– Myślę, że to super, że trafiliśmy tutaj, dopóki to miejsce jest wyjątkowe.

– Też tak myślę. Wiedziałem, że ci się to spodoba – mówi tata i trzymając się za rękę, wracamy do widny, która zabiera nas na górę do głównej hali. Roi się tam od ludzi spieszących w różne miejsca, zajętych różnymi sprawami i udowadniających tym samym, jak cudownym miejscem jest otaczający nas świat.

Tej nocy, leżąc bezsennie w łóżku i wpatrując się w sufit, usiłuję zrozumieć, co się stało. Zamiast zastanawiać się nad tym, gdzie teraz znajduje się moja córka, myślę o swoim udziale w tym, jaki obrót przybrało moje życie.

Zamykam oczy i wracam myślami do dzieciństwa, czuję pod palcami dotyk szenilowej narzuty na łóżko i słyszę dźwięk drapania gałęzi starego dębu o parapet. Jedynym dostępnym człowiekowi filtrem jest jego dzieciństwo i gdy w moim umyśle materializują się duchy rodziców, dochodzę do wniosku, że byli przy mnie: karmili mnie, ubierali, troszczyli się.

Nagle coś do mnie dociera. Ojciec nigdy nie ściągnął mnie z parapetu, nie wybiegł za mną na ulicę, ratując mnie spod kół nadjeżdżającego samochodu. Nie pamiętam przejawów fizycznej czułości ze strony matki, lecz zakładam, że siedziała przy mnie, kiedy chorowałam w dzieciństwie, i jestem prawie pewna, że szła moje kostiumy na Halloween. Kiedy jednak usiłuję sobie przypomnieć coś więcej niż przeciętne dowody przywiązania, nic mi nie przychodzi do głowy. Wszystko sprowadza się do tego, że nie potrafię ocenić skali miłości, jaką darzyli mnie rodzice. Życie nie postawiło ich w żadnej ekstremalnej sytuacji, nigdy nie musieli udowodnić głębi swojej miłości wykraczającej poza genetyczne przywiązanie. Troszczyli się o mnie w przeciętny sposób. Po raz kolejny nie natrafiłam w moich poszukiwaniach na klejnoty, tylko na zwykłe kamienie.

Rozdział 14

– Opowiedz mi o Jacku – prosi doktor Ari.

W końcu dotarliśmy do rozdziału zatytułowanego Jack, do tematu mężczyzny, którego poślubiłam zaledwie rok po tym, jak się poznaliśmy. Mówić o nim to wchodzić na grząski grunt.

Z domu moich rodziców w Bedford trafiłam do domu Nell w Jersey, a stamtąd do tanich mieszkań w suterrenach. Ostatnim przystankiem przed North Dandry było mieszkanie Jacka przy William Street.

– Jack nazywał mnie księżniczką, był staroświecki pod wieloma względami: kupował mi kwiaty, prezenty, przepuszczał mnie w drzwiach.

Przypominam sobie apartament Jacka na trzydziestym szóstym piętrze budynku Gotham Tower Condominium, po którym niesło się niepokojące echo.

– Duże mieszkanie – zauważyłam, bezskutecznie starając się nie stukać obcasami o łupkową podłogę.

– Zabrzmiało tak, jakby to było coś złego. – Jack zdjął płaszcz i odstawił teczkę na szkliony blat z lawy wulkanicznej.

Ten gest przepowiadał naszą wspólną przyszłość. Kiedy teraz myślę o Jacku, widzę go, jak wkłada płaszcz albo go zdejmuje, wchodzi lub wychodzi, ale nigdy nie siedzi w miejscu.

– Ile będzie mnie kosztował wstęp? – rzuciłam lekko, spoglądając na cynowy sufit, który sprawiał wrażenie, że będzie trwał wiecznie.

Jack stanął przy oknie, zachwycony rozciągającym się z niego widokiem miasta.

– Twoją duszę – odparł żartem, a jego cień zaburzył idealny blask drewnianej podłogi.

Doktor Ari patrzy, jak krzyżuję ramiona na piersi.

– Jack od początku okłamywał mnie w sprawie pieniędzy. Wydawało mi się, że utrzymuje się głównie ze spadku po matce albo z jakiegoś ubezpieczenia, nigdy mi tego nie wyjaśnił. Podczas studiów prawniczych obracał nieruchomościami, najczęściej z zyskiem; nie miał szans kupić tak luksusowego mieszkania wyłącznie ze swojej pensji. A kiedy wzięliśmy ślub, prawie od samego początku mieliśmy problemy finansowe i Jack w końcu zatrudnił się w Chicago. Praca niby tymczasowa, ale dobrze płatna i miała nas szybko wyciągnąć z długów, a przynajmniej tak twierdził Jack.

Doktor Ari zdejmuje okulary i czyści szkła szmatką, którą trzyma w szufladzie biurka. Chce przyrzeć się mojej sprawie dokładniej, czy po prostu ma dosyć zaburzających obraz świata smug? Stuka długopisem w leżącą przed nim teczkę, po czym otwiera ją i przekłada papiery. Chce mieć pewność, że wszystko dobrze zrozumiał.

– Mia miała tylko pół roku, więc twojemu mężowi musiało być ciężko zostawić was same w Nowym Jorku, szczególnie biorąc pod uwagę twój stan.

– Kobiety na całym świecie samotnie wychowują dzieci. „Moja matka była świętą”, powiedział kiedyś Jack. „Ani razu nie podniosła na mnie głosu. Wychowała mnie sama”.

– Opowiedz mi, jak się wtedy czułaś. – Doktor Ari przyciąga mnie z powrotem, nie chcąc stracić tego, co majączy na drugim końcu liny.

Rozglądałam się po jego gabinecie, usiłując skoncentrować uwagę na czymś, co pozwoliłoby mi się opanować. Dudnienie w skroniach jest bolesne, jakby coś uwięzionego w mojej głowie próbowało z niej uciec.

Opowiadam, że byłam zmęczona, przytłoczona i cała w ślinie. Opowiadam o tym, że każde wyjście oznaczało konieczność włożenia ubrań i sztucznego uśmiechania się przez wzgląd na otaczających mnie ludzi. Opowiadam o tym, że moje kiepskie dni zaczynały się od widoku Jacka wychodzącego z domu w odebranych z pralni garniturze i wykrochmalonej koszuli, pachnącego pastą do butów i że zapadałam się w ciemność z chwilą, gdy zamykały się za nim drzwi. Później Jack wracał do domu, a ja nadal byłam sama i zapadałam się jeszcze głębiej. I że nie potrafiłam sprostać żądaniom Mii, a Jack powtarzał mi, żebym się wreszcie otrząsnęła. I że te wszystkie miesiące, kiedy kazał mi się wziąć w garść, wreszcie się opłacyły i zanim wyjechał do Chicago udało mi się wywrócić siebie na lewą stronę, jak brudną skarpetkę, ukazując światu tę lepszą, bardziej radosną wersję mnie.

– Czy chociaż raz byłaś u lekarza? – Doktor Ari przygląda mi się troskliwie i z uwagą.

Kiedy mówię mu, że lekarz przepisał mi antydepresanty, pyta, czy rozmawiałam z profesjonalistą, terapeutą lub psychiatrą, i czy próbowałam podjąć terapię.

– Na samo wyobrażenie dźwięku swojego głosu robiło mi się niedobrze.

Siedzę idealnie wyprostowana i spuszczam wzrok. Koncentruję się na leżącej przed doktorem Arim teczce. Oparł na niej złożone dłonie, jego wypielęgnowane paznokcie są błyszczące i mają idealny kształt. Zastanawiam się, co znajduje się w tej teczce. Raporty policyjne, akta medyczne, zdjęcia, artykuły prasowe?

– Niech pan nie myśli, że przez cały czas byłam pogrążona w rozpacz. Ani przez sekundę nie zapomniałam o tym, że stworzyłam cud. Kochałam Mię tak mocno, że czasami miałam wrażenie, że serce wyskoczy mi z piersi. Jednak kiedy nie przestawała płakać, wydawało mi się, że coś jej dolega. A później dni zaczęły się ciągnąć w nieskończoność. – Przy ostatnim słowie potrząsam głową.

Doktor Ari patrzy na mnie jak na kogoś bliskiego szaleństwa.

– Czy czułaś się złą matką, kiedy nie potrafiłaś jej uspokoić?

Zaczynam się pocić.

– Robiłam to, co kazali mi lekarze, ale nic nie pomagało. Próbowałam sobie radzić, po prostu wydawało mi się, że... to za mało. Czułam się podglądana, obserwowana, jakbym tkwiła pod mikroskopem. Patrzcie na tę wariatkę, która nie potrafi się zaopiekować własnym dzieckiem! Gdziekolwiek poszłam, wszyscy dawali mi rady: zrób to, zrób tamto, nie kołysz jej tak mocno, kołysz nią mocniej, pozwól jej się wypłakać, przytul ją... wszyscy i wszędzie, pielęgniarki, kobiety w sklepach i w parku.

Doktor Ari przesuwają do mnie mój dziennik. Wypuszcza głośno powietrze, dając upust swojej frustracji, przez co atmosfera w pokoju się zagęszcza.

– Nic wczoraj nie napisałaś. Dlaczego?

Jego irytacja spowija mnie niczym burzowa chmura. Nic z siebie nie dałam, nie dotrzymałam swojej części umowy. Ostatnio myślę tak intensywnie, że boli mnie od tego głowa, każdego dnia, podczas naszych sesji, każdej nocy, kiedy prowadzę zapiski w dzienniku, w każdej sekundzie, tak mi się wydaje. Nawet we śnie szukam odpowiedzi, uparcie dążę do poznania prawdy. Doszłam do ściany i niezależnie od tego, jak bardzo pragnę się dowiedzieć, co jest po drugiej stronie, ściana nie chce ustąpić. Zamiast tego dopada mnie ból głowy – tępy i pulsujący – tuż za oczami.

– Powiedz mi, czego nie zapisałaś.

Podnoszę głos.

– To naprawdę nic takiego. Duże drzewo zasłania mi widok z okna. W moim śnie wiatr porusza gałęziami, kołysze nimi, ale prawie nie widzę, co się za nimi znajduje. Okna wpatrują się we mnie jak oczy, jestem blisko, tak blisko, ale później wszystko znika, a ja wracam do punktu wyjścia.

– We śnie drzewo zawsze coś symbolizuje. – Doktor Ari próbuje mnie nakłonić do powrotu na ścieżkę wspomnień usianą kamykami, które powinny pobudzić moją pamięć, żebym mogła dalej opowiadać historię, którą on chce usłyszeć. Sięga po dziennik i uważnie studiuje mój ostatni wpis.

Doktor wyjaśnił mi, że przed zaśnięciem powinnam na głos wyrazić swoje pragnienie zapamiętania snów. Korzystam ze specjalnego elektronicznego budzika, który budzi mnie co półtorej godziny, poczynając od trzeciej w nocy, podczas trwania lub tuż po zakończeniu fazy REM. Ostatniej nocy coś się zmieniło. Drzewo przed domem pojawiało się w moich snach już od jakiegoś czasu, jednak tym razem po raz pierwszy znalazłam się w środku. Dom był niewielki, tak naprawdę składał się z jednego pomieszczenia. Obok płynęła rzeka, jej nurt był silny, niemal rwący. Byłam świadoma zagrożenia, prawie czułam napór wzburzonej wody na otaczające mnie ściany, które trzeszczały, piszczały i jęczały. Widziałam strużki wody przesiąkającej przez szczeliny w ścianie i wiedziałam, że drzwi muszą ustąpić pod naporem powodzi. Wcześniej czy później rzeka miała wlać się do środka i ponieść mnie ze sobą. W moim śnie szukałam drogi ucieczki z domu i kiedy zbudził mnie dźwięk budzika, nadal jej szukałam.

Ogryzam postrzępione paznokcie i rozpamiętuję tamto uczucie, rozpaczliwe poszukiwanie, dudniące serce, przyspieszony i płytki oddech. Czasami przypominasz sobie jedną rzecz, ta z kolei pozwala ci przypomnieć sobie kolejną i zanim się zorientujesz, pamiętasz wszystko.

– Nie zapisałam w dzienniku tego, że wczoraj w nocy przypomniałam sobie, jak szukałam Mii.

Doktor Ari otwiera teczkę i przerzuca strony. Wyciąga plan domu przy North Dandry przypięty do aktu własności. Plan domu, rozkład pokoi, korytarzy i drzwi. Rozpościera go i chowa się za nim, jakby czytał niedzielną gazetę. Orientuje się, że trzyma plan do góry nogami, przekręca go i znowu zaczyna mu się przyglądać. Woskowany papier jest mocny; nie zostają na nim żadne ślady zgniecenń poza oryginalnymi miejscami zagięć.

Przez chwilę słucham jak zahipnotyzowana szelestu papieru. Zastanawiam się, czy wydrukowane na nim zdjęcia i obrazy zmieniają jego charakter. Dźwięk papierków od cukierków niesie za sobą obietnicę słodczy, ozdobny papier przywołuje na myśl bożonarodzeniowe poranki i spełnione marzenia urodzinowe.

Pamiętam inne mapy, należące do mojego ojca, stare i często oglądane. Dotykanie lekkiego i półprzezroczystego pergaminu dawało mi poczucie pokonywania przestrzeni. Był zrobiony z owczej skóry, czyli materiału znacznie bardziej archaicznego niż woskowany papier, który trzymał w rękach doktor Ari. Prawie słyszę, jak plan North Dandry zaczyna wibrować.

W końcu doktor Ari wynurza się zza papierowej fortyfikacji. Odkłada plan na biurko. Na rzucie piętra jest mnóstwo wewnętrznych ścian i korytarzy; doktor Ari spogląda na nie z góry niczym Bóg obserwujący człowieczą próbę zbudowania sobie schronienia przed Jego gniewem.

– Opowiedz mi, jak jej szukałaś.

Jaką matką bym była, gdybym nie szukała własnego dziecka?

*

Usiłuję myśleć logicznie. Czytałam artykuły o rodzicach, którzy zostawiali niemowlęta w samochodowych fotelikach, wózkach, a nawet w żłobkach, porzucali je jak parasol w metrze lub torbę z zakupami w restauracji.

Stałam na chodniku i spojrzałam najpierw w lewo, później w prawo. Przy krawężniku stała czerwona welurowa kanapa, w rogu przyczepiony był kawałek tektury z napisem „Weź mnie”.

Przysłoniłam oczy dłońmi, żeby zajrzeć przez przyciemnione szyby mojego samochodu. Zobaczyłam tylko pusty fotelik. Otworzyłam pilotem bagażnik; był w nim stary fotelik Mii, w którym

jeździła tyłem do kierunku jazdy, i pusta walizka. Przedwcześnie zmieniłam fotelik na taki, w którym Mia siedziała przodem do kierunku jazdy, ponieważ wydawała się spokojniejsza, kiedy mnie widziała. Walizka w bagażniku była poobijana, miała popsuty zamek. To była ta sama walizka, którą zabrałam do Jersey przed wielu laty.

Głośno zatrzasnęłam bagażnik. Odgłosy ulicy brzmiały znajomo. Była niedziela i z kościoła Świętego Józefa po przeciwnej stronie ulicy dobiegały dźwięki organów wygrywających hymn, którego nie znałam. Niecałe sto metrów dalej znajdowało się wejście do metra. Pod metalowym ogrodzeniem przy schodach prowadzących w dół siedziała bezdomna kobieta. Obok niej na kawalku tektury kulili się mały pies z brudną bandaną wokół szyi. Kiedy do nich podeszłam, uniósł łeb. Kobieta miała na sobie przynajmniej trzy lub cztery warstwy ubrań. Chociaż miała zamknięte oczy, jej postawa była czujna.

– Przepraszam. – Kiedy się odezwałam, otworzyła jedno oko. Pies, obszarpany kundel, podniósł się z miejsca i zawarczał. Kobieta położyła brudną dłoń na jego grzbiecie. Pies położył się na ziemi, ale nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Czego? – burknęła. Górną warstwę jej stroju stanowił duży czarny worek na śmieci z wyciętymi otworami na głowę i ręce. Obok kobiety leżały dwie plastikowe torby z całym jej dobytkiem.

– Od dawna tu pani siedzi? – zapytałam.

Nie odpowiedziała.

– Czy widziała pani, żeby ktoś wychodził z mojego domu razem z... – Zawahałam się. Może to jednak nie był dobry pomysł. Podeszłam bliżej, a pies zawarczał chrapliwie. – Niemowlęciem – dokończyłam i natychmiast dostało do mnie, jak idiotycznie to zabrzmiało.

– Masz drobne? – Kobieta wyciągnęła banana spod worka na śmieci, który zastępował jej płaszcz przeciwdeszczowy.

– Niestety, nie mam przy sobie portfela, ale musi mi pani powiedzieć, czy widziała pani, jak ktoś wychodzi z tamtego budynku. – Wskazałam w stronę domu z numerem 517. – Tam gdzie stoi czerwona kanapa. Z niemowlęciem. Czy widziała pani kogoś z niemowlęciem?

– Ja dużo widzę. – Świsnęła przeciągle i zaczęła obierać przejrzały owoc, po czym obcięła mnie spojrzaniem z góry na dół. – Z niemowlęciem, mówisz? Twoim?

– Tak, moja córka ma siedem miesięcy i ktoś ją zabrał. Czy coś pani widziała?

– Zginęło ci dziecko? – zapytała, odrywając bezzębnymi dziąsłami kawałek banana. – Powinnaś go lepiej pilnować. – Młasnęła, odgryzając kolejny kawałek. – Ja mam syna – ciągnęła. – Chcesz go zobaczyć? Jest zawsze przy mnie. – Rozejrzała się, jakby chciała się upewnić, czy nikt nas nie podgląda.

Pies radośnie dokończył banana, którego mu rzuciła, i zaczął wylizywać skórkę.

– Pani syna? – zapytałam.

– Właśnie jego.

– Ja tylko... Muszę się dowiedzieć, czy coś pani widziała.

Sięgnęła pod worek na śmieci, zanurkowała głęboko pod kilka warstw ubrań i wyjęła tobolek z brudnych szmat. Rozwijiała materiał z namaszczeniem, jakby zawierał cenny klejnot. Kiedy odwinęła ostatni róg, posłała mi bezzębny uśmiech. Pomiędzy fałdami materiału znajdowało się coś brązowego. Przelknęłam ślinę. Doleciał mnie odór rozkładających się tkanek.

– Żałuję, że nie mogę mu zapewnić domu – powiedziała kobieta i pogłaskała zmumifikowaną wiewiórkę szerniałymi paznokciami. – Kiepsko się czuje, a te szmaty to nie miejsce dla dziecka. Masz jakiś pomysł na schronienie dla niego?

Wyciągnęła zawiniątko w moją stronę. Brzuch wiewiórki był rozcięty. Wzdrygnęłam się i odwróciłam głowę. Ze wszystkich sił starałam się zapanować nad żołądkiem, ale była to z góry przegrana walka.

Przeszłam zaledwie pół przecznicy w kierunku Liberty Street. Skręciłam w alejkę po prawej, na tyły delikatesów wychodzących na Linden Street, i zwymiotowałam. Wstrząsały mną torsje, nie mogłam się pozbyć obrazu wypatroszonej wiewiórki.

W końcu się rozejrzałam: otaczały mnie skrzynki zwiędłej sałaty i zeschniętych ogórków ustawione na powgniatanych puszkach ciecierzycy. Smród był okropny. Rozkładająca się główka sałaty – niemal w postaci półpłynnej – leżała na wierzchu skrzynki pełnej starych pomidorów, zardzewiałych puszek kukurydzy, zapadniętych kartonów mleka i siatki pomarańczy obrośniętych niebieskawozieloną pleśnią.

W drodze do domu znów zobaczyłam bezdomną kobietę. Pies spojrzał na mnie, lecz tym razem pomachał ogonem. Kobieta miała zamknięte oczy i zwieszoną głowę. Minęłam ją i szłam dalej North Dandry. Otworzyłam bagażnik, położyłam fotelik na ziemi i chwyciłam starą walizkę. Nawet kiedy stawałam ją obok bezdomnej, nie poruszyła się, ani nie odezwała.

Po powrocie do domu kilka godzin przesiedziałam na kanapie. Było tak cicho, że słyszałam bicie własnego serca. Próbowałam zająć głowę rozmyślaniami w rodzaju: gdzie powinnam szukać, gdzie już szukałam, dokąd powinnam teraz pójść. Odsunęłam od siebie strach, czy Mia żyje i jest bezpieczna, jakby dzięki temu nie mogło jej spotkać nic złego. I wtedy uderzyła mnie zupełnie nowa myśl, możliwość, której do tej pory nie brałam pod uwagę.

*

To czyste szaleństwo. Niczym nie różnię się od tej starej bezdomnej na rogu, której wydaje się, że wypatroszona wiewiórka to jej syn. Nikt nie przyszedł i nie porwał Mii. Nikt nie zabrał jej ubranek, butelek i mleka. Nikt nie przeniknął przez ściany z jej pieluszkami, nikt nie sforsował zamków, zasuwek i krat. Istniało tylko jedno logiczne wytłumaczenie tego, co się stało – nie było żadnego dziecka. Nigdy. Mia stanowiła wytwór mojej wyobraźni. Jak inaczej mogłabym wytłumaczyć to, że zniknęły wszystkie rzeczy mojego urojonego dziecka? Potrzebowałam dowodu na jej istnienie. Musiałam przekonać samą siebie, że nie straciłam całkowicie kontaktu z rzeczywistością.

Wstałam i poszłam do łazienki. Zdjęłam koszulę i biustonosz. Stałam plecami do wysokiego lustra. Zamarłam w bezruchu, przygotowując się na moment prawdy. Na moim ciele muszą być jakieś ślady, jeśli rodziłam. Powinnam mieć większy brzuch i wiotką, obwisłą skórę, która nie zdążyła jeszcze wrócić do pierwotnego stanu. Powinnam zauważyć rozstępy, *linea nigra* i pociemniałe sutki.

Moje zdrowie psychiczne zależało od tego, co zobaczę w lustrze. Wzięłam głęboki wdech i odwróciłam się. Kobieta w lustrze była szczupła, niemal koścista. Miała wydadne kości policzkowe, jej skóra wydawała się cienka jak papier. Piersi były normalnego rozmiaru. Nie zauważyłam śladu rozstępów, ciemniejszej linii na brzuchu ani powiększonych sutków. Powiodłam wzrokiem po konturze mojego brzucha, zatrzymując się chwilę na wysokości paska spodni. Zamknęłam oczy i zsunęłam spodnie. Oto i ona. Wypukła i różowa. Pozioma blizna po cesarskim cięciu. Przesunęłam palcami po bliźnie, jej nierównościach, brzegach szwów.

Blizna była prawdziwa. Więc nie zwariowałam. Nie mogłam uwierzyć w to, że choć przez chwilę wątpiałam w istnienie Mii. To, że stałam przed lustrem, szukając na ciele śladów niedawnego porodu, wydało mi się idiotyczne.

Spodziewałam się szczupłego ciała, ale zobaczyłam skórę i kości. Co się stało? Co się ze mną do diabła stało? Kiedy przemieniłam się z atrakcyjnej babki w coś takiego? Jeszcze kilka tygodni i zostanie ze mnie szkielet.

Bardziej niż uświadomienie sobie, że nie wymyśliłam Mii, zdumiał mnie fakt, że ta koścista, wychudzona kobieta, to widmo w lustrze, trzyma się w jednym kawałku.

Nie miałam pojęcia, jak to możliwe.

CZĘŚĆ 3

*Trzeba biec z całą szybkością, na jaką ty w ogóle
możesz się zdobyć, ażeby pozostać w tym samym miejscu.
A gdybyś się chciała gdzie indziej dostać,
musisz biec przynajmniej dwa razy szybciej.*

Lewis Carroll, *Po drugiej stronie lustra*
tłum. Robert Stiller

Rozdział 15

Świt jeszcze nie zdążył ustąpić miejsca światłu dnia, kiedy sanitariusz eskortuje nas do białej furgonetki. Siadam z tyłu, doktor Ari zajmuje miejsce po mojej lewej stronie, za siedzeniem kierowcy. Między nami spoczywa jego aktówka; lekarz opiera na niej prawą rękę, jakby strzegł sekretu ukrytego pomiędzy skórą i jedwabną podszewką. Jedziemy krętym podjazdem, a gałęzie płaczących wierzb powiewają na wietrze niczym poły płaszczy członków jakiejś upiornej kongregacji.

Sanitariusz, którego widywałam od czasu do czasu podczas posiłków, ubrany jest w skórzaną kurtkę narzuconą na fartuch. Ma na imię Oliver. Palce ma pokryte odciskami, żyły podobne do niebieskich rzek pną się po jego dłoniach i znikają pod rękawami kurtki. W odpowiednim momencie zapytam go, dlaczego ma takie zniszczone ręce, jednak teraz obserwuję, jak obsługuje nimi radio.

Doktor Ari ma na sobie garnitur i płaszcz. Po raz pierwszy widzę go w czymś innym niż biały kitel. Radio jest ściszone, lecz rozpoznaję dźwięki *She Will Be Loved* grupy Maroon 5.

Francuski tost, który zjadłam rano na śniadanie, przewraca mi się w żołądku, ale przyrzekam sobie zachować kontrolę nad swoim ciałem. Trzydzieści minut później młodości ustępują, lecz pomiędzy moimi oczami umiejscawia się tępy ból, który sprawia, że kontur każdego mijanego przez nas samochodu wydaje się rozmyty jak w świetle lasera.

– Co się stało z twoimi włosami? – pyta doktor Ari.

Przechylałam się w lewą stronę, lecz i tak nie mogę dostrzec swojego odbicia w lusterku.

– Obciąłam je wczoraj w nocy.

Staram się, żeby zabrzmiało to obojętnie, chociaż w rzeczywistości jestem wściekła, że to zrobiłam. Chciałam, żeby mój wygląd zewnętrzny odzwierciedlał to, co dzieje się w moim wnętrzu, próbowałam coś w sobie zmienić, tak by wszyscy to zauważyli. Wiedząc, że nie uniknę dzisiejszej wyprawy, zastanawiałam się, do kogo mogę się zwrócić o pomoc, i natrafiłam na stronę internetową poświęconą katolickim świętym. Moi rodzice byli katolikami i chociaż nie praktykowali, wpisali do mojego aktu urodzenia takie samo wyznanie. Święty Antoni, franciszkanin z tonsurą, patron zaginionych osób i zgubionych rzeczy, obciął sobie włosy na znak wyrzeczenia się świata. Przez sekundę miałam ochotę ogolić głowę na tyso, ale w końcu zdecydowałam się tylko skrócić włosy, co miało symbolizować nowy początek. Uznałam to za rodzaj oczyszczenia, uwolnienia się od dawnych grzechów, ale teraz zaczynają mnie ogarniać wątpliwości. Czyżbym uważała obcięcie włosów za rodzaj ofiary dla świętego Antoniego, która miałaby go udobruchać w tym szczególnym dniu, jednocześnie przerażającym i dającym nadzieję?

– Czy twoje włosy mają jakiś związek z naszą dzisiejszą wyprawą? – Doktor Ari stara się zachować bezstronność wobec mojego nowego wyglądu, ale jednak zadaje to pytanie.

– Chyba byłam już gotowa na zmianę, to wszystko.

Znowu rodzi się we mnie smutek, gdzieś pomiędzy sercem i żołądkiem, uczucie, którego nigdy nie potrafiłam właściwie opisać. Przypomina rozpaczliwą chęć napicia się zimnej wody, ukojenia silnego pragnienia tkwiącego gdzieś głęboko we mnie. Przeczesałam palcami włosy, rozpoczynając od prawej skroni. Dawniej sięgały niżej ramion, teraz ledwie przykrywają miejsce, w którym znajdowałaby się małżowina, odkrywając bliźnię po brakującym uchu.

Przyglądam się profilowi Olivera. Sprawia wrażenie obojętnego, chociaż pewnie cieszy się, że nie będzie dziś musiał rozdzielać valium i zapinać kaftanów bezpieczeństwa.

– Jak myślisz, Oliverze? – Patrzę na niego i już wiem, że polecono mu ignorować moje próby nawiązania z nim rozmowy.

– Zmiany są dobre – mówi i puszcza do mnie oczko, w odpowiedzi na co doktor Ari wymownie chrząka.

Lekarz nie komentuje faktu, że moja nowa fryzura odsłania amputowane ucho, ale wiem, że wcześniej czy później to zrobi. Chociaż podjęłam tę decyzję pod wpływem impulsu, chciałam pokazać światu, że niezależnie od tego, co zrobiłam, poniosłam już pewne konsekwencje.

Przez dłuższą chwilę jedziemy w milczeniu. Doktor Ari nie rozvodził się zbyt nad celami, które powinnam dziś osiągnąć, ale mam nadzieję, że przyniosę mu swoją historię, złożę mu ją u stóp niczym zarżnięte koźle, ofiarę dla bóstw utraconych wspomnień. Jednocześnie zastanawiam się, co też chowa w swojej przepastnej torbie pełnej cudów. Zerkam na jego teczkę – której zdaje się obsesyjnie strzec – i wyobrażam sobie narzędzia chirurgiczne, piły do cięcia kości i gumowe tłuczki. Widzę go na bezludnej wyspie z trzema wybranymi przez siebie przedmiotami. Stawiam na rolkę do czyszczenia ubrań, cyfrowy dyktafon i Koran. Oliver jest trudniejszy do rozszyfrowania – być może wybrałby radio, psa i paczkę papierosów?

W miarę zbliżania się do North Dandry zaczynam czuć pod palcami miękką, gładką uchwyt wózka i przypominam sobie niechętnie spojrzenia posyłane mi przez inne mamy, kiedy pchałam przed sobą wózek z płaczącym niemowlęciem. Zanim minęliśmy Drummer's Cove^[4], Mia zawsze się uspokajała; dźwięki bębnow, hałaśliwe letnie imprezy i tańce kołysały ją do snu.

Po lewej wylania się Prospect Park. North Dandry jest kilka domów dalej po prawej stronie. Oliver parkuje samochód, wyciąga silnik i wysiada z furgonetki. Obserwuję mężczyznę wyprowadzającego trzy charty. Smycze są splecione, psie ogony wsunięte pod smukłe ciała celują w stronę przepastnych klatek piersiowych. Kiedy mężczyzna odzyskuje kontrolę nad stadem, słyszę trzask. Doktor Ari otworzył swoją torbę pełną cudów. Trzyma w ręce plastikowy worek na dowody zaklejony niebieską taśmą. Łamie pieczęć i podaje mi kocyk Mii. Eksperyment właśnie się rozpoczął.

W głowie huczy mi od faktów naukowych. Zapach, najsilniejszy ze wszystkich wyzwalaczy, pobudza opuszkę węchową, która jest połączona z układem limbicznym w mózgu, przez co wywołuje wspomnienia niemal błyskawicznie. Kiedy po raz pierwszy czujemy jakiś zapach, łączymy go ze zdarzeniem, osobą lub chwilą. Nasz mózg zawsze będzie kojarzył woń chloru ze wspomnieniem pływania w letnie dni lub określonym uczuciem, takim jak panika, którą odczuwamy po wpadnięciu do basenu. Zapach w magiczny sposób wywołuje u nas falę wspomnień, jest najlepszym wehikulem czasu. Zastanawiam się, czy będę potrafiła nawlec wspomnienia jak koraliki na sznurek i nosić je na szyi, i czy charty już zawsze będą wywoływały u mnie wspomnienie rozpoczęcia eksperymentu?

Zamykam oczy i biorę głęboki wdech. Wycofuję się z teraźniejszości, dźwięku samochodowych silników, alarmów i głosów.

Słyszę szelest i trzeszczenie plastikowej torby. Pozwalam, żeby woń kocyka Mii zawładnęła moim mózgiem. Czuję, jak coś we mnie się przełącza, mogę to opisać tylko jako potężne wahnięcie w kierunku innego momentu w czasie. Wdycham mieszanek zapachu zasyпки dla niemowląt, taśmy z rzepem, mleczka do ciała, syntetycznych pieluch i woni niemowlęcej skóry. Zapach jest ledwie wyczuwalny, ale wywołuje u mnie silną reakcję fizyczną i emocjonalną. Wszystko, co do tej pory trzymałam na wodzy, zrywa się z uwięzi niczym stado mustangów pędzących przez otwartą bramę. Wspomnienie dociera do mojego mózgu podobnie jak zapach, ale tym razem to coś znacznie więcej: wszechogarniająca obecność mojej córki. Mii. Przez głowę przelatują mi przypadkowe sceny.

Główka niemowlęcia spoczywa na mojej piersi, pokryta krwią i śluzem, ze skórą o sinawym odcieniu. Nie potrafię tego pojąć. Jej kruchość jest dla mnie zaskoczeniem, jej czujność mnie paraliżuje. Nie jestem jej godna, nie miałam prawa sprowadzić jej na ten świat.

Nocne karmienia, jedno za drugim. Rozpaczliwy płacz Mii szarpnie mną jak rozciągniętą do granic możliwości recepturką. Jej zawodzenie naciąga gumę jeszcze mocniej, grożąc pęknięciem.

Szaleństwo koncentruje się w mojej szczęce. Wyjmuję dziecku smoczek z ust i zastępuję go butelką, zanim Mia zdąży się rozplakać. Z całych sił zaciskam szczęki na plastiku, jak pies. Uchwyt jej smoczka nosi ślady moich zębów.

Szaleństwo czai się też pod ciemiączkiem Mii, w miękkim punkcie pomiędzy kościstymi płytkami jej czaszki. Diabelska pokusa. Zastanawiam się, jak głęboko zdołam wbić w nie kciuk i jak mocno będę musiała nacisnąć, żeby płacz ustał.

Krótkie chwile trzeźwości umysłu w morzu szaleństwa, kiedy coś zagłusza jej płacz: lejąca się woda pod prysznicem, dźwięki odkurzacza lub radia. Wszystkie razem są wybawieniem, tworzą świętą trójcę.

Chociaż pragnęłam tulić ją w ramionach i patrzeć jej w oczy, szeptać jej imię i uśmiechać się do niej, wszystkie te uczucia i gesty stały się dla mnie obce. Byłam zaangażowana – zmieniałam pieluchy, kąpałam ją i karmiłam, ale wszystko przychodziło mi z trudem: miłość do niej i sprawianie, żebym była dla niej całym światem. Jej żalność kotłowała się we mnie jak żywa istota, rozrywając mnie od środka.

Był też Jack. Z rozpromienioną twarzą brał ją na ręce instynktownie, jego miłość wydawała się czymś naturalnym. Patrzył na Mię z uwielbieniem, jak król broniący swojego królestwa, świadomy odpowiedzialności, bezinteresowny i odważny. Nasze szczęście zależało od niego. Jack zaakceptował swoją rolę, dzięki niej wydorósł i otrzymał nagrodę w postaci radosnych pisków i gaworzenia.

Jeśli chodzi o mnie, nie byłam godna nosić tej korony.

*

Wspomnienia ściągają mnie jak gigantyczna dłoń z powrotem na tylne siedzenie furgonetki. Krople deszczu tłuką o dach, podobne do serii z karabinu maszynowego. Kiedy właściwie zaczęło padać? W którym momencie niebo pociemniało i obróciło swój gniew przeciwko mnie? Mam mokrą twarz i cała się trzęsę. Czuję się jak otwarta rana.

Biorę chusteczkę od doktora Ariego i wycieram oczy. Deszcz przestaje padać równie szybko, jak zaczął. Doktor Ari, z cyfrowym dyktafonem w jednej ręce i kocykiem w drugiej, obserwuje moją twarz. Bliskość jego ciała jest dla mnie krępująca i niekomfortowa.

Wyglądam przez okno i widzę Olivera siedzącego na ławce w altanie, niedaleko wejścia do parku, ze słuchawkami na uszach. Od czasu do czasu głaszczkę mijające go psy i odprowadza wzrokiem grupę spacerujących dziewcząt. Zazdroszczę mu: o ile łatwiej kogoś pilnować niż być pilnowanym. Wyjmuje coś z kieszeni, w drugiej dłoni trzyma jakieś narzędzie i zaczyna pracowicie strugać, jakby pracował nad wymyślną fajką z morskiej pianki.

Mocno pociągam za klamkę, przesuwam drzwi i wysiadam z furgonetki.

Ulica North Dandry jest wysadzana drzewami i prosta jak linijka. Kamienice z brunatnego piaskowca stoją obok siebie równo jak książki na półce, wszystkie są stare i wąskie. Ich elewacje mają różne odcienie: od wyblakłych żółci po czerwień i szarości. Nieco dalej, w miejscu gdzie North Dandry przechodzi w Fullerton, styl domów zmienia się z gotyku w grecki i włoski renesans. Kamienice przy North Dandry tworzą płaszczyzną pełną łukowatych okien, masywnych kominów, poręczy z kutego żelaza i ogrodzeń. Przed domem numer 517, na wysepce z ciasno upakowanej gleby otoczonej żelaznym płotkiem, rośnie klon, samotny pośród betonowego krajobrazu. Pewnie jestem w błędzie, ale mogłabym przysiąc, że przed domem przy North Dandry rosła cykuta, a nie klon.

Spoglądam wyczekująco na doktora Ariego, który wyciąga z kieszeni płaszczka komplet kluczy i zaczyna je przeglądać, zsunąwszy okulary na czubek nosa.

– Dom jest pusty – oznajmia spokojnym głosem i wręcza mi duży złoty klucz.

Czy to możliwe, by jego plan był równie prosty jak szalony: zwyczajnie wejść do środka i zażądać od budynku wspomnień? A jeśli ten dom ma duszę i jest na mnie zły? Czy może mnie ukarać za to, co wydarzyło się w jego ścianach?

– Otwórz drzwi i wejdź do mieszkania. Przejdź przez pokoje, dotykając wszystkiego, czego będziesz miała ochotę dotknąć. – Lekarz kiwa głową i odsuwa się na bok. Unosi prawe ramię, jakby zapraszał mnie tym gestem do domu. Mojego domu. – Śmiało.

Biorę od niego klucz i wchodzę na schody prowadzące do frontowych drzwi. Wkładam klucz do zamka, przekręcam go i otwieram drzwi.

– Wchodzimy do domu przy North Dandry 517 – mówi doktor Ari do dyktafonu.

Od progu uderza mnie fala silnego zapachu. Świeżo pomalowany korytarz wprost oślepia bielą. Gdy tylko przekraczam próg, zaczynają mi pulsować skronie. Drzwi do mojego mieszkania są otwarte, a stanie w korytarzu wydaje mi się jednocześnie znajome i dziwne, jakbym przeniosła się w czasie. Czy pojawi się jakiś magiczny zapach, dźwięk lub smak, który będzie moją pierwszą wskazówką?

Zauważam na drzwiach ślady czarnego proszku i pozostałości żółtej taśmy. Chociaż policja musiała przetrząsnąć mieszkanie, sprawia ono wrażenie uporządkowanego. Żadnych brutalnie otwartych szuflad i drzwi od szafek. O tym, że w domu był ktoś obcy, świadczą tylko do połowy zasunięte rolety, sprawiające wrażenie lekkiego nieładu.

Kiedy wchodzę do pokoju Mii, serce zaczyna mi bić szybciej. Stojące pod oknem puste łóżeczko otacza upiorna aura. Pokój wygląda tak, jakby osiadła na nim warstwa wulkanicznego pyłu: szczeble łóżeczka, podobnie jak komoda, przewijak, drzwi szafy i okna, pokrywa czarny proszek. Materac i ochraniacz do łóżeczka zostały zabrane. Karuzela z Dzwoneczkiem wisi przekrzywiona i zapomniana.

Lampa będąca projektorem nocnego nieba ma zdjętą kopułę i przypomina smutnego żółwia pozbawionego skorupy. Ktoś musiał ją zdjąć, żeby sprawdzić, co jest w środku. Podchodzę bliżej i sama tam zaglądam: widzę dwa zachodzące na siebie koła zębate i komorę na baterię. Brakuje żarówki. Przesuwam palcami po krawędzi, przypominając sobie, jak bardzo Mia lubiła gwiazdki wędrujące po ścianach i suficie. Na dolnej części lampy dostrzegam naklejkę: „Przechowywać z dala od dzieci”.

Ręka zaczyna mi drżeć i odskakuję do tyłu, czując ukłucie. Spoglądam na formującą się na mojej skórze kropelkę szkarlatu i dociera do mnie, że skaleczyłam palec o maleńki odłamek wystający z krawędzi w miejscu, gdzie kiedyś znajdowała się kopuła lampy. Pocieram palcem wskazującym o kciuk. Krew jest ciepła, lepka i jakimś cudem wywołuje u mnie kotłowanie myśli, które wyskakują niczym pajac z pudełka, nabierają kształtów, wirują, by wreszcie się skryształizować. Ich melodia jest jak wybuchający w mojej głowie grzmot i oto staję się świadkiem, jak mój umysł odtwarza moment, w którym powstało to wspomnienie.

Łzy, stopy, odłamki, zranienia, krew.

Krew, mnóstwo krwi.

Nagie stopy deptające po odłamkach.

Krwawe ślady stóp tworzące ścieżkę wzdłuż przedniej krawędzi łóżeczka.

Poranione dłonie i stopy pokryte nacięciami i zadrapaniami.

Mój umysł się zamyka, nie chce ze mną dalej współpracować. Chwytam się tego obrazu jak rozbitek na środku oceanu kurczowo trzymający się dryfującego kawałka drewna. Obrazy powracają, przypadkowe wytwory mojej amnezycznej wyobraźni, jak mi się wydawało tamtego pierwszego dnia, gdy przebudziłam się w szpitalu.

A więc to nie było zmyślane. Krew była prawdziwa.

Pojawiają się następne obrazy: noc huraganu, awaria prądu, czujnik dymu. Stopione fragmenty butelek i smoczek.

Muszę iść dalej; jestem tak blisko.

Mocno przeciągam czterema palcami prawej dłoni po krawędzi lampki w kształcie żółwia. Przyciskam je z całych sił, czując, jak ostre szkło przecina moją skórę. Kiedy tkanki się rozdzielają, krew tworzy grube krople, a ja raz za razem przesuwam palcami po spiczastych odłamkach, naciskając na nie coraz mocniej i mocniej.

Szklana kopuła.

„Przechowywać z dala od dzieci”.

To nie jest zabawka. „Przechowywać z dala od dzieci”! Czekam, aż wspomnienie się skończy, pozwalam mu pokonać krętą ścieżkę niczym niezwiązanemu balonikowi, dopóki nie upadnie przede mną, pozbawiony powietrza. I wtedy wspomnienie ukazuje mi się w całej okazałości. Nie uwierzę, dopóki nie zobaczę, mawiają niektórzy, ale żeby w coś naprawdę uwierzyć, trzeba to poczuć.

Moje serce zwalnia i pozwalam sobie połączyć kropki. Zostawiłam lampkę ze szklaną kopułą obok łóżeczka. Mia musiała ją chwycić, wciągnąć do łóżeczka i zbić kopułę. Palce i stopy Mii były pokryte drobnymi skażeniami, ale kiedy doprowadziłam ją do porządku, nie wyglądała już tak strasznie jak wtedy, kiedy była cała we krwi. Za dwa dni miała umówioną wizytę szpecienną. Nie wiedziałam, jak wytłumaczyć lekarzowi zranienia na jej dłoniach, i dlatego nie poszłam na wizytę. A skoro nie miałam uzupełnionej karty szczepień, nie mogłam zapisać Mii do żłobka. Zanim zdążyłam umówić kolejną wizytę, moja córka zniknęła.

„Przechowywać z dala od dzieci”, ostrzegwał napis na nalepce.

Pamiętam również, że w połowie przypadków nie miałam pojęcia, jak znalazłam się na kanapie czy w łóżku. Nie byłam też pewna, czy słyszę płacz Mii, czy tylko jego echo w mojej głowie. Aż w końcu zostawiłam coś tak niebezpiecznego obok jej łóżeczka. Nie było to może równie niebezpieczne jak pozostawienie dziecka w wannie, ale przecież miałam naklejkę z wyraźną instrukcją. Nawet tego nie umiałam zrobić jak należy. Czego jeszcze nie dopilnowałam?

Wychodzę z pokoju Mii i idę do swojej sypialni, w której wszystkie sprzęty pokrywa warstwa kurzu. Moje ubrania nadal wiszą w szafie, na szafce nocnej stoi kieliszek, jego żółta zawartość ma teraz konsystencję miodu. W powietrzu unosi się zapach bergamotowej świecy i rozpaczy.

Gdy tak przechadzam się po pokojach, mam wrażenie, jakbym zakłócała spokój przeszłości, jakby sama moja obecność niszczyła powłokę złożoną z mikroskopijnych cząsteczek, powstałą w dniu zaginięcia Mii. Chcę, żeby ta scena popełnienia przestępstwa pozostała nienaruszona przez całą wieczność, i marzę o tym, żeby w jakiś nadprzyrodzony sposób każdy odcisk palca i ślad DNA przekazał mi wskazówkę, co się wydarzyło w tych czterech ścianach.

Nagle ogarnia mnie zmęczenie. Siadam przy łóżku i zamykam oczy. Nie pamiętam pierwszych słów Mii (to mogło być coś w rodzaju ba-ba lub da-da), pierwszego razu, kiedy usiadła (zrobiła to na podłodze czy w wózku?), ani pierwszego razu, kiedy się przetoczyła z pleców na brzusek albo wzięła do rączek butelkę. Pamiętam jej uśmiechy, lecz nie napępniały mnie radością. Butelki, pieluchy, bezustanny płacz, dwadzieścia razy na dzień, i tak dzień po dniu. Pokrył mnie kurz, tak jak to mieszkanie.

W kuchni nadal unosi się zapach stęchłej kawy a w salonie – wygasłego popiołu w kominku. Bombardują mnie zapachy potężniejsze niż słowa, obezwładniające; zapachy, których nie potrafię zidentyfikować – być może jest to woń nowego dywanu, wybielacza, płynu do podłóg – i czuję, że muszę jak najszybciej opuścić to miejsce. Zapachy kotłują się w mojej głowie, a ja marzę o ucieczce przed wypełniającą ten dom wonią poczucia winy.

Wychodzę na klatkę schodową i sięgam w stronę gładkiej poręczy pomalowanej kilkoma warstwami błyszczącej farby. Krew, która wcześniej płynęła z opuszek moich palców, zdążyła zakrzepnąć. Zaciskam dłoń na poręczy. Kiedy wchodzę na górę, dobiega mnie znajomy dźwięk: skrzypnięcie na trzecim stopniu. Odgłos pozostaje ze mną, odbija się echem w mojej głowie i jeszcze mocniej zaciskam palce wokół poręczy. Patrząc, jak kłykcie wynurzają się spod skóry niczym białe

kamienie w korycie rzeki. Niespodziewanie ogarnia mnie cierpienie: przesiąka przez moje ubranie, wnika w pory skóry i przenika aż do kości.

Tym razem nie widzę nic, żadnego obrazu. Za to czuję wszystko. Słyszę dobiegający z oddali głos, ale nie mam pojęcia, skąd się wziął, dopóki nie rozpoznaję w nim własnego głosu i wracam myślami do dnia, w którym wchodziłam po tych samych schodach.

– Zniknęła, zniknęła, zniknęła. – Słyszysz swój płacz. – Nigdzie nie mogę jej znaleźć.

I wtedy tama pęka. Powróciłam, magicznie przeniesiona w czasie i przestrzeni. Odgłosy autobusów, śmieciarek i dziecięcy śmiech przesywają mnie na wskroś jak strzała. Słyszę gruchanie gołębi i ostre furkotanie ich skrzydeł.

Pamiętam przekręcanie galki i otwieranie drzwi prowadzących na strych. Przez przeszkloną klapę na końcu strychu prowadzącą na dach wpadało światło. W kącie leżał martwy, wysuszony gołąb, szkielet pokryty piórami, bez lotek.

Zakręciło mi się w głowie. Zamknęłam oczy, moje kolana zderzyły się z podłogą. Poczułam ból, któremu towarzyszyło gruchanie gołębi, i to wrażenie otuliło mnie jak ciasny płaszcz; nie byłam w stanie rozpiąć guzików, materiał zrósł się z moją skórą i miałam tylko jedno wyjście.

Niech wam się nie wydaje, że oszalałam. Nie wierzyłam w to, że potrafię latać. Wiedziałam, po co wszłam na strych. Chciałam skoczyć z dachu, ale pochłonęła mnie ciemność, zanim zdążyłam zrealizować swój plan.

Kiedy się ocknęłam, kolana pulsowały mi z bólu. Próbowałam się podnieść i poczułam, że leżę na czymś miękkim. Zagarnęłam to do siebie.

Zaciągnęłam się zapachem i poczułam iskrę, ale nie taką jak przy rozpalaniu ognia czy puszczaniu fajerwerków, ani przy patrzeniu na rozjarzony śnieg. Ta iskra miała w sobie świeżość rumianku, lawendy i olejku kamforowego... I jednocześnie ciepło, ale nie ciepło cynamonu czy brązowego cukru... Było to coś jednocześnie delikatnego i solidnego, jak sprana miękka kołdra z dzieciństwa... Miłszego w dotyku niż bawełna, bardziej wyrafinowanego, lecz przy tym mocnego. Spowijało mnie cudownym zapachem.

Otworzyłam oczy. Trzymałam w rękach kocyk Mii. W rogu wyhaftowano srebrne gwiazdki, a obok nich księżyc i słońce.

Kocyk Mii zdawał mi się przyglądać z niemym wyrzutem: Nie poddawaj się tak szybko. Co z siebie za matka?

*

Jesteśmy w kuchni. Doktor Ari spogląda na opuszki moich palców.

– Musimy kończyć, skoro zrobiłaś sobie krzywdę.

Wzruszam ramionami, spuszczaając wzrok na swoje dłonie. Krwawienie ustało, krew przybrała błyszczącą czerwonawo-brązową barwę przypominającą hennę. Doktor Ari odwraca się w stronę zlewu i zwilża chusteczkę wodą. Wycieram koniuszki palców, barwiąc wykrochmaloną i wyprasowaną bawełnę na karminowo. Doktor Ari czuje potrzebę wyjaśnienia, nadania nazwy mojemu szaleństwu.

– Znalazłaś na strychu kocyk Mii. Nie byłaś pewna, co się stało, myślałaś nawet, że Mia nigdy nie istniała. Twoja depresja poporodowa przekształciła się w psychozę.

Dokąd on zmierza? Byłam potworem. Przestałam kochać własne dziecko; bałam się tego, do czego byłam zdolna. Być może ją skrzywdziłam, a już na pewno zawiodłam.

– Potrzebowałaś pomocy, Estelle. To nie jest coś, z czym matki mogą sobie poradzić same. Potrzebowałaś leków, terapii, wsparcia i przyjaciół. Wiele matek wyobraża sobie, że robi swoim dzieciom krzywdę, a nawet je topi czy wrzuca do ognia. Spróbuj zrozumieć przynajmniej to jedno:

kiedy matka wyobraża sobie, że krzywdzi swoje dziecko, jej umysł nie wyraża pragnienia, tylko wyobraża sobie najgorsze, żeby temu zapobiec. Odpowiada za to ta część mózgu, która nadal funkcjonuje, ostrzega cię, pilnuje, żebyś nie straciła czujności.

Zastanawiam się nad tym wyjaśnieniem, ale nadal jestem rozdarta.

– Pamiętam leżące przy łóżeczku nożyczki, kiedy jeszcze mieszkaliśmy z Jackiem. Obcinałam nimi metki przy ubrankach. Na widok nożyczek za każdym razem wyobrażałam sobie, że ją nimi dźgam. Zabrałam je stamtąd i schowałam głęboko do komody z pościelą. Myślałam, że jestem potworem. – Ostatnie słowa wypowiadałam, płacząc.

Im bardziej się denerwuję, tym spokojniejszy wydaje się doktor Ari. Dla niego to wszystko ma sens; chciałam, żeby dla mnie też miało.

– Psychoza poporodowa wymaga natychmiastowego leczenia – kontynuuje lekarz. – Straciłaś kontakt z rzeczywistością i nadal nie wiesz, co się wydarzyło naprawdę, a co sobie wyobraziłaś. Statystyki jasno pokazują, że większość kobiet cierpiących na psychozę poporodową nie robi krzywdy ani sobie, ani innym. Nie chcą zabić siebie ani swoich dzieci. Ich myśli mogą się jednak stać tak szalone i irracjonalne, że nie pozwalają im trzeźwo ocenić sytuacji. Rzadko dochodzi do samobójstw, jeszcze rzadziej do dzieciobójstwa. Jeszcze rzadsze są przypadki dzieciobójstwa połączonego z samobójstwem.

Koncentruję się na ostatnim zdaniu.

– Ja nie popełniłam samobójstwa, ale chciałam. Co to oznacza?

– Chciałaś się zabić, ale później znalazłaś kocyk.

– Szukałam jej – mówię.

– Szukałaś jej?

– We wszystkich szafach i pod meblami. Otworzyłam każdą szufladę, zajrzałam za każdą zasłonę. Wysłałam z domu i sprawdziłam nawet w śmietniku. Chodziłam po ulicy, zaglądałam do samochodów. Niech pan mi wierzy, że jej szukałam.

– Wierzę ci. Wiem, że szukałaś, ale to jeszcze nie koniec, musimy szukać dalej.

Opuszczamy budynek i wsiadamy do furgonetki. Doktor Ari wyciąga z kieszeni złoty zegarek, który wisi na złotym łańcuszku przyczepionym do szlufki spodni. Słoneczne światło trafia w tarczę i na chwilę mnie oślepia.

Oliver stoi obok baru na kółkach. W jednej ręce trzyma zawinięte w papier jedzenie, w drugiej kubek ze słomką. Odstawia kubek na ławkę i unosi twarz w stronę słońca. Furgonetka jest rozgrzana, moje powieki stają się coraz cięższe. Ostatnia godzina dała mi porządnie w kość. Jestem spragniona i głodna jak wilk.

– Estelle. – W głosie doktora Ariego też słychać zmęczenie. – Opowiedz mi o tym, co wiesz na pewno, co uważasz za prawdę. Wszystko to, o czym rozmawialiśmy i co sobie dzisiaj przypominałaś; opowiedz mi o tym, co do czego nie masz cienia wątpliwości.

Przez chwilę siedzę w milczeniu. Pierwsze, co przychodzi mi do głowy, to smutek, który jest zlokalizowany w moim żołądku i przypomina pragnienie, ale żaden napój nie był w stanie go ugasić. Nie złagodziły go nawet antydepresanty. Smutek zżerał w moim życiu wszystko, co stanęło na jego drodze. Wsysał wszystko niczym wir, aż do tej chwili. Chciałam, żeby ktoś wydobyl mnie na powierzchnię, ustawił pod światło, przetarł ręką koszuli i uznał się za szczęściarza, że mnie znalazł.

– Od dawna byłam nieszczęśliwa.

– A po urodzeniu Mii jeszcze się to pogorszyło, prawda?

– Kochałam ją najbardziej na świecie, ale to się okazało takie trudne.

– Zmiany hormonalne mogą być tak drastyczne, że doprowadzają matkę do znacznie poważniejszego stanu niż tylko ogólny niepokój. Najbliżsi często tego nie zauważają, ponieważ matki przez długi czas sprawiają wrażenie zdrowych.

– Rozumiem to, co pan mówi, ale co teraz? Jak to ma mi pomóc? Albo Mii? Nadal jej tu nie ma.

Doktor Ari zdejmuje okulary i wyciera twarz wierzchem dłoni.

– Ale ty jesteś i musisz zrobić wszystko, co w twojej mocy, żeby odkryć, co się stało.

– A jeśli ją skrzywdziłam? Co wtedy?

– Nie zastanawiamy się nad tym.

– Powinłam była się bardziej starać – stwierdzam i znowu wybucham płaczem.

– Estelle, od tej pory musisz być świadoma drżemiącego w tobie smutku. Łagodna depresja w dzieciństwie może się przeobrazić w pełnoobjawową depresję po okresie dojrzewania i niewątpliwie miałaś predyspozycje do depresji poporodowej. Psychozie można było zapobiec. – Odchrząkuje i mam przecucie, że jeszcze nie skończył. – Nadal raczkujemy w dziedzinie badań mózgu, wiemy o istnieniu wspólnego mechanizmu, ale jego natura jest nam wciąż nieznaną.

– Czy będziemy tu musieli jeszcze wrócić? – pytam, spoglądając na drzwi domu z numerem 517.

– Wątpię. Zrobiłaś dzisiaj ogromny postęp. – Przygląda mi się przez dłuższą chwilę. – Wyglądasz, jakby coś cię trapiło. Chcesz mnie o coś zapytać?

– Nie rozumiem, jak działa ta cała pamięć. Lekarze powiedzieli mi, że straciłam pamięć w wyniku obrażeń i że jej odzyskanie może długo potrwać, a niektóre ze wspomnień mogą nigdy nie powrócić, jednak rezonans magnetyczny nie wykazał żadnych uszkodzeń mózgu. W takim razie o co chodzi... z tym zapachem – wskazuję na kocyk w jego ręce – i momentem na schodach? Jak to możliwe, że wspomnienia tak po prostu do mnie wróciły? Gdzie się wcześniej znajdowały? Nie rozumiem.

– Możemy śmiało stwierdzić, że nie uda nam się całkowicie rozwikłać przyczyn twojej amnezji. Złożyły się na nią szok, depresja poporodowa, psychoza, twoje obrażenia i inne czynniki. Moim zdaniem cierpisz głównie na amnezję dysocjacyjną. Nie sądzę, byśmy musieli w tym momencie ją diagnozować, jeśli w ogóle. Amnezja dysocjacyjna to nic innego jak zaburzenie pracy mózgu czy też uszkodzenie wspomnień. Zablokowałaś informacje, które są dla ciebie zbyt stresujące lub dramatyczne, żebyś potrafiła sobie z nimi poradzić. Na tym polega różnica między zwykłą amnezją i amnezją dysocjacyjną. W przypadku tej drugiej wspomnienia nadal istnieją, ale są głęboko ukryte w umyśle. Te wspomnienia zwykle powracają pod wpływem czegoś, w tym przypadku zapachu. – Wskazuje na kocyk w torebce strunowej. – Gdyby twój mózg został uszkodzony, straciłabyś je na zawsze.

– Czyli do pewnego stopnia mam szczęście. – Przypomniało mi się, jak lekarz w szpitalu powiedział, że mam szczęście, bo wciąż żyję. – Mam szczęście i jestem już bardzo blisko. – Unoszę dwa palce i zbliżam je do siebie. – Prawda?

– Zuch dziewczyna – mówi doktor Ari i przywołuje gestem Olivera.

Sanitariusz podnosi się, przeciąga i wyrzuca styropianowy kubek do pobliskiego kosza. Wsiada do samochodu i włącza silnik. Czuję zapach chemicznej reakcji melaniny w jego skórze na promienie słoneczne. Mój żołądek gwałtownie się kurczy.

– Niedobrze mi – mówię, zakrywając usta.

– Proszę – odpowiada Oliver, podając mi brązową papierową torbę.

Biorę kilka głębokich wdechów, a on wyrasta tuż obok mnie, w otwartych drzwiach furgonetki. Słyszę odgłos rozrywanego opakowania, a później dociera do mnie fala cytrusowego zapachu. Patrząc, jak Oliver przysuwa wilgotną chusteczkę do wylotu klimatyzacji, po czym przykłada ją, schłodzoną, do mojego czoła.

Zapach cytryny pochłania wszystko wokół mnie: smród cebuli z budki z hot dogami, spalin i stęchły zapach klimatyzacji. Czuję tylko silną dłoń Olivera przyciskającą chusteczkę do mojego czoła, dzięki czemu mogę znowu oddychać.

Serce dudni mi w uszach, ale zaczynam się czuć bezpiecznie. Dociera do mnie również inny zapach – jednocześnie ziemisty i słodki – mieszając się z wonią cytryny. Jest prawie tak ostry jak

zapach sosny, ale bardziej tajemniczy i mniej oczywisty, wręcz tajny, jakby przeznaczony wyłącznie dla wybranych. Zapach tak czysty, jakby dobywał się z otworu w ziemi, wprost z jej wnętrza.

4 Założona w 1977 roku nowojorska szkoła gry na bębnach i perkusji.

Rozdział 16

Doktor Ari bierze głęboki wdech i składa dłonie na kolanach.

– Znalazłaś na strychu kocyk Mii. Powiedz mi, co zrobiłaś później.

– Nie wiem dlaczego jestem taka... przerażona.

„Przerażona” to nieodpowiednie słowo. Może sparaliżowana? Nie, paraliż oznacza niezdolność wykonania ruchu. Porażona? Tak, porażona, czyli w pewien sposób unieruchomiona i oniemiała. Nie mogę mu tego jednak powiedzieć. Dlaczego czuję się jak zając porażony widokiem zakrzywionych szponów orła? Nie potrafię nazwać tego szczególnego rodzaju ciszy, chińskiego muru spisku, na który nie wolno mi się wspiąć, jakbym złożyła obietnicę, śluby milczenia.

– Strach jest reakcją autonomiczną, nie pozwól, żeby rozproszył twoją uwagę. Nie poznasz prawdy, dopóki nie pozwolisz, żeby sprawy potoczyły się własnym torem. Po prostu ją zaakceptuj, nic więcej.

Popycha kocyk Mii w moją stronę. Wyciągam po niego rękę, ale zaraz zaczynam się wahać. Chwytam kocyk i wiem, że muszę odszukać wszystkie postrzępione elementy układanki. Zamykam oczy i wsiadam do windy.

Ściskam kocyk jak relikwię, jak coś świętego. Nadal pachnie płynem do płukania i mleczkiem do ciała dla niemowląt, lecz bardziej niż zapach dociera do mnie jego energia, która przepływa przez koniuszki moich palców, przez ramię, prosto do mózgu. Zaciskam mocniej palce, wyciskam kocyk jak mokrą szmatę, wyżymam go aż do ostatniej kropelki i wracam na strych domu przy North Dandry.

*

Kiedy zeszedłem z powrotem na dół, drzwi do mojego mieszkania były otwarte, zaś w budynku panowała cisza. Dzwoniło mi w uszach i czułam mrowienie na całym ciele. Po wejściu do kuchni oblałam się zimnym potem, a później zapadła ciemność.

Pierwszą rzeczą, która dotarła do mojej świadomości, był melodyjny dźwięk dzwonów, który otoczył mnie, jeszcze zanim otworzyłam oczy. Wsłuchiwałam się w niego przez chwilę i zrozumiałam, że to w kościele Świętego Krzyża położonego przecnicę na północ wzywają wiernych na niedzielną mszę. Drugą rzeczą, którą sobie uświadomiłam, był naciągnięty na moje ramiona kocyk Mii. Chociaż ledwie przykrywał górną część mojego ciała, spływał na mnie z niego bezgraniczny spokój.

Leżałam bez ruchu na zimnej terakocie, dopóki nie ustało brzęczenie w głowie. Podniosłam się do pozycji siedzącej i zauważyłam, że cała jestem w kurzu, piórach i brudzie ze strychu. Zdjęłam pstrokate piórko ze spodni i patrzyłam, jak szybuje w kierunku wąskiej przerwy pomiędzy panelem ściennym i podłogą. Miękki puch zatrzepotał na wietrze, a później został wciągnięty pod panel i zniknął.

Podpełzałam bliżej, nadal okryta kocykiem, i poczułam przeciąg, który wessał piórko. Ciąg był tak silny, że aż zadrżałam. Zdołałam się dźwignąć z podłogi, przytrzymując się blatu, ale stanięcie na

własnych nogach kosztowało mnie mnóstwo wysiłku. W czaszce brzęczało mi jak w ulu. Im bardziej zbliżałam się do panelu, tym ciąg powietrza stawał się silniejszy i zimniejszy.

Ściany mojego mieszkania, tak jak w wielu starszych szeregowcach, pokrywały drewniane okładziny, głównie ze względu na dekoracyjnych. Były tu wykusze, alkowy, fałszywe ściany zasłaniające okna, drzwi, za którymi był tylko ceglany mur, a nawet drzwi w korytarzu pozbawione zamka i zamalowane farbą. Usunięcie tych elementów zwiększyłyby pewnie koszt remontu, więc je pozostawiono. Nie miałam pojęcia, ile fałszywych ścian kryło się w moim mieszkaniu. Być może panel, pod którym zniknęło piórko, był tylko atrapą ściany i dlatego go odpowiednio nie ocieplono.

Kiedy zastukałam w rogi panelu, usłyszałam głuche dudnienie. Płytki podłogowe nie dochodziły do samego panelu i pomiędzy nim a podłogą widać było wyraźną przerwę. Nie zwróciłam na to wcześniej uwagi, podobnie jak na przeciąg. Nie, właściwie to nie tyle kwestia zwracania uwagi, ile przekonania, że płytki po obu stronach ściany wyglądają tak samo. Schyliłam się i wsunęłam palce w szczelinę. Poczułam jeszcze silniejszy przeciąg.

Poruszanie okazało się trudniejsze, niż sądziłam. Coraz gorzej widziałam, trzęsły mi się nogi, a język kleił do podniebienia. Jakoś udało mi się dotrzeć do zlewu, gdzie wypilałam trzy szklanki wody z kranu. Musiałam się bardzo postarać, żeby ich nie zwrócić, i postanowiłam na razie wstrzymać się z zejściem.

Kiedy usłyszałam gruchanie gołębi za oknem, nawiedziło mnie wspomnienie strychu. Z początku mgliste, po chwili nabrało ostrości. Pomysł skoczenia z dachu nagle wydał mi się przesadnie dramatyczny, wręcz idiotyczny; był to kolejny przypadek, kiedy pozbawione logiki działanie wydało mi się racjonalne i świetnie przemyślane. Moja córka w którymś momencie znalazła się na strychu, a ja mimo wszystko nie zwariowałam.

Pociągnęłam za dolną krawędź panelu, w miejscu, gdzie przeciąg był najsilniejszy. Nic. Pociągnęłam za gałkę przytwierdzoną do panelu. Ani drgnął. Zaczęłam więc za nią szarpać, ciągnęłam z całych sił, obiema rękami. W końcu panel zaskrzypiał i wyskoczył z prostokątnej ramy. Poleciałam do tyłu, a panel wyśladował płasko na podłodze.

Wpatrywałam się w schowek wysokości drzwi i głębokości spiżarni lub niewielkiej garderoby. Podłogę pokrywały oryginalne deski, a nie ceramiczne płytki jak w pozostałej części kuchni.

I oto je znalazłam: polyskliwe pstrokate gołębie piórko na polu bitwy niezliczonych martwych owadów, insektów, z których część była wysuszona i przyklejona do podłogi, zaś inne, leżące bliżej, nadal były jędrne i mięsiste, wśród zakurzonych pozostałości remontu, kawałków drewna i okruszków płyt kartonowo-gipsowych. Kurz pokrywał podłogę jak cukier puder, nie licząc miejsca, w którym jego warstwa została wyraźnie naruszona. Zauważyłam też trociny i wiórki złuszczonej farby.

Gałki znajdowały się po obu stronach panelu, nie tylko na tej zewnętrznej. Wsunęłam głowę do środka. Źródło lodowatego powiewu znajdowało się w ciemności nad moją głową. Czyżby przesuwane drzwi zastąpiono panelem? Nie zauważyłam silnika, przewodów elektrycznych ani mechanizmu wciągającego, ale bez cienia wątpliwości znajdowałam się w starym szybie windy do transportowania dań z kuchni do jadalni, jakie montowano w dawnych domach szeregowych.

Po tym odkryciu poczułam się tak, jakbym wypila kilka mocnych kaw i połknęła dwie tabletki aspiryny. Nie byłam tak pobudzona od wielu dni. Logicznie rzecz biorąc, właśnie odnalazłam sposób, żeby dostać się do mojego mieszkania bez potrzeby przenikania przez ściany. Chwyciłam się tego odkrycia jak tonący brzytwy, weszłam do szybu i spojrzałam w górę. Poczułam się jak w ciasnej kabinie przysnycowej. Nie dałam rady podnieść rąk bez dotykania otaczających mnie ścian. Kiedy już oczy przyzwyczaiły się do ciemności, zauważyłam zwisającą z góry linę. Powiew stał się jeszcze silniejszy, dostrzegłam też słabe światło sączące się z miejsca położonego jakieś dwa metry nad moją głową.

Rozdział 17

Z góry nie dobiegało żadne skrzypienie, zawroźnienie, dźwięk wody spuszczonej w toalecie lub płynącej z kranu. Wiedziałam, że David Lieberman zajmuje mieszkanie nade mną, o identycznym rozkładzie jak moje, podczas gdy w dwóch pozostałych trwał remont. Widywałam robotników, ale nigdy z nimi nie rozmawiałam, nie wiedziałam nawet, ilu ich jest. Robotnicy nosili kaski i mijali mnie w korytarzu, dźwigając pudła z kafelkami, drewno, blaty i szafki kuchenne. Pozbywali się śmieci przez jaskrawożółty zsyp budowlany prowadzący do zielonego kontenera przed budynkiem. Widziałam, jak kilku robotników wynosiło przed dom pudła, które nie zmieściłyby się do zsypu.

Wyszłam z mieszkania i zaczęłam nasłuchiwać hałasów w korytarzu. Dzwony kościelne, które wcześniej słyszałam, świadczyły o tym, że jest niedziela. Na budowie nie było nikogo, dlatego też z przeciwnej strony korytarza nie dobiegało pogwizdywanie, odgłosy stukania, cięcia czy używania narzędzi elektrycznych. Budynek spowijała upiorna cisza.

Plac budowy znajdował się vis à vis moich drzwi, zasłonięty ciężkim granatowym brezentem. Odgarnęłam najpierw jedną, potem drugą jego warstwę. Wsunęłam za nie dłoń i uderzyłam palcami w gładką powierzchnię. Odciągnęłam ostatnią warstwę brezentu i zorientowałam się, że do mieszkania wstawiono drzwi, które wyglądały identycznie jak moje. Były metalowe, ognioodporne i zamknięte na klucz.

Weszłam na górę, zapukałam do mieszkania Davida Liebermana i czekałam, aż mi otworzy. Zapukałam ponownie. Żadnej odpowiedzi. Niespełna minutę później stałam w swojej kuchni i wybierałam jego numer. Usłyszałam przez sufit dzwonek telefonu. Kiedy włączyła się automatyczna sekretarka, przerwałam połączenie. Wybrałam numer jego komórki i po pierwszym dzwonku usłyszałam:

„Przepraszamy, abonent do którego dzwonisz, ma niepodłączoną skrzynkę głosową”.

Kiedy odłożyłam telefon, ponownie weszłam do szybu windy. Koniec liny zwiślał z góry, kołysząc się w przód i w tył. Związano na nim duży żeglarski węzeł. Lekko pociągnęłam za linę – nie zerwała się. Pociągnęłam mocniej. Po kilku próbach zawisłam na niej całym ciężarem, żeby sprawdzić jej wytrzymałość. Byłam słaba, lecz zdeterminowana. Na szczęście byłam lekka. Mocno chwyciłam węzeł, przyciągnęłam łokcie do liny i centymetr po centymetrze zaczęłam się piąć w górę, pomagając sobie stopami. Wspinając się coraz wyżej, dopóki nie znalazłam się na szczycie szybu.

Nasłuchiwałam przez kilka sekund, lecz jedynym dźwiękiem było bicie mojego serca. Drżały mi mięśnie rąk i czułam się jak gołąb uwięziony w kominie. Spod panelu, który znajdował się przede mną, sączyła się smuga światła. Co prawda nie oświetliła ścian wokół, ale przynajmniej pozwoliła mi się rozeznać w otoczeniu.

Próbowałam nie zwracać uwagi na ból mięśni nóg, lecz wiedziałam, że długo się nie utrzymam. Zaczęłam macać dolną krawędź panelu, jedną stopę przycisnęłam do ściany, drugą naciskałam na panel. Cofnęłam prawą nogę i kopnęłam panel, który wyskoczył z ramy. Rozhuśtałam się na linie w kierunku światła. Wylądowałam na zimnej terakocie razem z kurzem i paprochami z szybu. Pozwalając mięśniom odpocząć, rozejrzałam się dookoła.

Z początku byłam zdezorientowana; czyżbym jakimś cudem trafiła z powrotem w to samo miejsce? To była moja kuchnia – z taką samą podłogą, szafkami i resztą wyposażenia. Moje drugie spostrzeżenie dotyczyło przedmiotów, których w niej brakowało: zmywaka w zlewie, ekspresu do kawy na blacie, kosza na śmieci, listów, gazet. To mieszkanie należało do osoby, która dopiero co się wprowadziła albo szykowała się do wyprowadzki. Po trzecie przyszło mi do głowy, że powinnam tu trochę pomyszkować.

Zaczęłam wysuwać szuflady. Wszystkie okazały się puste, poza jedną, w której znalazłam sztucze nie do kompletu, zapalki, otwieracz do puszek, kawałek sznurka i kilka ogryzków ołówka. W szafkach trafiłam na pojedyncze naczynia i starannie ustawione pudełka z płatkami śniadaniowymi.

Na tanim rozkładanym stole leżało tekturowe pudło, zaś na podłodze sterta mniejszych płaskich kartonów. Dwa metalowe składane krzesła stały oparte o ścianę. Na galce od drzwi spiżarni wisiał pas z narzędziami.

Otworzyłam drzwi do łazienki. Znajdowały się w niej typowe przedmioty – pianka do golenia, szczoteczka do zębów i kostka mydła na brzegu umywalki – a pod zlewem jeszcze nierozpakowane pudełko zatyczek do uszu. Otworzyłam szafkę z lustrem i znalazłam aspirynę, alka-seltzer oraz krople do nosa. Na najwyższej półce stała terakotowa armia pojemników na leki; większość z nich była pełna po brzegi, tylko kilka okazało się prawie pustych. Rozpoznałam lek na alergię i tabletki przeciwbólowe.

W sąsiadującej z łazienką sypialni stały wielkie kartony oznaczone kolorowymi naklejkami firmy przeprowadzkowej. Kiedy do nich zajrzałam, okazało się, że nic w nich nie ma. Sypialnia Liebermana, ciemna i niewywietrzona, była nieumeblowana, nie licząc dmuchanego materaca ze zmiętym prześcieradłem i spłaszczoną poduszką, oraz biurka bez krzesła. Szuflady otwierały się i zamykały ze skrzypleniem, jakby od dawna nikt ich nie wysuwał. Wszystkie były puste.

Salon był przestronny, zaś meble tanie i niedopasowane. Zielony chodnik, kanapa z zapadniętym siedziskiem i sflaczałymi poduszkami oraz stolik kawowy, na którym leżały kolorowe czasopisma. Rzucały się w oczy jak zabandażowany kciuk, bo był to jedyny żywy akcent w tym posępnym pomieszczeniu. Czasopisma były związane z podróżami: „Karaiby”, „Słoneczne Wyspy”, „Afar”, „Luksusowe Hotele”, „Podróże z Przygodami” – wszystkie leżały schludnie ułożone na stoliku. Przymocowany do ściany telewizor z płaskim ekranem, stół wciśnięty pod okienko do kuchni, biurowe krzesło stojące na plastikowej macie i postrzępiona podkładka pod mysz dopełniały posępnego obrazu.

Włączylam światło. Żyrandol w jadalni, zbyt jasny do tak małego pomieszczenia, jaskrawo oświetlił wnętrze. Półka z książkami stojąca przy ścianie obok komputera mieściła kolekcję oprawionych w skórę książek poświęconych strategiom wojskowym. Książki ustawione w porządku chronologicznym, były szare, bezbarwne, ze zdartymi grzbietami. Wyglądały jak wypożyczone z biblioteki. Obejmowały szeroki przedział czasu – od Czyngis-chana przez Napoleona i bitwę pod Waterloo, aż po pierwszą wojnę światową.

Wyciągnęłam pierwszą książkę z górnego rzędu i otworzyłam na stronie tytułowej. Wydzielała stęchły, kwaśnawy zapach pleśni i nosiła tytuł *Baron de Rais. Proces Gillesa de Lavalas*. Przeszłam do wstępu i przeczytałam następujący opis: „Szczegółowy portret wcielenia zła i największych lęków znanych człowiekowi”. Szybko zamknęłam książkę, odłożyłam ją na miejsce i wytarłam ręce w spodnie.

Na niższej półce znajdowała się kolekcja przewodników turystycznych Fodora, kolorowa, radosna i ustawiona w porządku alfabetycznym. Amsterdam, Bermudy, Florencja, Hiszpania, Kajmany, Londyn, Paryż, Schwarzwald, Turcja, Włochy, Wyspa Świętego Tomasza. Książki wyglądały jak nowe, były w idealnym stanie, jakby czekały na półce, aż ktoś je otworzy.

Ogólnie rzecz biorąc, mieszkanie 1B sprawiło posępne wrażenie. Pomieszczenia miały charakter czysto użytkowy, brakowało w nich zdjęć rodzinnych i bibelotów. Ostre światło nadawało wnętrzu nieprzyjemny charakter, z góry dobiegało irytujące stukanie wentylatora, które pchało mnie do przodu i przypominało, że znalazłam się tu z konkretnego powodu. Szafka na dokumenty przyciągała mnie jak magnes. Otworzyłam górną szufladę, która wysunęła się, niemal przewracając cały mebel.

W środku znajdował się zestaw jednakowych teczek z plastikowymi znacznikami, opisanych ręcznie wielkimi literami. Wszystkie litery były pochylone w lewo, skreślone niepewną ręką. Przyglądałam się znacznikom na kartonowych teckach i wyobrażałam sobie ich zawartość. Niezdarnie przesunęłam kciukiem po kilku z nich. Znajdowały się tam instrukcje obsługi telewizora, komputera i umowy kupna ze sklepów meblowych i elektronicznych. Ostatnia teczka nie była opisana i zawierała zbiór artykułów prasowych; część z nich była oryginalna, część stanowiły kserokopie i wydruki. Przejrzałam nagłówki artykułów:

Siniaki na ciele noworodka mogły powstać na skutek użycia paralizatora
Nieszczęśliwe dziecko ocalone z przyczepy kempingowej
Chłopiec więziony w szafie przez osiem lat
Postawiono zarzuty kobiecie, której dziecko zmarło w przegrzanym samochodzie
Powodem śmierci niemowląt było zaniedbanie
Zamknięty w klatce przez dziesięć lat
Matka pięciorga dzieci mieszkała w nędzy i ubóstwie, z dala od społeczeństwa
Szczątki trojga niemowląt odnalezione na wysypisku

Myśl w mojej głowie nabrała kształtów, rozrosła się jak ciasto, stawała się natarczywa, mgliste podejrzenie przemieniło się we wniosek, który jednak zdusiłam w zarodku. Nie mogłam pozwolić, żeby wzięła nade mną górę, więc stałam tam jak słup soli, z sercem w gardle.

To nie miało nic wspólnego z Mią. Absolutnie nic. Byłam dziwnie urzeczona kolekcją straszliwych książek Liebermana i artykułów poświęconych zaniedbywanym dzieciom, którą z jakiegoś chorego powodu zgromadził.

Ciągłe czytamy podobne historie – niemal każdego lata jakiś rodzic porzuca dziecko w rozrzanym samochodzie, matki zostawiają niemowlęta w łóżeczkach bez opieki, a same idą się naćpać albo spędzają noc w kasynie. Jak mogła tak postąpić? – pytamy, lecz później zapominamy o całej sprawie. Czytałam kiedyś o matce, która...

Przeglądając pierwszy artykuł, aż się wzdrygnęłam. Opisywał coś więcej niż zwykłe zaniedbanie matki, która zapomniała zapiąć dziecku guziki płaszcza, dać mu pieniądze na lunch czy ugotować kolację. Te historie przedstawiały zaniedbania tak straszliwe, że doświadczeni policjanci załamywali się podczas składania zeznań, kiedy sprawa trafiała do sądu. Opisywały przypadki pogryzień, pobić i trwałych uszkodzeń. Mieszkania pełne rozrzuconych ekskrementów, roje much, zmiażdżone czaszki. Sześciolatki, które wyglądały jak trzylatki, z bliznami pokrywającymi ich ciała od stóp do głów.

W tezcze znajdował się też artykuł *O alarmujących wynikach badań mózgu i wpływie macierzyńskiej miłości*, podkreślający fakt, że struktura mózgow dzieci karmionych piersią jest bardziej rozwinięta, zaś opóźnienia we wczesnym rozwoju odbijają się na ludziach przez resztę ich życia. Artykuł wyjaśniał również, że rodzice, którzy źle traktowali swoje dzieci, sami byli zaniedbywani w dzieciństwie, co tworzy błędne koło, i kończył się listą numerów, pod które należy zadzwonić, gdyby jakiemuś dziecku w naszym otoczeniu działa się krzywda.

Czyżby Lieberman uważał mnie za złą matkę? Taką, która zaniedbuje swoje dziecko za fasadą dobrobytu, mijając go na ulicy z designerskim wózkiem? Czyżby niemowlę dręczone kolkami wyzwało w jego umyśle wyobrażenie śladów od przypalania papierosem i wzdętego głodem brzuszka?

Na dźwięk dzwonka telefonu aż podskoczyłam. Na wyświetlaczu pojawiła się identyfikacja numeru: Seagram Constructions, Inc. Kiedy włączyła się automatyczna sekretarka, dzwoniący się rozłączył.

Spanikowałam. Nie byłam pewna, czy zostawiłam teczki we właściwym porządku. Przejrzałam je wszystkie: leżały równo i nadal były ułożone alfabetycznie. Zamknęłam szufladę i stłumiłam w sobie pokusę ponownego jej wysunięcia.

Znowu dzwonek.

Żołądek zacisnął mi się w supel. Kątem oka dostrzegłam jakiś zielony przedmiot. Gdzieś podskórnie rozpoznałam radosny kolor zielonego jabłuszka – a może limonkowy, czy nawet malachitowy – który wydał mi się znajomy i jednocześnie nie na miejscu w pokoju pełnym szarości i brązów. Telefon zadzwonił po raz trzeci.

Zielony przedmiot leżał na szczycie regału z książkami, upchnięty z tyłu, jakby ktoś wołał go nie kłaść na widoku i jednocześnie chciał wiedzieć, że tam jest.

Zbliżyłam się do półki.

Dzwonek telefonu.

Włączyła się automatyczna sekretarka: „Po sygnale nagraj wiadomość”.

– Panie Lieberman, mówi Frank z Seagram’s Construction. Wiem, że w weekendy wyjeżdża pan z miasta, ale w poniedziałek rano muszę skontrolować postęp prac. Niech pan do mnie oddzwoni.

Telefon zamilkł.

Ale ona tam była, niczym duch, mieniać się szmaragdowo. Zamknęłam oczy i ponownie je otworzyłam.

Tkwiała na szczycie regału. Plastikowa figurka w pozycji siedzącej, z ukrytym pod spódniczką guzikiem, po naciśnięciu którego jej świecące w ciemności skrzydełka zaczynały trzepotać. Centralna postać karuzeli znad łóżeczka Mii. Serce zaczęło mi bić tak szybko, że poczułam dudnienie w czaszce. Figurka Dzwoneczka sprawiała wrażenie porzuconej i zapomnianej. Sięgnęłam po nią, dotykając skrzydełek opuszkami palców.

Znów telefon.

Gwałtownie cofnęłam rękę. Stałam bez ruchu, żałując, że nie potrafię uciszyć telefonu siłą woli.

Drrrrrrii...

Nigdy nie przyglądałam się jej tak dokładnie, właściwie nie zwracałam na nią uwagi. Zielona sukienka z falbaniastą spódniczką. Błękitne oczy, blond włosy. Spiczaste uszy.

Drrrrrii...

Przezrocyste skrzydełka. Dzwoneczek, wróżka, której małeńkie ciało w gniewie gwałtownie czerwienieje, ponieważ nie jest w stanie pomieścić jednocześnie więcej niż jedną emocję.

„Po sygnale nagraj wiadomość”.

– Davidzie, czybyś utknął w korku? Nie odbierasz komórki i nie można ci się nagrać. Musisz sobie w końcu ustawić pocztę głosową.

Chwyciłam figurkę Dzwoneczka i jakby mnie ktoś gonił, pobiegłam do kuchni. Nie miałam urojeń, nie traciłam rozumu, nie byłam wariatką. Kocyk to jedno. Mógł wypaść z wózka, mogłam go sama zgubić. Ktoś lub coś mogło go zawlec na strych. Ale to? Gdyby Lieberman znalazł figurkę Dzwoneczka na korytarzu albo nawet na ulicy, obok mojego samochodu czy na schodach, pewnie by ją wyrzucił lub zostawił tam, gdzie leżała. Ale figurka w jego mieszkaniu, celowo odłożona na szczycie regału?

Czybym znowu traciła głowę? Muszę się skupić. Skoncentruj się i przemyśl to wszystko.

Czy Lieberman mógł być porywaczem? Człowiekiem, który zabrał moje dziecko? Im dłużej nad tym myślałam, tym więcej miało to sensu. Nie dbałam o to, dokąd zaprowadzi mnie prawda – byłam gotowa za nią podążyć. Wszłam do szybu i umieściłam panel z powrotem, przytrzymując za gałkę. Ku mojemu zaskoczeniu łatwo wskoczył na miejsce. Okręciłam linę wokół nadgarstków, opierając stopy o ściany.

Wróciwszy do mieszkania, wybrałam numer komórki Liebermana i, tak jak się spodziewałam, usłyszałam automatyczną wiadomość. Musiałam go znaleźć. A gdyby mi się nie udało, musiałam

odnaleźć siostrę, którą odwiedzał w weekendy, kobietę, której nazwiska nawet nie znałam.

Włączyłam komputer i zaczęłam szukać w internecie informacji na temat Davida Liebermana. Uzyskałam ponad trzy miliony wyników, poczynawszy od absolwenta prawa z Berkeley, a na stomatologu endodonty z Oregonu skończywszy, poprzez linki do stron uniwersyteckich i blog prezentujący rozmaite techniki tępienia robactwa w Australii. Były też profile na portalach społecznościowych, studenckich i setki trafień dla nazwisk brzmiących podobnie do Lieberman. Przełączyłam się na zakładkę „grafika” i przejrzałam pierwszych dziesięć stron wyników przedstawiających zdjęcia rozsianych po całym świecie Davidów Liebermanów. Nie znalazłam niczego zaskakującego i po chwili zdjęcia zlały się w morze oczu, nosów i uśmiechów. Po kilku godzinach spędzonych przed komputerem zaczęło mnie ogarniać zmęczenie.

Wreszcie, na stronie dwudziestej którejś, moją uwagę zwróciło zdjęcie dwojga nastolatków. Chłopiec na zdjęciu był młodszą o kilkadziesiąt lat wersją mojego sąsiada. Kliknęłam na zdjęcie, przynosząc się do internetowego archiwum „Millbrook Park Townsman”, niewielkiej gazety wydawanej w hrabstwie Dutchess, w stanie Nowy Jork.

Przed oczami przeleciały mi nagłówki artykułów z kilkudziesięciu lat. Skoncentrowałam się na pogrubionych wyrazach. Zwróciłam uwagę na jeden z wyników: *Pożar domu odbiera życie rodzicom, lecz oszczędza dzieci*. Nie zauważyłam odniesienia do nazwiska Lieberman, jednak musiał istnieć jakiś związek pomiędzy artykułem a słowami, które wpisałam w wyszukiwarce. Kolejny wytłuszczony link: *Dokonano potwornego odkrycia*. Kliknęłam i zaczęłam czytać artykuł.

Pożar domu odbiera życie rodzicom, lecz oszczędza dzieci.

DOVER, stan Nowy Jork – wczesnym rankiem w piątek 3 lipca 1982 roku w pożarze domu przy Sparrow Lane w Oniontown, w Dover, stan Nowy Jork, zginęło małżeństwo.

Jak dowiedzieliśmy się od Irene McConnell, rzeczniczki Biura Bezpieczeństwa Publicznego Nowego Jorku, ofiarami są Gabriel (48) i Esther (41) Liebermanowie. Ich dzieci, David (17) i Anna (13), są obecnie leczone w Dover County Hospital ze skutków zacczadzenia dymem. Anna Lieberman doznała również niegroźnych oparzeń rąk.

„Kiedy dotarliśmy na miejsce, z frontowych okien domu buchały płomienie – powiedział nam szef służby przeciwpożarowej Donald Helm. Szopa na tyłach domu i stara stodoła również spłonęły w pożarze. – Całe miasto jest pogrążone w smutku z powodu tragedii, jaka spotkała te dzieci. To prawdziwy dramat”.

Sąsiad poinformował straż o wybuchu pożaru. Według słów Donalda Helma rodzice byli uwięzieni w sypialni na górze. Zdaniem dzieci okna w ich domu czasami się blokowały. „Nigdy nie dowiemy się, dlaczego nie próbowali uciec na korytarz, a stamtąd zbiec po schodach”.

Sledczy z biura stanowego służby przeciwpożarowej pozostali na miejscu przez cały dzień, próbując ustalić przyczynę wybuchu pożaru. Szefowie służby i strażacy z Dover po południu przeszukiwali zgliszcza, starając się znaleźć jakieś wskazówki.

Dzieci pozostaną pod opieką państwa, dopóki nie uda się skontaktować z ich krewnymi. Trwa śledztwo w sprawie ustalenia przyczyn wybuchu pożaru.

Podobieństwo nastoletniego Liebermana do jego dorosłej wersji było zadziwiające. Niewiele się zmienił; z jego twarzy zniknął trądzik, za to pojawił się zarost. David był atrakcyjniejszym z rodzeństwa, ale miał oczy zbuntowanego nastolatka, który nie chce pozować do zdjęcia. Stał wycofany, schowany w cieniu siostry. Anna była raczej niepozorną dziewczynką, miała kręcone włosy z przedziałkiem na środku, pełne usta i szczery uśmiech. Spoglądała przyjaźnie prosto w obiektyw

aparatu. A może zaczepnie? Trudno stwierdzić. Po chwili szukania natrafiłam na kolejny artykuł w tej samej gazecie. Jak powiedział rzecznik stanowej agencji, kilka tygodni po pożarze David osiągnął pełnoletność i przestał podlegać systemowi opieki zastępczej. Anna pozostała w rodzinie zastępczej przez wiele miesięcy, zanim wreszcie odnalaziono ich krewnego.

Nasze historie były niepokojąco do siebie podobne. Zbieżności pewnych faktów nie dało się w żaden sposób wyjaśnić: w obu przypadkach rodzice dzieci zmarli, a starszy brat nie zaopiekował się siostrą. W obydwu przypadkach zjawiała się ciotka i zajęła się młodszym dzieckiem. W przypadku Anny była to Laura Dembry. Wystarczyło jeszcze kilka kliknięć myszką, by dowiedzieć się, że Laura Dembry należała do Kościoła Prawowitego Zwierzchnictwa w Plainview, w stanie Nowy Jork, we wsi w hrabstwie Nassau, nieopodal północnego brzegu Long Island. W artykule brakowało informacji o tym, gdzie zamieszkał David. Na tym zakończyła się internetowa historia Liebermanów: osierocone dzieci musiały żyć dalej. Z własnego doświadczenia wiedziałam jednak, że cienie towarzyszą nam przez resztę życia i że to właśnie następstwa wydarzeń z dzieciństwa okazują się najbardziej tragiczne. Dla mnie, dla niego, dla każdego z nas. Artykuły w gazetach nigdy nie mówią wszystkiego.

Podobieństwo naszych losów wisiało w powietrzu, gęste i ciężkie niczym mgła. Wpisałam do wyszukiwarki tytuł jednej z książek, którą zauważyłam na półce u Liebermana: *Baron de Rais. Proces Gillesa de Laval*, i zaczęłam czytać wstęp: „Baron de Rais czerpał wielką przyjemność z patrzenia, jak głowy dzieci odłączają się od ich ciał... Czasami, gdy dzieci były już martwe, pytał, które z nich miało najpiękniejszą główkę”.

Przypomniałam sobie tytuł ostatniej książki na długiej osi czasu, która zdawała się rościć sobie prawa do chwili obecnej: *Książę ciemności*.

Potrzebowałam pomocy, lecz później wyobraziłam sobie, jak by to wyglądało. Co by się stało, gdybym poszła na policję. Wróciłabym na komisariat i opowiedziałam im o Mii, Liebermanie oraz jego siostrze Annie, o moich podejrzeniach – mniejsza o to, że sama byłam idealną podejrzaną, matką, która miała najłatwiejszy dostęp do dziecka. Dziecka, które – uwaga! – zniknęło przed kilkoma dniami. Dziennikarze mieliby się nad czym pastwić. „Odkąd to zbieranie wycinków prasowych stało się nielegalne?”. Dziecięca pornografia to co innego, wystarczyło o niej wspomnieć, żeby mieć sprawę w sądzie, ale artykuły poświęcone przemocy wobec dzieci i zaniedbaniom ze strony rodziców? Już sobie wyobrażałam pytania policjantów: „Proszę nam jeszcze raz wyjaśnić, jaki to ma związek z zaginięciem pani córki? Mężczyzna zbierający wycinki z gazet? A tak przy okazji, czy ja już pani gdzieś nie widziałem? Nie odwiedziła nas pani przypadkiem parę dni temu?”.

W końcu nie będę w stanie odpowiedzieć na ich pytania. Nie będę nawet potrafiła ich zrozumieć ani się uspokoić i roztrzęsionym głosem zacznę powtarzać bez ładu i składu: „Dzwoneczek, Dzwoneczek”. Równie dobrze mogłabym mówić do ściany, gdyż moja historia będzie przypominać makabryczny i nieprzemysłany scenariusz mydlanej opery, rojenie świruski, która bez końca powtarza tę samą nieskładną opowieść.

Będę snuć tę swoją pozbawioną sensu teorię spiskową, aż w końcu zamkną mnie w celi i wezwą psychiatrę na konsultację, ale ze względu na niski budżet oraz ponieważ akurat będzie niedziela, będę musiała zacząć do środy po południu i zanim zdążę kogokolwiek przekonać o swojej pocztytalności, Lieberman i jego siostra uciekną Bóg wie dokąd.

*

Zaciskam powieki i uderzam pięściami w skronie. Za każdym razem, gdy wynurzam się z przeszłości, nie mogę się otrząsnąć z szoku. Ile to już razy pragnęłam wymazać bolesne wspomnienia ze swojego życia? I oto teraz próbuję je sobie wszystkie przypomnieć. Co za ironia losu.

– Proszę zadzwonić na policję. – Nie mogę opanować drżenia w głosie.

Doktor Ari sięga po słuchawkę i prosi do telefonu detektywa Wilczka. Żołądek zaczyna mi się zaciskać, a twarz chyba odzwierciedla mój wewnętrzny stan, ponieważ doktor Ari wskazuje na drzwi znajdujące się za jego biurkiem. W łazience wymiotuję i wymiotuję, dopóki całkiem nie opróżnię żołądka. Smród treści żołądkowej wypełnia mi nozdrza.

Kiedy znowu siadam na krześle, doktor Ari nadal rozmawia przez telefon. Obserwuję jego poruszające się wargi. Od czasu do czasu marszczy brwi, w końcu jego twarz pochmurnieje. Odkłada słuchawkę.

– Szukali Liebermanów przez cały ten czas. Nigdzie ani śladu – mówi. – Przepadli jak kamień w wodę. Obydwoje. Samo zniknięcie to jeszcze nie przestępstwo. Prowadzą poszukiwania, żeby ich przesłuchać, ale na razie ich nie znaleźli. Z trudem przyswajam jego słowa, ale wiem, co oznaczają. Zniknęli. Wszyscy zniknęli. Później dociera do mnie, że będę musiała żyć w tym ciele do końca swoich dni. Ciele, które bezustannie przeszywa ból. Czy ta historia w ogóle brzmi, jakby była prawdziwa? Historia osieroconego rodzeństwa tak podobna do mojej. Gdzie w tym wszystkim logika, jakie jest prawdopodobieństwo, że to, co mówię, jest prawdą?

To może być prawda. Zdarzały się już dziwniejsze rzeczy. Opowiedziana historia ma wielką moc, a powtarzana wielokrotnie ryje w umyśle koleinę, która – zanim się zorientujesz – staje się coraz głębsza. Z lisiej nory zmienia się w ziemiankę dostatecznie głęboką, żeby się w niej ukryć.

Tak, to brzmi, jakby było prawdą.

Rozdział 18

Rozgniatając porcję galaretki pomarańczowej na miazgę, obserwuję razem z Marge sześć kobiet w wieku od osiemnastu do trzydziestu kilku lat, ich widmowe ciała odprawiające niesamowite dietetyczne rytuały – wbijanie widelców w mikroskopijne drobinki jedzenia, które jakimś cudem unoszą do ust, a gdy już starannie je przeżują, kończą ceremonię wypijaniem ogromnych szklanek wody. Przez większość czasu przekształcają składniki swojego dietetycznego posiłku w kopczyki odrzucenia, ani na moment nie zapominając o swojej obsesji: pozbawieniu organizmu pożywienia. Sanitariusze skwapliwie patrolują granice podczas posiłków, szczególnie tę dzielącą nasz stolik od grupy kobiet, które ja i Marge nazywamy Smakoszkami.

Zdarzają się momenty, kiedy Marge jest dla mnie enigmą. Doktor Ari ma ponoć niewielu pacjentów i głównie zajmuje się doglądaniem pracy pozostałych psychiatrów w swoim zespole. Co takiego ma w sobie Marge, że postanowił sam zająć się jej leczeniem? Wiem, że zмага się ze śmiercią swojej matki, ale zaczynam się zastanawiać, czy na pewno jest takim niewiniątkiem, za jakie chce uchodzić.

Polubiłam ją i zbliżyłyśmy się do siebie, przynajmniej na tyle, na ile pozwala nam pobyt w tym miejscu, a obserwowanie kobiet dostarcza mi rozrywki, dopóki Marge nie zacznie odprawiać własnych kulinarnych rytuałów – wpychać do ust wielkich kawałków jedzenia i polykać ich bez przeżuwania. Jej twarz puchnie z każdym dniem, rękawy coraz ciaśniej opinają ramiona, zaś talia pęcznieje. Marge zamienia się w globus, pasek dzieli ją na pół niczym linia równika.

– Będziesz to jadła? – Wskazuje kromkę białego chleba na moim talerzu. Patrzenie, jak masakruję swoją galaretkę, musiało być dla niej torturą.

Marge nie spuszcza wzroku z chleba, nie przeszkadzają jej nawet widoczne na kromce ślady moich zębów. Nic nie jest w stanie zniechęcić Marge do jedzenia. Sprawia wrażenie, jakby chciała rozsadzić własnym ciałem ściany ośrodka.

– Pozwól mi zjeść w spokoju lunch – mówię, ale tak naprawdę przeszkadza mi fakt, że chcę ją zapytać o śmierć matki i jednocześnie jestem zaskoczona awersją do sekretów i kłamstw, którą właśnie w sobie odkryłam.

– Nie denerwuj się, tylko zapytałam. Jeśli nie zamierzasz tego jeść, zamieńmy się tacami. – Spogląda na resztki na stole Smakoszek i już wiem, co się zaraz wydarzy. Marge pożąda ich jedzenia, one nie chcą go wcale – sukces gwarantowany. Trudno o lepsze połączenie.

– Co ty próbujesz sobie zrobić? Rozmawiałaś z kimś o tym?

Jej gabaryty są zdumiewające. Biodra Marge nie mieszczą się na krześle, nawet okulary wbijają jej się w skronie. Wyobrażam sobie dzień, w którym jej oczy znikną w fałdach tłuszczu, i zastanawiam się, jak długo jeszcze szpital pozwoli jej tyle jeść. Skoro anorektyczkom nie wolno zostawiać jedzenia na talerzach, wcześniej czy później ktoś przeszkodzi Marge w obżeraniu się.

– Doktor Ari powiedział, że zacznę mnie pilnować podczas posiłków. I co z tego? Istnieją sposoby, żeby zdobyć jedzenie. Zawsze. Myślisz, że oddadzą mi swoje desery? – Marge spogląda na anorektyczki, a one odwzajemniają jej spojrzenie. Widzę, jak jedna z dziewcząt ledwie zauważalnie kiwa głową. Dobiły targu.

Mam własną teorię na temat powodów, dla których Marge postanowiła się roztyć: zabiła matkę i teraz chce ją mieć z powrotem. Postanowiła odtworzyć ciało matki we własnej skórze i nie przestanie, dopóki ktoś jej nie powstrzyma. Współczuję Marge, lecz staram się ją trzymać na dystans; nie chcę, żeby wciągnęła mnie w swoją sieć obsesji.

– Dzień dobry paniom – słyszę za plecami głos Olivera i widzę malujący się na twarzy Marge zawód, że nie będzie mogła zrealizować swojego planu.

Oliver stawia tacę na naszym stole i odsuwa sobie krzesło. Sanitariuszki nie jedzą posiłków razem z pacjentami, ale cieszę się, że do nas dołączył. Pachnie środkiem dezynfekującym, płynem po goleniu i miętą.

– Dziękuję za to, co wtedy dla mnie zrobiłeś – mówię, przypominając sobie zimną, nasączoną zapachem cytryny chusteczkę na swoim czole.

– Nie ma za co – odpowiada Oliver i nie jestem pewna, czy wie, do czego nawiązuję. – Od tej pory będę jadł z wami posiłki. Chyba nie macie nic przeciwko? – To pytanie kieruje do Marge, która unosi brwi.

Wszyscy troje wiemy, że on jest tu po to, żeby powstrzymać Marge od zajęcia się na śmierć.

Oliver odgryza kawałek krakersa i zaczyna obierać pomarańczę. Ma ciemnobrązowe włosy i oczy koloru głębokiego błękitu. Jego brwi opadają, nadając twarzy raczej posępny wyraz. Tymczasem figlarny uśmiech i serdeczność wydają się na stałe wpisane w jego charakter. Mówi głębokim, poważnym głosem. Poza szpitalem jest pewnie całkiem przeciętnym chłopakiem, ale tutaj robi za gwiazdę rocka.

– Dlaczego masz takie pokancerowane dłonie? Czyżbyś dorabiał na budowie? – staram się, żeby moje słowa zabrzmiały lekko i swobodnie.

– Pracuję z drewnem. – Żuje jedzenie, a ja cierpliwie czekam, żeby powiedział coś więcej. – A konkretnie toczę.

Marge jest poirytowana jego obecnością. Przeszła jeszcze jedną przemianę; poza tym, że jej ciało puchnie jak balon, przestała się kontrolować w tym, co mówi. Kiedy ją poznałam, była cicha, nieśmiała i prawie do nikogo się nie odzywała. Teraz wyrzuca słowa z ust z taką samą szybkością, z jaką napelnia swoje ciało jedzeniem.

– Tokarstwo? A co to takiego? Chodzi o robienie szafek, komód, tak? Czy nie lepiej po prostu pójść do sklepu i kupić sobie meble? Dla mnie to strata czasu. Tak tylko mówię... – Wlepia wzrok w pomarańczę Olivera.

– To nie ma nic wspólnego ze stolarstwem ani robieniem mebli. Robię miski, szkatułki, statki, urny, długopisy i inne drobiazgi wymagające dbałości o szczegóły.

– Będiesz to jadł? – pyta Marge, wskazując na pomarańczę Olivera.

– Na razie będę jadł posiłki przy tym stoliku, żeby mieć na wszystko oko.

– W takim razie pokaż nam coś – mówi z uśmiechem Marge, zerkając to na mnie, to na niego. – Któryś z tych drewnianych przedmiotów własnej roboty.

Oliver wyciąga z kieszeni fartucha coś okrągłego: żołędź, nie większy niż jajko drozda, z czapeczką i ogonkiem.

– Widzicie, zrobiłem go z drewna sandałowego – mówi. – Korzystam ze specjalnych narzędzi, żeby wyrzeźbić szczegóły. To narzędzie nazywa się żłobek. Używam go do rzeźbienia najdrobniejszych elementów, takich jak czapeczka.

Narzędzie, które trzyma w dłoni, jest miniaturowym dłutem o wklęsłym, łukowato zakończonym ostrzu. Oliver odkłada je na swoją tacę. Sięgam po nie. Jest nie większe niż pinceta.

– Idealny do najmniejszych szczegółów. – Oliver podnosi żołędzia za ogonek. – Oto – robi dramatyczną pauzę – żołędź. – Trzyma go ostrożnie, jakby bał się go uszkodzić. – Zrobiłem niewielkie wyłobienia, żeby żołędź wyglądał jak prawdziwy. Wtarłem nawet wosk w czapeczkę, żeby przyciemnić kolor.

– Dla mnie to prawdziwa strata czasu. – Marge podnosi się, przesuwa tacę po stoliku i koncentruje uwagę na grupie anorektyczek.

Oliver mamrocze coś pod nosem i zaczyna obierać pomarańczę.

– A właśnie – nachyla się w moją stronę i zniża głos – niedługo będziesz miała gościa.

Patrzę na niego ze zdumieniem.

– Ja? Gościa?

– Tak, ty.

– Kto to będzie? – Pierwszy przychodzi mi do głowy Jack, ale szybko odsuwam od siebie tę myśl, bo ogarniają mnie od niej mdłości. Staram się skupić na Oliverze.

– Tego nie dosłyszałem. – Sanitariusz zawiesza głos. – Nie powinienem ci o tym mówić, ale pomyślałem, że to poprawi ci humor. Nikt cię nie odwiedził, odkąd tu trafiłaś.

W mojej głowie pojawia się przegląd twarzy: prokurator okręgowy, detektywi, Nell, Jack. Nie potrafię się ich pozbyć. Usiłuję poszerzyć swoją percepcję, wchłonąć dźwięki dobiegające z głośnika, hałaśliwe rozmowy wokół nas, stukanie tac i pisk odsuwanych krzeseł. Próbuję odetchnąć i się zrelaksować, lecz moje serce nie chce się uspokoić. Koncentruję uwagę na Oliverze, jego paznokciu przebijającym skórkę pomarańczy i kciuku, którym wreszcie ją odrywa.

Marge przysuwa krzesło do stolika, przy którym siedzą anorektyczki, plotkujące i komentujące ze śmiechem leżące na ich tacach jedzenie.

Oliver wstaje z miejsca.

– Dostyc żartów, miłe panie – odzywa się podniesionym głosem. – Znacnie zasady. – Wskazuje w stronę wyjścia ze stołówki. – Koniec lunchu.

Dziewczęta wstają jak na komendę, zostawiając tace. Obserwuję Marge zmierzającą w stronę pojemnika na brudne naczynia. Gość. W głowie mam mętlik, myśli pchają mnie we wszystkich możliwych kierunkach. Serce bije mi zbyt szybko, żebym mogła usiedzieć w miejscu, więc podnoszę się i chwytam swoją tacę.

– Zapomniałeś o czymś – mówię i podaję Oliverowi dłuto oraz żołądzia, przytrzymując tacę drugą dłonią.

– Zatrzymaj żołądzia.

– Naprawdę?

– Wystrugałem go dla ciebie.

– Wystrugałeś dla mnie żołądzia. Z jakiegoś szczególnego powodu?

– Przekonasz się.

– Dostanę jakąś wskazówkę?

Oliver przechyla głowę i mówi:

– Wskazówka wszystko by zepsuła. Pozwolę ci się samej domyślić.

– Bo mam nierówno pod sufitem?

Śmieje się, unosząc ramiona.

– No dobra – mówię, wsuwając żołądzia do kieszeni.

Wychodzę z kawiarni i idę do gabinetu doktora Ariego. Pukając do drzwi, spodziewam się, że taka niezapowiedziana wizyta go zirytuje, ale ku mojemu zdziwieniu słyszę radosne „proszę”. Wchodzę do środka, ale zatrzymuję się bliżej drzwi niż jego biurka. Doktor Ari stoi przy oknie ze szcztoką w ręce i starannie czyści swój granatowy wełniany płaszcz. Nie ruszam się z miejsca, tylko mu się przyglądam. Nie wiem, jak zapytać go o gościa, nie wsypując jednocześnie Olivera.

– Estelle, właśnie o tobie myślałem. – Lekarz zawiesza głos i ogląda się w lustrze. – Twój brat Anthony poprosił o pozwolenie na widzenie się z tobą.

Kiedy ostatnio widziałam Anthony'ego Paradise'a, dopiero co skończył osiemnaście lat. Pamiętam jego oliwkową karnację i zielone oczy. Słyszałam, że wstąpił do akademii wojskowej, czego zresztą nie mogłam zrozumieć. Mógł skorzystać ze stypendiów i masy innych możliwości, a mimo to wybrał akademię wojskową zamiast jednej z uczelni należących do Ligi Błuszczowej, które tak bardzo chciały mieć go w szeregach swoich studentów. Kiedy już wprowadziliśmy się do ciotki Nell, bezustannie ją o niego wypytywałam, ale nie była rozmowna i nie wiem już, co usłyszałam od niej, a co wymyśliłam sama.

Nigdzie nie mogę znaleźć Olivera, a Marge poluje i zbiera jedzenie, żeby jeszcze bardziej się rozrosnąć. Dociera do mnie, że nie mam nikogo. Żadnych przyjaciół. Zresztą i tak nigdy ich nie miałam. Wszystkie nawiązywane przeze mnie relacje okazywały się powierzchowne i niewystarczające, prawie tak jakby ich wcale nie było. Składały się na nie mgliste wspomnienia, które dzieliłam z kimś w dalekiej przeszłości, ale nigdy nie tworzyłam trwałych więzi, nie zakładałam albumów z wycinkami, nie nosiłam z nikim jednakowej biżuterii ani nie robiłam sobie z nikim wspólnych zdjęć. Nie było ani jednej osoby, do której mogłabym otworzyć usta. A gdybym nawet miała numer, pod który mogłabym zadzwonić, to co bym powiedziała? „Cześć, mówi Estelle, pamiętasz mnie? Tak tylko dzwonię, żeby zapytać, co u ciebie. Siedzę w szpitalu psychiatrycznym, bo chyba zapodziałam gdzieś swoją kilkumiesięczną córeczkę. Niektórzy twierdzą, że maczałam palce w jej zniknięciu. Muszę uporządkować kilka spraw, pomyślałam o tobie, dlatego dzwonię...”.

Nie potrafię przestać myśleć o Anthonym i jego zbliżającej się wizycie, w uszach dudni mi komentarz doktora Ariego: „Jutro podam ci dokładną godzinę”. Przyznaję się lekarzowi, że jestem niespokojna, proszę nawet o odpowiednie leki, ale odmawia mi chemicznie wspomaganego spokoju, tak jak nie daje mi go podczas naszych sesji. Musisz sama stawić czoło problemom, koniec kropka.

Przez resztę dnia koncentrowałam się na znajomej atmosferze sterylności i gorączkowej skuteczności Creedmor, jednak z trudem znosiłam puszczaną z głośników muzykę, która bezustannie przypominała mi o tym, kim jestem i dlaczego się tu znalazłam. Rzadko dało się usłyszeć dźwięk syren, ponieważ to nie był ostry dyżur i pacjentów raczej nie przywoziły tu karetki, tylko członkowie rodzin lub pracownicy opieki społecznej. Dzisiaj jednak do moich uszu dociera bardziej piskliwy niż zwykle odgłos syreny. Wiem, że zbliża się karetka i że kiedy odjedzie, sygnał zamilknie. Słyszę piszczenie gumowych podszew na linoleum i – co jakiś czas – płynące z głośników komunikaty, których nikt nie rozumie, skrzypienie wózków i łóżek, a nawet jęki pacjentów. W szpitalu nigdy nie panuje cisza. Nawet zmysł węchu jest nieustannie bombardowany – wonią lateksu, wybielacza i dolatującym z kuchni zapachem gotowanego jedzenia.

Później próbuję odgrodzić się od hałasu i w zasadzie mi się to udaje. Koncentruję się na obserwowaniu zarysowań na wypolerowanej podłodze i poodpryskiwanej farby na ścianach. Kiedy już wydaje mi się, że odzyskałam kontrolę nad sytuacją, dźwięk stojaka z kroplówką niweczy moje wysiłki i zastanawiam się, czy istnieje na świecie miejsce, w którym panuje kompletna cisza. Może podziemna kopalnia albo dźwiękoszczelna kabina? Klasztor, w którym mnisi złożyli śluby milczenia? Myśli kotlują mi się w głowie jak szalone i czuję, że mój umysł eksploduje lada chwila niczym przegrzana żarówka.

Przemierzam korytarze ze wzrokiem wlepionym w podłogę, brązową i usianą drobinami szarości. Gdziekolwiek można dostrzec białe plamki, jeśli dobrze się jej przyjrzeć. Puszczam mimo uszu rozmowy mijających mnie pielęgniarek, sanitariuszy z ich podkładkami do pisania i brzęczącymi kluczami, płynące z głośnika komendy: „Doktor trach, trach proszony, trach, do holu, trach”. Słyszę głosy pielęgniarek siedzących za szklaną ścianą na końcu korytarza, daleki śmiech, stukanie zamykanych szafek, dzwonienie telefonu. Świat wokół mnie jest jak wbijające się w mój mózg odłamki, a moja zdolność do radzenia sobie z nim – i tak daleka od doskonałości – jeszcze się pogarsza, blokuje tych kilka myśli, które pozwalają mi zachować równowagę. Zastanawiam się, czy jest tu gdzieś basen – może w piwnicy? – pozostałość wodnej terapii dla szaleńców. Mogłabym się zanurzyć w wodzie tak głębokiej, że nie docierałyby do mnie żadne dźwięki i cały świat rozplątałby się w niebycie.

O północy idę korytarzem z pustą butelką, usprawiedliwieniem dla faktu, że opuściłam swój pokój. Automaty z wodą znajdują się na każdym piętrze i na klatkach schodowych. Nikt mnie nie zaczepi, ponieważ nie ma ani jednej osoby w Creedmoor, która piłaby wodę z kranu. Rdzawe strużki w toaletach świadczą o jakości tej wody i skutecznie od niej odstrasżają.

Zachodnie skrzydło jest opuszczone i większość drzwi do pokoiów i biur jest zamknięta. Z tej części Creedmoor nikt nie korzysta, fundusze na jej remont tkwią pewnie w przepastnych kieszeniach zamożnych sponsorów, jako że dni szpitala są policzone.

Słyszę kroki, zbyt powolne jak na pielęgniarkę czy sanitariusza; być może strażnik robi obchód niezagospodarowanej części budynku, więc chowam się w jednym z wykuszy.

Kiedy odgłos kroków cichnie w oddali, kontynuuję swój spacer. Mijając kolejne pokoje, czytam tabliczki na drzwiach i w końcu znajduję coś tylko odrobinę gorszego niż basen rozmiarów olimpijskich. Wchodzę do pomieszczenia po prawej stronie. Zamykam za sobą ciężkie drzwi i stoję nieruchomo w ciemności, dopóki nie przyzwyczają mi się do niej oczy. Panuje tu chłód. Chowam ręce do kieszeni i zaciskam palce wokół żołędzia, prezentu od Olivera wyrzeźbionego narzędziem, którego nazwy zdążyłam zapomnieć.

Gardło kurczy mi się, jakby ktoś z wolna zaciskał na nim szal. W pomieszczeniu nie ma mebli, ściany i podłoga pokryte są kafelkami. To niewielka cela z przytwierdzonym do podłogi łóżkiem z uprzejmami na nadgarstki i kostki. Nie ma tu żadnych ostrych krawędzi i kantów.

Czuję się otumaniona, wręcz odurzona. Łóżko jest wąskie, jednoosobowe, ale porządnie wykonane. Kiedy siadam na jego brzegu, nie wydaje żadnego dźwięku. Znajduję się w izolacie; panuje w niej nieprzyjemna, ciężka atmosfera. Jedynym źródłem światła, które sączy się przez świetlik, jest księżyc.

Układam się na łóżku jak w trumnie, z rękami blisko ciała, żeby nie zajmować więcej przestrzeni, niż to konieczne. Dostrzegam ironię tej chwili, tego łóżka, tego budynku, mojego życia i wysiłku, na który muszę się zdobyć, żeby odnaleźć ciszę i usłyszeć jedyny głos, który jest prawdziwy, który musi mi zdradzić prawdę, jeśli wyciszę wszystko inne. Jedyny głos, który pragnę usłyszeć.

Nie wierzę we własną historię. Mam poczucie, że stworzyłam prostszą i bardziej wiarygodną wersję siebie samej i że większość tego, co sobie do tej pory przypominałam, nie ma nic wspólnego z rzeczywistością i może – może! – na tym właśnie polega mój obłęd: na zacieraniu granic, nieumiejętności określenia, gdzie zaczyna się jedno, a kończy drugie.

Łzy spływają mi do uszu, po szyi, wycieram oczy wierzchem dłoni. Na ułamek sekundy księżyc idealnie wpasowuje się w świetlik nade mną, wypełnia go aż po krawędzie, jego swoisty kontur zostaje zamknięty w kwadratowej ramie. Chciałabym się zatopić jednocześnie w łóżko pode mną i księżyc nade mną. Wyobrażam sobie Mię i zastanawiam się, czy ponoszę winę za to, że leży martwa w jakimś miejscu, którego nigdy nie odnajdziemy. Być może jeśli przestanę opierać się prawdzie, łatwiej ją zaakceptuję.

Pozwalam sobie na płacz, wiedząc, że ściany są dźwiękoszczelne, i przez ten krótki moment, w pokoju szaleństwa, miejscu dla obłąkanych, chcę odnaleźć w sobie siłę, żeby przejrzeć na oczy. Jakże łatwo byłoby zabrać ze stołówki to niewielkie narzędzie, którego ostrze doskonale by się sprawdziło, gdybym przyłożyła je w odpowiednim miejscu i pod właściwym kątem. Zastanawiam się, co mnie jeszcze trzyma przy życiu. Dociera do mnie, że instynkt samozachowawczy za każdym razem zwycięża pragnienie śmierci i że część mojego instynktu bierze się stąd, że mam w sobie furię zwierzęcia, któremu ktoś odebrał młode.

Biorę do ręki drewnianego żołędzia i przypominam sobie słowa Olivera o tym, że będę się musiała sama domyślić, dlaczego mi go dał. Kładę go na dłoni i zaciskam palce, żeby nie stoczył się na podłogę. Nagle czuję potrzebę chronienia go. Przyglądam mu się uważnie, opuszką palca przesuwam ostrożnie po błyszczącej brązowej czapeczce i wydłużonych, zachodzących na siebie łuskach. Żołędź ma kształt jajka, jest gładki, chociaż wzdłuż podstawy dostrzegam drobnutki rysy.

Delikatnie przekręcam czapeczkę, trzymając za dół orzecha, i ostrożnie unoszę ją za szypułkę. Przekręcam żołędzia do góry nogami i wtedy wypada z niego prawdziwy żołędź, który przez cały czas był ukryty w drewnianym pojemniczku. Przykładam czapeczkę do nosa i wciągam jej zapach. Jest delikatny, ale ma w sobie ostrą ziołową nutę. Właśnie ten zapach czułam tamtego dnia w parku, po tym jak obserwowałam Olivera strugającego coś na ławce. Zapach jego dłoni, gdy podał mi nawilżaną chusteczkę, żeby mogła sobie schłodzić czoło.

Przez kilka ostatnich tygodni próbuję odtworzyć swoją historię w nadziei, że jej krawędzie się wyostrzą, a cienie znikną. Czym jest prawda? Być może to właśnie jest jej zapach: słodki i głęboki jak woń niesolonego masła. Czysty i nieskażony. Może moja pamięć nie tworzy żadnej opowieści, może w końcu jestem na tropie prawdy.

Rozdział 19

O czwartej po południu czekam na ławce przy fontannie. Za każdym razem, kiedy dobiega mnie odgłos kroków na ścieżce albo chrzęst żwiru, serce podskakuje mi w piersi. Żałuję, że to nie ja kazałam mu na siebie czekać, ponieważ każde trzaśnięcie drzwiami samochodu brzmi jak wystrzał, po którym moje serce jeszcze bardziej przyspiesza.

Szkoda, że nie mam zdjęcia Mii. Nie mam nic, żadnego albumu ze zdjęciami, odcisku stópki czy rączki, pierwszego ubranka ani nikogo, kto mógłby potwierdzić jej istnienie. Jedyne pamiątki po niej zostały szczelnie zapakowane w plastikowe torebki na dowody, odporne na wilgoć i chroniące przed uszkodzeniami, zaklejone i zabezpieczone specjalną nalepką.

– Stella.

Głos za moimi plecami jest miękki niczym dotyk pióra. Na jego dźwięk uginają się pode mną kolana.

Odwracam się i oto jest, wyższy, niż go zapamiętałam. Mam wrażenie, jakby ktoś mi go zabrał, a teraz oddał z powrotem, zmienionego pod tak wieloma względami. Anthony jest dorosłym mężczyzną, nieco mizernym i zaniedbanym, jakby pomimo młodego wieku jego najlepszy czas już minął. Nie jest dzieciakiem, którego ostatnio widziałam. Przegapiłam moment, w którym stał się mężczyzną, jego pierwszą miłość, lata studiów, pierwszą pracę. Teraz jest wychudzonym facetem po trzydziestce.

Anthony wyciąga ramiona i przytulam się do niego. Jest gładko ogolony, czuć od niego papierosowy dym. Tygodnie spędzone w Creedmoor nauczyły mnie wyciągać wnioski, tworzyć obrazy, więc w mojej głowie od razu pojawia się kalejdoskop wspomnień tworzących kolorowe wzory. Wspomnienia są wyraziste, jasne, przypominają kolorową fotografię: przed moimi oczami pojawia się polska cukiernia, w której kupowaliśmy krówki, i Księżę, pies sąsiadów, w którym się bawiliśmy, podobny do dobermana, kulawy na jedną łapę i z odstającym uchem. Odsuwam je od siebie. Ogarnia mnie uczucie pustki i smutku, a także obrzydzenia, jakbym połknęła muchę.

Siadamy na ławce. Anthony nosi na lewej dłoni złotą obrączkę, tak cienką, że ledwie ją widać.

– No więc co u ciebie? – Jego głos jest niższy, niż zapamiętałam.

Minęło piętnaście lat, a on chce wiedzieć, co u mnie.

– Stella.

Powtórzył moje imię.

– Tak mi przykro – mówi i bierze mnie za rękę.

W jednej sekundzie zamieniam się w dziewczynkę, którą byłam piętnaście lat temu. Zostaliśmy z Anthonym rozdzieleni, ale niezależnie od tego, dokąd rzuci nas los i ile będziemy mieć lat, pozostaniemy tym, kim zawsze byliśmy: bratem i siostrą. Niezbyt dobrze pamiętam dom, w którym się wychowaliśmy, za to pamiętam dom ciotki Nell, ciemny i posepny, i moje mieszkanie w Queens, z tanimi meblami i głośnymi sąsiadami, cały mój dobytek upchnięty w jednej szafie, przeciekające rury. Żadne z miejsc, w których mieszkałam, nie było moim domem.

Zapytał, co u mnie. Waham się pomiędzy wytknięciem mu, jak bardzo nie na miejscu jest to pytanie, a potrzebą wyjaśnienia wszystkiego. Nie wiem, co powiedzieć. Żadne słowa nie oddadzą

ciężaru i znaczenia tej chwili. Łzy, które staram się powstrzymać, pieką mnie w gardle jak kwas. Unoszę dłonie wnętrzem do góry. Rozejrzyj się, Anthony. Jak ci się wydaje, co u mnie? Jak sobie radzę? Mój brat odwraca wzrok.

– Tak mi przykro – powtarza. Przenosi spojrzenie z zajętych przez pacjentów leżaków na duży budynek za naszymi plecami. – Nie wiem, co powiedzieć, Stello. Wszystko tak strasznie się pokomplikowało.

Ma na myśli miejsce, do którego trafiłam, czy całe moje życie? A może jedno i drugie? Na niebie kłębią się chmury wielkie jak gule w naszych gardłach.

– Nie mogłem uwierzyć, kiedy się dowiedziałem...

– Zmieniłeś się – przerywam mu. Przyglądam mu się uważnie. Ma na sobie spodnie, zapinaną na guziki koszulę i płaszcz. – Wydorostałeś.

Opowiada mi o West Point, o tym, że przez ostatnie dziesięć lat służył w wojsku, a teraz pracuje w FBI.

– Ta robota nie jest tak efektywna, jak się ludziom wydaje. Mnóstwo nadgodzin, mało snu. Inaczej niż w telewizji.

– To miejsce też jest inne niż na filmach. Nie jest tu nawet w połowie tak wesoło jak w *Locie nad kukułczym gniazdem*.

Opowiada mi o Abby, z którą ożenił się przed dwoma laty, i o tym, jak poznali się w pralni.

– Zaprosiłem ją na randkę i proszę, do czego to doprowadziło – mówi i wyciąga z kieszeni komórkę. Naciska kilka guzików, przesuwając kciukiem po ekranie i wreszcie podaje mi telefon.

Zdjęcie przedstawia Anthony'ego w niebieskim mundurze. Odznaki, belki na rękawach, emblematy na pagonach, czarny берет. Przewijam ekran. Anthony w granatowym garniturze i piękna kobieta z długimi brązowymi włosami, w białej obcisłej sukience, z kwiatami we włosach, gdzieś na plaży.

– To jest Abby. Pobraliśmy się na Hawajach, gdzie wówczas stacjonowałem.

Ponownie przewijam ekran. Anthony i Abby objęci na tle gór. Abby niemal dorównuje mu wzrostem i jest bardzo wysportowana. Obok nich siedzi czarny pies.

– To Patton. Wzięliśmy go ze schroniska. Mieszanka owczarka z labradorem. Został potrącony przez samochód, miał złamaną miednicę i chcieli go uśpić. Tydzień po tym, jak zabraliśmy go do domu, trzeba mu było amputować łapę, ale do dzisiaj nie ma o tym pojęcia.

Oglądam Pattona w parku, u weterynarza i leżącego na kanapie, z wszystkimi trzema nogami wyciągniętymi do góry.

Któregoś ranka mój brat włożył granatowy garnitur i poślubił kobietę imieniem Abby. Uwielbia chodzić po górach i zaadoptował psa z roztrzaskaną miednicą, ratując go przed uśpieniem. Nazwał go Patton na cześć generała i bohatera wojennego. Ma też siostrę zamkniętą w szpitalu psychiatrycznym, która nie potrafi sobie przypomnieć, co spotkało jej córkę.

– Jesteś szczęściarzem – mówię.

Kiedy się uśmiecha, uświadamiam sobie, że w dorosłym życiu musiał nosić aparat na zęby. Słucham jego opowieści na temat żony, pracy, niedosypiania i spacerów z psem. W miejscu takim jak Creedmoor łatwo zapomnieć, że poza jego murami nadal istnieje normalny świat.

– Powinniśmy być ze sobą w kontakcie. Nie mam pojęcia, dlaczego go straciliśmy. – W jego głosie słychać zmęczenie, jakby przytłaczała go myśl o konsekwencjach.

– Pamiętam, że na początku do mnie dzwoniłeś – mówię i odwracam głowę, jakbym chciała odciążyć umysł, pójść dalej. – Chyba po prostu każde z nas żyło własnym życiem i zanim się obejrzelśmy, minęły lata. Poza tym często się przeprowadzałam.

Anthony bierze głęboki wdech i przez długą chwilę nie wypuszcza powietrza z płuc.

– Słyszałaś o Nell? – pyta w końcu. – Zmarła na tętniaka mózgu... prawie dwa lata temu.

– Nie, nic nie wiedziałam. – Nie potrafię określić, co czuję na wieść o śmierci Nell. Chyba nieszczególnie mnie to obeszło. – Jak się dowiedziałeś, że tu jestem?

Anthony spogląda na mnie zdziwionym wzrokiem.

– No co? – pytam i potrząsam głową. – Kto ci powiedział?

– Stello. – Anthony przekrzywia głowę w lewą stronę, tak jak wtedy gdy byliśmy dziećmi, a on zamierzał powiedzieć coś, co wolałby przemilczeć. – Ludzie wiedzą, że tu jesteś.

– Ludzie? – dziwię się.

– Macie tu internet? – pyta.

– Tak – odpowiadam i zaczynam się rozglądać dookoła, jakbyśmy właśnie postanowili przeskoczyć przez ogrodzenie i uciec. – Ale większość stron jest zablokowana. Nie mamy dostępu do wiadomości. – To niedopowiedzenie: w rzeczywistości możemy co najwyżej ułożyć pasjansa. Przesuwam palcem po okienku z reklamą. Kiedy trafiam na okno wyszukiwarki, wpisuję swoje imię i nazwisko.

– Nie, nie, nie – mówi Anthony, sięgając po telefon.

Kiedy odwracam się do niego plecami, opuszcza ręce, zrezygnowany. Pierwszy link odsyła mnie do pliku video. Widzę tylko czarny ekran z klepsydrą. Po chwili rozlega się wesół głos.

Cate: *Mówi Cate Trent ze stacji radiowej WGBK w Nowym Jorku. Witamy widzów i goszczącą dzisiaj w naszym studiu Lizę Overton, prowadzącą program Na tropie zbrodni. Dzień dobry, Lizo. Zacznę od cytatu z twojego wczorajszego programu: „Ludzie, ruszcie głowę, dzieci tak po prostu nie rozplývają się w powietrzu. Mamy do czynienia z dzieciobójczynią”. Czy to kolejny z twoich przesadnych komentarzy? Czy nie jest za wcześnie, by nazywać tę kobietę zabójczynią? A może próbujesz w ten sposób podnieść oglądalność swojego programu?*

Ekran wypełnia twarz wyfiokowanej kobiety z usztywnioną lakierem fryzurą i ustami pomalowanymi błyszczkiem. Obraz przez chwilę pozostaje nieruchomy, później ożywa. W jednej sekundzie rozpoznaję tę kobietę, chociaż nie pamiętam jej nazwiska. Prowadzi program w telewizji. Była adwokatka przemieniła się w prokuratorkę, a następnie w obrończynię praw ofiar i wreszcie w mściwą, wiecznie rozwścieczoną dziennikarkę telewizyjną.

Spoglądam na Anthony'ego. Odwraca wzrok; nagranie trwa.

Liza: *Dziękuję za zaproszenie Cate, cieszę się, że mogę wystąpić w twoim programie. Po pierwsze nikt nie wierzy w bajeczkę o uprowadzeniu. Znaczący prawa uważają, że okoliczności zniknięcia dziewczynki są co najmniej podejrzane. Pytań o to, co się stało z niemowlęciem, jest znacznie więcej niż odpowiedzi. Zaginięcia nie zgłoszono, dopóki matka nie została odnaleziona z poważnymi obrażeniami w samochodzie na północy stanu, około trzech godzin drogi od jej domu na nowojorskim Brooklynie. Jaka matka nie zawiadamia policji o zaginięciu własnego dziecka? Pozwól, że odpowiem na to pytanie: winna.*

Niemowlę. Matka. Poważne obrażenia. Północ stanu. Zaginięcie. Winna.

Cate: *Organy ścigania twierdzą, że zebrano niewiele dowodów, a według komendanta policji nic nie wskazuje na to, by rodzice mieli problemy związane z kwestią sprawowania opieki nad dzieckiem.*

Współpracują z policją, ale matka musi odpowiedzieć na szereg pytań, a tych pytań jest naprawdę dużo. Lizo, o czym twoim zdaniem świadczy fakt, że matka nie zgłosiła zaginięcia córki na policję?

Liza: No cóż, po pierwsze trudno mi zachować optymizm. Szczególnie martwi mnie zachowanie matki. Zgłoszenie przestępstwa po tak długim czasie to nie to samo, co krzyczenie o tym na całej gardło tuż po zniknięciu dziecka. Spójrzmy prawdzie w oczy, Cate. Postaram się ją naświetlić tobie i widzom.

Cate: Prosimy, Lizo.

Liza: Opowiem wam o dowodach, które zaprowadzą nas do zabójcy, bo o to przecież chodzi w tej sprawie. Dowód. Matka nie zgłasza zaginięcia swojej córki, co samo w sobie jest podejrzane, lecz to nie wszystko. Podobno nie zgłosiła się z nią na wizytę u lekarza. Dlaczego tego nie zrobiła? – pytam. Uważam, że przestępstwo zostało popełnione, jeszcze zanim nadszedł termin wizyty. Do tego dochodzi incydent w sklepie spożywczym. Jak podają moje źródła, matka przyszła do sklepu z zamiarem kupienia wody...

Cate: Tak dla wiadomości naszych widzów, taśmy z kamery przemysłowej zostały upublicznione w celu znalezienia dodatkowych świadków, którzy mogliby opowiedzieć o zachowaniu matki w dniach poprzedzających zniknięcie jej córki. Mów dalej, Lizo.

Liza: Dziękuję, że to wyjaśniłaś, Cate. A zatem matka udaje się do sklepu, żeby kupić wodę. Jednak zamiast za nią zapłacić, zostawia ją na ladzie! I to bez słowa wyjaśnienia. A wózek przykryty był kocymiem. Sprzedawca ani przez moment nie widział niemowlęcia. Jak to możliwe, żeby dziecko, ponoć męczzone kolkami, tak spokojnie spało w wózku? Tak więc matka udala, że kupuje wodę, ale tego nie zrobiła, żeby sprzedawca ją zapamiętał. Oto kolejny element jej szatańskiego planu wmówienia wszystkim, że dziecko jeszcze wtedy żyło. I nie jest to moje przypuszczenie, sprzedawca wypowiedział się publicznie. Poza tym w sklepie zamontowane są kamery, a więc istnieje nagranie. Niczego nie myślę. Wszystko to są twarde dowody, Cate.

Cate: Powiem ci, jak wyjaśnilby to adwokat. Gdybym była jej obrońcą, powiedziałabym, że po prostu zmieniła zdanie. To jeszcze nie zbrodnia, prawda? Może zapomniała torebki albo nie miała przy sobie pieniędzy? A co do wózka przykrytego kocymiem... Kiepska pogoda? Zbyt wiele ciekawskich oczu zaglądających do wózka? Może niemowlę spało? Istnieje wiele logicznych wyjaśnień. Zostawienie wody w sklepie to nie przestępstwo, Lizo, w żadnym razie.

Liza: Teraz ja odegram rolę prokuratora diabła, Cate. Wyjaśnij ci, dlaczego nie mam wątpliwości, że to ona jest przestępczynią. Nie zjawia się na wizycie, ponieważ dziecko jest już martwe! I wie o tym, bo sama je zabiła! A teraz musi pozbyć się ciała i panikuje, nie wie, co z nim zrobić. Podręcznikowy przypadek. Jeździ samochodem bez celu, jeździ i jeździ, aż w końcu ląduje na północy stanu. Właśnie wtedy postanawia znaleźć miejsce, w którym mogłaby porzucić tego niewinnego aniołka. W końcu zdobywa się na odwagę, żeby się zatrzymać, i mogę się założyć, że gdzieś pomiędzy jej domem a miejscem wypadku znajduje się maleńki grób w lesie, a w nim szczątki dziecka. Chociaż możliwe, że się zagalopowałam.

Cate: Co masz na myśli?

Liza: To, że ją przeceniłam. Być może wcale jej nie pochowała, tylko wrzuciła ciało do rzeki lub jeziora. Jestem gotowa zaryzykować stwierdzenie, że nigdy go nie odnajdziemy. A kilka dni wcześniej przyszła na posterunek policji, siedziała tam jak słup soli, zwymiotowała, po czym wyszła, do nikogo się nie odzywając. I znowu wszystko zarejestrowała kamera. Czy naprawdę macie wątpliwości, kto zabił dziecko? Bo ja nie!

Cate: Według niektórych źródeł, co prawda niepotwierdzonych, matka cierpi na amnezję. Doznała przecież poważnych obrażeń i nie było to samookaleczenie, mam rację? Ktoś mógłby stwierdzić, że ta kobieta jest ofiarą, nie wiemy przecież, co się stało, i musimy pamiętać o domniemaniu niewinności.

Liza: Po kolei. Zapytałaś mnie, co o tym sądzę. Oczywiście, że ma amnezję. Ty tak nie uważasz? Podobnie jak reszta ludzi? Litości! Jestem pewna, że to ona zabiła dziecko. Jeśli chodzi o obrażenia, to

o ile mi wiadomo, nie istnieją żadne dowody ani na samookaleczenie, ani na udział osób trzecich. Wiemy tylko, że mocno ucierpiała w wypadku. Wjechanie samochodem do wąwozu musiało pozostawić na jej ciele widoczne ślady.

Cate: Ale czy to przypadkiem nie media nastawiają opinię publiczną, skoro zgodnie z prawem oskarżony jest niewinny, dopóki nie udowodni mu się winy? Opinia publiczna, szczególnie w przypadku takim jak ten, kiedy chodzi o dziecko, przejawia głęboko zakorzoną nienawiść wobec sprawców. Ta sprawa aż kipi od emocji, więc czy nie powinniśmy się powstrzymać przed wyciąganiem pochopnych wniosków?

Liza: Wolalabym nie spekulować na temat tego, czego nie wiem, i skupić się na tym, co wiem. Jedno wiem na pewno: nie wierzę zapewnieniom matki, że cierpi na amnezję. Jakie to wygodne i praktyczne. „Nie mam pojęcia, co się stało” nie załatwi sprawy, kiedy w grę wchodzi zaginione dziecko. Niektóre matki usiłują oszukać policję. Odpowiedzcie sobie na pytanie, ile razy widzieliście matki opisujące we łzach wymyślonego porwacza, czarnoskórego lub zakapturzonego Latynosa w ciemnym ubraniu? Kradzież samochodu lub włamanie, w zależności od tego, co im wpadnie do głowy. Zajrzyjcie do akt, znajdziecie więcej niż jeden przypadek. Koniec końców dowiadujemy się, że to właśnie matki były zabójczyniami! Ale nie ona. Nie, drodzy państwo, ona po prostu straciła pamięć. Jednak wróćmy do faktów związanych ze sprawą, bo robi się coraz ciekawiej. Od osoby blisko związanej ze śledztwem wiemy o istnieniu dwóch świadków, którzy podobno widzieli matkę w dniu zaginięcia jej córki.

Cate: Ze szczególnym naciskiem na słowo „podobno”. Nie są to potwierdzone informacje, i właśnie w tym rzecz, Lizo. Czy nie posuwasz się zbyt daleko – tak jak reszta dziennikarzy – puszczając w eter serię niepotwierdzonych zarzutów?

Liza: Pozwól, że dokończę. Jak donoszą moje źródła, matka porzuciła dziecięcy fotelik na stercie śmieci na swojej ulicy. Jak pani to wyjaśni, pani adwokat?

Cate: Nie widzę potrzeby wyjaśniania niepotwierdzonych doniesień świadków, tak zwanych doniesień świadków, mogłabym dodać. I nie sądzę, żeby...

Liza: Jest świadek, który widział ją wręczającą walizkę bezdomnej kobiecie na ulicy, mniej więcej w czasie zniknięcia dziecka. Walizkę wystarczająco dużą, żeby zmieścić w niej niewielkie ciało. Czego jeszcze musimy się dowiedzieć? Piętrzą się dowody przeciwko niej. Co znajdowało się w walizce? Chyba wszyscy chcielibyśmy wiedzieć? Przede wszystkim jednak, gdzie teraz przebywa ta mamuśka z piekła rodem? Powiem ci gdzie. W przytulnym szpitalu psychiatrycznym. Jak to wyjaśnisz, Cate?

Cate: Zatrzymajmy się przy tym na chwilę. Ta kobieta ponoć cierpi na amnezję. Przeżyła okropny wypadek, co potwierdzają jej obrażenia. Nie pamięta, gdzie się podziela jej córka, jest leczona w szpitalu psychiatrycznym, a my...

Liza: Ona się po prostu ukrywa. Porządne matki i zatroskani obywatele tłoczą się przed budynkiem sądu, domagając się sprawiedliwości. Dlaczego ona nie siedzi w więzieniu? To oburzające!

Cate: Zamierzałam powiedzieć, że nie powinniśmy jeszcze ferować wyroków. Ktoś mógłby zauważyć, że podczas gdy ty publicznie ją osądzasz, ona usiłuje się dowiedzieć, co spotkało jej ukochaną córeczkę.

Liza: Jedną chwilę, Cate, to jeszcze nie wszystko. Sąsiad tej kobiety opowiedział o jej dziwnym zachowaniu. Nie chciała nikogo wpuścić do mieszkania, pozwalała, żeby dziecko płakało dniami i nocami, a nawet zostawiła ją w samochodzie bez opieki. Czy tak postępuje troskliwa matka? Wszystkie te fakty ujrzą światło dzienne podczas procesu. Nie wiem, czy jej adwokat zdola je wyjaśnić.

Cate: Ależ Lizo, niemowlęta płaczą! I to niezależnie od pory dnia czy nocy. A ona mieszkała sama, jej mąż pracował w innym mieście. Na jej miejscu też uważalabym na to, kogo wypuszczam do domu. Czy którąkolwiek z nas można nazwać idealną matką? Chcę tylko powiedzieć, że media odgrywają istotną rolę w kształtowaniu opinii publicznej na temat oskarżonej, która pozostanie niewinna, dopóki nie udowodni się jej winy.

Liza: Nawet jeśli nie wierzysz moim słowom, bądź ze sobą szczerą: fakty mówią same za siebie. Ta kobieta zbyt długo zwlekała ze zgłoszeniem zaginięcia na policję, a właściwie zrobiła to dopiero wtedy, gdy znalazła i przesłuchała ją policja. Coś tu nie gra. To kwestia zdrowego rozsądku, nie wrożenia z fusów.

Cate: Ale czy dziennikarze mają prawo nazywać ją „mamušką z amnezją”? Czy w tej sytuacji może ona liczyć na uczciwy proces?

Liza: Przecież to jej własne słowa. Twierdzi, że ma amnezję, więc ten opis do niej pasuje, nie sądzisz? Ja tylko mówię na głos to, o czym myśli dziewięćdziesiąt procent społeczeństwa. A jeśli chodzi o uczciwy proces, przeniesienie go w inne miejsce to popularna praktyka. Osobiście nie mogę się doczekać, kiedy ta kobieta stanie przed sądem. Nie byłabym zdziwiona, gdyby przyznała się do winy jeszcze przed rozpoczęciem procesu.

Cate: No nie wiem. Mam nadzieję, że ludzie sami wyciągną wnioski, czy może raczej powstrzymają się od nich, dopóki nie pojawi się jednoznaczny dowód winy tej kobiety. Mam również nadzieję, że ława przysięgłych będzie bezstronna i złożona z przedstawicieli różnych grup społecznych, tak jak wymaga tego prawo. Dziękuję za udział w programie, Lizo. Jak zwykle miałaś cięty język. Po krótkiej przerwie na reklamę zapraszamy na serwis wiadomości.

Nagranie kończy się obrazem zastygłego grymasu twarzy prowadzącej. Linków do filmów jest więcej, ale ja klikam w zakładkę z grafiką. Widzę zdjęcia moje i Mii. Logo stacji telewizyjnych. Rozpoznaję ulicę North Dandry. Jestem wszędzie: w każdym salonie, pralni, siłowni i rozgłośni radiowej. W każdym gabinecie lekarskim i salonie samochodowym. Na stronach pojawiają się zdjęcia kobiet, których nigdy nie widziałam, wpatrujących się pustym wzrokiem w obiektyw aparatu. Są to zdjęcia policyjne, kobiety mają na sobie pomarańczowe więzienne podkoszulki. Niektóre trzymają tabliczki z nazwiskiem, numerem i nazwą wydziału policji.

– Mamuška z amnezją – mówię, powstrzymując się od płaczu. Zostałam zredukowana do matki, która straciła pamięć, opiekunki, która skrzywdziła własną córkę. – Nie miałam pojęcia.

– Tak mi przykro, Stello. – Oczy Anthony'ego ciemnieją, zbierają się w nich łzy, lecz po chwili mój brat gniewnie zaciska powieki. – To tylko medialna dziwka, wszyscy o tym wiedzą. – Chowa telefon do kieszeni. – Przepraszam, powinienem był ci go zabrać. Każdy psycholog i psychiatra wtrąca swoje trzy grosze, każdy ma coś do powiedzenia i nagle wszyscy stali się ekspertami w twojej sprawie. Dziennikarze wydzwaniali do mnie całymi tygodniami. Nikogo nie interesują fakty. Ci ludzie są niezmordowani i większość z tego, co mówią, nie ma nic wspólnego z prawdą. Ludzie to wiedzą, Stello. – Zawiesza głos. – Zapytali mnie, czy uważam, że to zrobiłaś – dodaje.

Chcę go zapytać: „I co im powiedziałaś?”, lecz tego nie robię. „Oczywiście że nie”, odparłby gładko. Tak gładko, że domyśliłabym się, że zastanawiał się nad tym wcześniej i przygotował sobie tę odpowiedź.

Anthony przygląda mi się przez chwilę, po czym wzdryga się, jakby odpychał od siebie niewygodną myśl.

– Nell powiedziała mi przed śmiercią, że po swoim wyjeździe ani razu do niej nie zadzwoniłaś.

– Nigdy nie zapomniałam, jak włożyła na pogrzeb mamy jej broszkę i sukienkę. Kto inny włożyłby ubranie należące do zmarłej siostry w dniu jej pogrzebu?

Anthony kręci głową.

– Broszkę pamiętam, ale wydaje mi się, że należała do Nell. Mama pożyczyła ją od niej i nigdy nie zwróciła. Nie pamiętam szczegółów, ale sukienka... Sam nie wiem, Stello, Nell była o ładnych parę centymetrów wyższa i dziesięć kilogramów cięższa od mamy. Raczej nie wcisnęłaby się w jej sukienkę.

Czuję pulsujący we mnie gniew.

– Ja pamiętam. Chcesz powiedzieć, że to zmyśliłam?

– Tego nie twierdzą, po prostu inaczej to zapamiętałaś.

– Zostawiłeś mnie, Anthony. Koniec kropka.

– Nie mogłem się tobą zaopiekować. Miałem osiemnaście lat. Byłem dzieckiem. Nie potrafiłbym cię wychować. Kocham cię, Stello, ale musiałem wyjechać.

– Było mi tak ciężko. Wszystko straciłam. Byłam sama. Ja...

– Oboje straciliśmy, Stello. Spotkało nas nieszczęście, ale co miałem zrobić? To spotkało nas oboje... Wypadek, śmierć rodziców i naszej siostry. Oboje ucierpieliśmy, nie tylko ty. Los nie wybiera. Obojgu nam nie było łatwo.

– Potrzebowałam cię, Anthony.

– Wiem i powinienem być z tobą zostać. Byłem dzieckiem. Żałuję, że nie mogę cofnąć czasu.

Już sama nie wiem, co myśleć. Czy oczekiwałam od niego zbyt wiele, czy to on dał z siebie za mało? Niczego już nie jestem pewna. Od tak dawna wierzyłam w różne rzeczy. Trudno nagle uwierzyć w coś zupełnie innego. Może Anthony ma rację. Może zastanawianie się nad tym, co by było gdyby, to strata czasu? Droga prowadząca donikąd? Los nie wybiera, bierzemy to, co nam daje.

– Przywiozłem ci coś – mówi, wsuwa rękę do kieszeni płaszcza i wyciąga z niej sfatygowaną książkę.

Natychmiast ją sobie przypominam. Obsesyjnie czytałam tę książkę w dzieciństwie, prosząc Anthony'ego o wyjaśnienie słów, których nie znałam. W końcu dotarło do mnie, że te słowa nic nie znaczyły, zostały wymyślone, żeby opisać fantastyczny świat na nieistniejącym kontynencie. Tytuł i okładka zatarły mi się w pamięci, ale wiedziałam, że książka opowiadała o dziewczynce kieszonkowcu.

– Pamiętasz ją? – pyta Anthony.

Tęsknię nie tyle za samą książką, ile za znajomym przedmiotem z dzieciństwa. Patrząc na nią, czuję się tak, jakbym widziała znajomą osobę, której nazwiska nie umiem sobie przypomnieć. Czytam tytuł: *365 najzabawniejszych kawałów w historii ludzkości*. Przewracam kartki. Są w niej żarty, zagadki i zabawne anegdotki. Widzę rysunki przedstawiające słonie siedzące na małych krzesłkach, mężczyźni w perukach i fartuszkach, przebranych za kobiety, szczeniaki ściągające pieluszki z niemowląt i kota przebijającego się przez mur. Ot, śmieszne dziecięce obrazki.

– Kupiłem ci tę książkę, kiedy miałaś dziewięć lat. Zawsze byłaś smutasem i chciałem cię rozweselić. Znałem wszystkie te kawały na pamięć, co do jednego, ale nie potrafiłem cię rozśmieszyć. Nawet opowiadając najzabawniejszy dowcip.

Czuję się tak, jakbym go zawiodła, i wtedy, i teraz.

– Przez cały rok każdego dnia czytałem ci jeden kawał. Zwijalem się na podłodze ze śmiechu, a ty nawet się nie uśmiechnęłaś. Pamiętasz?

Kręcę głową. Miałam dziewięć lat, powinnam to pamiętać. Patrę na niego, w oczach wzbierają mi łzy.

– Puk, puk – mówi Anthony łagodnym głosem. Kiedy nic nie odpowiadam, powtarza: – Puk, puk. – Patrzy na mnie z wyczekiwaniem.

– Anthony...

– Puk, puk.

– Anthony, przestań.

– Puk, puk.

– Anthony, to nie było śmieszne ani wtedy, ani teraz.

– Spróbuj Stello, tylko ten jeden raz.

Zamykam oczy i próbuję sobie wyobrazić coś innego, ale mi się nie udaje. Poddaję się, ponieważ wiem, że on tego nie zrobi.

– Kto tam? – pytam.

– Hipopotam.

Uśmiecham się przez łzy.

– W końcu zadziało. Nie płacz, Stello – dodaje po chwili. – Wszystko się ułoży.

– Jasne – mówię, chociaż wiem, że nic się nie ułoży.

Anthony ma żonę, psa, własne życie. Ja mam swoje życie, tu, w szpitalu. Jestem mamuszką z amnezją, tematem wieczornych wiadomości. Matki w całym kraju są oburzone. Dla wszystkich jestem winna.

*

Gdy tego samego wieczoru przeglądam książkę, dociera do mnie ledwie wyczuwalna woń migdałów i zalewa mnie fala wspomnień z odległej przeszłości. Kiedy byłam małą dziewczynką, podciągałam nogi i zatapiałam się w skórzanym pikowanym fotelu w gabinecie ojca. Nie wiem, czy tata był świadomy mojej obecności; siedział zaczytany w kontraktach, prawie budowlanym lub przepisach dotyczących konserwacji budynków. Ja zaś czytałam swoją ulubioną książkę, *Królewskiego złodzieja*, powieść fantasy o prawdomównym złodzieju i błażnie króla posiadającym zdolność zmieniania uczciwych ludzi w kłamców. Występowali w niej przekupni słudzy, niegodziwy władca i strażnicy czuwający nad tym, żeby w królestwie nie doszło do buntu. Chociaż czytałam tę książkę dziesiątki razy, kiepsko pamiętam fabułę. Pamiętam za to, niemal z najdrobniejszymi szczegółami, mapę – drewniane chatki, czarną wstążkę rzeki odgradzającą przeludnioną wioskę od rozległych włości władcy. Pasma górskie ciągnące się za zamkiem i oddzielające tereny nizinne od wzgórz, pośród których król urządzał sobie polowania. Wioskę otaczał żywopłot sąsiadujący z iglastym lasem. Wystarczyło uważnie się przyjrzeć, żeby dostrzec wilki kryjące się wśród krzaków i poskręcanych roślin pod drzewami. Róża wiatrów na mapie zamiast czterech stron świata pokazywała żywy.

Nagle czuję zawroty głowy i zasycha mi w gardle. Dopada mnie wspomnienie innej mapy, którą kupiłam w kiosku. Zamykam oczy i przenoszę się myślami do tamtej chwili.

Obrazy piętrzą się w mojej głowie jak sterta liści. Gazety, kolorowe czasopisma. Papierosy, słodycze, kwiaty. Automat z napojami. Brzęk monet wrzucanych przez mężczyznę w turbanie do popielniczki stojącej na egzemplarzach „New York Timesa”.

Następnego dnia podczas sesji kulę się na kanapie w gabinecie doktora Ariego z poduszką wsuniętą pod ramię. Leżąca przed nami teczka nie kryje już więcej sekretów. Układankę muszę dokończyć sama.

– Wczoraj w nocy coś sobie przypomniałam – mówię.

Doktor Ari siedzi w milczeniu, ze splecionymi palcami, opierając się łokciami o biurko.

– Czy jest tam mapa? – pytam, wskazując na teczkę.

Doktor Ari wyciąga z teczki gruby, wielokrotnie złożony arkusz papieru, którego brzegi są pozaginane i wymiętoszone jak w ulubionej książeczce z dzieciństwa. Przesuwa ją po szklanej powierzchni biurka w moim kierunku i wciska guzik cyfrowego dyktafonu.

Czas wsiąść do windy i zjechać na dół. Zjeżdżam na pierwsze piętro i natychmiast ogarnia mnie spokój. Sięgam po mapę. Pocieram ją kciukiem i palcem wskazującym, czuję pod palcami gruby papier, tajemnicze origami złożień i zagniecia, które łatwo rozłożyć, za to trudniej nadać mu poprzednią formę. Zjeżdżam windą jeszcze niżej.

Słyszę głośny trzeszczący dźwięk, który przybiera na sile, aż zaczyna mi dzwonić w uszach. Słyszałam go już wcześniej. Coś we mnie pęka, czuję benzynę, metal i proch.

Otwieram oczy i spoglądam na doktora Ariego. Wszystko wokół mnie zaczyna buceć, a po chwili milknie, jakbym znalazła się pod wodą. Usta doktora Ariego poruszają się, lecz nie słyszę żadnych słów. Świat wokół mnie staje się czarno-biały, dopełniając wrażenia niemego filmu.

Drogi, światła uliczne. Deszcz, ciemność. Północny Nowy Jork. Punkt na mapie. Dover.

Rozdział 20

Dover w stanie Nowy Jork. Dziewięć tysięcy mieszkańców na stu czterdziestu pięciu kilometrach kwadratowych powierzchni. Żadnych autostrad i tylko dwie arterie. Rozproszone wioski i skupiska ludności zbyt małe, żeby uznać je za oddzielne wsie, których mieszkańcy przypominali wrośnięte w krajobraz dęby, gruzłowate i chropowate, chwiejące się na wietrze. Mieszkali tu tylko ci, którzy urodzili się w Dover albo chcieli zniknąć. Jadąc trasą 434 w kierunku domu Anny Lieberman, minęłam kilometry gęstego lasu, który niespodziewanie ustąpił otwartym polom usianym stodołami. Czerwone niegdyś budynki chyliły się ku ziemi, opuszczone, wypływało do szarości i gotowe się poddać naturze.

Main Street w Dover przypominała wiele innych głównych ulic na północy stanu Nowy Jork. Droga bez białych linii pośrodku biegła przez pagórkowaty teren z drewnianymi domkami. Sprawiała wrażenie, że nadwątlił ją nie tyle ruch kołowy, ile czas. Pęknięcia w betonie wiły się jak ślady ślimaków. Niektóre z nich zalano czarną smołą. Innymi nikt się nie zajął, stawały się więc coraz dłuższe i głębsze. Na wąskich chodnikach, pokancerowanych korzeniami drzew stały słupy energetyczne w kształcie litery T. Przewody ciągnęły się od jednego słupa do drugiego. Owe słupy były upiornymi świadkami parady odwołanej dziesięć lat temu. Domy z przeciekającymi dachami otaczała siatka. Artretyczne psy uwiązano na łańcuchach.

Ostatni znany adres Anny Lieberman znajdował się przy drodze numer 22. Anna i David pochodzili z Dover, lecz farma, na której się wychowali, spłonęła w roku 1982 i była położona tak blisko Oniontown, że równie dobrze mogli pochodzić stamtąd. Oniontown, leżące w Hudson Valey, wbrew nazwie nie było miasteczkiem, tylko zbiorowiskiem zaniedbanych przyczep i podupadłych farm.

Kiedy dotarłam do domu Anny, po ulicy niósł się dźwięk rąbania drewna i uruchamianego co chwilę silnika śmieciarki. Wolno minęłam Waterway Circle 126, przyglądając się domowi i podwórku. Ogródek Anny na tyłach domu otaczały dwumetrowe zjaśniałe od słońca słupy.

Pierwszym słowem, które przyszło mi na myśl, było „zapuszczony”. Skrajny z szeregu sześciu domów stojących w ślepej uliczce, dom z numerem 126 sprawiał wrażenie zaniedbanego, lecz zamieszkanego. Całej okolicy niewiele brakowało, żeby zyskać miano ruderowni. Przed domem stojącym po lewej stronie od domu Anny wisiał przekrzywiony napis „Na sprzedaż”.

Zaparkowałam samochód przy głównej ulicy zamiast przed domem, wysiadłam, minęłam dom i szłam dalej krzywym chodnikiem. Wysiliłam wzrok, żeby odczytać napis na tablicy przed numerem 128, i wyjęłam z torebki telefon. Bateria była naładowana zaledwie w pięciu procentach i nie zamierzałam ich zużywać na lipną rozmowę w sprawie kupna domu. Schowałam telefon do torebki.

Odwróciłam się i ruszyłam kamienistym podjazdem Anny. Chwasty pokrywające kamienie tłumiły każdy mój krok. Stary chevrolet caprice z kołpakami nie od kompletu stał pod zadaszeniem częściowo przykrytym niebieskim brezentem. Płot oblaził z farby, betonowe słupki były popękane, co zwalniało je z obowiązku podtrzymywania ogrodzenia we właściwej pozycji. Niektóre jego fragmenty stały prosto, inne były poprzecyłane, a jedna część leżała na ziemi. Zaniedbany ogródek porastały wysokie do kolan chwasty. Krzewy sprawiały wrażenie zwiędłych, ich martwe liście były poskrecane, zaś obnażone korzenie wystawione na działanie warunków atmosferycznych.

Nad pustymi krzesłami na werandzie zwisały wietrzne dzwonki. Żałośnie postukiwały o siebie, zawieszona na ledwie utrzymujących ich ciężar sznurkach. Brakujące metalowe rurki zastąpiono powyginanymi widelcami. Smętny czarny dach załatano brązowymi gontami.

Ganek prezentował się jeszcze mizerniej niż dach. Z dwóch skrzynek sklecono prowizoryczny stół i ustawiono przy nim dwa składane krzesła, które wyglądały, jakby skradziono je z jakiejś recepcji. Obłaząca z nich złota farba przywodziła na myśl wspomnienie wesela z dawnych lat.

Wzięłam kilka głębokich wdechów, ale nie udało mi się uspokoić drżących rąk. W torebce ciążył mi naładowany rewolwer, który zabrałam ze sobą bardziej jako amulet niż narzędzie, którego mogłabym użyć. Nigdy w życiu nie strzelałam, nawet nie miałam broni w rękę, dopóki nie znalazłam rewolweru w garderobie Jacka. Był to dziewięciomilimetrowy Taurus 905, cokolwiek to znaczyło. Obecność broni w torebce dodatkowo wytrącała mnie z równowagi, a informacje, jak z niej korzystać, które zebrałam, kłębiły mi się w głowie: odbezpieczyć, przytrzymać kciukiem kurek, nacisnąć spust i opuścić kurek. Przez całe popołudnie przeglądałam w internecie strony poświęcone budowie broni i korzystaniu z niej, ale miałam przecucie, że kiedy przyjdzie co do czego, i tak nie będę wiedziała, co z nią zrobić.

Kiedy zastukałam do obłazących z farby drzwi, w domu rozległo się głucho dudnienie. Czekałam całą wieczność, aż wreszcie w drzwiach ukazała się drobna kobieta – jak na obrazie holenderskiego malarza – z koszem pełnym warzyw: marchewek ze zwiędłymi liśćmi i białych bulwiastych rzep, które zdążyły zsinieć. W koszu znajdowało się jeszcze jakieś zielone liściaste warzywo, którego nie potrafiłam zidentyfikować, być może szpinak albo botwina.

Natychmiast ją rozpoznałam. Anna Lieberman związała rude włosy w węzeł na karku. Część włosów wysunęła się z niego, nadając fryzurze nieporządną wykładkę. Sprawiała wrażenie krępkiej, gdy tak trzymała kosz z warzywami, zdolna wycisnąć z gleby życie. Miała pobrudzone błotem dłonie i brud za paznokciami. Podniosłam wzrok znad kosza i nasze spojrzenia się spotkały.

– Tak? – zapytała, przyglądając mi się z wyraźną zadyszka.

– Nie chciałam przeszkadzać, ale... mam do pani pytanie. – Przelknęłam ślinę i posłałam jej wymuszony uśmiech. – Ja... bardzo przepraszam, chyba w czymś pani przeszkodziłam...

Przyglądała włosy za uszami, po czym znieruchomiała, jakby dalsze poprawianie fryzury nie miało sensu. Odsoniła w uśmiechu krzywe białe zęby. Odstawiła kosz na stolik w korytarzu. Leżała na nim pokazana sterta katalogów. Błyszcząca okładka tego na samej górze przedstawiała grecką wyspę, sądząc po białych domach z niebieskimi dachami i lazurowym morzu w tle. Próg przykrywał lichy dywan z postrzępionymi brzegami. Anna nie miała na nogach butów.

– Pracowałam w ogrodzie na tyłach domu i nie byłam pewna, czy ktoś pukał. W czym mogę pomóc? – Ogarnęła mnie spojrzeniem od stóp do głów.

– Chciałabym zapytać o tamten dom. – Cofnęłam się o krok i wskazałam na sąsiedni biały domek, przed którym ustawiono tabliczkę z napisem „Na sprzedaż”.

Wyglądała na zdziwioną, jakby nie zdawała sobie sprawy, że jej sąsiedzi sprzedają dom, albo była zaskoczona tym, że ktoś mógłby chcieć go kupić.

– Niewiele wiem na jego temat. Może powinna pani zadzwonić pod podany numer i umówić się na oglądanie? – zasugerowała.

– A co z okolicą, szkołami? Czy tu jest bezpiecznie? Zdarzają się włamania? Agenci nieruchomości nigdy nie mówią prawdy. – Ostatnie zdanie dodałam po to, by wiedziała, że zależy mi na jej opinii.

– Nie znam się na tutejszych szkołach. Nie utrzymuję kontaktów z sąsiadami i nie czytam lokalnej prasy. – Stała z ubrudzonymi ziemią dłońmi niczym chirurg szykujący się do pierwszego cięcia. – Muszę umyć ręce. Chce pani wejść?

– Dziękuję. Kupno domu to poważna inwestycja. Chcę się tylko upewnić, że wybiorę ten właściwy.

Cofnęła się, a ja weszłam do domu Anny Lieberman. Dywan w korytarzu okazał się kwadratowym kawalkiem wykładziny tarasowej. Podłoga z desek skrzypiała pod stopami.

Dom był stary i wysłużony i nawet w ten ciepły jesienny dzień panował w nim przeciąg. Na wprost od wejścia znajdował się salon, a po lewej stronie drugi korytarz. Z kuchni, na prawo od salonu, wychodziło się do ogródka na tyłach domu. Śmierdziało pleśnią i zawilgotniałymi dywanami, środkiem do pielęgnacji mebli i lizolem. W salonie stała podniszczona kanapa, na której leżały przyklapnięte poduszki, a przed nią przekrzywiony stolik. Na stoliku i kanapie leżały niezliczone magazyny podróźnicze z błyszczącymi okładkami. Niektóre były podarte, inne nosiły ślady po odstawianiu mokrych szklanek. Chodniki trzeszczały pod stopami, jakby były ze słomy. Każdy mebel pochodził z innej parafii. Był to dom kobiety, która umeblowała go starociami z drugiej ręki, koślawymi i zużytymi, bliskimi wylądowania na śmietniku. Był jednak czysty na tyle, na ile można doprowadzić do czystości stary dom. Kolory zdawały się przytłumione, wyblakłe, nie licząc okładek magazynów podróźniczych.

Anna Lieberman zaprowadziła mnie korytarzem do kuchni, gdzie wskazała mi stojące przy stole krzesło. Odkręciła wodę i energicznie nacisnęła dozownik pojemnika z mydłem. Mydło nie zdołało rozpuścić błota, więc umyła ręce dwa razy, ale nadal nie wyglądała na zadowoloną. Wyciskając trzecią porcję mydła, zapytała:

– Właśnie miałam nastawić wodę. Napije się pani herbaty?

– Nie chcę robić kłopotu – odparłam. – Jest pani bardzo miła. – Położyłam dłonie na kolanach i splotłam palce, żeby przestały drżeć.

– A więc herbata.

Otworzyła szafkę i sięgnęła po dwa wyszczerbione kubki. Włączyła kuchenkę i wyjęła dwie torebki herbaty ze stojącego na blacie pojemnika. Wrzuciła torebki do kubków i usiadła naprzeciwko mnie, po drugiej stronie kuchennego stołu. Anna Lieberman sprawiała wrażenie sympatycznej i otwartej, więc nagle ogarnęły mnie wyrzuty sumienia, że ją oszukuję.

– Wychowałam się w tej okolicy i dlatego chciałabym tu kupić dom – powiedziałam. Zaskoczyła mnie własna pomysłowość. Z moich ust wypływało jedno wiarygodne kłamstwo za drugim. – W zasadzie pochodzę z Poughkeepsie – dodałam, obejmując dłońmi pusty kubek, żeby ukryć ich drżenie. Widziałam przy drodze znak i zapamiętałam nazwę miasteczka na zachód od Dover. – Naprawdę mi się tu podoba. – Mój umysł pracował na zwiększonych obrotach. Nie chciałam, żeby nasza rozmowa utkwiała w martwym punkcie, ale nie potrafiłam nic wymyślić. Cisza przedłużała się i stała coraz bardziej krepującą.

Na dźwięk gwizdającego czajnika Anna nieznacznie drgnęła. Wstała i załapała torebki wrzątkiem, który przybrał kolor koniaku. Dotarła do mnie fala owocowego aromatu. Kiedy szuflada z drewnianą gałką nie chciała się otworzyć, Anna poruszyła nią w lewo i w prawo, po czym znów gwałtownie szarpnęła. Otworzyła szufladę i wyjęła z niej łyżeczkę, odwracając się w moją stronę.

– Poughkeepsie? – powtórzyła, kiwając głową. – To niedaleko stąd. – Popatrzyła na łyżeczkę, która wydawała się małeńka jak dla dziecka. Była nowa i błyszcząca, z gumową główką w kolorze lawendy, i jakoś nie pasowała do tego miejsca.

– Mniej więcej trzydzieści kilometrów na północ – powiedziałam, usiłując odepchnąć od siebie obraz innej łyżeczki, który zrodził się w moim umyśle. łyżeczki – czy to możliwe, żebym trzymała ją w ręce ledwie kilka dni temu? – należącej do Mii. Gumowa główka barwy lawendy zmieniała kolor na biały, kiedy jedzenie było za gorące.

Spojrzałam na tylne drzwi, a później znowu na łyżeczkę w dłoni Anny. Trzymała teraz zwyczajną, metalową, która w niczym nie przypominała tej sprzed kilku chwil.

Kobieta odstawiła czajnik na kuchenkę i kiedy szukała w szafce cukru, uważniej rozejrzałam się po kuchni. Szafki były stare i zniszczone, widniały na nich zadrapania i rysy. Stół i krzesła były stare i rozchwiane. Szafka, w której brakowało szyby, została przemalowana na inny kolor. Warstwa farby, maślanożółtej z delikatnie zielonym odcieniem, była tak gruba, że drewno zdawało się pod nią dusić.

Płytki PCV na podłodze wybrzuszyły się i wydawały pod stopami trzeszczący dźwięk. Lodówka i Kuchenka sprawiały wrażenie przedpotopowych.

Blaty kuchenne były zastawione pustymi doniczkami, torebkami nasion i słojami na ciastka pełnymi szpargałów. Pod doniczkami i torebkami leżały wyrwane z czasopism kolorowe zdjęcia plaż i hoteli, jakbym przeskodziła Annie w sadzeniu, przesadzaniu i pielieniu roślin właśnie tam, w kuchni. – Ma pani dzieci? – zapytała, wodząc palcem wzdłuż krawędzi kubka.

To pytanie mnie zaskoczyło. Podczas gdy ona sprawdzała, czy jej dłonie są wreszcie czyste, przyjrzałam się jej nędznej kwiecistej bluzce i spódnicy. Kolory co prawda wypływały, ale bluzka była czysta i uprasowana.

– Jedno. Córkę.

Dziwnie było opowiadać o Mii w taki sposób, jakby przebywała bezpiecznie w domu z ojcem lub opiekunką. Co ja tu w ogóle robiłam? Co spodziewałam się znaleźć? Liebermana tu nie było, jego siostra sprawiała wrażenie spokojnej kobiety mieszkającej w zaniedbanym domu, w którym hulają przeciągi, opiekującej się ogródkiem. Co gorsza nie miałam pojęcia, jak nakierować rozmowę na temat jej brata i mojego zaginionego dziecka.

Anna wyciągnęła torebkę herbaty z parującego kubka i bez mrugnięcia okiem wycisnęła ją aż do ostatniej kropelki płynu. Podniosła się z krzesła i nacisnęła pedał kosza ze śmieciami, po czym wyrzuciła torebkę.

Niespodziewanie uderzyła mnie fala przykrego zapachu. Odór był ciężki i złowieszczy, przyprowadzający o mdłości, wnikał w każdy por mojej skóry, chociaż wydawał się też słodki, z nutką czegoś ozywczego, być może cytryny, ale nie tak świeży, bardziej chemiczny, przypominający woń potpourri. Miał w sobie coś... znajomego, przywoływał wspomnienie zalegających w dzieciennym pokoju pieluszek, na widok których Jack kręcił głowę z dezaprobatą.

– Nawóz – wyjaśniła Anna, zdejmując stopę z pedału. Zamknęła pokrywę i położyła na niej rękę, jakby chciała zatrzymać smród w środku. – Paskudny, co?

– Pachnie jak brudne pieluchy – odparłam. Widziałam już dziecięcą łyżeczkę, a teraz jeszcze poczułam zapach pieluch? Ogarniało mnie coraz większe zdenerwowanie, niedługo na moim ubraniu pojawią się plamy potu.

– Chciała się pani dowiedzieć czegoś więcej na temat okolicy... – Anna zawiesiła głos. Od czasu do czasu milkła i przekrzywiła głowę, jakby usiłowała pochwycić dobiegającą z oddali melodię. – Pomyślmy. Na końcu drogi jest park... – Pozwoliłam jej mówić i uśmiechałam się za każdym razem, kiedy na mnie spoglądała.

Nie była już przeciętną dziewczynką z kręconymi włosami, którą pamiętałam ze zdjęcia w artykule z 1982 roku. Kiedy tak siedziała naprzeciwko mnie, różnica pomiędzy tamtym dzieckiem a dorosłą kobietą była bardzo wyraźna: twarz jej się wydłużyła, zaś sylwetka wysmukłała, stała się niemal anielska.

Chciałam wiedzieć, gdzie się podział jej brat i czy byłby zdolny do tego, o co go podejrzewałam. Chciałam usłyszeć historię pożaru, jej rodziny, brata, czegokolwiek, co wyjaśniłoby jego zachowanie. Czy to możliwe, bym znowu zбочyła na manowce? Zaczęłam od myśli: „Szkoda, że nie mogę porozmawiać z jego siostrą”, a skończyłam na picciu herbaty w jej kuchni?

– Pewnie spędza pani dużo czasu w ogrodzie – zauważyłam. – Hoduje pani tylko warzywa czy również kwiaty? – Spojrzałam na pływającą w moim kubku torebkę z herbatą i sięgnęłam po cukier.

– Wszystkiego po trochu – odparła Anna, przesuwając w moją stronę cukiernicę. Jej dłoń, pozbawiona warstwy błota i brudu, sprawiała wrażenie zdeformowanej, jakby dotkniętej artretyzmem. Wnętrze pokrywały blizny, które musiały utrudniać pracę mięśniom i ścięgnom i upośledzać ruchy palców.

– Nie chciałam pani sprawiać kłopotu. Przejeżdżając, zauważyłam dom na sprzedaż, a planuję wydać część pieniędzy z ubezpieczenia za mój dom w Pughkeepsie na zakup domu w Dover. – Słowa

plynęły z moich ust, jakbym była w transie. Usiłowałam wymazać z pamięci niemowlęce łyżeczki i przykre zapachy. Musiałam się skoncentrować. – Nie są to wielkie pieniądze, poza tym część z nich i tak muszę przeznaczyć na umeblowanie i wyposażenie. Wszystko, co miałam – zawieszam głos, żeby zwiększyć dramatyzm swojej opowieści – spłonęło w pożarze. Zostałam z niczym. – Zwiesiłam głowę, po części dlatego, by wypaść bardziej wiarygodnie w roli ofiary, a po części z obawy przed tym, że nie najlepiej kłamię.

Anna nic nie powiedziała. Zerknęłam na nią, żeby sprawdzić, jakie wrażenie zrobiła na niej ta historia. Jej oczy pociemniały, a moje słowa spoczywały między nami jak kostki cukru w wyszczerbionej cukiernicy. Zamieszała herbatę, kurczowo ściskając łyżeczkę.

Byłam niezła. Zaskoczyło mnie to. Nie sądziłam, że będę potrafiła się dostać najpierw do jej domu, a później do kuchni. Okazało się to łatwe, wprost zadziwiająco łatwe. Chciałam, żeby łagodnie cofnęła się pamięcią do przeszłości i wróciła z gotową opowieścią o pożarze z 1982 roku i swoim bracie, Davidzie Liebermanie. A później przejdziemy do tematu jej brata – porywacza niemowląt.

– W pożarze? Pani dom się spalił? – zapytała łamiącym się głosem, wierząc się na krześle. Wrzuciła łyżeczkę z powrotem do kubka z głośnym brzdęknięciem. – Przykro mi to słyszeć. Czy ktoś ucierpiał? – Jej oczy były wielkie, źrenice ciemne. Schowała dłonie pod stołem.

– Nie, doszło do zwykłego spięcia, zawinił wadliwy kabel. Nie było mnie w domu, kiedy to się stało.

Następne pytanie, które planowałam zadać, brzmiało: „A więc mieszka pani sama?”. Kolejne: „Ma pani rodzinę?”. Potem: „Brat? Niech mi pani o nim opowie”. I wreszcie: „Muszę coś pani powiedzieć. Proszę mnie uważnie wysłuchać. Chodzi o pani brata...”.

Nagle Anna przekrzywiła głowę i wstała, jakby coś usłyszała, jakby jakiś dźwięk, niesłyszalny dla mnie, rozdzielał ją od środka. Dobiegło mnie cichuteńkie kwilenie, jak niemowlęcia, które lada moment się obudzi.

Widziałam, nie, wyobraziłam sobie Annę trzymającą w ręku niemowlęcą łyżeczkę, a później poczułam zapach pieluch. Torby z nawozem wyraźnie dowodziły, że Anna zajmowała się ogrodem, a więc czułam zapachy, których nie było. A teraz usłyszałam dziecięce kwilenie. Bałam się tego, co jeszcze mogę sobie wyobrazić. Zrobiło mi się gorąco, na czole zaczął się perlić pot. W ciągu kilku sekund pokryło się nim całe moje ciało.

– Lepiej już pójdę – powiedziała i wstałam na drżących nogach. – Umówię się z kimś na oglądanie domu. Była pani bardzo miła, dziękuję za herbatę. – Mocniej zacisnęłam palce na torebce.

Anna wstała i odprowadziła mnie do frontowych drzwi. Sięgnęłam w stronę kłamki.

– Proszę zaczekać! – Na dźwięk jej głosu odwróciłam się i zatrzymałam. – Ja nazywam się Anna Lieberman. Nie dosłyszałam pani nazwiska.

Nic o mnie nie wiedziała, więc jakie to miało znaczenie?

– Estelle. Estelle Paradise.

Odwróciłam się z powrotem w kierunku drzwi i ponownie wyciągnęłam rękę w stronę kłamki. Anna minęła mnie i zagroziła mi drogę do drzwi.

– Nie przyjechałaś tutaj w sprawie domu, Estelle Paradise. Może zdradzisz mi prawdziwy powód?

Przeszywała mnie wzrokiem, domagając się odpowiedzi.

Usiłowałam coś wymyślić, lecz miałam w głowie pustkę.

– Szukam twojego brata, Davida.

– Mojego brata? – Oczy Anny rozbłysły, jakby szukała w głowie elementów układanki, które pozwoliłyby jej to wszystko zrozumieć. Niemal zaczęłam jej współczuć.

– Dlaczego pytywałaś mnie o dom i opowiadałaś o pożarach, skoro w rzeczywistości szukasz mojego brata? – Jej głos był miękki, wręcz delikatny. – Czego od nas chcesz?

– Nie chcę ci sprawiać problemów, przysięgam. Mam tylko kilka pytań.

Nie potrafiłam zinterpretować malujących się na jej twarzy emocji. Była zmieszana? Przestraszona?

– Czego od nas chcesz? – powtórzyła Anna.

Od czego by tu zacząć. „Moje dziecko zaginęło, wprowadził je twój brat. Znalazłam w jego mieszkaniu figurkę Dzwoneczka i dziwne artykuły z gazet”.

– Myślę, że twój brat porwał moją córeczkę.

– Mój brat miałby porwać twoją córkę? – Rozejrzała się dookoła, jakby chciała się upewnić, że nikt nas nie obserwuje.

Uparcie nie spuszczałam wzroku z jej twarzy.

– Muszę z nim porozmawiać. Powiedz mi, gdzie mogę go znaleźć.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Nie chodzi o ciebie. Gdzie jest twój brat?

Milczała przez długą chwilę.

– David, David, David – powiedziała wreszcie, kręcąc głową.

Uniosłam brwi, ściskając torebkę.

– Zabrał moją córkę. Mam na to dowód. Potrzebuję...

Anna ponownie pokręciła głową i machnęła ze zniecierpliwieniem ręką, jakby chciała powiedzieć: „Przestań zmyślać”.

– Kim on dla ciebie jest? Skąd go znasz?

– Mieszkamy w tym samym domu. Wiesz, gdzie on jest?

– Nie mogę ci pomóc. Wyjdź stąd.

– Nie wyjdę, dopóki mi nie powiesz, gdzie on jest.

Położyła mi dłonie na ramionach, odsunęła mnie od siebie i zaczęła popychać w stronę drzwi. Zrzuciłam z siebie ręce Anny i spojrzałam jej prosto w oczy.

– On zabrał moją córkę. Proszę, powiedz mi, gdzie on jest.

– Jeśli natychmiast nie wyjdiesz...

– Odpowiedz na moje pytania, to sobie pójdę. Proszę! Jeśli mi ją odda, nie pójdę z tym na policję.

Stałyśmy przez chwilę w milczeniu, po którym usłyszałam jej głos, który brzmiał, jakby należał do dziecka:

– Może właśnie powinnaś pójść na policję i o wszystkim im powiedzieć? – Zbliżyła się do mnie. Poczulałam na twarzy jej gorący oddech. Wypchnęła mnie przez frontowe drzwi. – Jeśli tu wrócisz, sama po nich zadzwonię – dodała, zatrząskując mi drzwiami przed nosem.

Stłumiłam w sobie pokusę ponownego zapukania. Wsiadłam do samochodu, ale nie ruszyłam. Powietrze w samochodzie było gorące i duszne, więc opuściłam szybę. Wyczułam zapach ozonu, jakby zbierało się na burzę.

Spojrzałam na otwarte okno z boku domu i dostrzegłam przez nie sylwetkę Anny trzymającej jakiś niewielki kształt, który zdawał się kołysać na boki. Kobieta pochyliła się, wyciągnęła rękę, chwyciła coś, a to, co trzymała w ramionach, poruszyło się, a następnie rozpląkało. Płacz był znajomo rozpaczliwy i przejmujący. Ustał równie szybko, jak się zaczął.

Ręce zaczęły mi się trząść jeszcze mocniej. Kolejna fala płaczu sprawiła, że z trudem zaczerpnęłam powietrza. Coś we mnie odpowiedziało na znajomą częstotliwość i brzmienie płaczu wyryte głęboko w moim mózgu. Niemowlęca łyżeczka, śmieci wydzielające zapach brudnych pieluch i płacz nie mogły być wytworem mojej wyobraźni. W głowie zakotłowały mi się obrazy i pytania, których nie potrafiłam zrozumieć i na które nie potrafiłam odpowiedzieć. Zaczęłam drżeć i poczułam się tak, jakby miliony ogników pełgały mi po skórze. Zamknęłam oczy i pozwoliłam adrenalinie zalać mój organizm. To się działo naprawdę, w ten sposób moje ciało reagowało na płacz niemowlęcia. Płacz Mii.

Błysnął piorun, po którym rozległ się donośny grzmot i spadły pierwsze krople deszczu. Stawały się coraz większe, aż wreszcie chodnik pokryły miliony rozprysków. Powietrze przesiąkło zapachem ziemi, a po kilku sekundach woda z podjazdu Anny zaczęła słuwać do rynsztoka przy Waterway Circle.

Przez ścianę deszczu obserwowałam zatrzymującą się pod domem Anny ciężarówkę. Mężczyzna, który z niej wysiadł, porwał moje dziecko, a teraz dzieliło nas od siebie najwyżej trzydzieści metrów. David Lieberman otworzył bagażnik i wyjął z niego pękata torbę, w której pewnie znajdowały się ubranka lub kocyki. Ruszył w kierunku domu, otworzył frontowe drzwi, wytarł nogi o wycieraczkę, odwrócił się, spojrział w niebo i przestąpił próg.

Jedyną moją myślą było przycisnąć pedał gazu i jechać. Mój mózg był sparaliżowany miarowym dźwiękiem pracujących wycieraczek, który odmierzał każdy centymetr dzielący mnie od mojej córki.

Rozdział 21

Kiedy zwolniłam i skręciłam w pełną drogę wysadzaną drzewami, minęłam jedną z farm, które widziałam, jadąc do miasteczka. Droga była tak błotnista, że bałam się w niej ugrzęznąć, kałuże zdawały się powiększać z minuty na minutę. Zatrzymałam się, wysiadłam z samochodu i ruszyłam w kierunku stodoły.

Ciężkie drzwi zatrzasnęły się za moimi plecami. Bębnienie deszczu otoczyło mnie jak kojący biały szum. W stodole unosił się zapach siana, nawozu i końskiego potu. Wnętrze budynku było jeszcze bardziej zniszczone niż się spodziewałam; drewno popękało i poszarzało od surowych warunków atmosferycznych – burz i palącego słońca. Wystarczyłby mocniejszy podmuch wiatru, który uderzyłby w krokwie pod odpowiednim kątem, żeby zmieść stodołę z powierzchni ziemi. Tyle razy wyobrażałam sobie ten moment – chwilę, w której odnajdę swoją córkę – a mimo to czułam się wewnętrznie wypalona. Wydawało mi się, że kiedy już ta chwila nadejdzie, podniosę wielki krzyk i zadzwonię na policję. Jednak nic takiego się nie stało. Oparłam się plecami o słup, osunęłam się na ziemię i przyciągnęłam kolana do klatki piersiowej. Przypomniałam sobie pierwszą noc, którą Mia przespała w łóżku ze mną i Jackiem. Światło księżycy w pełni sączyło się przez okna, nadając pokojowi przedziwną, srebrzystoniebieską poświatę. Mia wyglądała, jakby była z lodu. Przez głowę przebiegały mi obrazy jak kadry ze starego rodzinnego filmu. Szpital, narodziny Mii. Brak snu, długie dni czuwania, zmęczenie zbyt wielkie, żeby funkcjonować i żeby zasnąć. Działalam jak automat, nikomu się do tego nie przyznając: ani Jackowi, ani lekarzom, ani pielęgniarce. Czekałam, aż ten stan minie, ale on nie mijał. W tej maleńkiej istotce, którą kochałam całym sercem, szalała burza, i nic nie mogło jej uciszyć. Na domiar złego nie miałam mleka, przez co dręczyło mnie jeszcze silniejsze poczucie winy, że nie sprawdzam się jako matka. Natrętne myśli, które zaczęły się lęgnąć w mojej głowie, przybierały coraz realniejsze kształty.

Wsunęłam dłoń do torebki i objęłam palcami broń. Do głowy przyszedł mi pewien obraz, który nie chciał mi dać spokoju. Jeden obraz, jedna myśl, jedno wrażenie. Pośród całego tego mroku moją jedyną ostoją było owo pierwotne uczucie przywiązania, kiedy Mia przyszła na świat i włożono mi ją w ramiona, a jej powieki pokrywała lecznicza maść. Oczy Mii przypominały szparki i wiecznie błędziły, niezdolne skoncentrować się na jednym punkcie. Kiedy spała, jej małe piąstka zaciskała się na koniuszku mojego palca, zbyt mała, żeby objąć go w całości. Jej potrzeba kontaktu ze mną była odwieczna, pierwotna. Miękka, przezroczysta skóra ciasno obejmująca czaszkę, włosy lekkie jak puch i fioletowe paznokietki były jak wiadomość od wszechświata.

Trzymając broń w prawej dłoni, zmusiłam się, żeby wyobrazić sobie przyszłość i dokończyć opowieść. Zobaczyłam kolejne odsłony życia dziewczynki, etapy jej rozwoju, kamienie milowe – rączkowanie, chodzenie, bieganie – wdrukowane w mój mózg.

Mia wiruje w tańcu, chwytając mnie za rękę, żeby się nie przewrócić.

We włosach ma kokardy.

Bandanki związane na jej głowie jak amulety.

Odprysnięty lakier do paznokci i przekrzywione diademiki.

Torty urodzinowe.

Czas spędzony na placach zabaw i budowaniu zamków z piasku z przyjaciółmi.

Bajki na dobranoc.

Gdy tak siedziałam, wpatrując się w lodowato zimny metalowy wylot lufy tuż przed tym, jak pozwoliłam kuli wyrwać dziurę w moim mózgu, w tym właśnie momencie czułam się tak, jakby obserwowała mnie jakaś wyższa siła siedząca na klepisku w stodole tuż obok mnie.

Deszcz spływał mi po plecach. Niebo rozjaśniła kolejna błyskawica, a stodołę wstrząsnął grzmot, wpuszczając lunę światła przez dziury i szczeliny w krokwiach i wysłużonym drewnie. Ziemia wokół mnie rozjarzyła się na ułamek sekundy, zamieniając drobinki kurzu w magiczny pył.

Przypomniałam sobie delikatny i kojący głos mojej matki, która opowiadała mi, że grzmot to odgłos pioruna, i tłumaczyła następstwa różnych zjawisk. Wiedziałam, że nie jest jeszcze za późno. Mia była kropelką atramentu w szklance wody. Odmieniła moje życie raz na zawsze, a teraz miałam ją na wyciągnięcie ręki, w domu na końcu drogi. Zostawiłam uchylone drzwi do stodoły, wsiadłam do samochodu i pojechałam z powrotem do Dover, by upomnieć się o swoją córkę.

*

Kiedy dojechałam na Waterway Circle, pracujące na pełnych obrotach wycieraczki samochodu pozwoliły mi – chociaż przez krótką chwilę – trzeźwo spojrzeć na świat. Nagle wszystko stało się dla mnie jasne. Nie było już miejsca na interpretację, pozostało tylko moje serce bijące w jednym rytmie z sercem mojej córki, którą przetrzymywano w tym właśnie domu.

Skorodowany czerwony chevrolet caprice nadal stał pod zadaszeniem, zaś ciężarówka Liebermana była zaparkowana przed domem. Wsiadłam z samochodu, podeszłam do frontowych drzwi i zapukałam. Nikt mi nie otworzył.

– Anno, musimy porozmawiać. – Zapukałam ponownie. – Anno, otwórz drzwi, proszę.

Pukałam i pukałam. Bez skutku.

Cofnęłam się kilka kroków, żeby zajrzeć do pokoju dziecięcego, lecz zauważyłam, że kotary zostały zaciągnięte. Nagle usłyszałam skrzypnięcie otwieranych drzwi i zobaczyłam stojącą w nich Annę.

– Tak? – zapytała, swobodnie opierając prawą dłoń o framugę. Była teraz ubrana w dżinsy i podkoszulek, włosy miała wysoko upięte w kucyk. Zdążyła też zrobić makijaż.

– Anno, słyszałam jej płacz. Wiem, że macie moje dziecko. Wiem wszystko o...

– Chyba pomyliła pani domy. – Zawahała się przez chwilę, po czym zmarszczyła brwi. – Dobrze się pani czuje? Ma pani kłopoty? – Anna zerknęła ponad moim ramieniem, omiatając wzrokiem ulicę. – Przemokła pani do suchej nitki.

– Nie, nie, nie, nie. Żadnych gierek. Wiem, co słyszałam, czułam zapach pieluch i widziałam niemowlęcą łyżeczkę. – Sięgnęłam do torebki po telefon. – Dzwonię na policję.

Obok Anny wyrósł cień Davida Liebermana, księcia ciemności. Stali ramię w ramię na ganku, niczym postaci z obrazu Granta Wooda *American gothic*, tylko jeszcze bardziej upiorni i bez widel.

– Jakiś problem? – David Lieberman odezwał się łagodnie, żeby nie zdenerwować mnie jeszcze bardziej.

– Gdzie jest moja córka?

Obydwoje zrobili krok naprzód, ja się cofnęłam.

– Mówiłam już tej pani, że pomyliła domy. Upiera się, że jest u nas dziecko – wyjaśniła Anna wolno i spokojnie.

– Dziecko? – Lieberman objął siostrę ramieniem. – Jak mówiła moja żona, może pomyliła pani adres?

– Powiedz mu, Anno, że już tu byłam. Wiem, że na górze jest moja córka, Mia. Słyszałam jej płacz. Powiedz mu, że byłam tu wcześniej. Powiedz mu, Anno.

Nawet nie drgnęła.

– Nie mam pojęcia, o czym pani mówi. Nigdy wcześniej pani nie widziałam. To, co pani mówi, nie ma sensu.

– Siedziałyśmy w kuchni, zaparzyłaś nam herbatę. Kubki były białe w żółte kwiatki...

– Nigdy wcześniej pani nie widziałam.

Mój głos zamienił się w błagalny skowyt.

– Zaparzyłaś mi herbatę i opowiedziałaś o sąsiednim domu. Rozmawiałyśmy o okolicy. – Zawiesiłam głos, żeby zaczerpnąć powietrza. – Uprawiasz w ogrodzie warzywa i kwiaty. Macie moją córkę. On – wskazałam na Davida Liebermana – mieszkał piętro nade mną w kamienicy na Brooklynie i mi ją zabrał. Zakradł się do mojej kuchni i porwał Mię, a ja chcę ją tylko odzyskać.

Twarz Davida Liebermana nie wyrażała żadnych emocji.

– Niech pani posłucha. Tu nie ma żadnego dziecka, kubków w żółte kwiatki ani pieluch. Nie wiem, co jeszcze mam pani powiedzieć, ale straszy pani moją żonę i dlatego musi pani stąd odejść. – Jego sztucznie opanowany głos był piskliwy i brzmiał fałszywie.

– Byłam tu wcześniej. Proszę, Anno. – Wskazałam na zwisające z krokwi dzwonki wietrzne. – To wszystko tutaj było. Dzwonki, krzesło na ganku, sąsiedni dom na sprzedaż, wszystko.

– Nic do pani nie dociera, prawda? Mówiłem już, że pomyliła pani domy i że ma pani przestać wrzeszczeć na naszym ganku i się stąd wynosić. Nie znamy pani.

Wyciągnęłam szyję, usiłując zajrzeć do wnętrza domu. Błędnie odczytali mój gest jako groźbę i David Lieberman zrobił krok naprzód, chwytając Annę za rękę. Zwarli szyki.

– Niech się pani nie zbliża. Proszę opuścić mój ganek.

Cofnęłam się o krok i postanowiłam się chwycić ostatniej deski ratunku.

– Zadzwońię na policję. Niech oni się tym zajmą. – Wyciągnęłam telefon. – Nie blefuję. Naprawdę do nich dzwonię. – Nacisnęłam przypadkowy guzik i telefon włączył się na chwilę dostatecznie długi, żebym zobaczyła migający wskaźnik rozładowanej baterii. Później telefon się wyłączył.

– No dalej, niech pani dzwoni.

– Telefon mi padł – powiedziałam, z trudem opanowując drżenie głosu.

Lieberman sięgnął do kieszeni, wyjął z niej telefon i zamachał mi nim przed oczami.

– Powinna pani zawsze pamiętać o ładowaniu baterii. Telefon przydaje się w wyjątkowych sytuacjach – powiedział z uśmiechem.

– Was to śmieszy? Bawicie się ze mną w kotka i myszkę? – Zrobiłam krok naprzód i chwyciłam stojące na ganku krzesło. – Będę wrzeszczeć tak głośno, że wszyscy sąsiedzi mnie usłyszą.

Ich twarze pozostały niewzruszone – nie było na nich widać śladu skrępowania. Anna odwróciła się i weszła do domu.

– Proszę bardzo – odezwał się Lieberman, wkładając ręce do kieszeni. – Jak na kogoś, kto łązi po domach, pułka do drzwi i rzuca fałszywe oskarżenia, nie jest pani zbyt przekonująca. Ja tylko staram się pani pomóc – dodał, kręcąc głową.

– Niech mi ktoś pomoże! – krzyknęłam najgłośniejszym głosem, jaki tylko mogłam. – Ci ludzie porwali mi dziecko. Zabrali moją córkę. Pomocy! – Uniosłam krzesło, celując jego nogami w znajdujące się najbliżej frontowych drzwi okno.

Lieberman popatrzył na mnie z niedowierzaniem. Zrobił krok do przodu, chwycił mnie za lewy nadgarstek i potrząsał nim, dopóki krzesło nie wylądowało na ganku. Wyrwałam mu się, ale przytrzymał moje palce i wygiął je do tyłu, aż skrzywiłam się z bólu.

– Ratunku! Pomocy!

Lieberman złapał mnie za nadgarstek i pociągnął w stronę frontowych drzwi. Udało mi się pozostawić na jego przedramieniu krwawe ślady, kiedy nagły błysk światła sprawił, że oboje się

odwróciliśmy.

Policyjny radiowóz gwałtownie zatrzymał się przed domem i w naszą stronę ruszyło dwóch funkcjonariuszy. Jeden z nich odezwał się do umocowanego na ramieniu radia. Lieberman puścił moją rękę.

– Co tu się dzieje? – odezwał się starszy i masywniejszy z policjantów. – Proszę mi to wyjaśnić.

– Musicie przeszukać dom. Ci ludzie przetrzymują moje dziecko – powiedziałam, ignorując gest policjanta, który nakazywał mi się odsunąć.

– Proszę się uspokoić i postępować zgodnie z moimi instrukcjami. Proszę zejść z ganku i pokazać mi swój dowód tożsamości.

– Pytał pan, co się tu dzieje. Usiłuję wytłumaczyć...

– Dowód tożsamości.

Wyjęłam z portfela prawo jazdy i wręczyłam policjantowi. Uważnie spojrzął najpierw na mnie, a później na zdjęcie.

– Teraz może pani mówić.

– Musicie przeszukać dom. Oni przetrzymują w nim moją córkę. Byłam tu już wcześniej, a teraz ci ludzie udają, że nie wiedzą, kim jestem.

– Proszę opowiedzieć, co się stało, zamiast klarować nam, co mamy robić.

– W tym domu przebywa moje dziecko. Musicie...

– Nie możemy tak po prostu przeszukać prywatnego domu, chyba to pani rozumie.

– W takim razie co możecie zrobić? Jak mam sprawić, żebyście go jednak przeszukali?

– Kto wezwał policję?

– Pewnie któryś z sąsiadów usłyszał mój krzyk i...

– To ja do was dzwoniłam. – Anna ponownie wyszła na ganek, krzyżując ramiona na piersi. Drżała na całym ciele. – Ta kobieta zapukała do naszych drzwi. Gada od rzeczy i chce, żeby się stąd wyniosła.

Funkcjonariusz spojrzął na Liebermana.

– Co tu się dzieje, proszę pana? – zapytał, wskazując na jego ramię. – Pan krwawi. Jest pan ranny?

Drugi z policjantów przywołał mnie gestem i odprowadził na trawnik, z dala od domu.

– Proszę mi powiedzieć, co się stało.

– Ten mężczyzna to mój sąsiad – wyjaśniłam, wskazując na Liebermana. – Znalazłam u niego figurkę z pokoju mojej córki. Ten człowiek ją porwał, a teraz przetrzymuje ją tutaj. – Wskazałam dom z numerem 126. – Usłyszałam przez okno jej płacz i...

– Nie bardzo rozumiem...

– Nie, nic pan nie rozumie. – Ponownie zacerpnęłam głęboko powietrza, w nadziei że to pozwoli mi wszystko wyjaśnić. – Proszę spojrzeć – sięgnęłam do torebki i wyjęłam z niej figurkę Dzwoneczka.

Policjant cofnął się i położył dłoń na kabusze.

– Niech pani więcej nie sięga do torebki. Proszę trzymać ręce na widoku i się uspokoić, żebyśmy w końcu zrozumieli, co się tu dzieje.

Cofnęłam rękę.

Pierwszy z policjantów spojrzął w lewo na tabliczkę „Na sprzedaż” wbity w ziemię przed sąsiednim domem, a następnie zwrócił się w kierunku Davida Liebermana.

– Czy to pański dom?

– Tak. Mieszkamy w nim z żoną.

– Proszę do mnie podejść, pani Paradise. Ale niech pani trzyma ręce na widoku i stosuje się do moich instrukcji. – Młodszy policjant i ja dołączyliśmy do nich na ganku. – Mieszka pani przy – ponownie przestudiował moje prawo jazdy – 517 North Dandry w Nowym Jorku. Ten pan – wskazał na Davida Liebermana – mieszka przy 126 Waterway Circle w mieście Dover, czyli kilka godzin drogi od pani domu.

– To mój sąsiad, mieszka piętro nade mną. Znalazłam windę kuchenną, a w niej...

– Proszę odpowiadać na pytania. Jak ten mężczyzna może być pani sąsiadem, skoro mieszkacie w dwóch różnych miastach?

– Ten człowiek mieszka przy 517 North Dandry, piętro wyżej niż ja. Dlaczego nie chcecie uwierzyć w żadne moje słowo?

– Zapewniam panią, że nie wyciągam pochopnych wniosków. Po prostu to, co pani mówi nie ma sensu. Zgłoszono nam wtargnięcie na teren prywatny. Weszła pani na teren posesji tych państwa bez ich zgody i...

– Dlaczego ich nie wylegitymujecie? To David i Anna Liebermanowie; są rodzeństwem, nie małżeństwem.

– Nie muszę się legitymować – przerwał mi Lieberman. – Nic nie poradzę na to, że nachodzą mnie jacyś wariaci. Znam swoje prawa. – Lieberman posłał policjantowi spojrzeń z gatunku „uprzedałem, że to wariatka”.

– Dalsza wymiana zdań nie ma sensu. Panią poproszę do mnie, a państwo niech zostaną na ganku, dopóki nie przesłuchamy tej pani.

Ruszyliśmy podjazdem. Dotarło do mnie, że moje ubranie i włosy są przemoczone, a buty przy każdym kroku wydają płaskający dźwięk. Bałam się, że policjant poprosi mnie o torebkę, w której znalazłby broń. Gdyby tak się stało, skuliby mnie kajdankami i wepchnęli na tył radiowozu, zanim zdążyłabym cokolwiek wytłumaczyć.

– W porządku, pani Paradise, po kolei – odezwał się pierwszy z policjantów, wyjmując zielony notatnik. – Twierdzi pani, że ci ludzie przetrzymują pani dziecko, a ten mężczyzna jest pani sąsiadem. Czy on jest ojcem pani dziecka? Nie jestem pewien, czy dobrze panią zrozumiałem. – Zamknął notes. – Nie mam prawnych podstaw, żeby przeszukać ich dom. Znajduje się pani kilka godzin drogi od swojego miejsca zamieszkania i nie potrafię zrozumieć, o czym pani mówi.

– Dlaczego po prostu nie przeszukacie domu?

– Ponieważ...

– To tak nie działa, pamiętam.

– Panie władzo – zawołała z ganku Anna. – To chyba zwykle nieporozumienie. Myślę, że ta pani pomyliła adresy.

– Od początku jej to mówiliśmy – wtrącił David, obejmując ramieniem Annę.

– Rozumiem, proszę pana. Zaraz do państwa przyjdziemy.

– Nieporozumienie? – odezwała się, kiedy policjant zwrócił się w moją stronę. – Niczego nie pomyliłam. Ten człowiek zabrał moje dziecko. Byłam tu już wcześniej. Ta kobieta wyprosiła mnie z domu, a później usłyszałam płacz mojej córki. Przyjechałam tu za nim aż z Brooklynu.

– Śledziła go pani? Dlaczego nie zgłosiła się pani na policję tam, gdzie pani mieszka?

– Próbowałam, ale... – Kręciłam się w kółko. Wiedziałam, że jeśli nadal będę podążać tą ścieżką, wyląduję na oddziale psychiatrycznym w tym przeklętym miasteczku.

– Proszę pani, czy możemy po kogoś zadzwonić, żeby panią odebrał? Może po męża albo przyjaciółkę?

– Nikt nie musi po mnie przyjeżdżać.

– Chcę pani oddać przysługę. Możemy rozwiązać tę sprawę inaczej, ale ja proponuję, żeby ktoś panią odebrał.

– Pokażę panu, co znalazłam...

– Prosiłem już, żeby nie sięgała pani do torebki. Czy przyjmuje pani jakieś leki? Leczy się psychiatrycznie? Jeśli tak, proszę mi powiedzieć.

– Nie, nie, nie. Ja... Dlaczego pyta pan o to mnie? Dlaczego nie zapytał pan jego, jakie leki przyjmuje? Zapytajcie, czy jest wariatem. Porwał moje dziecko. To jego należy...

– Pani Paradise, naprawdę... – Nagle jego twarz się rozjaśniła. – A, już rozumiem. – Zamknął notes i przekreślił galkę radia, które nosił na ramieniu.

– Mówię prawdę. Jeśli...

– Proszę się uspokoić, pani Paradise. – Nie pozwolił mi dokończyć. – Wiem już, o co chodzi. Jest pani tą drugą i próbuje pani zachować ten fakt w tajemnicy przed jego żoną. Pewnie stała pani w deszczu, obserwując dom. Przyjechała tu pani za nim i uświadomiła sobie, że ma rodzinę. On – wskazał na Davida Liebermana – udaje, że pani nie zna, co zresztą nie jest przestępstwem. Pani z kolei może zostać oskarżona o zakłócanie spokoju i wtargnięcie na teren prywatny. A zadrapania na jego ramieniu świadczą o próbie napaści. To może dla pani oznaczać poważne kłopoty.

Widziałam wcześniej, jak Lieberman wyjmował z tylnego siedzenia samochodu jakieś ubrania, więc przy odrobinie szczęścia...

– Czy możecie chociaż sprawdzić jego samochód, zajrzeć do środka przez okno? Jeśli znajdziecie dziecięce ubranka, pieluchy, mleko, cokolwiek, będziecie wiedzieli, że mówię prawdę.

Odwrociłam się. Wszystko, co dotyczyło Liebermana było podejrzane, jego uśmiech wyglądał jak sztucznie przyklejony do twarzy, a pod pachami miał dwie ciemne wilgotne plamy.

– Proszę, zajrzyjcie do samochodu, a sami się przekonacie – prosiłam, widząc, jak na twarzy Liebermana odmalowuje się czysty strach. Miał opuszczone ramiona, jego ruchy były nieskoordynowane. Ruszył w moją stronę, lecz jego ciało zdawało się chwiać na boki. Twarz miał kredowobiałą. Zeskoczył z ganku, w odpowiedzi na co policjanci położyli dłonie na kaburach.

– Mój mąż kiepsko się czuje. – Anna Lieberman odciągnęła go za ramię, zaś drugą ręką objęła go w pasie. – Nie zrobiliśmy nic złego. Myślę, że już wystarczy.

– Proszę pana – zawołał policjant w stronę ganku – czy chce pan wnieść przeciwko tej pani oskarżenie o napaść?

– Nikogo o nic nie będziemy oskarżać, panie władzo, to zwykłe nieporozumienie – Anna Lieberman powiedziała to tak przekonująco, że gdybym nie znała prawdy, sama bym jej uwierzyła.

– Proszę, sprawdźcie ich samochód, a sami się przekonacie...

– Wystarczy – powiedział ostro policjant, piorunując mnie wzrokiem. – Albo wsiądzie pani do samochodu i odjedzie, albo założę pani kajdanki. – Wskazał na policyjny pas.

Chciałam błagać go na kolanach. Czułam się jak małe dziecko, którego rodzice upierają się, że pod łóżkiem nie ma żadnych potworów. Nikt nie zamierzał mi pomóc, ponieważ mieli mnie za wariatkę. Uśmiechnęłam się słabo i wyciągnęłam kluczyki od samochodu.

– Mogą państwo wrócić do swoich spraw – zawołał policjant w stronę ganku, a następnie zwrócił się do mnie. – Uważam tę sprawę za zamkniętą. Pojedziemy z panią do trasy numer 434 i o wszystkim zapomnimy, oszczędzając sobie papierkowej roboty, a tym dobrym ludziom fatygi. Droga numer 434 zaprowadzi panią prosto do Nowego Jorku – dodał, zapraszając mnie gestem do mojego samochodu.

Dojechalśmy do zjazdu i policjant siedzący w radiowozie po stronie pasażera dał mi znak, żebym skręciła w prawo. Zrobiłam, co mi kazano, i straciłam radiowóz z oczu. Jedno musiałam Liebermanom przyznać: po mistrzowsku zdyskredytowali mnie w oczach policji i wszystko uszło im na sucho. Pewnie to, jak wyglądałam – mokra i rozczochrana – też zadziało na moją niekorzyść. Co jeszcze mogłam zrobić? Wtargnąć do ich domu z bronią w rękę i zażądać, by mi oddali córkę? Istniał tylko jeden dowód, którego nie zdołaliby podważyć: DNA. Musiałam przekonać policję, że to ja urodziłam dziecko przetrzymywane w domu Anny. Nauka była po mojej stronie.

Żeby zdobyć DNA, musiałam wrócić do domu Anny. Kiedy zastanawiałam się, jak to zrobić – może wykraść brudną pieluchę ze stojącego na ulicy kosza na śmieci – uzmysłowiłam sobie, że przegapiłam zakręt i minęłam swój zjazd. Zjechałam na pobocze i wyłączyłam silnik. Włączyłam górne światło i zaczęłam się szamotać z mapą. Po kilku minutach dałam sobie spokój.

Dzień się skończył i ruch uliczny całkiem zamarł w tę gęstą i ciemną jesienną noc, niemal lepka, jakby zanurzona w atramencie. Widmo księżycy wychylało się zza chmur i zaraz się za nimi chowało.

Para reflektorów pojawiła się nie wiadomo skąd, tak jakby kierowca samochodu wyłączył wcześniej światła, żeby podjechać niepostrzeżenie i dopiero teraz włączył je z powrotem. Samochód wolno zjechał na pobocze za mną. Przetoczył się jeszcze kilkadziesiąt centymetrów i całkiem stanął, ale nikt z niego nie wysiadł. Światła ponownie się wyłączyły i zapadła ciemność. Wpatrywałam się w lustro. Nie zarejestrowałam żadnego ruchu w samochodzie, ale nagle moje serce gwałtownie przyspieszyło. Sięgnęłam do torebki po broń, nie odrywając oczu od lusterka.

W końcu drzwi się otworzyły. Zanim mój umysł zdążył się zorientować, co się dzieje, zareagowało moje ciało. Uderzyłam łokciem przycisk centralnego zamka, zaś mózg wysłał sygnał do reszty ciała, żeby uruchomić samochód. W tym samym momencie tylna szyba rozprysnęła się w drobny mak i odłamki szkła posypały się na tylne siedzenie. Później zapadła cisza.

Siedziałam sparaliżowana strachem. Kątem oka dostrzegłam cień przy oknie kierowcy. Chwyciłam torebkę, rzuciłam się na siedzenie obok i sięgnęłam po klamkę otwierającą drzwi po stronie pasażera. Okno po stronie kierowcy zostało rozbite w drugiej kolejności. Zakryłam twarz rękami. Kiedy próbowałam otworzyć drzwi po stronie pasażera, ktoś wsunął rękę przez rozbity szybę, chwycił mnie za włosy i pociągnął z powrotem na siedzenie kierowcy. Z bólu zaczęła mi pulsować czaszka. Odwróciłam głowę i zobaczyłam ciemną sylwetkę mężczyzny.

Los może się zjawić niezapowiedziany, ale gdy już zapuka do twoich drzwi, nic go nie powstrzyma. Szaleństwo wisiało w powietrzu, rozsiwając woń potu zmieszanego z gniewem. Przyszedł po mnie książę ciemności. I był wściekły.

Rozdział 22

– Oddychaj głęboko – mówi doktor Ari.

Nie potrafię opanować paniki, która rozwija się we mnie niczym kłębek włóczki, ogarniając całe ciało. Mój oddech jest krótki i urywany. Z całych sił przyciskam dłonie do zimnej skórzaney kanapy. Usiłuję się skoncentrować, ale moje oczy są rozbiegane.

– Muszę porozmawiać z detektywem. Szukają ich, prawda? Co robią, żeby ich znaleźć? To, czym się tutaj zajmujemy, jest pozbawione sensu. Musimy odnaleźć Mię.

– Zapewniam cię, że policja robi wszystko, co w jej mocy, żeby ich namierzyć. – Doktor zawiesza na chwilę głos, jakby coś nie dawało mu spokoju. – A my jeszcze nie skończyliśmy.

– Czego? – pytam.

– Musimy kontynuować... Zostało zbyt wiele pytań bez odpowiedzi – odpowiada lekarz.

Potrzebuję krótkiej przerwy, szukam schronienia jak zwierzę szykujące się do urodzenia młodych.

– Co Mahomet mówi na temat losu, doktorze Ari?

– Muzułmanie uważają los za jeden z filarów wiary. Wiem, że to, co mnie spotyka, nie mogłoby mnie ominąć, a to, co mnie omija, nie mogłoby mnie spotkać.

Doktor Ari ociera czoło grzbietem dłoni, jakby chciał się pozbyć niewidocznych kropelek potu. Być może w ten sposób oczyszcza swój umysł. Nagle uświadamiam sobie, że oboje boimy się prawdy równie mocno.

Na wspomnienie chwili, w której Lieberman włożył rękę przez roztrzaskaną szybę i otworzył drzwi samochodu, oblewam się potem. Przypominam sobie jego nienaturalnie długie palce sięgające po mnie niczym pędy jakiejś krwiożerczej rośliny. Nagle wszystko staje się jasne jak słońce. Moje wspomnienia łączą się w jedną całość jak warstwa oleju na powierzchni oceanu.

*

Oczy Liebermana, ciemne i przenikliwe, płonęły w gorączce. Górne światło w samochodzie zalewało nas złocistą poświatą, a blask księżycy pochwycił iskierki szaleństwa w jego oczach i odbił je w moją stronę.

– I znów się spotykamy – powiedział Lieberman ze złośliwym uśmiechem.

Byłam przerażona myślą, że będę musiała z nim walczyć, skrzywdzić go lub nawet zabić, lecz jednocześnie przepelniała mnie determinacja. Ciało ogarnęła panika, lecz postanowiłam nie dopuścić do tego, żeby sparaliżowała mój umysł, i wykorzystać ją na swoją korzyść. Nie trzęsłam się ani nie płakałam. Zebrałam w sobie cały strach i wyrzuciłam go w ciemność. Ten moment był tak samo nieunikniony jak otaczająca mnie noc i nic nie przesłaniało mi pragnienia odzyskania Mii.

– Ty nędzna kupo gówna – powiedział chrapliwie Lieberman. Nie był już tym samym człowiekiem, który okłamał policjantów i zeskoczył z ganku. Miał rozbiegane oczy, jakby kierowały

nimi głosy w jego głowie. – Kiedy znowu odwiedzisz mój dom nieproszona, powinnaś bardziej uważać. – Zasyczał.

Przebywanie tak blisko niego miało w sobie coś elektryzującego. Czy on naprawdę sądził, że Bóg dał mu prawo odebrać komuś córkę? Jakiego rodzaju szaleństwo rządziło jego światem? Czy według niego powinien pogodzić się z rzeczywistością, pozwolić mu zatrzymać Mię i tak po prostu odejść? Patrząc na jego rozbiegane oczy uzmysłowiłam sobie, że logiczne myślenie nie musi być jego mocną stroną.

– Wylaż z samochodu – polecił.

– Gdzie jest moja córka?

To, że nie okazałam strachu, wytrąciło go z równowagi. Sięgnął do klamki i otworzył drzwi. Ani drgnęłam.

– Kazałem ci zostawić nas w spokoju. Po co tu przyjeżdżałaś i napastowałaś moją dziewczynę?

Dopiero zaczęliśmy rozmawiać, a ja już zdążyłam się pogubić. Anna Lieberman była dziewczyną ze zdjęcia w gazecie, jego siostrą. Wygląda dokładnie tak jak na zdjęciu.

– Jaką dziewczynę? Tę, którą wcześniej nazywałeś swoją żoną? Twoją siostrę Annę?

– Za kogo się uważasz, żeby mówić nam, kim jesteś? Po co przyjechałaś? Wszystko grało, dopóki się nie zjawiłaś. – To mówiąc, zamachał pistoletem, który dopiero teraz zauważyłam w jego ręce, nakazując mi wysiąść z samochodu.

Księżycowe światło zabarwiło świat wszystkimi odcieniami szarości. Chmury ustąpiły miejsca rozgwieżdżonemu niebu, a księżyc był tak jasny, jakby ktoś podłączył go do prądu. W końcu mogłam się dokładnie przyjrzeć okolicy. Zaparkowaliśmy na piaszczystej drodze przy polu kukurydzy. Po prawej stronie rosto kilka kostropatych drzew. Wsiadłam z samochodu i stanęłam przed Liebermanem. Zaskoczył mnie jego niski wzrost.

Za jego plecami widziałam łąn kukurydzy; wciągnęłam w nozdrza ostry zapach wilgotnej ziemi. Przez pole biegła piaszczysta ścieżka. Noc nie miała nad nikim litości, nie zostawiała miejsca na błąd. Gdybym pokonała dwieście metrów tą ścieżką, rozpląnęłabym się w ciemności.

– Powinnaś była odejść, kiedy jeszcze miałaś okazję.

– Nie odejdę bez mojego dziecka. Powinieneś już to wiedzieć.

– Wszyscy uważają, że nie nadajesz się na matkę. Nawet policja.

– Nic o mnie nie wiesz – powiedziałam, uderzając stopą w żwir.

– Na kolana.

Chociaż jego głos był nagły, nie ruszyłam się.

– Ani mi się śni.

– Zrobisz to, co ci każę, skarbie. A teraz na kolana. – Chwył mnie za rękę i wykręcił ją za plecy, zmuszając mnie do posłuszeństwa.

– Gliny nadal gdzieś tu krążą, by upewnić się, że wyjechałam z miasteczka. Mogą się tu zjawić w każdej chwili – powiedziałam, chociaż oboje wiedzieliśmy, że odkąd za mną zaparkował, nie minął nas żaden samochód.

– Jesteś tylko zbikowaną kobitką prześladowającą niewinnych ludzi, pamiętasz? Możesz mi wierzyć, że nie szuka cię żaden policjant. – Lieberman cofnął się o krok i wycelował we mnie z pistoletu. – Nie wstawaj i nie próbuj żadnych numerów. Ręce na głowę, tak, żebym je widział.

Spłotałam dłonie na czubku głowy. Z twarzą skierowaną w stronę pola kukurydzy usłyszałam dźwięk oddalających się kroków. Odwróciłam głowę i patrzyłam, jak Lieberman nachyla się przez wybite okno w samochodzie i szuka mojej torebki. Wsunął dłoń do środka i wyciągnął z niej broń. Podszedł do swojego samochodu i wrzucił rewolwer na siedzenie pasażera przez otwarte okno. Rozejrzał się, jakby szukał idealnego miejsca, żeby zrobić mi to, co podpowiadał mu jego szalony umysł. Zerkając w stronę ścieżki, sprawiał wrażenie bardzo pewnego siebie. Nie miał wątpliwości, kto jest panem sytuacji. Jego samozadowolenie wlało we mnie siłę, o których istnieniu nie miałam pojęcia.

Puściłam się biegiem w stronę pola kukurydzy i już w chwili, kiedy przedarłam się przez pierwsze rzędy zboża, wiedziałam, że mam kłopot. Ziemia po deszczu rozmiękla i po kilku krokach błoto oblepiło mi buty, utrudniając każdy krok. Czułam się jak uwięziona w jednym z tych sennych koszarów, w którym nogi odmawiają posłuszeństwa i nie mogę uciec, choćbym nie wiem jak się starała.

Wróciłam na ścieżkę i pobiegłam przed siebie. Po jakichś sześciu metrach ostro skręciłam w bok, jak uciekający przed drapieżnikiem królik. Zrobiwszy kilka kroków, zderzyłam się z czymś twardym. Siła uderzenia sprawiła, że przewróciłam się na ziemię z pulsującymi z bólu gołeniami i kolanami. W świetle księżycy dostrzegłam zarys niewielkiej drewnianej budki częściowo pokrytej dachem, z wahadłowymi bocznymi drzwiami i drewnianą tabliczką z oblażącym z farby napisem: „Kukurydziany labirynt. Tu kupisz bilety”.

Młazzące dźwięki dotarły do moich uszu, zanim zdążyłam podjąć decyzję, w którą stronę skręcić. Mokra ziemia dawała się we znaki nie tylko mnie, lecz także Liebermanowi. Poderwałam się na równe nogi. Po kilku chwiejnych krokach odzyskałam rytm i ruszyłam dalej ścieżką. Mogłam teraz skręcić w prawo lub w lewo. Kolana tak mnie bolały, że nie mogłam biec, więc postanowiłam się schować między łodygami kukurydzy. Przykucnęłam, usiadłam w błocie i z całych sił starałam się uspokoić oddech. Czekałam jak dziecko, z zamkniętymi oczami, w nadziei, że jeśli ja go nie zobaczę, on nie zobaczy mnie. Serce waliło mi w piersi jak szalone.

Klik. Dźwięk odciąganego bezpiecznika złał się w jedno z szumem wciąganego przeze mnie powietrza.

Lieberman zaszedł mnie od tyłu i skrępował mi ręce na plecach, prawie wyrwijając je z barków. Szarpnięciem dźwignął mnie z ziemi. Z każdym krokiem coraz bardziej bolały mnie kolana. Kiedy doszliśmy do zaparkowanych przy drodze samochodów, popchnął mnie na ziemię. Uklękałam z impetem. Próbowала się nie ruszać, ale ostry żwir, który wbijał się w skórę, wycisnął mi z oczu łzy. Ból wywołał kolorowe błyski światła pod powiekami. Jęknęłam, a Lieberman zachichotał i założył mi coś na nadgarstki. Sądząc po dźwięku, były to plastikowe kajdanki.

Kiedy spojrzałam w górę, stał nade mną. W świetle księżycy wyraźnie widziałam zarys jego sylwetki. Był mokry od potu, w prawej ręce trzymał błyszczący przedmiot. Połyskujące ostrze noża wysyłało mi alfabetem Morse’a tajną wiadomość o głębokich ranach i krwi wsiąkającej w wilgotną ziemię. Nasze spojrzenia spotkały się na trzy sekundy, może na pięć sekund, po których dotarło do mnie, że nie jestem w stanie oderwać od niego wzroku.

– Kto kogo teraz napastuje, co? Nie nadajesz się do tego, nie powinnaś była do nas przyjeżdżać – powiedział, wymachując mi nożem przed twarzą.

– Gdzie jest moja córka? – Mój głos zabrzmiał cicho i żałośnie, zupełnie inaczej niż chciałam, żeby zabrzmiał.

– Gdzie jest moja córka? – przedrzeźnił mnie i znów zamachnął się nożem, którego ostrze błysnęło upiornie. – Dlaczego nagle się o nią martwisz? Wcześniej się nią nie zajmowałaś. Płakała dniami i nocami. Czy tak trudno się zająć takim maleństwem? Dlaczego pozwoliłaś jej ciągle płakać? Pewnie wcale jej nie karmiłaś, nie przewijałaś. Po co w ogóle ją urodziłaś?

– Gdzie jest Mia? Gdzie moja córka? – powtarzałam uparcie.

Stał tak blisko mnie, że czułam jego pot i niepokój. Wiedziałam, że będzie czerpał przyjemność z wkręcania noża w moje ciało, karmił swoje szaleństwo widokiem ciepłej krwi, a później zaciśnie mi wokół szyi sznur i będzie patrzył na moje wybaluszone oczy i posiniałą twarz. Mniejsza o sposób, w jaki mnie zabije; wystarczy mu sam widok mojej śmierci.

– Jak się wszystkiego domyśliłaś? Nie wydawałaś się szczególnie bystra – zauważył. Dzieliły nas centymetry i kiedy podniósł prawą dłoń, zamknęłam oczy. Był tak blisko, że czułam jego oddech.

– Wydawało ci się, że twój plan jest doskonały, ale popełniłeś błędy.

– Musiałem tylko wykurzyć cię z domu. Schowałem twój portfel, przygotowałem butelki małej i zostawiłem ci butelkę mojej specjalnej wody. Zrobiłaś się senna, co? – Prychnął, a na jego twarzy znowu odmalowało się szaleństwo. Jego oczy stały się świdrujące i rozbiegane. – Tamtej nocy zakradłem się do twojego mieszkania przez szyb windy. Leżałaś nieprzytomna w łóżku, stałem nad tobą z płaczącym dzieckiem na rękach, a ty nawet się nie obudziłaś. Wyszędłem drzwiami z twoją córką, a później przedostałem się szybem do twojego mieszkania i zamknąłem drzwi od środka. Jedyny mój błąd polegał na tym, że nie uciszyłem cię wcześniej.

– Zostawiłeś na strychu kocyk. To było twoje pierwsze spotkanie.

Lieberman odwrócił wzrok.

– Pewnie go upuściłem, wychodząc przez strych. Przegapiłem drobiazg, nic wielkiego.

– Twój drugi błąd polegał na tym, że zachowałeś figurkę Dzwoneczka. Jak każdy popieprzony psychol zostawiłeś sobie coś na pamiątkę. I to mnie nazywaasz wariatką?

Lieberman roześmiał się i jeszcze bardziej się przysunął, wymachując nożem przed moją twarzą.

– Chcesz wiedzieć, gdzie jest dziecko? W dobrych rękach. A już na pewno lepszych niż twoje. Anna i ja znajdziemy dla niej miłą rodzinę.

Jego twarz znajdowała się teraz zaledwie parę centymetrów od mojej, usta miał rozchylone jak do pocałunku. Zamknęłam oczy. Pocułam na policzku dotyk jego ust, które ledwie musnęły moją skórę. Trwałam w bezruchu, powstrzymując odruch cofnięcia się. Później dotknął wargami moich warg i wpełchnął mi język do ust. Bezszykownie starałam się nie zwracać uwagi na swój pełny pęcherz. Nie mogłam znieść myśli, że Lieberman ma nade mną władzę. Odwróciłam głowę i splunęłam na ziemię, wycierając usta o ramię.

Pocułam dotyk ostrza na swoim uchu.

– Ona już ma rodzinę – powiedziałam i spojrzałam na niego, ukrywając strach.

Oczy mu pociemniały i wykonał gwałtowny ruch ręką. Pocułam ostry ból z boku głowy.

– Dlaczego mi to robisz?! – krzyknęłam, czując, jak strużka krwi leniwie cieknie mi po szyi.

– To za ignorowanie jej płaczu. – Popatrzył na mnie rozgorączkowanym wzrokiem, zadowolony, że trzyma mnie w szachu. – Nawet nie wiesz, jak wielką frajdę sprawiło mi igranie z twoją psychiką. Wchodziłem do twojego mieszkania, kiedy cię nie było, siadałem na twoim łóżku, jadłem twoje jedzenie. A ty nie miałaś o niczym pojęcia. Zrobiłem ci wielką przysługę. Na co ty się jeszcze skarżysz?

– Porwałeś moje dziecko! – Ostatnie słowo przemieniło się w skowyt.

Lieberman zmarszczył brwi i przechylił głowę w prawo.

– Ty chora, głupia suko. Nazywasz to porwaniem? Jestem twoim rycerzem na białym koniu. Tyle razy próbowałem ci wytłumaczyć, że ona zbyt często płacze, że zbyt rzadko bierzesz ją na ręce. Czekałem, aż się przyznasz, że macierzyństwo cię przerosło, że czujesz się przytłoczona, zmęczona, że sobie nie radzisz. Wystarczyło to powiedzieć, żebym ci pomógł. Ale ty zatrzaskałaś mi drzwi przed nosem.

– Widziałam na twojej półce książkę o torturowaniu i mordowaniu dzieci. Chcesz mi wmówić, że jesteś moim wybawcą, podczas gdy w rzeczywistości jesteś świrem zabierającym ludziom dzieci. To nie ja jestem chora, tylko ty.

– Gdybyś zadała sobie trochę trudu i przeczytała tę książkę, dowiedziałabyś się, że mężczyzna, którego uważasz za zło wcielone, okazał się bohaterem. Zniszczyły go fałszywe zeznania, wcale nie był potworem, za którego go wszyscy uważali.

– Nie obchodzą mnie twoje książki i bohaterowie. To jest prawdziwy świat, w którym zakradłeś się w środku nocy do mojego mieszkania, wykradłeś moje dziecko i zawiozłeś je do swojej siostry, czy kimkolwiek jest ta kobieta.

– Twoja córka płakała dniami i nocami, a ty nic z tym nie robiłaś. Pozwalałaś, żeby zdzierła sobie gardło. Co z ciebie za matka? – Dostrzegłam w jego oczach wstręt i poczułam na twarzy drobinki jego śliny. – Zrobiłem ci przysługę, zabierając ją.

– Skoro uważałaś, że jestem złą matką, trzeba było zadzwonić do opieki społecznej. – Mówiłam coraz głośniejsze, aż wreszcie głos mi się załamał. Postanowiłam go błagać. Jeśli został w nim chociaż cień ludzkich uczuć, powinien mnie posłuchać. – To zwykle nieporozumienie i możesz to jeszcze zakończyć, proszę, po prostu mi ją oddaj, nikomu nie powiem. Błagam cię, zwróć mi ją.

Jego twarz złagodniała, przybrała prawie normalny wyraz. Uśmiechnął się i chciałam wierzyć, że odzyskał rozum. Poczulałam nadzieję, ale wtedy Lieberman wrócił do poprzedniego stanu. Jego oczy pociemniały, upodabniając się do bezkresnego nieba nad nami.

– To wszystko jedno wielkie nieporozumienie. Proszę, oddajcie mi córkę. Błagam... – Teraz już łkałam, usiłując wyswobodzić ręce. Plastikowe kajdanki wrzynały mi się w nadgarstki.

– Co takiego powiedziała ci Anna? Bez urazy dla niej, to moja dziewczyna i w ogóle, ale nigdy nie mówi prawdy. Co ci naopowiadała?

Kiedy milczałam, zaczął wrzeszczeć:

– Co ci powiedziała?!?!

– Nic, zupełnie nic.

Wziął głęboki wdech, jakby wynurzył się z wody.

– W dzieciństwie miałem tylko jedno życzenie, żeby ktoś przyszedł i zabrał mnie od rodziców. Moja matka była dokładnie taka sama jak ty.

– Wszystko ci się pomyliło.

– Zamknij się i słuchaj!

– To nie tak, ja...

– Mnie się pomyliło? Chyba raczej tobie. Zostawiłaś ją w samochodzie. Wszyscy wiedzą, że nie wolno tego robić.

– Usłyszałaś płacz dziecka i coś sobie ubzdurałaś.

– Wiem, do czego są zdolne matki takie jak ty.

– Takie jak ja? Nic o mnie nie wiesz.

– Znam kobiety twojego pokroju.

Mojego pokroju. Jego zdaniem należą do tych matek. Zwyródniałych. Zaniedbujących własne dzieci.

Lieberman zaczął chodzić w tę i z powrotem, trzymając w ręku połyskujący w świetle księżycy nóż. Patrzyłam na niego jak zahipnotyzowana.

– Dlaczego ją zabrałeś? Nie rozumiem...

– Zabrałem ją, ponieważ ty jej nie chciałaś. Nie obchodzi mnie to, co teraz mówisz. Wiem, że jej nie chciałaś. – Zawiesił na chwilę głos, po czym się uśmiechnął. – Niektóre matki po prostu takie są.

I wtedy opowiedział mi swoją historię, historię chłopca, którym kiedyś był. Kiedy odmalowywał przede mną obraz swojego dzieciństwa, wyobraziłam sobie dziecko dorastające w nieznanym mi wiejskiej części Ameryki zamieszkaną przez dziwnych ludzi i niemającej nic wspólnego z romantycznymi przedstawieniami zalesionych szlaków turystycznych. Poza momentami chaotycznej paplaniny i kręcenia się w kółko opowiedział o swoich rodzicach, Esther i Gabrielu Liebermanach. Chciałam mu zadać kilka pytań, ale się zreflektowałam. Uznałam, że będzie lepiej, jeśli pozwolę mu samemu dotrzeć do sedna swojego szaleństwa. Był chłopcem, miał mniej więcej osiem lat, Anna około pięciu. Opowiedział mi o tym, jak wałęsali się po jedynej okolicy, jaką znali, pełnej piaszczystych dróg i ślepych ulic. Spędził dzieciństwo wśród domów pozbawionych elektryczności i bieżącej wody, wśród zbieraniny przyczep i chałup, w otoczeniu mnóstwa śmieci i w beznadziei.

Co jakiś czas Lieberman odwracał się i nasłuchiwał, przeczesując wzrokiem ciemność, jakby chciał się upewnić, że nikt nie podsłuchuje historii jego życia spędzonego w brudzie i nędzy w starej wiejskiej chałupie, bez szans na wydostanie się z piekła. Niekiedy jego głos niespodziewanie łagodniał, szczególnie kiedy mówił o swoich wybawcach, jego nowej rodzinie. Był wtedy taki szczęśliwy, że oczy błyszczały mu jak dziecku opowiadającemu o nowym rowerze. Opieka społeczna zainteresowała,

„litościwie”, jak to określił, kiedy o jeden raz za dużo zjawił się w szkole z posiniaczoną twarzą i w brudnych ubraniach. Na progu ich domu zjawiła się potężna kobieta w spodniach ściągniętych sznurkiem i z podkładką do pisania w rękę, żeby zabrać jego i Annę do rodziny zastępczej.

– Tamtego pierwszego ranka w nowym domu zjedliśmy śniadanie, a kiedy później powiedziano nam, że pora na lunch, nie wiedziałem, o co chodzi. „Przecież dopiero jedliśmy”, zdziwiłem się. Cholera, nie pamiętam, żebyśmy w domu chociaż raz zjedli więcej niż jeden posiłek w ciągu dnia.

Wreszcie mieliśmy bieżącą ciepłą wodę, dostałem własny pokój i okazało się, że nie wszystkie rodziny wrzeszczą na siebie całymi dniami, tak jak nie wszyscy tatusiowie biją swoje dzieci. Nie znałem wcześniej życia bez przemocy, bez strzelania z wiatrówki do bezpiecznych psów i sprawiania wieprzy.

Moja zastępcza mama pracowała w biurze podróży. Przynosiła do domu kolorowe katalogi, na które nie mogliśmy się z Anną napatrzeć. Wystarczyło wybrać kraj, hotel i w drogę. Jakby to nie było nic wielkiego, a jedyną trudność stanowił wybór miejsca, w które chciało się pojechać.

Jednak nasz sen nie trwał długo. Jedyne wakacje w naszym życiu to były właśnie te trzy miesiące spędzone w rodzinie zastępczej. I ani dnia dłużej. To nam nie wystarczyło. Później myśleliśmy z Anną już tylko o jednym: o ucieczce.

Najgorszy dzień mojego życia – ciągnął Lieberman – był wtedy, gdy kazali nam wrócić do domu. Upomniał się o nas stary Gabe, tak nam powiedzieli. Dogadał się z władzami, naprawił w domu parę rzeczy, założył kilka kabli, umył wannę, uprał pościel, kupił trochę jedzenia i zanim się zorientowaliśmy, byliśmy znowu w domu. Nazwali to „przywróceniem dzieci rodzicom”. Gówno prawda. Trafiliśmy do pieprzonego piekła.

Wypluł słowo „piekło” jak kawałek trującego tytoniu do żucia. Kiedy on kontynuował swoją opowieść, ja kręciłam dłońmi we wszystkie strony, usiłując rozluźnić plastikowe kajdanki. Poruszyłam nogami w poszukiwaniu wygodniejszej pozycji, ale kiedy Lieberman zauważył, że się wiercę, zamachnął się na mnie nożem.

– Często się modliłem, ale nic to nie dało. – Otworzył szeroko oczy i przez dłuższą chwilę zdawał się nieobecny. Później twarz mu stężała. – Zaczęliśmy się zabawiać w szopie za domem, kiedy Anna miała dwanaście lat – powiedział – dopóki nas nie nakryli.

– A wtedy spaliliście dom i zabiliscie rodziców?

– Palili jak smoki i ciągle zasypiali z tłącymi się papierosami. Ja tylko przyspieszyłem to, co było nieuniknione.

Już wtedy uzurpował sobie prawo do decydowania o losie innych i robienia tego, co jego zdaniem było słuszne i właściwe.

Lieberman znowu skoncentrował wzrok na mnie i zaczął wymachiwać nożem.

– Czekałem, aż twoje dziecko przestanie płakać. – Mówił teraz niższym, zamyślnym głosem. – Ale ty jesteś jedną z tych rozpieszczonych bogatych suk. Dom, mąż, wakacje, samochód, pieniądze. Czy kiedykolwiek ci czegoś brakowało? Sama powiedz.

Cofnął się parę kroków i zaczął chodzić w kółko, lecz po chwili znowu się do mnie zbliżył. Żwir chrząścił pod jego stopami.

– Niektóre kobiety nie powinny zostawać matkami. Na przykład ty. – Jego podniesiony głos niósł się przez pole kukurydzy, niknął pomiędzy kolbami i lodygami. Przysiadłam na piętach. – Kocham Annę. Ona nie jest moja siostrą. Nie nazywaj jej tak.

Podszedł jeszcze bliżej, a ja odwróciłam głowę z obawy przed tym, do czego mógł być zdolny owładnięty czystym szaleństwem.

Nagle – jakby ktoś pociągnął go za smycz – utkwiał oczy w jednym punkcie i zaczął bełkotać.

– Powinnaś mi podziękować, t...to w...właśnie... Anna kazała mi coś zrobić, ale nie pamiętam co. Zapomniałem. Będzie na mnie wściekła. – A później na nowo pochłonęła go fala szaleństwa i podryfował jeszcze dalej od zdrowego rozsądku. – Co to było, co to... cholera! – Uderzył się pięścią

w czoło. – Nie pamiętam, co kazała mi zrobić. Tyle do spamiętania, tyle... Tak trudno jest robić wszystko jak należy... – Zerkał na zegarek i wycierał pot z czoła, nie wypuszczając broni z ręki.

Później twarz mu się zmieniła i znowu spojrział na mnie. Jego klatka piersiowa uniosła się pod wpływem zwierzęcej, pierwotnej siły.

– Po prostu cię zabiję.

Moje kości obróciły się w proch i poczułam, jak ulatuje ze mnie cała nadzieja. Jego głos nadal dźwięczał gdzieś w tle, ale nie odgrywał już najważniejszej roli. Zmuszę go, żeby spojrział mi w oczy – pomyślałam – i nie będę skamleć ani płakać. Nie pozwolę, żeby zapamiętał mnie skuloną na ziemi, w błocie. Nie dam mu tej satysfakcji.

– Kim jesteś, żeby decydować, komu należy się szacunek, a komu nie? Poza tym nie jestem twoją matką – syknęłam.

– Jesteś żalostną karykaturą matki – wypluł z siebie, po czym zamilknął, zastępując gniewny grymas obrzydliwym uśmiechem. – Boisz się? Myślisz, że będzie boleło? Wyglądasz na przestraszoną.

Ledwie mogłam usiedzieć prosto.

– Nie słyszę cię.

– Nie jestem...

– Nie słyszę. Cichutka jak mysz, co?

Nie zostawił mi najmniejszego pola manewru.

– Gdzie jest moja córka? Powiedz mi, proszę... Jestem jej matką. Gdzie ją trzymacie?

– Bez ciebie, suko, wreszcie jest bezpieczna. – Roześmiał się. Był spocony. Zdyszany. Diaboliczny.

I wtedy księżę ciemności wycelował we mnie broń. Błysnęło ostre światło. Moja ostatnia myśl była taka, że nikt się nie dowie, co spotkało moją córkę. Nikt.

Nigdy wcześniej nie czułam równie przenikliwego zimna. Wiatr gwizdał między łągami kukurydzy, a później rześka jesienna noc zamieniła się w lód.

*

Kolejne dwie sesje nie przynoszą nic nowego. Wsiadam do windy, zjeżdżam na dół, ale nic więcej nie zostało. Jestem jak pies w nagonce, z poranionymi łapami, chłostany gałęziami. Cienie się wydłużają, słońce niedługo zajdzie, a ja osiągnęłam kres wytrzymałości. Przez chwilę siedzimy w milczeniu. Miał żyje, w jakimś nieznanym mi miejscu. Być może. Albo i nie. Liebermanowie zniknęli, zapadli się pod ziemię. Lieberman do mnie strzelił, jakimś cudem przeżyłam. Przebyliśmy całą tę drogę i nadal nic nie wiemy.

Spoglądałam na doktora Ariego i zbiera mi się na płacz.

– Co teraz?

Lekarz wstaje i obchodzi biurko.

– Szukamy dalej.

– Czego?

– Nadal nie wiemy, jak trafiłaś do wąwozu. Pozostały jeszcze pytania bez odpowiedzi.

– Lieberman mnie postrzelił i zepchnął mój samochód do wąwozu.

– Samochód wjechał do wąwozu, nie został zepchnięty.

Patrzę na niego, skolowana.

– Kluczyki znajdowały się w stacyjce. Poza tym ślady opon wskazują na to, że samochód nie tylko zjechał do wąwozu, ale też w nim przyspieszył. Kierowca wcisnął pedał gazu – dodał po dłuższej chwili.

– Mogę już iść?

Chwila milczenia.

– Iść? Dokąd?

– Do domu.

Po tych słowach milknę. Kamienica przy North Dandry? Dociera do mnie, że nie mam domu.

– Myślisz, że to koniec? – Doktor Ari łapie się za czoło, jakby chciał powiedzieć: „Ty biedna naiwniaczko, co ty sobie myślała?”. – Estelle, policja i prokurator okręgowy nie będą zachwyceni wnioskami. – Zawiesza głos i składa ręce na brzegu biurka. – Oto co mamy: zaginione dziecko, matkę, która nie zgłasza policji faktu popełnienia przestępstwa, a nawet ukrywa je przed mężem. Owszem, mamy zaginionego robotnika i jego siostrę, parę włóczęgów, z którymi nie wiadomo, co się działo, zanim przeprowadzili się do Dover i Lieberman przyjął pracę w North Dandry. Czy wiesz, ile osób tak po prostu pewnego dnia nie stawia się w pracy? Albo przeprowadza się, nie zostawiając nikomu swojego nowego adresu. Zniknięcie to nie przestępstwo.

Przełykam ślinę.

– A kocyk? I Dzwoneczek?

– No to co? Mogłaś je znaleźć wszędzie. To żaden dowód. Mamy tylko dwoje zaginionych ludzi i twoje słowo.

– Które nie jest nic warte.

– Przypomniałaś sobie wszystko inne, Estelle: zapach kocyka, tytuły książek, wzór na kubku. Ale nie pamiętasz, jak wyładowałaś w tamtym wózku?

– Czy pan mi w ogóle wierzy?

– Nieważne, czy ja wierzę. Policja i prokuratura potrzebują dowodu. W ich świecie prawda niepoparta dowodami się nie liczy. Dokończymy jutro.

Podnoszę się i zbieram do wyjścia. Kiedy docieram do drzwi, odwracam się.

– Mogę już tylko czekać na cud.

*

Dźgam widelcem klops i tłuczone ziemniaki, siedząc w cichej stołówce. Marge upuszcza łyżeczkę, a wtedy cichnie nawet stukanie widelców i noży o talerze. Podnoszę wzrok i widzę Marge spoglądającą w stronę drzwi.

Doktor Ari idzie w kierunku naszego stolika, lekko utykając, na co wcześniej nie zwróciłam uwagi. Odkładam widelec na brzeg talerza.

Oliver też jest zdumiony jego widokiem. Jego ręka zastyga w powietrzu.

– Coś się stało – mówi, nie odrywając wzroku od lekarza. – Nigdy wcześniej nie widziałem go na stołówce.

Doktor Ari zmierza w moją stronę. Popycham swoją tacę do Marge, czując przypływ nadziei. Stało się. Znaleźli ją. Znaleźli Mię. Wyobrażam sobie, jak doktor Ari siada, bierze mnie za rękę, uśmiecha się i wypowiada słowa, na które tak długo czekałam.

Jednak on nie siada, nie bierze mnie za rękę. Trudno pomylić pusty wyraz jego twarzy z uśmiechem. Modłę się o jeszcze jedną chwilę nadziei i wiary w to, że ją znaleźli. A później niech się dzieje co chce.

*

W gabinecie doktor odchrząkuje i wsuwa okulary głębiej na nos.

– Zadzwoniono do mnie w sprawie pewnego dowodu. Policja właśnie otrzymała wyniki z laboratorium.

– Jakiego dowodu?

– O tym za chwilę. Powiedz mi, czy pamiętasz, jakie przedmioty znaleziono przy tobie w samochodzie?

– Moją torebkę. Mapę. I broń Jacka.

– Znaleziono cztery rzeczy: twoją torebkę, mapę, broń i kartkę papieru.

– Już sobie przypominam. Dzięki torebce zdołali mnie zidentyfikować. Była też mapa i broń. Nie pamiętam żadnej kartki papieru.

– Była przesiąknięta krwią. Wysłali ją do laboratorium na Florydzie.

– Nie pamiętam żadnej kartki. – W gabinecie panuje chłód. Pocieram ramiona, żeby się choć trochę rozgrzać.

– Opowiedz mi o broni – prosi lekarz.

– Tej, którą znaleźli w samochodzie? Zabrałam ją z garderoby Jacka.

– I zawiozłaś do domu Anny.

– Tak.

Patrzemy na siebie.

– O co pan mnie pyta? Jaki sens ma to przesłuchanie? – Czuję frustrację. – Dlaczego pyta pan o to, czego nie pamiętam, zamiast o to, co pamiętam?

– O nic cię nie pytam. Kiedy znalazłaś w szafie broń, włożyłaś do komory jeden pocisk. Tylko jeden. Kiedy przyjechałaś do domu Anny Lieberman, załadowana była tylko jedna komora. Ale kiedy znalazła cię policja, broń była nienaładowana, za to znajdowały się na niej twoje odciski palców. A ty zostałaś postrzelona.

– Dlaczego to takie ważne?

– Chcę tylko, żebyś zachowała w pamięci ten szczegół. Ale to nie wszystko.

Głęboko wciągam powietrze i wyglądam przez okno. Na zewnątrz jest ciemno i mgliście, nie jestem w stanie nic dostrzec, nawet jednego drzewa.

– Musimy porozmawiać o liściku.

– Myślałam, że o kartce papieru.

– To była kartka papieru, dopóki pracownicy laboratorium z Florydy nie zrobili cyfrowych zdjęć w różnych rodzajach oświetlenia. Nie znam się na technikach śledczych, ale okazuje się, że zdołali odtworzyć czytelny obraz znajdującego się na niej listu. Godzinę temu otrzymałem jego kopię.

Na biurku przed nim leży kartka papieru. Spuszczam wzrok.

– Niestety laboratorium potrzebowało aż tyle czasu, żeby odcyfrować treść listu. Gdybyśmy go mieli wcześniej, bardzo ułatwiłoby nam to sprawę. – Podaje mi kartkę. – Przeczytasz na głos?

Wyciągam rękę, chwytam papier kciukiem i palcem wskazującym. Kartka formatu A4 stanowi kopię strony wyrwanej z notesu i jest pokryta odręcznym pismem. Przebiegam tekst wzrokiem. Litera sprawiają wrażenie dziwnie chaotycznych, nie potrafię jednoznacznie stwierdzić, w którym miejscu kończy się jedno słowo, a zaczyna drugie. Na całej stronie znajduje się nie więcej niż dwadzieścia słów.

– Przeczytaj głośno. – Głos doktora Ariego dociera do mnie z daleka.

Rozpoznaję swoje pismo: nerwowe, pospieszne, ale moje. Czytam tekst w milczeniu. Słowa obmywają mnie niczym fale pochłaniające kruchy zamek z piasku na plaży. I wtedy popełniam błąd. Zamiast wsiąść do windy, miejsca spokoju i wytchnienia, udaję się na Stone Harbor, plażę, gdzie spędzałam wakacje z rodziną, kiedy byłam dzieckiem.

Ponad linią przypiływu wznosiły się ogromne skały, a odcienie maślanej żółci i turkusy mieszały się z barwą łososiowego różu i pereł. Fale przypiływu pieściły piasek, a później moje palce u stóp, po czym wracały do bezkresnego morza. Spienione fale, słone morskie powietrze i spierzchnięte usta. Różowe i fioletowe kolczaste jeżowce i splecione algi wokół moich kostek. Wyrzucone na brzeg

skorupiaki i wodorosty, tak spokojne w porównaniu ze wzburzonymi falami. „Weź mało wody i dużo piasku, bo inaczej ściany zawałają się pod własnym ciężarem” – poradził mi tata, kiedy zagarniałam kopczyk. Użyłam idealnej ilości wody i piasku, lecz i tak nie miałam szans. Zacisnęłam dłoń w pięść i, czując szorstkość ziarenek na skórze, patrzyłam jak fala niszczy mój zamek.

– Przeczytaj mi to – nalega doktor Ari i odchyła się na krzesło.

– *Dłużej tego nie zniosę. Przepraszam za to, co zrobiłam. Zabiłam swoje dziecko. Jestem potworem.*

Słowa tłuką mi się po głowie. Czuję twardą bolesną gułą w gardle, a później zaczyna narastać we mnie płacz. Czas staje w miejscu i chociaż nie pamiętam ani jednego momentu z całego mojego życia, widzę swoje zakrwawione dłonie i mokre od łez policzki mojej córki. Opowieść, którą snułam, była tylko zamkiem z piasku, który właśnie zmyły fale oceanu, niczym więcej. Czuję, że pękam. Mój umysł rozpada się na kawałki jak wazon upuszczony na podłogę. Wiem, że próba złożenia czegokolwiek w całość nie ma sensu, więc nawet nie próbuję. Siedzę tylko i wpatruję się w swoje dłonie. Dotarłam do kresu wytrzymałości i nie mam już na nic siły.

Potężny prąd uderza nerw w mojej głowie i słyszę krzyk. Głos należy do mnie, chociaż zdaje się płynąć z oddali. Nie rozpoznaję słów. A później rozpadam się w drobny mak.

Budzę się oszołomiona. Nie z głębokiego snu, tylko z chemicznego uśpienia, po którym przypina się pacjenta pasami do łóżka. Pielęgniarka siedząca obok mnie wstaje i zakłada mi na ramię rękaw ciśnieniomierza. Nie tak miało się skończyć.

Zabiłam swoje dziecko. Przepraszam.

CZEŚĆ 4

*Jakże zdumiewające są te ciągłe zmiany!
Nie mogę przewidzieć,
co się ze mną stanie za chwilę!*

Lewis Carroll, *Alicja w Krainie Czarów*
tłum. Antoni Marianowicz

Rozdział 23

– Niech pan zadzwoni na policję – żądam dwa dni później, kiedy wracamy do naszych sesji. – Przyznam się do winy. Skończmy z tym wreszcie.

Drażymy ten temat już prawie godzinę. Pogodziłam się z prawdą, ale doktor Ari zdaje się krążyć wokół niej, starając się nie dopuścić do pełnej konfrontacji.

– Po kolei. Zacznijmy od...

– Napisałam list, w którym przyznaję się do zabicia córki. Wszystko to, czym się tutaj zajmujemy dzień po dniu, jest czystą farsą. Niech pan zadzwoni na policję.

– A co z ciałem, gdzie jest jej ciało? Co dokładnie się wydarzyło i kiedy? Pozostało jeszcze zbyt wiele pytań bez odpowiedzi. Nie pozwolę ci się poddać. – Podnosi ręce. – Takie wybieganie myślami do przodu w niczym nie pomaga. Skoncentrujmy się na liście.

– To nie list, tylko wyznanie.

– Pamiętasz moment, w którym go napisałaś?

– Czy pamiętam? – Nasza rozmowa staje się z minuty na minutę zabawniejsza. – Mam dość. Niech pan zadzwoni na policję, żebym mogła się przyznać do winy. Musi się pan wreszcie pogodzić z sytuacją, to już koniec.

– Pamiętasz moment, w którym go napisałaś? – powtarza lekarz.

– Nie pamiętam, ale poznaję swój charakter pisma. Wygląda, jakbym skreśliła te słowa w pośpiechu, ale to na pewno ja je napisałam.

– Chcę ci coś pokazać.

– A więc to nie wszystko? Dobry Boże, co jeszcze? Mapa z zaznaczonym miejscem pochowaniaia Mii? A może wycięłam na jej skórze swoje inicjały?

Doktor Ari podaje mi kawałek papieru.

– Jest coś, o czym zapomniałem ci powiedzieć.

Doktor o niczym nie zapomina. Wszystko, co robi, ma swoją przyczynę. Chwytam papier.

– Nic nie rozumiem, to ten sam list.

– Odwróć go – mówi.

Na odwrocie kartki nic nie jest napisane, widać tylko krwawe smugi.

– To jakiś żart? – pytam.

– Przyjrzyj się dokładnie.

Mrużę oczy i dostrzegam ledwie widoczny zarys jakiegoś nadruku.

– Nie mogę przeczytać słów, ale widzę cyfry. Może numer telefonu? Nic nie rozumiem. – Oglądam kartkę z obydwu stron. – Naprawdę nie rozumiem.

– To rachunek z Baru u Diane, przy trasie numer czterysta trzydzieści cztery. Rachunek za dwie filiżanki kawy i dwa kawałki ciasta pekanowego.

– Wypiłam kawę, zjadłam ciasto, a później spisałam swoją spowiedź. – Kręcę głową z niedowierzaniem. – To dopiero historia.

– Dzięki Google'owi poszedłem o krok naprzód. Pozwoliłem sobie wydrukować zdjęcie tego miejsca. – Doktor Ari otwiera teczkę i wyjmuje z niej fotografię.

Szukam w tym wszystkim sensu, ale coś tu nie gra. Nie lubię ciasta pekanowego, orzechy przyklejają mi się do zębów, poza tym przeszkadza mi posmak syropu klonowego.

– Nawet nie lubię ciasta pekanowego – mówię.

Wsiądź do windy.

Przyglądam się zdjęciu Baru u Diane, parterowego budynku z neonowym napisem w oknie i widoczną przez frontowe drzwi szafą grającą. Słyszę dobiegającą z wnętrza melodię. Natężone dźwięki. Refren. Melodia chwyta mnie za serce, z początku łagodnie, by po chwili pociągnąć w kierunku drzwi wejściowych. Obrazy napierają jak tłum dzieci, z których każde usiłuje zwrócić na siebie uwagę. Wspomnienia są infantylne, niekompletne, lecz w końcu dojrzewają, nabierają kształtów.

Widelec skrobiący po powierzchni białego porcelanowego talerza.

Orzechy pekan przypominające kształtem ludzki mózg.

– Piosenka – mówię. – Pamiętam piosenkę.

Muszę tam wrócić, cofnąć się do momentu, w którym zobaczyłam błysk i usłyszałam huk wystrzału. Pamiętam jego dźwięk.

Niżej. Zjedź niżej.

Kamyki pod kolanami. Chrapliwy oddech. Nogi ciężkie jak ołów. Bijące szaleńczo serce, pulsujący ból.

Niżej.

Plastik. Niebieski. Indygo albo barwinkowy. Błękit pruski? Granatowy. Granatowy brezent.

Siadam prosto i rozplatam ramiona.

Niżej.

Zastanawiam się, czy nie sprawić, żeby guziki windy zniknęły. W zależności od tego, co znajdę w barze, może się okazać, że nie będę już chciała wrócić do rzeczywistości.

*

Lieberman stał przede mną na rozstawionych nogach, wbijając podeszwy butów w żwir, i celował do mnie z pistoletu.

Najpierw zobaczyłam błysk, później eksplozja poraziła moje bębenki. Na chwilę straciłam słuch, potem zaczęło mi głośnie dzwonić w uszach. Czekałam na ból, pieczenie, ale nic się nie wydarzyło.

Ciało Liebermana runęło w moją stronę, jakby ktoś go popchnął. Upadł na ziemię twarzą w dół. Leżał bez ruchu jak rażony piorunem. Patrzyłam na ciemny punkt na jego plecach rozlewający się w wielką szkarłatną plamę.

Wbiłam wzrok w miejsce, z którego dobiegł dźwięk i błysk wystrzału. Zza samochodu wyłonił się cień. Sylwetka nabrała kształtu niczym rosnące w siłę widmo. Kobieta z pistoletem w dłoni.

– Bezżyteczny sukinsyn – odezwała się Anna Lieberman. – Nigdy nie robi tego, o co się go poprosi. – Wpatrywała się w jego zakrwawione plecy, jakby był nikim, po czym rozplynęła się w ciemności. Przeniosłam wzrok na ciało Liebermana, obok którego rozlewała się plama szkarlatu wcześniej pokrywająca jego plecy.

Nie miałam siły, żeby wstać, lecz zdołałam zdjąć ciężar ciała z kolan. Chwilę później dosięgły mnie światła chevroleta caprice. Anna zaparkowała obok zwłok Liebermana.

– Możesz wstać? – zapytała, wysiadając z samochodu.

Pokręciłam głową.

– Nie czuję nóg.

– Spróbuj.

Chwyciła mnie za łokieć i dźwignęła na nogi, sięgnęła za moje plecy i przecięła plastikowe kajdanki. Wyciągnęła z bagażnika granatowy brezent, przykryła nim ciało brata, wsunęła pod nie kraniec materiału i przetoczyła zwłoki jak pielęgniarka zmieniająca prześcieradło unieruchomionemu pacjentowi.

Zrobiłam, co mi kazała. Przeciągnęliśmy Liebermana około piętnastu metrów, aż znalazłyśmy się przy wejściu do kukurydzianego labiryntu. Wtargaliśmy go do budki, zasunęliśmy przednią ściankę i zamknęliśmy boczne drzwi.

W samochodzie Anna usiadła zaledwie kilka centymetrów od kierownicy. Mrużąc oczy, jechała w ciemności trasą 434 na południe. W końcu skręciła na stację benzynową Chevron i zaparkowała przy bocznych drzwiach. „Klucz u kierownika”, gosił napis.

– Posłuchaj mnie uważnie, Estelle Paradise. Nie chcemy nikogo więcej w to mieszać, rozumiesz?

Kiwnęłam głową. Poczułam nadzieję. Po raz pierwszy od wielu dni ogarnęło mnie coś na kształt nadziei.

– Pójdź po klucz. – Wsiadła z samochodu i zamknęła drzwi. – Zaczekaj tu na mnie.

Zamierzałam ją zapewnić, że nie zadzwonię na policję, że nikomu nic nie powiem. David Lieberman nie żył, a ja byłam gotowa jej obiecać, że zabiorę potworne wydarzenia ostatnich dni do grobu. Oddałabym wszystko, co mam, obiecałabym jej wszystko, zrobiłabym dla Mii wszystko. Dosłownie wszystko.

Anna wróciła z kluczem.

– Doprowadź się do porządku – powiedziała, wręczając mi plastikową torbę. – Zostałam w łazience nasączane chusteczki. – Przebierz się w czyste ubrania, tylko nie zostaw w łazience tych zakrwawionych. Wyrzuć je do tamtego kontenera na śmieci – dodała i skinęła głową w kierunku bocznej ściany budynku. – Nie mieli butów, więc postaraj się jak najlepiej doczyścić swoje. Pospiesz się, nie mamy całej nocy.

Wysiadając z samochodu, ledwie zdołałam rozprostować nogi i z trudem dowlokłam się do toalety. Otworzyłam drzwi, odkręciłam wodę i umyłam ręce.

Wrzuciłam swoje ubłocone buty do umywalki i patrzyłam na spływający z nich brud. Włożyłam białe podkoszulek, szarą bluzę z kapturem i kilka minut później wyszłam z toalety z torbą zakrwawionych ubrań. Zgodnie z poleceniem Anny wyrzuciłam ją do zielonego kontenera.

Wyjechałyśmy z parkingu i po niespełna pięciu minutach Anna zatrzymała się obok budynku z wielkim mrugającym neonem. „Bar u Diane”. Pokazała mi miejsce, żebym wysiadła z samochodu.

– Żadnych sztuczek i nic nie mów, bo pożałujesz. – Kiedy stanęła tuż koło mnie, sięgnęła za siebie, wyciągnęła zza paska broń i wbiła mi łufę w brzuch. – Chyba już ustaliłyśmy, że potrafię strzelić bez uprzedzenia.

– Po co tu przyjechałyśmy? – zapytałam.

– Żeby coś zjeść – odparła i wskazała na frontowe drzwi baru.

– Wiedziałam, że postąpisz jak należy – powiedziałam.

– Nie bądź głupia. – Wyjęła z kieszeni gumkę recepturkę. Zebrała włosy w kucyk, przyglądając je po obu stronach głowy.

Miałam nadzieję. Wciąż miałam nadzieję.

*

Na wystrój Baru u Diane składała się stal nierdzewna, boksy z kanapami pokrytymi sztuczną skórą i stoły przykryte obrusami w czerwono-białą kratkę. Na ścianie nad ladą wisiało menu śniadaniowe, z którego można było zamawiać przez cały dzień, zaś nazwy dań dnia wypisywano kredą na tablicy.

Bar był pusty, nie licząc mężczyzny w niebieskim kombinezonie studiującego listę dostępnych piosenek w szafie grającej.

Anna zaprowadziła mnie do pierwszego boksu przy drzwiach.

– Diane słynie ze swoich ciast pekanowych.

Położyłam dłonie na stole i zauważyłam, że nadal mam błoto za paznokciami. Później włączyła się szafa grająca: najpierw rozległy się dźwięki gitary, później głos. Chrapliwy, drżący. Johnny Cash.

*Drzemiącą we mnie bestię
więżą kraty kruche jak lód.
Za dnia nie chce zaznać spokoju,
Nocami wyje do księżycy, szczerząc kły.
Boże, dopomóż bestii, która we mnie tkwi.*

– Kawa i ciasto pekanowe? – zapytała Anna, jakby to była najnaturalniejsza rzecz pod słońcem. Nie czekając na odpowiedź, zawołała, co zamawia, do stojącej za ladą kelnerki, która kiwnęła głową i zdjęła dwa kubki z dużego stosu.

– Obiecuję – powiedziałam. – Przyrzekam, że nikomu nie powiem. Nigdy nie...

Anna spojrzała na mnie, zdumiona, po czym roześmiała się na głos.

– Obiecuję, że twojej córce nie spadnie włos z głowy. Czy taka obietnica na coś ci się przyda?

Kiwnęłam głową, czując, jak gorące łzy usiłują się wydostać spod moich powiek.

– Wyobraź ją sobie za kilka lat w ładnych ubraniach, w pokoju z łóżkiem z różowym baldachimem i taką ilością zabawek, że nie będzie wiedziała, co z nimi zrobić. Z mamą, tatą, może nawet bratem lub siostrą. Ludźmi, którzy będą się o nią troszczyć i ją kochać. Będzie miała to wszystko. Czy nie tego dla niej chcesz?

Przełykam ślinę.

– To jedna strona monety. Chcesz usłyszeć jaka jest druga?

– Zrobię wszystko.

– Mam nadzieję – powiedziała, sięgając za plecy, i wyjęła zza paska broń, a następnie wsunęła ją do przedniej kieszeni bluzy. – A teraz pokażę ci drugi obrazek. Mała dziewczynka mieszka ze swoim tatusiem – traktuję to słowo bardzo umownie – który ją kocha i o nią dba. Kupuje jej śliczne rzeczy: biżuterię, szminki, sukienki, czego tylko dusza zapragnie. Ale ona musi się za to wszystko odwdziżyć. Za każdym razem, kiedy coś od niego dostaje, musi mu dać coś w zamian. Dziewczynka kocha swojego tatusia i chce, żeby był szczęśliwy, więc robi to, o co on ją poprosi. Wszystko.

Przez kilka sekund mój umysł nie chciał przyjąć tego do wiadomości, lecz później nadzieja przysła. Krew dudniła mi w uszach, gdy dotarło do mnie znaczenie jej słów.

Kelnerka w średnim wieku z pomarszczoną skórą, która sprawiała wrażenie zbyt obszernej przy jej drobnej sylwetce, postawiła przed nami kawę i ciasto.

– Zjedzmy, a później opowiem ci, jak to będzie wyglądać.

Zmiażdżyłam orzeszki widelcem i wymieszałam je z nadzieniem. Konałam z pragnienia. Kawa okazała się letnia i niesmaczna; pierwszy łyk zostawił w moim gardle gorzki posmak. Wypiłam ją trzema haustami, wzdrygając się z obrzydzenia. Kiedy odstawiłam pusty kubek, zobaczyłam na jego dnie biały kredowy osad, ale było już za późno; wypłam kawę do ostatniej kropelki.

– Jesteś mądrą dziewczynką, myślę, że mnie zrozumiałaś – odezwała się Anna i rozgniotła widelcem spód z kruchego ciasta. Zjadła kolejny kawałek. – Nie muszę dodawać, że plan mój i Davida się nie powiodł.

Siedziałam sztywno, niezdolna choćby kiwnąć palcem.

– Jaki plan? – Kurczowo ścisnęłam pusty kubek. Czy ściany baru się poruszyły, czy tylko to sobie wyobraziłam?

– Wszystko było w porządku, dopóki się nie zjawiłaś. David jest... – Zawiesiła głos i uśmiechnęła się. – Był trochę niestabilny emocjonalnie.

Odsunęłam od siebie talerzyk z ciastem.

– Na czym to ja skończyłam? Ach tak, mój brat. Znajdujemy z Davidem niechciane dzieci i sprzedajemy je ludziom, którym na nich zależy. Niechciane oznacza, że rodzice stracili nimi zainteresowanie lub je porzucili. Niemowlęta, których matki nie są w stanie zaopiekować się kolejnym dzieckiem, dzieci narkomanek. Możesz mi wierzyć lub nie, ale jedno z tych dzieci urodziła bezdomna dziewczyna. Żadnych agencji, prawników, opłat, dokumentów. Nic, tylko przeniesienie odpowiedzialności. Krótko mówiąc, kojarzyliśmy ze sobą rodziny. Ludzie byli gotowi zapłacić krocie za dziecko odpowiedniej płci i w odpowiednim wieku.

A później wszystko wymknęło się spod kontroli. Moim zdaniem David nigdy nie potrafił trzeźwo ocenić sytuacji. W kółko gadał o tej wyspie, plaży, hotelu i wycieczce. Przynosił mi kolorowe foldery, tu Paryż, tam Barbados. Nie przestawał mówić o tym, dokąd się wybierzemy i co będziemy robić. Dureń.

Poczułam strach, który przeniknął mnie do szpiku kości.

– David opowiedział mi o tobie i z tego, co usłyszałam wynikało, że nie jesteś typem mamuski. Pozwalałaś córce płakać całymi godzinami. Powiedziałaś mu, że taka kobieta jak ty nigdy na to nie pójdzie – miałaś pieniądze, dom, męża – ale nie chciał mnie słuchać. Wiedziałaś, że to kiepski pomysł, lecz David się uparł. Twierdził, że twój mąż to jakiś palant obracający domami.

– Ile chcecie pieniędzy?

– Pieniądzy? A kto mówi o pieniądzach? – Anna roześmiała się i odwróciła w stronę stojącej za ladą kelnerki. – Czy mogę prosić o dolewkę kawy i rachunek? – Ponownie zwróciła się do mnie. – Nie proszę cię o pieniądze, ale mam dla ciebie pewną propozycję. Jeśli jesteś tak dobrą matką, za jaką się uważasz, chętnie z niej skorzystasz.

Podeszła do nas kelnerka i dołała Annie kawy. Patrzyłam, jak napelnia również mój kubek, a następnie kładzie na stole rachunek.

– Kiedy tylko będą panie gotowe – powiedziała kelnerka, zbierając talerzyki po cieście.

– Jesteśmy gotowe – odparła Anna i rzuciła na stół kilka banknotów.

Straciłam trzeźwość widzenia, zaczął mnie morzyć sen. Moje ciało zrobiło się ciężkie, jak gdyby krew w żyłach zamieniła się w olów.

– Zapłacę ci tyle, ile będziesz chciała, Anno, obiecuję. Mój mąż jest właścicielem nieruchomości, podaj tylko kwotę. Dwieście tysięcy? Dam ci, ile tylko zechcesz... – Wydawało mi się, że zaczynam bełkotać, lecz nie byłam pewna. Świat wokół mnie jakby się rozmazał.

– Przykro mi, mam już chętną.

Coraz trudniej było mi zachować przytomność, powieki mi drgały i dostrzegłam kątem oka mijającą nasz stolik kelnerkę, chociaż dopiero co widziałam ją za ladą.

Miała chętną!

– Chcesz ją zobaczyć?

– Tak. – Zabrzmiało to tak, jakbym miała w gardle papier ścierny. – Proszę.

Patrzyłam, jak kelnerka idzie w kierunku drzwi, a za nią podąża mężczyzna, który wcześniej wrzucił monetę do szafy grającej. Anna wstała i dała mi znak, żebym z nią poszła. Nogi na szczęście nie odmówiły mi posłuszeństwa, chociaż nie byłam pewna, kto wydaje im rozkazy.

Kiedy wyszliśmy za drzwi, światła w barze pogasły. Życie płynęło w zwolnionym tempie. Miałam wrażenie, że góra zamieniła się z dołem, lewa strona z prawą, a świat wokół mnie z sekundy na sekundę traci ostrość. Nagle znalazłam się na opustoszałym parkingu. Odwróciłam się i zobaczyłam, jak kelnerka zamyka drzwi baru i zmienia wywieszkę z „otwarte” na „zamknięte”.

Na stoliku w boksie przy oknie stał dziecięcy fotelik samochodowy. Anna gestem dała znać kelnerce, żeby odwróciła go w drugą stronę.

Zobaczyłam Mię w czerwonym kombinezonie i bucikach, ubrankach, które zniknęły z jej szafy. Trzymała w ręce butelkę i piła z niej łapczywie, przerywając co chwilę, tak że przekrzywiony smoczek napelniał się powietrzem.

Przebiegł mnie dreszcz. Wpatrywałam się w Mię przez okno, dopóki nasze twarze nie zwały się w jedno. Patrzyłam na swoje odbicie w nadziei, że zobaczę odważną Joannę d'Arc, lecz zamiast tego w szybie witryny dostrzegłam kobietę z dzikim spojrzeniem, skołtunionymi włosami i zalaną łzami twarzą.

Może piekło rzeczywiście jest miejscem wiecznych tortur i cierpienia, pełnym ognia i siarki, lecz ja wyobrażałam je sobie znacznie prościej: tkwiłam w piekle, stojąc przed barem i wpatrując się w swoją córkę za szybą. Mój otumaniony i spanikowany mózg wypełniało kłębowisko sprzecznych instrukcji. Do pewnego stopnia było to również niebo. Mia żyła i wyglądała dobrze, wręcz zdrowo.

– Nie zostawiaj jej tam! – krzyknęłam, ruszając w stronę baru.

– Nie dotykaj drzwi – odezwała się Anna, mierząc z broni do widocznej za szybą Mii.

Światła w barze na zmianę jaśniały i gasły. Zastanawiałam się, jaki narkotyk wsypano mi do kawy, czy był śmiertelny i czy jestem dostatecznie silna, żeby rozbić szybę gołymi rękami.

Jakby czytając w moich myślach, Anna powiedziała:

– Żadnych sztuczek. Nacisnę spust, zanim zdążysz mrugnąć okiem. Twojej córce nic nie będzie, za to ty zbladłaś. Lepiej wsiądź do samochodu, zanim mi tu zemdlejesz.

– Czy mogę jej dotknąć? – Byłam bliska utraty przytomności i pragnęłam tylko raz jej dotknąć, zanim to się stanie.

– Nie bądź głupia. Tylko by się rozplakała.

– Czego ode mnie chcesz, skoro nie pieniędzy? – zapytałam.

– Żebyś dotzymała obietnicy – odparła. – Wsiadaj do samochodu.

Nie chciałam brnąć w to wspomnienie ani kroku dalej z obawy przed tym, że mogę nie znaleźć drogi powrotnej. Ostatnim dźwiękiem, jaki zapamiętałam, był chrzęst przyskającego spod kół zwirow, kiedy odjechałyśmy z Anną w ciemną noc.

Rozdział 24

Czułam się skołowana i nie miałam pewności, gdzie jestem. Później na nowo wróciło do mnie wspomnienie sceny sprzed baru. Otworzyłam oczy i po lewej stronie ujrzałam Annę z jedną ręką na kierownicy i drugą schowaną w przedniej kieszeni. Potrafiłam wymyślić tylko jeden powód, żeby nie chwycić kierownicy i nie skierować samochodu na najbliższy słupek – cień szansy, że Anna odzyska rozum.

– Dlaczego zostawiłaś ją z tamtą kobietą? Wyjaśnij mi, co się dzieje. – Było ciemno i nie potrafiłam się zorientować, gdzie jesteśmy. Mówiłam powoli, lecz wyraźnie. – Przywiozłaś mnie tutaj tylko po to, żebym zobaczyła ją przez szybę pod opieką jakiejś kelnerki?

– Daj spokój. Nic nie poszło zgodnie z planem. David nawalił i musiałam cię zabrać do baru. Ale bez obaw, Diane zaopiekuje się dzieckiem, dopóki nie przyjedzie po nie nowa mamusia. Mówiłam ci, że mam już chętną. I tak dochodzimy do kwestii twojej obietnicy.

Co mogłam jej na to odpowiedzieć? Postanowiłam siedzieć cicho i czekać na odpowiedni moment. Oddychałam powoli i głęboko, świadoma faktu, że dodany do kawy narkotyk przestaje działać.

Skręciliśmy w lewo. Rozpoznałam zarys budki z biletami; wróciliśmy na pole kukurydzy. Anna zatrzymała samochód i zgasiła silnik.

– Pomożesz mi go zakopać – oświadczyła, pociągając znajdującą się pod kierownicą dźwignię. Bagażnik otworzył się z głośnym łomotem. – Bierzmy się do roboty – powiedziała, kiedy wysiadłyśmy, i rzuciła mi parę sztywnych roboczych rękawic. – Mamy godzinę, żeby wykopać grób długi na metr osiemdziesiąt – dodała i wbiła łopatę w mokrą ziemię.

Zaczęłyśmy kopać.

*

Godzinę później byliśmy u kresu sił. Ziemia okazała się miękka, lecz ciężka. Kiedy zrobiliśmy sobie chwilę odpoczynku, żeby rozprostować skostniałe palce, czułam się wewnątrz martwa. Los Liebermana był mi całkowicie obojętny.

– Wysłałam go za tobą tylko z jednego powodu – powiedziała Anna, gdy już odsapnęła – ale zbyt wcześnie zaczął ci wymachiwać bronią przed nosem. Poza tym nigdy nie nadawał się do tego biznesu. Zostawił kocyk na strychu i prawie wszystko zepsuł, kiedy zjawiła się u mnie policja. Gdyby zajrzeli do samochodu, znaleźliby ubranka i mleko. Ciągle zapomina wziąć lekarstwo, a wtedy traci głowę. Z takim człowiekiem nie można dojść do porozumienia ani tym bardziej robić interesów.

– Ale przecież był twoim bratem.

– Najwyżej przyrodnim. Wychowywaliśmy się pod jednym dachem, nic więcej.

Anna wskazała na ziemię. Dół był głęboki zaledwie na sześćdziesiąt centymetrów, za to dostatecznie długi, żeby zmieścić w nim ciało. Oświetliła drogę latarką, a ja zrobiłam wszystko, co mi

kazała. Przywlokłam zapakowane w brezent ciało Liebermana na skraj dołu. Wtoczyłam je do środka, zasypałam dół i udeptałam ziemię. Zakopanie ciała i wyrównanie ziemi zabrało mi około dziesięć minut. Kiedy skończyłam, piekły mnie dłonie i skóra między palcami.

– A teraz musisz napisać list. – Anna zawiesiła na chwilę głos i zacisnęła usta. – Cholera, papier został pewnie w jego kieszeni.

– Nie sądzę, żebym była w stanie napisać choć jedno słowo – odparłam i wyciągnęłam dłonie w kierunku Anny. – Nie mogę nawet zgiąć palców.

Wsunęła dłoń do torebki, pogrzebała w niej i wyjęła rachunek z baru.

– Poradzisz sobie. – Wskazała na bagażnik samochodu i oświetliła go latarką. Napiszesz tak: Dłużej tego nie zniosę. Przepraszam za to... – urwała, widząc, że nie notuję – co zrobiłam. Zabiłam swoje dziecko. Jestem potworem. A później się podpiszesz.

Pokręciłam głową. Długopis upadł na ziemię.

– Nie napiszę tego. Jesteś jeszcze bardziej szalona niż twój brat. – Mój mózg działał na zwolnionych obrotach. Musiałam tylko odgadnąć, na czym jej zależy. Co mogło być dla niej cenniejsze niż pieniądze, które miała jej zapłacić tamta nieznamą kobieta za Mię? – Anno, błagam cię. Zapłacę dwa razy więcej niż ona. Moje pieniądze nie są gorsze od innych.

– Nie potrzebuję twoich pieniędzy, tylko dziecka. Nie sposób prowadzić interesu bez towaru, prawda?

– Obiecuję zapłacić ci więcej niż ktokolwiek inny. Podaj tylko cenę.

– Nie potrzebuję twoich pieniędzy, tylko reputacji solidnego handlowca. – Anna zerknęła na zegarek i mówiła dalej: – Kiedy cię znajdą, za kilka dni czy nawet tygodni, zobaczą kobietę, która przyznała się do zabicia własnego dziecka. Dzięki twojemu wyznaniu nie będą szukać ani dziecka, ani mnie czy Davida. Założą, że zakopałaś dziecko w lesie albo porzuciłaś na śmietniku. – Anna położyła rachunek na dachu samochodu. – Powiedziałaś, że zrobisz dla niej wszystko, pamiętasz? – Przekrzywiła głowę. Ktoś, kto nie zdawałby sobie sprawy z ogromu jej szaleństwa, mógłby określić uśmiech Anny jako ciepły. – Jeśli to zrobisz, odwdzięczę ci się – powiedziała kusząco, jakby była dzieckiem proponującym mi wymianę kauczukowych piłeczek.

– Pragnę tylko jednego: żebyś oddała mi dziecko.

– Nic nie rozumiesz, co? – Anna pokręciła głową. – Umrzesz tak czy siak. Nic tego nie zmieni.

Cofnęłam się, co sprawiło, że Anna znowu podniosła broń.

– Mnie już tu dawno nie będzie i nikt nie będzie nas szukał. W zamian gwarantuję twojej córce – zawiesiła głos i wyprostowała rękę z bronią, celując mi między oczy – dobrą rodzinę. Ogródek, w którym będzie się mogła bawić, i naukę w prywatnej szkole.

Jeśli Lieberman był księciem ciemności, to Anna była królową.

– Błagam, zapłacę ci, ile tylko będziesz chciała...

– Obiecuję, że nikt jej nie złamie. Dzieci łatwo złamać, wiesz? Jaka matka zniósłaby podobną myśl? To jak będzie: niebo czy piekło? Wybór należy do ciebie, mamusiu.

Nawet gdybym zdołała ją obezwładnić i odebrać jej broń, co by mi to dało? Mia mogła już być w innym stanie, a nawet w Kanadzie lub w drodze do Meksyku. Nawet gdybym zdołała uciec, przez resztę życia szukałabym swojej córki.

– Ty wybierasz. Więc...?

Pokręciłam głową.

– Proszę, nie rób tego – szepnęłam.

– Tak czy inaczej umrzesz. Chociaż ten jeden raz zrób dla niej coś dobrego. Może mieć miły dom albo spędzić dzieciństwo na kolanach jakiegoś zboka. No więc jak?

Skamieniałam ze strachu. Moje życie w zamian za życie Mii. Mój umysł odłączył się od ciała. Oderwałam się od siebie samej, odpłynęłam. „Na kolanach jakiegoś zboka”. Z miłości można się zdobyć na każde poświęcenie, wszystko naprawić, poskładać.

Pochyliłam się i zmusiłam swoje opuchnięte palce do podniesienia długopisu.

Anna zbliżyła się do mnie, dzieliły nas teraz centymetry.

– Porządne życie dla twojego dziecka lub dzieciństwo spędzone w piwnicy.

Zacisnęłam palce wokół długopisu.

– Na rynku jest duży popyt na białe dziewczynki, wiesz? Arabowie mają bzika na punkcie ich bladej skóry i blond włosów. Mogę też znaleźć dla niej miłych rodziców, którzy opłacą jej lekcje baletu i będą ją wysyłać na letnie obozy.

Dłużej tego nie zniosę – zaczęłam pisać. Przepraszam za to, co zrobiłam – pisałam dalej i ta część nawet nie była kłamstwem. Zabiłam swoje dziecko.

Jestem potworem.

*

Wąwóz majaczył jakieś dziewięćdziesiąt metrów przede mną. Mia znajdowała się pod opieką kobiety, która podała mi kawę z narkotykiem i ciasto pekanowe. Nazajutrz rano ludzie zapełnią bar, na patelni będą skwierczeć jajka z bekonem, w powietrzu będzie się unosić zapach świeżo parzonej kawy i ciasteczek. A mnie znajdą martwą w wąwozie z odręcznie napisanym wyznaniem, że zabiłam swoją córkę. Szatański, lecz jakże wiarygodny scenariusz.

– Chciałabym, żebyś coś jej przekazała.

Zapytałam, czy mogę włożyć rękę do torebki. Oczy Dzwoneczka, wielkie i błękitne, patrzyły na mnie z rezygnacją równą mojej.

Anna schowała figurkę do kieszeni.

– Powiem ci, co masz zrobić. Weźmiesz broń do ręki i naciśniesz pedał gazu. Włożysz pistolet do ust lub przystawisz go sobie do skroni, wszystko mi jedno. Tuż przed wjechaniem do wąwozu pociągniesz za spust. Dotrzymam swojej części obietnicy, jeśli odwdzięczysz mi się tym samym.

Anna rzuciła broń na siedzenie pasażera, wyciągnęła rękę i zapaliła silnik.

– Gaz do dechy. – Słyszałam głos Anny, lecz dopiero po dłuższej chwili zrozumiałam sens jej słów.

A później zrobiłam to, o co mnie prosiła. Wcisnęłam pedał gazu i samochód ruszył. Opony toczyły się po żwirze, z wolna nabierając prędkości. Prawą dłonią chwyciłam broń i przystawiłam sobie do skroni.

Od wąwozu dzieliło mnie najwyżej czterdzieści pięć metrów. Sięgnęłam po pas bezpieczeństwa, czując pokusę, żeby go rozpiąć i wyskoczyć z samochodu. „Na kolanach jakiegoś zboka”. Nie miałam już argumentów, nie mogłam zaoferować Annie niczego poza własnym życiem w zamian za przyszłość Mii.

Dwadzieścia pięć metrów. Range rover coraz bardziej się rozpędzał.

Dziewięć metrów. Cały mój świat pokryła lepka, cuchnąca metalem substancja.

Mniej niż metr. Pociągnęłam za spust. Błysnęło, huknęło. Odrzut po wystrale okazał się czymś przerażającym. Ręka odskoczyła mi do tyłu i nie była pewna, czy w ogóle się postrzeliłam, lecz później zaczęło mi dzwonić w uchu, a głowa wróciła do pierwotnej pozycji. Poczułam się tak, jakby ktoś nasypał mi pieprzu do żył. Moje ciało poderwało się z siedzenia i stało się nieważkie, jak w diabelskim młynie. Trwało wieczność, zanim mój żołądek wrócił na miejsce, a samochód uderzył w ziemię. Usłyszałam potworny szczęk miażdżonego metalu i brzęk tłuczonego szkła. Moje ciało wygięło się niemożliwie. Przestałam się martwić czymkolwiek, a później wszystko umilkło i zapadła ciemność.

I wtedy wypowiedziałam swoje ostatnie życzenie, niczym skazaniec proszący o ostatni posiłek. Możliwości miałam nieograniczone: podróż w czasie, cofnięcie wskazówek zegara, niewidzialność,

wskrzeszenie zmarłych, rozplątanie węzłów krępujących moje niepokładane życie. Musiałam dokonać mądrego wyboru, być precyzyjna i rozważyć wszystkie możliwości, nie zostawiając miejsca na błąd lub nieporozumienie.

Ja i moje życzenie stanowiliśmy jedność. Byliśmy odporni na rozdzierany metal, roztrzaskujące się szkło i śmierć. Moje ostatnie życzenie było czymś pięknym i ponadczasowym. Nabierało kształtu, potężne i pierwotne. Mia, życzę sobie, żebyśmy spotkały się znowu w innym miejscu i czasie, a kiedy już się to stanie, niech moje ciało będzie idealnie ukształtowane, żebyś mogła się w nie wtulić.

Rozdział 25

Kiedy doktor Ari i ja wchodzimy na siedemdziesiąty komisariat przy Lawrence Avenue, przypominam sobie postać woźnego i przemożną potrzebę opuszczenia tego miejsca, którą odczuwałam za pierwszym razem. Rozumiem już, że wtedy postrzegałam świat przez soczewkę stworzoną przez mózg zalany hormonami i wrażliwościami, myślami pełnymi zniekształceń, wypaczeń i zafalszowań. Gdybym o wszystkim im powiedziała, policja odnalazłaby szyb windy, przesłuchałaby Davida Liebermana, wszystko mogłoby się okazać dużo łatwiejsze. Oto kolejny z moich błędów.

Przechodzimy przez szklane drzwi i zatrzymujemy się przed kontuarem. Spoglądam na nasze odbicia w szybie. Ja jestem rozczochrana i zmęczona, doktor Ari wygląda świeżo, jest wymuskany i radosny. Osobliwa z nas para: nienagannie ubrany mężczyzna, którego można by wziąć za prawnika, i kobieta z dziwną fryzurą, bez ucha.

Siedząca w recepcji kobieta spogląda na nas i zaprasza do kontuaru.

– W czym mogę państwu pomóc?

– Chcielibyśmy rozmawiać z detektywem Wilczkiem.

Kobieta podnosi słuchawkę, a my siadamy. Po kilku minutach zbliża się do nas oficer w jasnoniebieskiej koszuli, z krawatem wsuniętym za pasek. Broń w kaburze sprawia wrażenie zbyt małej w stosunku do całej jego sylwetki. Napis na plakietce informuje: „Detektyw Robert Wilczek”.

Najpierw przypominam sobie jego nazwisko, a później twarz. Pamiętam go ze szpitala. Był jednym z przesłuchujących mnie policjantów. Jego twarz jest obojętna, nie wyraża śladu zainteresowania. Pewnie założył, że przyszedłszy zgłosić jakiś błahy incydent, na przykład kradzież torebki lub przemoc domową.

Przygląda się nam.

– Detektyw Wilczek – mówi. Poprawia krawat i nagle się ożywia. – Pamiętam panią.

– Ja pana również.

„Pani Paradise, dzieci nie znikają ot tak z zamkniętych mieszkań”.

– W czym mogę pani pomóc?

Straciłam córkę, później ją odnalazłam, znowu straciłam, a kiedy po nią wróciłam, już jej nie było. Przez pewien czas niczego nie pamiętałam, ale już wszystko sobie przypomniałam. Wiem, kto ją zabrał, ale nie mam pojęcia, gdzie teraz przebywa.

– Wiem, co spotkało moją córkę – mówię. – Chcę zgłosić popełnienie przestępstwa.

Detektyw spogląda najpierw na mnie, a później na doktora Ariego, który pozwala mi mówić. Wiedziałam, że odezwie się dopiero wtedy, gdy sama nie będę w stanie zrelacjonować swojej historii. Zachowywał się tak już pierwszego dnia, kiedy się poznaliśmy, i od tamtej pory nic się nie zmieniło.

– Nazywam się doktor Ari. Jestem szefem oddziału psychiatrii w Klinice Psychiatrycznej Creedmoor. Pani Estelle Paradise leczyła się w niej przez kilka ostatnich miesięcy.

– Pamiętam, pamiętam. – W oczach detektywa pojawia się błysk. Policjant odchrząkuje. – Znajdźmy miejsce, w którym będziemy mogli spokojnie porozmawiać. – Wzywa gestem kobietę zza kontuaru i prosi ją, żeby sprowadziła detektywa Riverton do pokoju numer jeden.

Przemierzamy korytarz wyłożony idealnie wypolerowanym linoleum. Idziemy za policjantem jak kaczęta za matką. W pokoju przesłuchań znajdują się tylko stół i trzy krzesła. Ściany pokrywają plastikowe panele, na podłodze leży wykładzina.

Doktor Ari i detektyw Wilczek wychodzą z pokoju. Słyszę ich rozmowę na korytarzu, lecz nie potrafię rozróżnić poszczególnych słów.

Po minucie czy dwóch doktor Ari wsuwa głowę do pokoju i obiecuje przysłać po mnie któregoś z pracowników Creedmoor po zakończeniu przesłuchania. Kusi mnie, żeby poprosić o przysłanie Olivera, ale nie chcę przeciągać struny.

Zostajemy tylko we dwoje. Detektyw Wilczek siada naprzeciwko mnie. Wiem, że nasza rozmowa jest nagrywana i być może także oglądana w innym pokoju. Detektyw Wilczek nie może mieć więcej niż trzydzieści lat, chociaż zapamiętałam go jako starszego, lecz jego ciemne włosy są przerzedzone i spod fryzury na jeża prześwituje czaszka. Na serdecznym palcu dostrzegam jaśniejszy ślad w miejscu, gdzie dawniej nosił obrączkę. Jego lewa górna jedynka jest wyszczerbiona.

Staram się nie patrzeć na swoje odbicie w lustrze. Jestem pewna, że to lustro weneckie, a nie czuję się gotowa, żeby stawić czoło więcej niż jednej osobie naraz, nawet przez ścianę. Jedynym człowiekiem, który wysłuchał mojej opowieści, jest doktor Ari i mam poczucie, że zaraz znowu powiem coś niewłaściwego. Nie popełniłam świadomie żadnego przestępstwa, może poza niezgłoszeniem zaginięcia córki, ale poza tym w świetle prawa nie można mi nic zarzucić. Jako matka jednak dopuściłam się niezliczonych występków.

Kiedy opowiadam o Creedmoor i doktorze Arim, detektyw Wilczek przerywa mi w pół zdania.

– Nie mieści mi się w głowie, że odzyskała pani pamięć. Jak często zdarzają się podobne przypadki?

Wyczuwam w jego głosie ekscytację. Spuszczam wzrok na swoją torebkę.

– Uczestniczyłam w psychoterapii i terapii przywracania pamięci.

– Zwykle mam do czynienia z ludźmi, którzy celowo czegoś nie pamiętają. Musi mi pani powiedzieć coś więcej na ten temat. Pamiętam, że doznała pani urazu głowy. Zatem co wywołało u pani amnezję?

Do pokoju wchodzi kobieta i kładzie przed Wilczkiem teczkę. Zastanawiam się, czy doczekam dnia, w którym całe moje życie nie będzie się zawierało między tekturowymi okładkami. Policjantka przedstawia się jako detektyw Riverton. Jest po pięćdziesiątce, ale ma szczupłe ciało młodej kobiety.

Opowiedzenie całej historii zajmuje mi trzy godziny. Przez długie lata oceniałam się przez pryzmat tego, jak wdziali mnie inni. Na pogrzebie rodziców ludzie spoglądali na mnie ze skrępowaniem, nie wiedząc, czy powinni mnie pogłaskać po głowie, czy raczej ignorować. Wilczek i Riverton niejedno już w życiu wdziali. Mogę sobie tylko wyobrazić, z iloma trupami mieli do czynienia w swojej karierze, ile obrazów nieodwracalnie wryło się w ich pamięci, jak wiele nocy przesiedzieli w swoich samochodach przed własnymi domami, niezdolni wyłączyć umysłu, podczas gdy w środku czekali na nich mężowie, żony i śpiące dzieci.

Opowiadając swoją historię detektyw Riverton, usiłowałam rozszyfrować policjantkę, zinterpretować mowę jej ciała. Czy marszczyła brew, kiwała ze zrozumieniem głową? Nie nosiła obrączki, lecz przecież mogła być matką. Matką z podobnymi problemami do moich, wyrozumiałą wobec mojej historii lub taką, która oceni mnie o wiele surowiej niż jakikolwiek mężczyzna.

Reszta wieczoru upływa mi na czekaniu i odpowiadaniu na kolejne pytania, aż wreszcie zostaję wyprowadzona z posterunku, gdzie czeka na mnie furgonetka, która „na razie” odwiezie mnie z powrotem do Creedmoor. Detektyw Wilczek zapowiada, że przywiezie mi zeznania do podpisu, kiedy już wszystko sprawdzą.

Po powrocie do Creedmoor głęboko zasypiam. Pełne tęsknoty sny przerywane są krótkimi chwilami czuwania, a mimo to jestem pogodzona z chaosem własnych myśli. Całe dni spędzam w swoim pokoju. Między posiłkami i rozmowami z doktorem Arim na temat mojej przyszłości,

zapisuję kolejne kartki w dzienniku. Nie pozostawiam nawet jednej pustej linijki, bo dzięki temu mam wrażenie, że sama też jestem kompletna. Przynajmniej w teorii. Nie chcę ani chwili dłużej zastanawiać się nad tym, czego jeszcze nie będę sobie potrafiła przypomnieć. Czuję się tak, jakbym po długim dryfowaniu wreszcie odnalazła bezpieczną wyspę, i nie chcę znowu stracić gruntu pod stopami.

Dwa dni później otrzymuję wypis z kliniki.

– Zbadaliśmy prawdziwość papi historii – mówi Wilczek. – Po wejściu do domu funkcjonariusze... – Jego przytłumiony głos odbija się echem w mojej głowie, jakby mówił do mnie ze studni. Pozwalam, żeby jego słowa wyświetliły mi się w postaci filmu: policjanci wchodzą do domu Anny w konkretnym celu, stąpając po cienkim dywanie. Ich wzrok pada na błyszczące foldery turystyczne w salonie. Spiesznym krokiem przemierzają korytarz, wchodzą do pokoju, w którym obserwowałam z ulicy Annę trzymającą w ramionach moje dziecko. – W domu znajdowało się mnóstwo dziecięcych ubrań i zabawek – kontynuuje Wilczek. Nie patrzy mi już w oczy, tylko śledzi wzrokiem swoje notatki, jakby nie pamiętał szczegółów. – Były wśród nich ubrania dla niemowląt, ale też dla dzieci w wieku szkolnym. Znaleźliśmy zdjęcia, księgi rachunkowe z nazwiskami, kwotami, datami, a nawet danymi kontaktowymi. Badamy teraz zgłoszenia zaginięć dzieci w całym stanie. Natrafiliśmy już na kilka obiecujących tropów, ale na tym etapie śledztwa nie mogę o nich mówić. Uporządkowanie tego wszystkiego zajmie nam pewnie wiele miesięcy.

Porwali nie tylko moje dziecko, są też inne matki... Nie pozwalam sobie dokończyć tej myśli. Z trudem noszę własną stratę, nie jestem w stanie udźwignąć jeszcze cudzego ciężaru.

W kuchni funkcjonariusze znaleźli żółtą zastawę w kwiatki, którą opisywałam, i łyżeczkę dla niemowlęcia. Nie znaleźli jednak brudnych pieluszek pod plastikowymi donicami i pustymi opakowaniami po nasionach w koszu na śmieci.

– Były za to puste pojemniki na pieluchy i nawilżane chusteczki, a w nich ani śladu DNA. Tego samego dnia ktoś wywiózł śmieci na wysypisko.

Policjanci odnaleźli pole kukurydzy, ale nie zlokalizowali zniszczonej stodoły. Wilczek komentuje ten fakt jako „raczej nieistotny”.

Zastanawiam się, co to właściwie znaczy. Może po prostu pewne nieścisłości w zeznaniach uchodzą szałom na sucho, o ile nie mają większego wpływu na spójność całej historii.

Potwierdziła się również moja opowieść o spotkaniu przed domem Anny. Nie złożono oficjalnego raportu, ale dwóch funkcjonariuszy z Dover potwierdziło nieistotną sprzeczkę między trojgiem ludzi przy Waterway Circle.

– Bar miał w ostatnich latach kilku właścicieli, w tym sezonie ktoś go wydzierżawił. Zamknięto go tuż po Halloween, razem z kukurydzianym labiryntem. W całym hrabstwie nie ma drugiego takiego labiryntu, więc przyciąga on sporo turystów. Lokal wydzierżawiła starsza pani i zatrudniła sezonową obsługę na pół etatu. Nie ma żadnych dokumentów, umów, niczego. Jakby tego było mało, na koniec sezonu wynajęła profesjonalną ekipę sprzątającą. Cały budynek został dokładnie wyczyszczony, nie pozostał w nim nawet ślad DNA ani fragment odcisku palca. Odkopaliśmy ciało Liebermana. Zginął od strzału w plecy. To wstępna teza, ale wydaje się całkiem uprawniona.

Zakopałam to ciało. Wykopałam dół i wrzuciłam do niego ciało człowieka, który porwał moje dziecko. Nie mam z tego powodu najmniejszych wyrzutów sumienia.

– Wystawiliśmy list gończy za Anną Lieberman, lecz jak dotąd nie udało nam się jej zlokalizować. Nie widzę możliwości, żeby wywiozła pani córkę z kraju, bo nie ma jej aktu urodzenia, paszportu, niczego. Wcześniej czy później powinie jej się noga. Gdy tylko spróbuje zapisać Mię do lekarza, przedszkola czy szkoły, ściągnie na siebie podejrzenia. Wystarczy, że dostanie mandat lub podpisze umowę wynajmu, byśmy ją namierzili. To tylko kwestia czasu. Nie może wiecznie przed nami uciekać. Przedszkole, szkoła.

Przedszkole, szkoła.

– To może trwać całe lata – mówię, kręcąc głową. – Co mam robić do tego czasu? Gdzie jej szukać?

– Nie sądzę, żeby szukanie Anny było dobrym pomysłem. Liczyła na to, że wszyscy uwierzą w historię o pani samobójstwie i przyznaniu się do winy. To, że pani przeżyła, praktycznie niemożliwiło jej znalezienie... proszę mi wybaczyć to słowo... klienta na pani córkę. Łatwiej nam będzie szukać ich obu niż samej Anny. Wiem, że to trudne, ale musi się pani uzbroić w cierpliwość.

Każdego dnia w całym kraju giną setki dzieci, których zdjęcia można zobaczyć w witrynach sklepów i na kartonach z mlekiem. Wcześniej przyglądałam się tym plakatami, przerażona tym, ile lat upłynęło od czasu, gdy widziano te dzieci po raz ostatni. Nastolatki często ginęły bezpowrotnie. Niektóre z nich podejrzewano o to, że same uciekły. Ucieczka to jeszcze nie przestępstwo. Czy policja w ogóle ich szuka?

Nie próbuj z tym walczyć – mówię sobie. – To studnia bez dna. Moja córka jest tylko jedną z wielu zaginionych.

– Chciałbym panią przeprosić, ale wiem, że nic, co powiem, nie poprawi pani samopoczucia, więc nie będę nawet próbował.

„Przepraszam” nie ma żadnej wartości. To zupełnie tak, jakby próbował rozciąć ciało lwa i wydobyć ze środka ofiarę w nadziei, że jej życie będzie toczyło się dalej. To tak nie działa.

– Poszukiwania proszę zostawić nam. Pani musi tylko cierpliwie czekać – dodaje policjant.

– Jasne – mówię i wkładam rękawiczki.

*

Kończy mi się cierpliwość, chociaż nie zdążyłam jeszcze opuścić Creedmoor. Za każdą minutę rozłąki z Mią zyskuję coś w zamian. Nie jestem pewna, co to takiego, ale staje się coraz silniejsze. Determinacja? Odwaga? Nadzieja? Być może musiałam stracić jedno, żeby zyskać drugie, bo istnieje ograniczona liczba rzeczy, które potrafię unieść. Jeśli pozbędę się bólu, zyskam nadzieję. Czy właśnie tak to działa?

Następnego dnia w milczącym Creedmoor z widokiem na East River żegnam się z Oliverem. Nie jest to tradycyjne pożegnanie – żadnych uścisków i zwyczajowych pogawędek – po prostu muskam palcami jego rękę, przechodząc obok. Z mojej strony jest to coś w rodzaju potajemnego rytuału. Każdy, kto by nas zobaczył, uznałby ten dotyk za przypadkowy. Drewniany żołądz, którego mi podarował, leży bezpiecznie w mojej kieszeni.

Marge płacze, kiedy ściskam ją na pożegnanie. Jej ciało jest duże i miękkie, mam wrażenie, jakbym się z nim stapiała. Obiecujemy sobie, że nie stracimy ze sobą kontaktu, chociaż obie wiemy, że tak właśnie się stanie.

Idę kamienistą ścieżką po północnej stronie Creedmoor. Odliczam pięć pięter w dół i trzy w górę, żeby zlokalizować swój pokój. Odnajduję gniazdo, które kiedyś obserwowałam przez okno. Dawniej stabilna struktura z ciasno splecionych patyków i gałązek jest teraz spłaszczona, zniszczona i opuszczona. W pobliżu nie ma już opiekuńczych rodziców obserwujących niezdarne próby latania swoich piskląt. Życie płynie w tylu różnych kierunkach.

Po raz ostatni spotykam się z doktorem Arim w jego gabinecie. Staram się wszystko zapamiętać: wiszące na ścianie dyplomy, zapach pasty do butów, widok kominów w oddali.

– Chciałem ci życzyć powodzenia – mówi lekarz, odprowadzając mnie do wyjścia – i szczęśliwego zakończenia twojej historii.

– Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko czekać, aż Anna popełni błąd. Ale nie mogę liczyć tylko na ślepy traf – mówię i do oczu napływają mi łzy. Próbuję je powstrzymać.

– Ja akurat mocno wierzę w ślepy traf – odpowiada lekarz i po raz ostatni zamyka moją teczkę.

– A skoro już mowa o szczęśliwych zakończeniach, nie dokończył pan opowieści o kobiecie z jajkiem.

Doktor Ari marszczy brwi, lecz po chwili jego twarz się rozjaśnia.

– Zapomniałem już, że ci o niej mówiłem.

– No więc co to było, jeśli nie jajko?

– Ta kobieta już nie żyje, więc chyba mogę ci powiedzieć. Chodziło o łyżeczkę, której używała.

– Łyżeczkę?

– Jadła jajko srebrną łyżeczką. Srebro weszło w reakcję z zawartą w jajku siarką i zmatowiało. Łyżeczka miała przykry smak i wywołała u tej kobiety wspomnienie pewnego bolesnego doświadczenia z jej życia. Pacjentka nie potrafiła sobie z nim poradzić i straciła pamięć.

– Oto i historia kobiety jedzącej jajko.

– Właśnie – skwitował doktor Ari.

– Czy jeszcze kiedyś się zobaczymy? – pytam po długim milczeniu.

– Ktoś taki jak ja nie będzie ci już potrzebny.

Kiedy wyciąga do mnie rękę, ściskam ją, a potem przyciągam go do siebie. Przez krótką chwilę lekarz sztywnieje w moich ramionach, lecz zaraz się rozluźnia.

Kiedy po raz ostatni obserwuję go we wstecznym lusterku taksówki, poprawia krawat i otrzepuje marynarkę z niewidzialnych pyłków.

Rozdział 26

Mijają miesiące, a Mii wciąż nie ma. Rozmawiamy z Jackiem o tym, co zrobimy, jeśli będziemy musieli zidentyfikować jej zmaltretowane ciało w niewyobrażalnym dla nas stanie rozkładu – oboje zgadzamy się co do tego, że zrobimy to razem – ale nie potrafimy dojść do porozumienia, jak mamy przetrwać do tego momentu.

Tymczasem wynajmuję kawalerkę przy Pięćdziesiątej Ósmej. Chociaż od Sutton Place dzieli ją tylko krótki spacer, jest niedroga, a Jack okazuje się zadziwiająco hojny. Dobrze mi się mieszka w pobliżu kilku linii metra, przy cichej, zadrzewionej ulicy.

Po zakończeniu kontraktu w Chicago Jack otrzymuje posadę asystenta prokuratora generalnego, która wiąże się, jak mówi, z płaceniem frycowego, brakiem pensji i nadgodzinami. Jego umeblowane mieszkanie w Tribeca pozwala mu pozostać w „stanie przejściowym”. Nie wspomina jeszcze o rozwodzie, pozwalamy, żeby nasze życie, jak mówi Jack, toczyło się dalej, cokolwiek to znaczy.

Chociaż żadne z nas nie chce się przyznać do kolejnej porażki, od dawna jesteśmy łatwym celem. Małżeństwa dotknięte tragedią nie rozpadają się bezpośrednio z jej powodu, ale zwykłe funkcjonowanie pochłania całą naszą energię i w zestawieniu ze zniknięciem Mii nic już nie ma znaczenia. Żyjemy więc osobno i czekamy na nieunikniony rozpad naszego związku. Wiemy, że koniec małżeństwa jest bliski, tak jak zimowa śnieżycza, której lodowaty oddech jeży nam włosy na karkach.

Co tydzień spotykamy się z Jackiem na kawę w pobliskiej księgarni, gdzie udajemy normalność wśród ludzi dyskutujących o przeczytanych książkach, podróżach, rozmawiających o normalnych rzeczach, którymi zajmują się normalni ludzie.

Jack poświęca czas spędzany ze mną na układanie sobie w głowie faktów związanych ze zniknięciem Mii. Każde mi odtwarzać najdrobniejsze szczegóły i zadrećca się myślą, gdzie wtedy był i co robił.

– Czuję się odpowiedzialny – mówi podniesionym głosem, przez co ludzie wokół odwracają się i na nas patrzą. – Czuję, że to wszystko moja wina. Zatrudniłem tego świra, przyjąłem pracę w Chicago i kazałem ci się przeprowadzić do kamienicy.

Moje wyrzuty sumienia, że nie ochroniłam własnego dziecka, bledną w zetknięciu z bezsilnością Jacka, który nie może nic zrobić i nie potrafi sobie z tym poradzić. Jack rozwodzi się nad tym, co by oddał za możliwość cofnięcia czasu i wybrania innej ścieżki, ale wie, że to niemożliwe. Opowiada o tym, jak wyrzuty sumienia zżerają go każdego dnia, kiedy kładzie się spać, kiedy się budzi, podczas lunchu, pod prysznicem, na siłowni i kiedy ogląda wiadomości, jak te potworne myśli rodzą się w jego umyśle i domagają się pierwszeństwa, fundując mu nieskończoną karę za krótką chwilę nieuwagi, jaki jest zmęczony rozmyślaniami o tym i że nawet najbardziej szczegółowa analiza nie jest w stanie cofnąć wskazówek zegara.

W takich momentach, podczas tych ulotnych chwil żalu, przez ułamek sekundy czuję do Jacka coś na kształt współczucia i biorę go za rękę. Nie potrafię się jednak zdobyć choćby na jedno słowo pocieszenia. Odkąd porzucił mnie w Creedmoor, nie jestem w stanie przy nim płakać. Nie wiem, czy to przejaw siły, czy może tego, że straciłam duszę, ale jest mi dzięki temu łatwiej, więc staram się tego nie analizować.

Jako prokurator Jack nie przyjmuje do wiadomości, że za każdym, nawet najbardziej niegodziwym i niewytłumaczalnym postępkiem, stoi człowiek. Jego świat nie jest tak słoneczny, nie ma w nim miejsca na tego rodzaju ustępstwa, w jego świecie rzadko widuje się tęcze i baraszkuje szczeniaki. Jack łatwo dostrzega zło i jeszcze szybciej feruje wyroki, taki już jest. A teraz osądza samego siebie. Bo Jack zawsze kieruje się zdrowym rozsądkiem.

Podczas gdy ja mogę się powoływać – cóż za dobór słów – na swój stan zdrowia, Jack po prostu nie zdołał ochronić swojej rodziny. Chwila słabości trwa tylko kilka minut, po których Jack prostuje się i odchrząkuje. Znów opanowany, wkracza w fazę pokrętnych uzasadnień, zapraszając na scenę Liebermana, Annę, policjantów – wszyscy oni w równym stopniu ponoszą winę za to, co się stało.

Czasami nie wiem, co powiedzieć, więc tylko siedzę i wpatruję się w pusty kubek po kawie. Jack nie jest już taki jak kiedyś, teraz liczy na moje wsparcie, co na swój sposób mnie irytuje. Chcę, żeby był silny – nie dla mnie, lecz dla siebie samego – bo mnie jakoś udawało się funkcjonować, nadal się udaje, ale nie uniosę na swoich barkach żadnego więcej ciężaru.

Jack chce tylko gadać, gadać, gadać. A ja mu na to pozwalam, słucham go – mam wrażenie, że trwa to dniami i nocami – czasami się jednak wyłączam, przestaję słyszeć ten jego monotony, niski, niemodulowany głos. W końcu Jack chrzypnie i siedzimy otoczeni zapachem kawy i dźwiękiem ziarenek wpadających do młynka. Odgłos mielenia miłościoteni zagłusza Jacka na kilka sekund. W końcu jego głos zmienia się w chrapliwy szept i oboje wracamy do domu.

Spotykam się z nim przez wiele miesięcy i obserwuję, jak kolejne warstwy poczucia winy gromadzą się na nim jak ziemia na trumnie. Mówię mu o dziedzictwie, jego dziedzictwie, konstruktywnych sposobach na wykorzystanie demonów uwięzionych w jego głowie – to jego słowa, „demony uwięzione w mojej głowie” – ale Jack na zawsze pozostanie Jackiem i nic już tego nie zmieni.

– Mógłbyś założyć fundację imienia Mii. Przemawiać do ludzi, grup rodziców, pomagać w poszukiwaniu zaginionych dzieci. Jack, jest tyle rzeczy, którymi mógłbyś się zająć. Myślę, że to by ci dobrze zrobiło.

– Wiesz, że kiepsko się czuję wśród ludzi. Publiczne przemówienia zbyt wiele mnie kosztują. Możesz mi wierzyć, że gdyby miało to przynieść realną korzyść, zrobiłbym to, ale... Jak już sprzedam kamienicę, wyznaczę nagrodę. Doświadczenie pokazuje, że wyznaczenie nagrody to najskuteczniejsze, co mogę w tej chwili zrobić. W ten sposób mogę się na coś przydać, nie sądzisz?

Zastanawiam się, czy Jack znosi całą tę sytuację gorzej niż ja, bo wychowano go na stoika, oczekiwano, by zachowywał się jak mężczyzna. Być może w pewnym momencie Jack pojął, że nie zniesie tej rozpaczy, że nie może sobie pozwolić, by go pochłonęła, więc postanowił się wycofać. Możliwe, że jego sztuczka polega właśnie na tym, żeby zdystansować się od cierpienia.

– Potrafię normalnie funkcjonować przez wiele dni – mówi – aż nagle przychodzi moment, że nie umiem myśleć o niczym innym i mam wrażenie, że zaczynam wariować.

Pewnego dnia w kawiarni czuję na sobie karcący wzrok Jacka, kiedy przeglądam na laptopie bazę zaginionych dzieci. Niczym jastrzęb obserwujący wróbla, badawczo mi się przygląda, marszczy brwi, a kiedy dają mu listę z nazwiskami prywatnych detektywów, odwraca wzrok.

Ogarnia mnie złość. Jestem wściekła na Jacka, że nie potrafi walczyć z demonami, że jego jedynym rozwiązaniem wszystkich problemów są pieniądze, że spodziewał się po mnie, że pokonam własne ograniczenia, że kazał mi się otrząsnąć – tak właśnie to ujął – podczas gdy sam nie jest do tego zdolny.

W końcu wszystko, co jest związane z Jackiem, zaczyna mnie śmieszyć. Te jego wampirze ząbki, te dręczące go problemiki, nad którymi nie potrafi zapanować, podczas gdy prawdziwe potwory mieszkają razem ze mną pod jednym dachem, a on zajmował się operacjami walutowymi i transakcjami kapitałowymi. Pieprz się, Jack. Pieprz się!

W końcu potwory litują się nad nim i odchodzą. Pewnego dnia Jack odzyskuje siłę, jego krok wydaje się zważszy, mniej skrzepowany, a worki pod oczami znikają. Sprawia nawet wrażenie

opalonego, jakby spędził weekend na słońcu. Patrę na niego, gdy po obowiązkowym okazaniu skruchy psychicznie odcina się od krępującego faktu, że ten kryzys nigdy się nie skończy. Trzymaliśmy się do momentu, w którym nie mamy się już czego przytrzymać, więc oboje zgadzamy się podpisać papiery rozwodowe.

Jack będzie żył dalej w jakimś innym miejscu, nie oglądając się za siebie. Żadnych telefonów, SMS-ów czy maili. Jack nienawidzi skomplikowanych relacji i jestem przekonana, że jego emocje po raz kolejny rozpedziły się niczym pociąg sunący po szynach. Słyszałam, że dostał posadę prokuratora okręgowego, chyba w Bostonie, nie pamiętam dokładnie.

W końcu dociera do mnie, że już tylko ja szukam Mii. Proszę policję o kopie wszystkich dokumentów i raportów. Czytam je, studiuję i zapamiętuję szczegóły, które mogłyby rzucić światło na miejsce pobytu Anny. A kiedy kończę, zaczynam od nowa.

Pozostają jeszcze media. Ilość czasu, jaką dziennikarze są gotowi poświęcić sprawie, jest wprost proporcjonalna do ilości brudów na twój temat, które zdołają wywlec od krewnych i sąsiadów. Nie mam nic podobnego do zaferowania. Mogę najwyżej liczyć na to, że przypadek Mii zostanie wykorzystany w którymś z odcinków *Nierozwiązanych zagadek kryminalnych*. Po tym, jak odmówiłam wywiadu wszystkim stacjom, nic mnie już nie czeka.

Dziennikarze chętnie zamieszczały zdjęcia Mii, ale moich mieli jak na lekarstwo. Zanim wynajęłam kawalerkę, liczba telefonów od nich zmusiła mnie do zmiany numeru po raz pierwszy. Dzwoniono też do mnie potem, w sprawie podpisania umowy na książkę lub scenariusz filmowy. Rozłączałam się i po raz drugi musiałam zmienić numer. Później telefon zamilkł. W końcu nie doszło do procesu, który przyciągnąłby uwagę opinii publicznej. Media powoli zaczęły tracić mną zainteresowanie, aż w końcu na tapecie pojawił się temat wyborów.

Anthony nadal pracuje dla FBI, w Wydziale Przeciwdziałania Zagrożeniom Terrorystycznym i Przeszłości Zorganizowanej w Anchorage na Alasce, gdzie kieruje działem kryminalnym. W tym samym biurze na Alasce działa również Centrum Poszukiwania Osób Zaginionych.

Odkąd wyszłam z Creedmoor, dzwoni do mnie prawie co tydzień. Rok temu odwiedziłam Anthony'ego i jego żonę. Abby właśnie urodziła synka, więc nie mogłam dłużej odmawiać. William Hadley Paradise miał dwa miesiące, kiedy go poznałam. Nie wzięłam go na ręce, a Anthony ani razu mnie o to nie poprosił. Rzadko rozmawiamy o naszym dzieciństwie, żeby nie zburzyć łączącego nas porozumienia. Nasze rozmowy kręcą się głównie wokół tematu odzyskania Mii, jak nazywa to Anthony.

Podczas mojej wizyty sugeruje, żebym opisała przypadek Mii na ogólnokrajowym portalu internetowym Pogromcy Przeszłości, gdzie ludzie mogą zgłaszać cenne dla śledztwa informacje, również anonimowo.

– Ta sprawa potrzebuje nagłośnienia. Jeśli wyznaczysz nagrodę, szansę na odnalezienie Mii wzrosną.

Po moim powrocie do Nowego Jorku, Anthony znowu do mnie dzwoni.

– Możesz do nas przyjechać na dłużej, nie tylko na krótką wizytę – mówi, a ja nie bardzo wiem, jak na to zareagować.

Nigdy nie zastanawiałam się nad wyprowadzką z Nowego Jorku i nie potrafię sobie wyobrazić, że mogłabym się odwrócić od tego miasta. Między mną i Anthonym pojawiła się cieniutka nić, niezwiązana z przeszłością. Oboje pragniemy zbudować na niej nową relację, więź, której tym razem nie zerwiemy. Anthony nagrywa mi wiadomości na automatyczną sekretarkę: „Puk, puk, oddzwoni do mnie”.

Przylapuję się na tym, że uśmiecham się na dźwięk jego głosu.

„Odzyskanie Mii”, tak mówi Anthony. Staram się nie myśleć o tym, że moja córka uważa obcą kobietę za swoją matkę, i z każdym upływającym dniem tracę nadzieję, że odzyskanie Mii w ogóle jest możliwe. Nigdy nie odbiorę tego, co straciłam. Noszę w sobie zięjącą dziurę nie z tego świata, smutek, który przylgnął do mnie jak stary wierny pies, poruszający się, kiedy ja się poruszam i otwierający oczy, kiedy ja je otwieram. Zawsze na wyciągnięcie ręki, lojalny i niezłomny. Mogę na niego liczyć.

Jack wyznacza nagrodę wysokości dwudziestu tysięcy dolarów w ramach internetowej kampanii Pogromców Przystępczości za „wskazówki, które doprowadzą do ustalenia miejsca pobytu Anny Lieberman i odnalezienia Mii Connor”. Statystyki wyglądają obiecująco: strona doprowadziła do setek tysięcy aresztowań, rozwiązano prawie milion spraw i wypłacono w nagrodach ponad sto milionów dolarów. Dwadzieścia tysięcy dolarów stanowi główną atrakcję całej tej operacji. Liczba przychodzących informacji jest ogromna i chociaż niektóre od razu można zakwalifikować jako żart, sprawdzenie całej reszty zabiera policji cenny czas. Osoba, którą informatorzy biorą za Annę Lieberman, okazuje się rzeźbiarką z Santa Fe, hodowczynią kotów syjamskich z Las Vegas lub nauczycielką z Oklahomy. Nikt nie próbuje zapisać Mii do szkoły, skorzystać w jej imieniu z opieki medycznej ani wyrobić dla niej paszportu. Wygląda na to, że Anna znalazła dla mojej córki idealną kryjówkę.

Co mam zrobić? Porozklejać ulotki po całym Nowym Jorku? Co by to dało? Strona internetowa zdaje się mieć więcej sensu, więc zatrudniam projektanta, ale po miesiącu zauważam, że na każde miłe słowo otrzymuję dziesięć innych na temat mojego niedbalstwa, braku „macierzyńskiego DNA”, a to te najłagodniejsze. Niektórzy ludzie chcieliby mnie zabić. Nie wiedzą, że oddaliby mi w ten sposób przysługę. Niezależnie od tego, ile czasu spędzę w ciągu bezsennych nocy ze wzrokiem wbitym w sufit, zawsze dochodzę do tego samego wniosku: nie mogę tak dłużej żyć. I jestem gotowa pójść o krok dalej.

Codziennie dzwonię do detektywa Wilczka, który zapewnia mnie, że odnalezienie Anny to tylko kwestia czasu. Miesiąc później zaczynam do niego dzwonić co tydzień, a do naszych rozmów zakradają się słowa takie jak: „w ukryciu”, „brak podejrzeń”, „przebiegłość”.

– Ale nadal prowadzimy śledztwo, nie poddajemy się. Będziemy musieli zaczekać, aż popełni błąd, a wcześniej czy później tak się stanie, wszyscy popełniają błędy.

Pół roku później mówi mi, że zadzwoni, kiedy pojawi się jakiś nowy trop.

W pierwszą rocznicę zaginięcia Mii stwierdza, że trop Anny się urwał. Za kilka kolejnych miesięcy oznajmia, że sprawa Mii jest umorzona z powodu braku dowodów.

Dwa miesiące po rozwodzie wracam na North Dandry. Jestem ciekawa, czy to miejsce nadal ma nade mną władzę. Remont został ukończony, dom sprzedano; to stąd Jack wziął pieniądze na wyznaczenie nagrody.

Wysiadając z taksówki, unikam patrzenia na budynek. Płacę taksówkarzowi i dopiero wtedy podnoszę wzrok, stojąc w całkowitym bezruchu. Spodziewam się gwałtownej reakcji – zamroczenia, omdlenia czy nawet wymiotów – jednak nic podobnego się nie dzieje. Kamienica stoi uśpiona, bezduszna, niemal smutna. Nawet ona wygląda, jakby o wszystkim zapomniała.

Każdego dnia zastanawiam się, jak wygląda Mia – ma już prawie cztery lata – chociaż wiem, że się zmieniła i że już jej nie rozpoznam. Na myśl o tym, że nie poznałabym na ulicy własnego dziecka, robi mi się niedobrze. Stwarzam ją więc na nowo, wypełniam każdy centymetr jej ciała, kształtuję jej kończyny i rysy twarzy tak, żeby pasowały do mojego wyobrażenia. Wierzę, że odziedziczyła po mnie jasne falujące włosy i miłość do cytrusów, a po Jacku brązowe oczy. Twarz Mii – ta, którą stworzyłam w wyobraźni – jest ze mną wszędzie, gotowa pojawić się o dowolnej porze, w parku, w sklepie, w metrze, w telewizji. Blond włosy, jasna skóra, ciemne oczy. Różowe usta z opadającymi kącikami jak u Jacka, pełne jak moje. Odtwarzam jej rysy i wypełniam luki, tak jak mi pasuje.

Boję się, że w końcu przestanę pamiętać jej zapach, dotyk jej włosów na policzku. Złości mnie myśl o tym, że mogłabym całkowicie o niej zapomnieć. Ten rodzaj złości można znieść tylko do czasu, dopóki coś w tobie nie pęknie.

Rozdział 27

The Brooklyn Frame & Photo Gallery mieści się zaledwie kilka przecznic od Pięćdziesiątej Ósmej i specjalizuje się w oprawianiu zdjęć i dzieł sztuki. To jest cudowne, że mogę zatrzymywać ulotne chwile w czasie. Pokazuję klientom katalogi z próbkami podkładów. Odkurzam ramki pokrywające ścianę za ladą. Przekonuję o wyższości klasycznych ram nad tymi stylizowanymi na antyczne lub nowoczesnymi, opowiadam o zaletach litego drewna, artystycznych zdobieniach, o zgrzewanym aluminium i stali, wyjątkowych ramkach z pleksi, ramach zdobionych złotymi liśćmi oraz bogatym wyborze nowoczesnych i dekoracyjnych odlewów.

Przez ostatnie pięć lat oprawiam w ramki cudze wspomnienia. Uspokaja mnie to na wielu poziomach: jestem postronnym obserwatorem, a jednak uczestniczę w szczęściu innych; wątpię, żebym kiedykolwiek zaznała własnego. Dziwnie jest tak żyć, lecz mimo to udaje mi się funkcjonować, uczestnicząc we wszystkim na pół gwizdka. Zdażyłam się już do tego przyzwyczać.

W gorsze dni mam ochotę powiedzieć ludziom, żeby dbali o swoje wspomnienia, bo mogą je stracić szybciej, niż im się wydaje, zanim zdążą zawiązać różową wstążkę na blond włosach dziewczynki o ciemnych oczach i bladej skórze.

Momenty, w których patrzę na twarze klientów odbierających oprawione w ramki zdjęcia, są jak rodzice mojej przyszłości; tworzą osobę, którą pewnego dnia pragnę się stać. Zdarzają się i takie dni, kiedy słyszę płacz niemowlęcia lub wchodzę do toalety, w której matka właśnie przewinięła dziecko, i zapach zasypki ścina mnie z nóg.

Nowojorska policja przestała szukać Mii kilka lat temu. Wiedzą, że przebywa – czy może raczej przebywała – pod opieką Anny Lieberman. Teraz może być wszędzie, z Anną lub z osobą, która zaferowała za moją córkę najwyższą cenę. A może mieszkają gdzieś razem, w innym kraju lub stanie, na przykład w Meksyku lub w Kanadzie.

Któregoś dnia w drodze do pracy minęłam dziewczynkę w szkolnym mundurku, podskakującą radośnie u boku swojej matki. Nagle ogarnął mnie strach. Zaczęłam nawet za nią iść, zanim się opanowałam. Nie bądź głupia – powiedziałam do siebie – to nie jest Mia. Tylko że... co jakiś czas wpadam w panikę, że Mia może mieszkać gdzieś blisko, na wyciągnięcie ręki, a ja nigdy się o tym nie dowiem.

Od pięciu lat patrzę na dzieci w wózkach i myślę: Właśnie tak wyglądałaby teraz Mia. Te ulotne wyobrażenia mojej córki, obrazy, które każą mi się zatrzymać, zgiąć w pół i złapać oddech, nawiedzają mnie w najbardziej nieprzewidywalnych miejscach, przybierając najróżniejsze formy. Kosmyk włosów, pokazujący coś maleńki paluszek. Zawodzące niemowlę, płaczący kulkuletek, wrzeszczący dzieciak w parku. Wszędzie widzę Mię. Małe dziewczynki podobne do Mii przechodzą przez ulicę obok mnie, trzymając matki za ręce, wchodzą do szkolnych budynków i zwieszają się z drabinek w parkach. Sobowtór Mii trzyma za rękę inną kobietę, a mnie ten widok rozdziera od środka.

Moja terapeutka, doktor Langston, z którą spotykam się dwa razy w tygodniu popołudniami, trzyma w kącie gabinetu model ludzkiego szkieletu. W dniu naszego pierwszego spotkania zauważyłam, że skoro nie specjalizuje się w ortopedii, szkielet wydaje się w jej gabinecie nie na miejscu.

– Kości to tak naprawdę jedyny pewnik w naszej wiedzy o człowieku. Reszta opiera się na przypuszczeniach. Cudowne ozdrowienia, nowe choroby, mózg... praktycznie działamy po omacku – odpowiada lekarka i mrużąc oczy, spogląda na szkielet. – Nazywam go Musterion, co po grecku oznacza „uświęcony sekret”. Przypomina mi o tym, że nie wiemy nic na temat ludzkiej kondycji.

Ogromne okno jej gabinetu wychodzi na zachód i podczas naszych sesji pokój wypełnia się złocistym światłem. Uśmiecham się za każdym razem, gdy do niego wchodzę. Do tej pory ukrywałam coś przed moją terapeutką, a dzisiaj w końcu zamierzam jej wyznać prawdę.

– U zbiegu ulic Delaware i Czterdziestej Dziewiątej spotkałam kobietę z małą dziewczynką, ubraną w czarną puchową kurtkę. Rozwiązał jej się kucyk pod czapką, czapka była przekrzywiona, a kobieta nie kiwnęła palcem, żeby ją poprawić. Spod kurtki małej wystawała zawieszona na sznurku różowa rękawiczka. Dziewczynka ścisnęła dłoń kobiety, która zapewne była jej matką.

Zwróciłam uwagę na chód tej kobiety, energiczny i zamaszysty. Ale zaniepokoiło mnie coś innego – sposób, w jaki nerwowo wepchnęła swoje rude włosy pod kaptur budrysówki. Jej gest wydał mi się podejrzany, gwałtowny, fałszywy. Poszłam za nimi, lecz po kilku minutach poczułam się ciężka i niezgrabna, nie byłam w stanie dotrzymać im kroku. W końcu zwolniły i wsiadły do autobusu B11. Ja też

Pamiętam, że usiadłam za nimi, ciężko dysząc. Szyby autobusu były zaparowane od ciepła i oddechów pasażerów. Był wśród nich mężczyzna w niebieskim kombinezonie, dwie nastolatki z włosami ufarbowanymi na fioletowo i kolczykami w nosie, robotnicy o pustych oczach, z pojemnikami na lunch na kolanach. Resztę stanowili starsi ludzie w butach ortopedycznych i spodniach wiązanych na sznurek, wracający do domu starców. Dziewczynka położyła głowę na ramieniu kobiety, później na jej przedramieniu i wreszcie na kolanach.

– Myślałaś, że to twoja córka i kobieta, która ją porwała?

– Trochę przypominała mi Annę Lieberman, tak jak ją sobie zapamiętałam, ale była wyższa, starsza, może nawet była babcią tej dziewczynki.

Opowiadałam doktor Langston, że kiedy autobus dotarł do Sunset Park, kobieta czule pogłaskała dziewczynkę po policzku. Nawiązała z nią kontakt wzrokowy, uniosła dłoń na wysokość jej prawego oka i odsunęła ją, jakby pociągała za sznurek. Dziewczynka odpowiedziała jej, unosząc wskazujący palec. Posługują się językiem migowym, pomyślałam, i wtedy dotarło do mnie, że tym, co kazało mi je śledzić, było wrażenie, że coś je od siebie dzieli. Kobieta delikatnie włożyła dziewczynce różową rękawiczkę i uśmiechnęła się. Dziewczynka w odpowiedzi pokazała miniaturowe ząbki. Patrzyłam, jak niespiesznie odchodzą w kierunku metra.

– Poszłaś za nimi?

– Nie, ale zastanawiałam się, co bym zrobiła, gdyby to jednak była Mia. Pigułki, które zażywam, sprawiają, że jestem wiecznie zmęczona, straciłam kondycję, więc co by było, gdybym musiała kogoś dogonić?

Doktor Langston spojrzała na mnie skonsternowana.

– Chyba nie rozważasz odstawienia leków?

– Nie, ale wracając do domu, wstąpiłam do sklepu po parę butów do biegania. I od tamtej pory regularnie biegam.

Przycupnięta na brzegu krzesła, doktor Langston przysłuchuje się każdemu mojemu słowu.

– Czuję, że powinnam zrobić coś więcej. Śledzę wiadomości w telewizji i internecie... i może... może kogoś rozpoznać, wychwycę głos, który już kiedyś słyszałam. Jest jeszcze ta kelnerka, której nie zdołała odnaleźć policja. Wiem też, że gdzieś tam ukrywa się Anna. Ja po prostu nie mogę dłużej siedzieć i czekać.

– Biegasz, żeby znaleźć wskazówki dotyczące miejsca pobytu twojej córki? – Brwi lekarki unoszą się, tworząc dwa wyrażające obawę półksiężycy nad oczami.

– Wiem, że to niezbyt logiczne i dlatego... Dlatego zastanawiam się, czy nie zostać analitykiem kryminalnym – mówię.

Doktor Langston zapomina na chwilę o mruganiu, po czym odchrząkuje.

– Analitykiem kryminalnym?

– Tak, zastanawiam się nad tym. – Podobna myśl nigdy wcześniej nie przyszła mi do głowy, ale oto jest, unosi się w powietrzu, z nieprzemyślanego komentarza zmienia się w szansę na zrobienie czegoś, znalezienie rozwiązania.

– Może powinniśmy o tym porozmawiać, zanim...

– Chyba mnie nie rozumiesz – przerywam jej. – Od lat dzwonię do detektywa, który prowadził sprawę Mii. Nie mają żadnego tropu. Nic. Jak to możliwe, że przez tyle czasu niczego nie znaleźli?

– Z tego, co zrozumiałam...

– Doprowadza mnie do szału, że kiedy my tu siedzimy, Mia gdzieś jest i coś robi. My tu gadu-gadu, a ona żyje, ubrana w sukienkę, z włosami związanymi w kucyk, rozmawia z kimś, bawi się. Nie chcę wierzyć, że zniknęła. Wiemy, kto ją porwał, to się nie zdarzyło ot tak, na ulicy. Rozumiem, że wszystkie pozostałe tropy: bar, pracująca w nim kelnerka, się urwały. To dla mnie jasne. Możliwe, że nie zdołam znaleźć swojej córki, ale Annę mogę namierzyć. Może i przypomina to szukanie igły w stogu siana, ale do diabła, ten stóg istnieje i igła też. Muszę go tylko przebrać, żdźbło po żdźbło, żeby znaleźć igłę.

– Chcę się tylko upewnić, że nie...

– Popadłam w obsesję? Martwisz się, że dostanę obsesji na punkcie odnalezienia córki? Posłuchaj mnie. Wiem, że moje życie nie jest zdrowe, ale skoro ja się tym nie przejmuję, to ty też nie powinnaś.

– Jako twoja terapeutka martwię się przede wszystkim o twoje zdrowie psychiczne.

– W takim razie powiedz mi, co ty byś zrobiła? Siedziałabyś na tyłku i czekała? Jeszcze jedno lato, jeszcze jedno Boże Narodzenie? Kolejne cztery lata? – Parskam donośnym śmiechem, który brzmi nieco złowrogo.

Doktor Langston milczy, skąpana w anielskiej poświacie słonecznego blasku. Naciska guzik automatycznego ołówka. Porcelanowa obudowa wygląda na drogą, być może dostała ten ołówek w prezencie na Dzień Matki – widziałam stojące na jej biurku zdjęcie dzieci – jako dowód uznania od tych, którzy ją kochają. Odkłada ołówek równoległe do żółtego bloczka.

Kiedy nie odpowiada, kiwam energicznie głową.

– Nie radzę sobie z żalem, co?

– Radzenie sobie jest najważniejsze.

Znam terminologię. Przypadek zaginięcia Mii uznano za długoterminowy. Oznacza to, że eksperci z szerokiego zakresu dyscyplin rozważyli wszystkie możliwe strategie. Nic więcej nie da się zrobić. Dotarliśmy na sam koniec kolejki i już tylko ja trzymam się na nogach.

– Czasami budzę się rano z poczuciem, że to właśnie ten dzień, w którym zadzwoni telefon i pojawi się nowy trop. Zdjęcie. Ślad. – Nie mówię jej o tym, że zaledwie tydzień temu pojechałam do domu Anny, który znowu stoi pusty. Nie wspominam o tym, że poszłam na pole kukurydzy, ani o tym, że wbiłam patyk w ziemię w miejscu, gdzie pochowałam Liebermana. Ani że wstąpiłam na kawę do baru, który przyciąga teraz całkiem sporo gości.

Odrobiłam pracę domową. Doktor Langston jest tylko towarzyszką mojej podróży, czy może raczej obserwatorką rozpaczy. Świadkiem bólu. Według jej podręczników powinna dostarczać ciągłego wsparcia jednostkom takim jak ja. Tłumaczyć, że mam spełniać swoje fizyczne i emocjonalne potrzeby. Przygotować mnie do życia w pojedynkę, bez córki.

Terapeutka słucha mnie uważnie i szanuje moje nieliczne opowieści na temat Mii. W gruncie rzeczy niewiele mam do opowiedzenia. Mia przyszła na świat, gdy miała kilka tygodni zaczęła ją męczyć kolka, która zresztą nigdy nie ustąpiła, a później moja córka zniknęła. Nie mam żadnych anegdotek o nauce raczkowania, stawiania pierwszych kroków czy wypowiedzianiu pierwszych słów.

Dla nas obu to była męka. Kiedy kończą mi się historie do opowiedzenia i przez kilka sesji kręcimy się w kółko, doktor Langston wspomina o ulotce grupy wsparcia, którą kiedyś od niej dostałam.

– Czy dałaś szansę tej grupie wsparcia, o której ci opowiadałam?

– Jeszcze nie – odpowiadam, lecz nie mam zamiaru się z nimi spotykać. Wysłuchiwanie cudzych żalów nie pomoże mi odnaleźć Mii.

– Takie spotkania mogą mieć działanie terapeutyczne i pomóc ci poukładać sobie świat na nowo.

– Świata, w którym nie mam przy sobie dziecka, nie można poukładać – odpowiadam.

– Daj im szansę – ripostuje lekarka, więc tak robię.

Jadę na spotkanie jeszcze tego samego dnia. Dawanie szans to jedyne, co mi w tym momencie pozostało.

*

Kiedy mijam wrzcionowate drzewa pośród wysp z betonu i wyrastające spod asfaltu chwasty, na parkingu przed kościołem stoi tylko kilka samochodów. Konkretnie osiem. Spoglądam na przyklejoną do drzwi ulotkę: „Gojące się serca. Cotygodniowe spotkania. Grupa wsparcia dla osób, które straciły kogoś bliskiego. Grupa spotyka się o godzinie szóstej”. Zgodnie z grafikiem godzinę wcześniej w tym samym miejscu odbywa się mityng AA. Zajęcia tai chi dla seniorów rozpoczynają się o ósmej.

Smutek jest czymś uniwersalnym – czytam treść ulotki. – W tym miejscu ludzie, którzy kogoś stracili, mogą opowiedzieć swoją historię, wiedząc, że zostanie ona wysłuchana z szacunkiem i zachowana w tajemnicy.

Wchodzę do sali z kolumnami podtrzymującymi sufit, dusznej i cuchnącej pleśnią, freonem oraz stęchłą kawą. Idę w głąb pomieszczenia, gdzie w niekorzystnym blasku świetlówek siedzi grupka osób. Jest ich siedmioro: mężczyzna z teczką na kolanach, dwie pary i dwie kobiety – jedna w średnim wieku, druga dość młoda. Zajmuję wolne krzesło.

– Cześć, mam na imię Eric – odzywa się facet z teczką i liczy uczestników, a następnie notuje ich liczbę. – Jestem licencjonowanym terapeutą osób w procesie żałoby i prowadzę tę grupę. Większość z was się zna, ale widzę dzisiaj nową twarz. – Eric nawiązuje ze mną kontakt wzrokowy i dotyka zarostu na brodzie. – Powtórzę zasady, żebyśmy wszyscy wiedzieli, na czym stoimy. Każdy z tu obecnych doświadczył utraty bliskiej osoby. Jesteśmy tu po to, żeby porozmawiać o naszych doświadczeniach z ludźmi, którzy będą je potrafili zrozumieć. Padną tu słowa mądrości, wsparcia, a czasami – Eric zawiesza głos i spogląda na trzymającą się za ręce parę – niektóre nasze wypowiedzi mogą wam przynieść jeszcze więcej bólu. Bądźcie dla siebie cierpliwi i pamiętajcie, że nie jesteśmy siecią społeczną, tylko grupą wsparcia. Wszystko, co sobie mówimy, traktujemy z dyskrecją.

Rozglądam się wokół siebie. Widzę parę w identycznych koszulkach z napisem „Nadzieja” na piersi i rysunkiem motyla. Pulchne palce kobiety spoczywają w dłoni mężczyzny, jakby pilnował jej, żeby nie uciekła z pokoju lub nie skoczyła z mostu, nie jestem pewna. Mężczyzna przedstawia się jako Dwight, a swoją żonę jako Kathryn.

– Ale woli, żeby nazywać ją Kate – dodaje. – Rok temu rak zabrał nam córkę.

Kobieta w średnim wieku ma na sobie strój, jakiego od dawna na nikim nie widziałam – różowe legginsy oraz koszulę tego samego koloru haftowaną w kwiaty – i wydaje się bliska płaczu.

– Mam na imię Regina – mówi, ocierając oczy płócienną chusteczką. – Mój syn cierpi na chorobę umysłową. Nie widziałam go od pięciu lat.

Kristy i Dave mają na sobie dresy, flanelowe koszule i noszą na szyi krzyżyki.

– Nasz syn został zabity w Afganistanie – oznajmia Kristy, zaciskając dłoń w pięść na swoim krzyżyku.

Później przychodzi moja kolej. Ćwiczyłam w domu, dziesiątki razy powtarzałam sobie to, co chciałam powiedzieć, spodziewając się, że będę musiała mówić o swojej stracie, i za każdym razem się zacięłam. Nikogo nie straciłam. Jeszcze nie. Wierzę, że Mia żyje, tylko nie wiem, gdzie jej szukać. Czuję się tu nie na swoim miejscu jeszcze bardziej niż wtedy, gdy wyobrażałam sobie ten moment.

– Mam na imię Estelle – mówię, zaczerpnąwszy głęboko powietrza. Nie wiem, co powiedzieć. Moja strata jest wyjątkowa, tkwię w ulotnym, lecz całkowicie mnie pochłaniającym stanie zawieszenia.

– Cześć Estelle – odzywa się Eric. – Witaj w Gojących się sercach. Kogo straciłaś?

Milczę. Młoda, bardzo otyła kobieta siedząca po mojej lewej stronie lituje się nade mną.

– Jestem Mary – mówi. – Pierwszy raz może być trudny. To dopiero moje drugie spotkanie i w zeszłym tygodniu opowiedziałam grupie o mojej siostrze Lilly. Pewnego dnia, kiedy była w trzeciej klasie, po prostu nie wróciła po szkole do domu.

Mary milknie, a ja uważnie przyglądam się jej profilowi, chcąc się przekonać, jak wygląda rozpacz na tak młodej twarzy. Mary waży pewnie ponad dwieście kilogramów, uda wylewają się z siedzenia metalowego krzesła. Nie może mieć więcej niż dziewiętnaście lat. Ma na sobie elastyczne spodnie i ogromny czarny podkoszulek. Wokół jej szyi zauważam jasnobrażową obwódkę świadcząca o zaawansowanej cukrzycy. Ciekawe, czy jest świadoma swojej choroby. Jej palce są jak tłuste kulki, paznokcie ma ogryzione do żywego. Na jej twarzy nie widać smutku, porcelanowa skóra jest gładka i delikatna, oczy błyszczące, okolone długimi rzęsami. O jej cierpieniu świadczy tylko drżenie głosu. Nie widzę, żeby płakała, a mimo to ociera oczy wierzchem dłoni. Dochodzę do wniosku, że ludziom w końcu zaczyna brakować łez.

– Niech Jezus ma ją w swojej opiece – wtrąca Kristy, czyniąc znak krzyża. – Miłość Boga jest wieczna.

Mary patrzy na nią i po krótkiej chwili kwituje:

– Amen.

Siedzę na krześle, obserwuję ich trzęsące się podbródki, załamujące się głosy i próby wykroczenia poza własne cierpienie, i wiem, że muszę podjąć decyzję. Widzę siebie, za wiele tygodni, przyjmującą tani egzemplarz Biblii i zaproszenia na kawę, biorącą udział w wyjazdach dla osób pogrążonych w żalobie, podczas których będę wypoczywać, chodzić na spacer i rozprawiać o swoim bólu, żeby się go pozbyć. Wiem, że nie mogę podążyć tą drogą. Mogę najwyżej pogodzić się z faktem, że moje życie obrało kierunek, którego nigdy bym sobie nie wyobraziła i z którym nie jestem w stanie się pogodzić. Wybieram to drugie.

– Przepraszam, chyba zostawiłam włączone światła w samochodzie – mówię, wstając z krzesła i wychodzę.

*

Kiedy doktor Langston pyta mnie o spotkanie grupy, mówię jej, że to nie dla mnie.

– Mamy różne priorytety, ot co.

– Wiem, że nie jest ci łatwo mówić publicznie o zaginięciu Mii. Każdy rodzic przeżywa cierpienie na swój sposób – stwierdza lekarka.

– Wolałabym mówić o szukaniu jej.

– Martwię się o ciebie, Estelle.

– Dlaczego? – Czuję, że ogarnia mnie gniew. Doktor Langston uważnie obserwuje moje emocje i wie, że trafiła w sedno. Stawianie pacjentom wyzwania stanowi część terapii.

– Już o tym rozmawialiśmy, Estelle.

– Twierdzisz, że powinnam przestać szukać?

– Nie. Chciałabym, żebyś przeznaczyła część każdego dnia na poszukiwanie Mii, a resztę poświęciła sobie. I może powinnaś zastanowić się nad drugą możliwością.

Od tygodni usiłuje mnie przekonać do wypowiedzenia tych słów, ale powinna już wiedzieć, że nigdy nie usłyszy ich z moich ust.

– Możliwe, że Mia już nie wróci. – Głos doktor Langston leciutko drży.

– Wiesz co?

– Co? – Pochyliła się do przodu, skupiona.

– Chyba zostawiłam włączone światła w samochodzie.

Rozdział 28

Powietrze jest ostre. Ciekły lód kłuje mnie w nozdrza i sący się do płuc. Pierwsze dziesięć minut biegania w zimnie jest do kitu, ale później zaczyna się robić cieplej i przyjemniej. Moje nogi się rozluźniają, oddech wyrównuje i zaczynam działać jak na autopilocie. Pięć kilometrów później pozbywam się z dróg oddechowych całego zimnego powietrza, zaś po kolejnym kilometry zaczynają mnie piec płuca i co kilka minut zatrzymuje mnie atak kaszlu. Chłód podłoża przenika przez podeszwy sportowych butów. Trzy warstwy ubrań, czapka termiczna i rajstopy nie mają żadnych szans w zderzeniu z arktycznym powietrzem w Nowym Jorku.

W końcu kapituluję i poddaję się atakowi kaszlu. Zauważam na końcu ulicy Starbucksa i dochodzę do wniosku, że dość już biegania na dzisiaj. Kupuję kawę, przecinam Drugą Aleję i zatrzymuję się przed sklepem ze sprzętem elektronicznym. Gorące powietrze wylatuje z szybu wentylacyjnego przez kratę i ogrzewa mi stopy. Na ścianach sklepu wiszą dziesiątki płaskich telewizorów, wszystkie ustawione na CNN. Milczące obrazki przesuwają się po ekranach, a mnie dopada kolejny atak rwącego kaszlu. Obejmuję dłonią kubek z kawą i nagle moją uwagę przyciąga treść paska na dole ekranu: *Wiadomość z ostatniej chwili.*

Mój oddech miesza się z parującą kawą. Cofam twarz, kiedy gorący płyn parzy mi usta. Śledzę wzrokiem przesuwające się po ekranie nagłówki.

Nalot na fundamentalistyczny kościół.

Trwa śledztwo w sprawie stosowania przemocy wobec dzieci.

84 dzieci trafiło pod opiekę władz.

Patrzę, jak dzieci w równych szeregach, trzymając się za ręce, wsiadają kolejno do białych autobusów zaparkowanych przy drodze. Za nimi z budynku wylania się grupa kobiet zasłaniających twarze przed kamerami. Niektóre z nich schodzą z ganku, jakby zamierzały jechać razem z dziećmi, inne zostają na ganku i płaczą, tuląc się do siebie. Ich pastelowe sukienki są zapięte pod samą szyję i sięgają do ziemi. Przy każdym kroku spod spódnic ukazują się nogi w pończochach i zakurzone ortopedyczne buty. Włosy mają upięte wysoko, twarze bez cienia makijażu. Zacerwienione oczy i pokryte plamami policzki dopełniają obrazu bezgranicznej rozpacz.

Na ekranie pojawia się kolejna informacja: *Dzieci zostaną pod opieką władz do czasu zbadania zarzutów o znęcanie się.*

Jednej z kobiet rozplótł się warkocz, rude włosy sięgają jej połowy pleców. Kobieta krzyczy na mężczyzn eskortujących dzieci do autobusu, podczas gdy jej koleżanki stoją w ciszy, ocierając łzy. Policjant nakazuje jej gestem, żeby pozostała na ganku. Rude włosy powiewają wokół niej, kiedy unosi w jego kierunku rękę, jakby chciała rzucić na niego urok. Kamera koncentruje się właśnie na niej. Lawendowa sukienka i rozwichrzzone rude włosy nie mogą odwrócić mojej uwagi od ręki tej kobiety: zdeformowanej i pokrytej bliznami po oparzeniach.

Żołądek zaciska mi się w węzeł, moje ciało słabnie. Błysk, po którym na pograżoną w ciemności ziemię spada jaskrawo świecąca gwiazda. Wspomnienie. Nastoletnia Anna i jej ciotka. Laura Demby, członkini Kościoła Prawowitego Zwierzchnictwa.

Mój umysł zamiera, a świat wokół traci kontury.

Stóg siana. Wreszcie na niego trafiłam.

*

Sięgam po telefon.

– Detektywie, mówi Estelle Paradise. – Z trudem łapię oddech.

W słuchawce na długą chwilę zapada cisza.

– Jak się pani miewa, pani Paradise?

– Dzwonię, ponieważ potrzebuję pańskiej pomocy. – Mam problemy z jednoczesnym mówieniem i oddychaniem.

Cisza w słuchawce, a po chwili:

– Nie pracuję już w tamtym oddziale. Zostałem przeniesiony. Mogę pani dać numer, jeśli...

– Ogląda pan wiadomości? – pytam, kiedy wreszcie udaje mi się zaczerpnąć powietrza.

– Co takiego?

– Policja zrobiła nalot na kościół. Zabrali wszystkie dzieci.

– Nie oglądam, ale wiem o całej sprawie.

– Właśnie dlatego dzwonię.

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

– Czy możemy się spotkać?

Długa cisza.

– Pani Paradise, nie wiem...

– Za godzinę, w Starbucksie u zbiegu Drugiej Alei i Pięćdziesiątej.

– Nie mogę pani pomóc. Jak już mówiłem, nie pracuję...

– Za godzinę. Będę czekać.

– Jedną chwileczkę, nadal nie rozumiem... O co chodzi z tym nalotem?

– Będę czekać – powtarzam i rozłączam się.

*

Godzinę później słowa same ze mnie wypływają. Nalot. Dzieci. Anna Lieberman, kobieta z rudymi włosami, jest jedną z siostr Kościoła Prawowitego Zwierzchnictwa w Plainview, w stanie Nowy Jork. I możliwe, że jednym z dzieci wsiadających do autobusu, które widziałam podczas telewizyjnej relacji na żywo, jest Mia. Żadna z osób pracujących na komisariacie nie chce mi pomóc, ponieważ policja nie będzie udzielać informacji na temat uwolnionych dzieci, dopóki nie zostaną przeprowadzone badania DNA. A później odkładają słuchawkę.

– Godzina drogi, detektywie, raptem godzina drogi stąd. Przez cały ten czas była tak blisko.

– Skąd pewność, że ta kobieta to Anna Lieberman? – W głosie Wilczka słychać napięcie, wręcz zniecierpliwienie.

– Chyba poznałabym kobietę, która zabrała moją córkę. Rozumiem też, że śledztwo jest w toku, ale potrzebuję od pana informacji.

– Sprawdziłem oficjalną listę nazwisk. Anna Lieberman na niej nie figuruje. Dopóki trwa śledztwo, policja nie ujawni żadnych informacji. Nic dziwnego, że nie chcą rozmawiać na temat sprawy.

– Właśnie dlatego zadzwoniłam do pana.

– Nie sądzę, żebym był odpowiednią osobą, nie mam dostępu do żadnych informacji. Poza tym nie wiem, czego pani szuka. – Podnosi ręce w obronnym geście. Nagle jego postawa się zmienia, jakby zebrały się nad nim ciemne chmury. – Nie zrobię niczego, co byłoby niezgodne z prawem.

– Nie proszę o to – odpowiadam, chociaż tak naprawdę nie znam się na prawie i nie dbam o nie, co w gruncie rzeczy na jedno wychodzi.

– Nic pani nie rozumie. Ostatnio sporo się u mnie działo, miałem trochę problemów w pracy i nie chcę, żeby mnie na czymś przyłapano... – Przyciska masywnym kciukiem wypukłe plastikowe wieczko na kubku z kawą. – Niech pani posłucha – mówi, po czym zawiesza głos. – Dla pani to bez znaczenia, ale właśnie się rozwodzę. Utrzymanie się w Nowym Jorku nie jest tanie. A ja mam syna. Nie mogę ryzykować, że stracę pracę.

Puszczam to mimo uszu. Jego problemy mnie nie obchodzą. Przelykam ślinę, powtarzając sobie, że przecież mi nie odmówił, po prostu nic mi jeszcze nie powiedział. Zawsze istnieje jakiś sposób.

– Jedna dziewczynka, detektywie Wilczek. – Przyglądam się ceniom pod jego oczami i wymiętej koszuli. Oczy policjanta przypominają puste, pozbawione życia dziury. Ale mam to wszystko gdzieś. – DNA jednej z dziewczynek nie pasuje do DNA żadnej z kobiet ze zgromadzenia. Ta pięcioletnia dziewczynka jest moją córką, a ja muszę ją znaleźć. – Wyobrażam sobie pielęgniarki pobierające wacikami próbki od dzieci o wielkich, przerażonych oczach. – Wiem, że wszystkie laboratoria kryminalistyczne w tym stanie są zawałone pracą i uporządkowanie danych może potrwać długie miesiące, ale...

– Czy ma pani pojęcie, z czym się pani mierzy? Trzeba będzie przeprowadzić setki badań DNA. Przypisanie dzieci do ich rodziców potrwa całe miesiące. Weźmy pod uwagę to, że policji pewnie podano błędne nazwiska i wiek dzieci. W tej wspólnocie każda kobieta jest czyjąś mamą, a mężczyzna czyimś wujkiem lub tatą. To jak rozplątywanie setek pieprzonych kilometrów bożonarodzeniowych światełek.

– Ale jeśli ona tam jest, to ją znajdziemy.

Wilczek wzdryga się, słysząc „my”.

– W to nie wątpię, ale będzie pani musiała zaczekać. Przeprowadzenie badań DNA trochę potrwa. Mam w sobie zbyt dużo zapiekłego gniewu i dostatecznie się już naczekałam.

– Niech pan mnie posłucha. – Składam ręce jak do modlitwy. Skrzywił się na ten widok, czy tylko to sobie wyobraziłam?

– Ma pani pięć minut – mówi, odchylając się na krześle. Robi okrężny ruch kubkiem z resztką kawy i ją wypija. – I niczego nie obiecuję.

*

Tej nocy nie mogę zasnąć. Zrzuciłam z siebie kołdrę i jest mi zimno. Pewnie zapomniałam zasunąć zasłony, bo do sypialni wsącza się światło księżyca, którego bezlitosny blask utrudnia mi oddychanie, jakby na mojej piersi usiadł ogromny kot. Powoli dociera do mnie rzeczywistość. Kiedy ucisk staje się nieznośny, siadam na łóżku.

W nocy, kiedy mój umysł przestaje się bronić, nie umiem sobie poradzić z tym, co mnie spotkało. Natłok myśli drażni mnie i deprymuje. Zamykam oczy, pozwalając, żeby ogarnął mnie strach. Leżę bez ruchu, podczas gdy fale paniki uderzają w moje ciało, rozbijają się o nie, wstrząsając fundamentami mojego jestestwa, jak fale atakujące podstawę klifu.

Zachowuję milczenie i cierpliwość. Przyciskam pięści do żołądka, z którego promieniuje strach. Poddaję się, składam swoje ciało w ofierze i czuję, że ból zaczyna słabnąć. Wypływa ze mnie niczym olej na powierzchnię wody.

Strach przestaje być permanentny, zniknął podobnie jak wątpliwości. Jutro będzie ten dzień.

Dociera do mnie cichy dźwięk dzwonka nad drzwiami galerii, tak słaby, że ledwie słyszalny. Detektyw Wilczek ma na sobie garnitur i płaszcz, a jego oczy są bardziej czujne, niż to zapamiętałam. Wiem, że ma mi coś do powiedzenia, ale nie potrafię jeszcze rozszyfrować co. Kiwa głową na powitanie i przez chwilę patrzymy na siebie w milczeniu.

– Czy może pani sobie zrobić przerwę? – Widać, że przyszedł z czymś pilnym. – Może byśmy się przeszli?

Odwracam się w stronę pokoju, gdzie oprawiane są zdjęcia. Wypełnia go stukanie młotków, a zapach szelaku przyprawia mnie o łupiący ból głowy. Ściągam płaszcz z wieszaka i wychodzę.

Nowy Jork w styczniu jest zimny jak wewnątrz lodówki. Wkładamy dłonie do kieszeni płaszczy, mijając nagie zimowe drzewa rosnące przy ulicy. Jest kilka stopni poniżej zera, od wiosny nadal dzielią nas miesiące, a ciepło wyparowało z umysłów mieszkańców do tego stopnia, że wydaje się fikcją, w którą nikt już nie wierzy. Kierujemy się w prawo, w stronę parku. Żelwne ogrodzenie w pobliżu wejścia jest pokryte lodem. Nasze skroplone oddechy mieszają się ze sobą, gdy tak idziemy.

– Ta kobieta podała władzom inne nazwisko, ale to na pewno ona. Rozmawiałem z jej ciotką. – Detektyw czeka, aż przyswoję sobie sens jego słów. – Anna wyjechała – dodaje.

– Kiedy to się stało? – pytam i mój puls gwałtownie przyspiesza.

– Tego ranka. Jej ciotka powiedziała mi, że wyjechała kilka dni po policyjnym nalocie. Zabrała swoje rzeczy i samochód zgromadzenia, niebieskiego pontiacca.

– Gdzie są dzieci? – pytam.

– Pod opieką władz stanowych.

– Wszystkie w jednym miejscu czy rozdzielone?

Wilczek przechyla głowę i mruży oczy.

– Mam przeczucie, że chce pani zrobić coś naprawdę głupiego.

– Wie pan, gdzie one są, czy nie?

– Nie jestem pewien, zwykle trafiają do rodzin zastępczych lub ośrodków opiekuńczych, w zależności od wieku.

– Może pan to sprawdzić?

– Nawet gdybym mógł, tobym tego nie zrobił. Nie rozumie pani? Musi pani zaczekać.

Nie mam cierpliwości, żeby czekać. Nie mam jej nawet tyle, żeby rozważyć możliwość czekania.

– A co jeśli ona znowu ją zabierze?

Wilczek gwałtownie wciąga powietrze.

– Jak to?

– To, że nie umarłam w tamtym wąwozie, pokrzyżowało Annie plany. Nikt nie chciał dziecka, którego szuka policja w całym kraju. Anna nie opiekowała się Mią przez cały ten czas tylko po to, żeby ją teraz zostawić.

– Jeśli Mia jest jednym z tych dzieci. Jeśli.

– Jeśli Anna znowu ją porwie, będzie za późno. Gdzie mam jej wtedy szukać? Jak duże jest prawdopodobieństwo, że znowu ją odnajdę? – Podniosłam głos i odwzajemniłam spojrzenie pary, która się nam przygląda, zastanawiając się pewnie, czy są świadkami zwykłej kłótni kochanków. – Niech mi pan powie, gdzie są dzieci. Resztą zajmę się sama.

– Co za szalony pomysł. Chyba nie spodziewa się pani, że to zrobię.

– Ale pan chyba spodziewał się, że o to zapytam. – Nie poddam się, detektyw musi to sobie wreszcie uświadomić. – Ile czasu pańskim zdaniem będzie potrzebowała Anna, by dowiedzieć się, gdzie jest Mia? Znowu spróbuje ją porwać. Jest mądra, policja szukała jej blisko pięć lat i nie złapała.

Zostało nam najwyżej kilka dni, żeby działać, a ja nie mam pojęcia, jak go przekonać, żeby mi pomógł.

Po drodze mijamy małą dziewczynkę z lśniącymi włosami tańczącymi wokół jej głowy. Dziewczynka skacze po chodniku, podczas gdy jej matka kołysze wózek.

Biorę głęboki wdech, po czym zwalniam kroku i zerkam do wózka, gdzie owinięte różowym kocykiem, ubrane w czapczkę i rękawiczki tego samego koloru leży niemowlę z okrągłą buzią i różanymi policzkami.

– Jaka słiczna dziewczynka – mówię. – Wygląda na szczęśliwą.

Jej matka zaczyna nam opowiadać, że Emma ciągle płacze i ogólnie jest trudnym dzieckiem – nazywa ją nawet „królową dramatu” – ale kołysanie ją uspokaja. Kiwam głową w odpowiednich momentach i od czasu do czasu się uśmiecham.

– Ma pani dzieci? – zwraca się do mnie kobieta.

Przyglądam się jej przez chwilę w milczeniu.

– Nie – mówię, czując, jak to słowo wibruje w moim gardle, zupełnie jakby moje ciało poznało się na kłamstwie. To skomplikowane, nie powinno się poruszać takich tematów na ulicy.

Matka spogląda to na mnie, to na Wilczka. Waha się pewnie między odpowiedzią: „A staracie się o dziecko?”, „Może kiedyś będziecie je mieli” lub innym wyrazem sympatii wobec pary, której jeszcze nie udało się spłodzić potomka.

Kiwam głową, życzę jej miłego dnia i kontynuujemy z Wilczkiem nasz spacer.

– Czy mam dziecko? Trudno odpowiedzieć na to pytanie, prawda?

Wilczek mruży oczy, a po chwili odwraca wzrok. Wie, o co go zaraz zapytam, ale nie może przede mną uciec.

– Wspominał pan, że ma syna?

– Tak. – Rozgląda się niepewnie, jakby chciał sprawdzić, czy nikt nas nie obserwuje.

– Często go pan widuje?

– Co niedzielę.

– Ile ma lat?

– Dwa.

– Co lubi?

– To, co wszyscy chłopcy w jego wieku: samochody, ciężarówki. Lody. Ciasteczka.

– Niech pomyślę... Dwa lata, mówi pan. – Dotykam skroni, jakbym próbowała coś sobie przypomnieć. – Przewraca strony w książce, potrafi otworzyć szafkę lub szufladę, samodzielnie jeść łyżeczką, łatwo się irytuje i okazuje nieśmiałość wobec obcych. Uwielbia czułości, lubi być całowany i przytulany?

Wilczek wpatruje się przed siebie.

– Potrafi zejść po schodach, kiedy ktoś trzyma go za rękę, prawda? – Zatrzymuję się przed nim i patrzę mu prosto w oczy. – Skąd to wszystko wiem? Skąd znam szczegóły rozwoju społecznego i emocjonalnego kilkulatków? Kamienie milowe w ich rozwoju fizycznym?

Przysuwam się do niego jeszcze bliżej i kładę mu rękę na płaszczu, w miejscu, gdzie bije serce. Czy to złudzenie, czy naprawdę zabiło szybciej? Łapię go za rękę.

– Przeczytałam o tym w książkach.

Trzymam jego zimną dłoń, dopóki się nie rozgrzeje. Detektyw próbuje się odsunąć, ale ściskam ją jeszcze mocniej. Kiedy wreszcie puszczam, cofa się i chowa rękę do kieszeni płaszcza. Odwraca się i idzie dalej, ale jego krok nie jest już taki energiczny.

Wygrałam.

Po powrocie z pracy sprzątam mieszkanie. Obsesyjnie szoruję wszystkie powierzchnie, odkurzam każdy kąt, spryskuję lizolem najdrobniejszy zakamarek. Kiedy dzwoni telefon, ściągam żółte lateksowe rękawiczki i wrzucam je do zlewu. Opary środka do czyszczenia piekarnika wiszą w powietrzu, przyprowadzając mnie o ból głowy. Patrzę na rękawice unoszące się na powierzchni brudnej wody. W końcu opadają na dno zlewu. Ich radosny słoneczny kolor znika w czeluściach ceramicznej komory. Moje pomarszczone od wody palce próbują utrzymać długopis, kiedy notują adres.

Ścieżka Świętego Pankracego na Brooklynie stanowi część nowojorskiego Zespołu Ośrodków Opiekuńczych dla Dzieci i Młodzieży i to właśnie ona przyjęła pod opiekę młodsze dzieci ze zgromadzenia w Plainview. Jest to niepozorny dwupiętrowy budynek obłożony beżowym sidingiem z zabudowaną werandą. Boczne drzwi prowadzą na przestronny plac zabaw wyposażony w zjeżdżalnię, trzy huśtawki, piaskownicę i konika, otoczony żeliwnym ogrodzeniem. Nad głównym wejściem znajduje się wykusz z oknem witrażowym przedstawiającym świętego Pankracego, patrona dzieci, ubranego w typowy strój świętego, z dłońmi wyciągniętymi w powitalnym geście.

Przesiedziałam w samochodzie blisko dwadzieścia cztery godziny. Plecy mi zeszywniały, a potrzeba wyjścia z samochodu i rozprostowania nóg staje się coraz trudniejsza do ignorowania. Mam dosyć diety złożonej z krakersów i dietetycznej coli. Co jakiś czas pada deszcz i szansa na to, że dzieci wysypią się bocznymi drzwiami na plac zabaw jest nikła. Ostatniej nocy prawie nie spałam i brak snu zaczyna mi się dawać we znaki. Zamykam oczy i wyobrażam sobie pewną scenę.

Jest zwykły dzień, temperatura wynosi kilka stopni powyżej zera i w Prospect Park nie ma nikogo poza kilkoma osobami uprawiającymi jogging ze słuchawkami na uszach, pogrążonymi we własnych myślach. Poza tym kilkoro ludzi wyprowadza na spacer psy.

Otoczają nas drzewa, ławki, wiewiórki i zapach wilgotnej ziemi. Niedaleko wejścia do parku znajduje się plac zabaw i niewielki staw, po którym pływają kaczki.

Wyobrażam sobie torebkę pełną kawałków suchego chleba, który przygotowałam rano. Siedzę na ławce, a na parkingu za moimi plecami zatrzymuje się samochód. Słyszę chrzęst żwiru pod kołami. Później dźwięk otwierania drzwi

Kątem oka dostrzegam dziecko w puchatej fioletowej kurtce, dżinsach i czarnych butach biegnące w stronę placu zabaw. Ma na głowie robioną na drutach czapkę we wszystkich kolorach tęczy, z nausznikami i wielkim pomponem na czubku, który rytmicznie podskakuje.

Pracownica społeczna, nazwijmy ją Elena Cruz, sympatyczna, zmęczona i przepracowana kobieta w średnim wieku, idzie za dziewczynką.

W moim wyobrażeniu plac zabaw jest ogrodzony i można się tam dostać wyłącznie przez niewielką bramę. Mia biegnie prosto do niej i zanim dociera do mnie, na kogo patrzę, wspina się na drabinkę.

Ciało Mii jest rozciągnięte, jej drobne dłonie czepiają się szczebelków. Metal jest zimny, a ona nie ma na sobie rękawiczek, lecz nie zwraca na to uwagi. Ma odsłonięty brzuch i kołysze się w przód i w tył. Wymachuje nogami, żeby się jeszcze bardziej rozhuścić.

Opiekunka zauważa mnie, uśmiecha się i kiwa zachęcająco głową. Wstaję z ławki i podchodzę do drabinek. Mia odchyła głowę do tyłu i macha nogami.

Wygląda pięknie. Nie chodzi o sposób, w jaki każda matka postrzega swoje dziecko, tylko o anielskie piękno. Loczki wymykają się spod nauszników, oczy Mii są wielkie, brązowe i przypominają oczy Jacka. Jej rzęsy są rzadkie, lecz długie, zaś małeńkie ząbki, przypominające klawisze komputera, uśmiechają się do mnie.

– Cześć – odzywa się mocnym, pewnym siebie głosem. – Zobacz, co potrafię. – Fika nogami jeszcze mocniej.

– Zgadnij, co mam. – Wyjmuję torebkę z chlebem, trzymając ją za róg i zaczynam nią potrząsać.

Mia spogląda na mnie pytająco, zastanawiając się nad dziwną zawartością torebki.

– Chleb. Nakarmimy kaczki?

Otwiera szerzej oczy i dostrzegam malujące się w nich podniecenie. Ciekawość jest silniejsza od wszystkiego. Mia zeskakuje z drabinki i rozgląda się wokół.

– Kaczki? Tu są kaczki?

– Jasne, tuż za rogiem.

Spogląda na opiekunkę, a kiedy Elena kiwa głową, łapie mnie za rękę. Czuję na jej skórze kawałki odprysniętej farby i delikatnie strzepuję je z rączki Mii.

– Karmiłaś już kiedyś kaczki?

Kręci głową. Podaję jej torebkę z pokruszonym chlebem.

– Zawsze musi być ten pierwszy raz. Gotowa?

Idziemy w stronę stawu, trzymając się za ręce. W drugiej dłoni Mia trzyma torebkę z chlebem.

Żałuję, że nie ma nikogo, kto mógłby nam zrobić zdjęcie, uwiecznić nasz spacer. W świetle słońca powierzchnia wody jest idealnie przejrzysta.

Kiedy stoimy nad brzegiem stawu i wrzucamy do niego chleb, kaczki wypatrują jego kawałków. Wyciągają przed siebie szyje, a ich zielone pióra lśnią w słońcu, kiedy zanurzają głowy w wodzie. Gdy tylko wyciągną je z powrotem na powierzchnię, zaczynają szukać kolejnego kawałka, a gdy go znajdą i dopadną, cała zabawa zaczyna się od nowa.

Patrzmy na odpływające kaczki, które mącą gładką powierzchnię stawu.

– Jestem Mia – mówi dziewczynka i brzmi to całkiem dorośle. Jej głos jest cieniutki, lecz dojrzały. Ociera nos grzbietem dłoni.

– Wiem. Mia to piękne imię.

Z oddali słychać kwakanie kaczek.

*

Dźwięk otwierania drzwi od samochodu przywraca mnie do rzeczywistości. Ktoś wsiada na miejsce dla pasażera.

– Od dawna tu pani siedzi? – Wilczek wygląda jeszcze gorzej niż wczoraj, ma przekrwione oczy i śmierzdi papierosami.

– Pana też miło widzieć – mówię, żeby rozładować napięcie. – Wygląda pan, jakby nie spał od wielu dni – dodaję, zerkając na zegarek. Nie jest już tak zimno jak wcześniej, lecz mimo to się trzęsę.

Detektyw ignoruje tę uwagę i sprawdza komórkę.

– No więc... co się działo?

– Jacyś ludzie wchodzili i wychodzili – odpowiadam lekko. – Widziałam kuriera i gazeciarza. – Po chwili milczenia dodaję: – Jak pan sądzi, ile czasu będzie potrzebowała Anna, żeby dowiedzieć się, gdzie jest Mia?

– Nie dowie się, dopóki ktoś nie wygada się jej ciotce.

Przyglądam się Wilczkowi z profilu, walcząc z pokusą uściskania go.

– No to jaki mamy plan? – pyta policjant.

– W tej chwili żadnego – odpowiadam, zastanawiając się, co ostatecznie sprawiło, że się zламаł: jego syn, mój błagalny wzrok czy kobieta z wózkiem.

Wilczek kładzie dłoń na mojej dłoni.

– Pojdę z nimi porozmawiać, a pani niech zostanie w samochodzie, dobrze?

Dziwnie się czuję. Jakaś cząstka mnie pragnie zabrać rękę – jego dotyk wydaje się niemal intymny – a jednocześnie wcale tego nie chcę.

Policjant wysiada z samochodu i zmierza w stronę budynku w tym swoim wymiętym płaszczu. Naciska guzik domofonu, w odpowiedzi słyszę surowy kobiecy głos.

Przestało padać, słońce przebija się przez pozornie niewzruszoną warstwę chmur. Wsiadam z samochodu, w obawie, że jeśli posiedzę w nim jeszcze trochę, złapie mnie skurcz. Rozprostowuję zeszywniałe kolana, podchodząc do żeliwnego ogrodzenia wokół placu zabaw. Plac jest wysypany trocinami, pośród których gdzieś błyszczą w słońcu papierek od cukierka. Samotna przemoczona welniana czapka leży porzucona na czerwonej ławce przy tylnych drzwiach.

Staję przy ogrodzeniu nieopodal dębu, którego korzenie wypaczyły beton, a potem zbliżam się do budynku. Nie widać mnie zza szerokiego pnia i kiedy wpatruję się w tylne wejście, dostrzegam za szybą ruch.

Potem wszystko zwalnia i jednocześnie przyspiesza. Frontowe drzwi się zamykają i słyszę czyjeś kroki. Kiedy się odwracam, Wilczek mierzy mnie wzrokiem. Tylne drzwi się otwierają i wysypują się przez nie dzieci. Detektyw wsiada do samochodu i zatrząskuje drzwiami.

Chwilę później zaczyna wibrować komórka w kieszeni mojej kurtki. Nie zwracam na nią uwagi i obserwuję, jak dzieci zbiegają ze schodów i pędzą w kierunku placu zabaw, po czym biorą go we władanie. Dziewczęce nogi poruszają się w jednym rytmie jak wahadła, żeby rozbijać huśtawkę. Reszta dzieci wspina się po drabince, żeby zjechać ze zjeżdżalni. Młoda kobieta w jaskrawoczerwonym welnianym płaszczu siada na ławce i osłania ręką oczy przed promieniami słońca. Wśród całego tego harmidru, zamieszania i bieganiny nie potrafię rozróżnić żadnej dziecięcej twarzy.

Po przeciwnej stronie drogi zatrzymuje się niebieski pontiac ze światłami skierowanymi na północ. Drzwi od strony kierowcy się otwierają, z samochodu wysiada kobieta w dżinsach i czarnej parce, wpychając pod kaptur burzę rudych włosów. Przechodząc na drugą stronę ulicy, obserwuję najpierw chodnik, a później plac zabaw.

Moje serce przestało już reagować na brzemienne w skutki momenty. Być może przyzwyczaiłam się do ciągłego bycia wystawianą na próbę albo mój mózg jest tak zszokowany, że nie potrafi docenić powagi sytuacji. Spojrzenia moje i Anny krzyżują się. Nim zdążę zareagować, Anna biegnie przez ulicę, wsiada do pontiaca i odjeżdża na północ.

Gdy tak stoję sparaliżowana pod dębem, widzę, jak mój czarny jeep rusza w pościg za niebieskim pontakiem. Wilczek patrzy prosto przed siebie, jego dłonie są przyklejone do kierownicy. Dyskretnie wskazuje na pontiaca, kiedy pojawia się w jego polu widzenia. W odpowiedzi kiwam głową.

Kiedy oba samochody znikają za rogiem, wychodzę z cienia dębu i zmiierzam w stronę frontowych drzwi ośrodka.

– Przepraszam – rozlega się damski głos należący do tej samej kobiety, która chwilę wcześniej siedziała na ławce i pilnowała bawiących się dzieci. Kobieta niezręcznie przytrzymuje poły płaszcza, jakby zabrakło jej czasu, żeby go zapiąć. Pachnie kawą. – Widziałam panią wcześniej, jak siedziała pani w samochodzie z tym detektywem. Kazał nam uważać na pewną kobietę, ale poza jej opisem niczego więcej nam nie zdradził.

Kiwam potakująco głową i prostuję ramiona.

– Zdarzył się nagły wypadek i detektyw musiał odjechać. Czy mogłabym... zaczekać na niego w środku?

Kobieta waha się, lecz w końcu wskazuje mi bramkę.

– Jestem doktor Wallace, psycholog dziecięcy. Zapraszam.

Otwieram bramkę i wchodzę na plac zabaw. Dopiero teraz zauważam, że nie ma już na nim dzieci. Plac jest pusty, pozbawiony odgłosów śmiechu i tupotu nóg. Na ścieżce leży para rękawiczek obsypanych trocinami. Bramka zamyka się za mną z brzękiem. Kiedy docieramy do tylnych drzwi budynku, kobieta przebiega palcami po wyświetlaczu elektronicznego zamka.

– Widzę, że jesteście dobrze przygotowani – zauważam, chowając ręce do kieszeni płaszcza.

– Zdarza nam się przyjmować maltretowane kobiety z dziećmi – wyjaśnia doktor Wallace, a gdy rozlega się brzęczyk, popycha drzwi.

Stoimy w długim wąskim korytarzu z podłogą pokrytą błyszczącym linoleum. Czuję delikatny zapach płynu do czyszczenia podłóg i czegoś jeszcze, ostrzejszy i cytrynowy. Zauważam w korytarzu szafę z płaszczami, torbami i rękawiczkami. Na lewo od nas znajduje się duże pomieszczenie, całe wyglazurowane, z miniaturowymi umywalkami, błyszczącymi kranami i przesadnie dużymi kurkami. Plakat na ścianie przypomina dzieciom o spuszczeniu wody.

Kiedy mijamy łazienkę, doktor Wallace odwraca się w moją stronę.

– Nie dosłyszałam pani nazwiska – mówi, odwieszając płaszcz na wieszak obok półki.

Przedstawiam się i dziękuję, że pozwoliła mi zaczekać w środku.

– Właśnie mieliśmy rozpocząć nasze popołudniowe zajęcia w grupach – mówi tamta i wskazuje na poczekalnię. – Może pani posiedzieć tutaj.

Kiwam głową i zajmuję miejsce na kanapie. Doktor Wallace wchodzi do pokoju po przeciwnej stronie korytarza. W środku znajduje się duży okrągły stół otoczony kolorowymi krzesłami wyposażonymi w haczyki do odwieszenia fartuszków. Na środku stołu leży sterta kartek papieru i obrotowa taca wypełniona słoiczkami farb w jaskrawych odcieniach.

Doktor Wallace klaszcze w dłonie i z drugiego końca pokoju przybiega do niej grupka dzieci. Szturmują stół i zaczynają się klócić o krzeselka.

Dzieci jest dwanaścioro – siedmiu chłopców i pięć dziewczynek. Zastanawiam się, na co mogą sobie pozwolić bez wzbudzania podejrzeń.

Trzy dziewczynki mają długie blond włosy oraz jednakowe sukienki, ale różnią się wzrostem. Zachowują się z dystansem, są bardziej skupione na sobie niż na otoczeniu. Siadają blisko siebie i zdają się czekać na znak ze strony środkowej dziewczynki, najwyższej z całej trójki. Dopiero kiedy tamta zawiązuje w pasie fartuszek i sięga po papier, jej koleżanki robią to samo.

Pozostałe dwie dziewczynki, z których jedna ma brązowy kucyk i spadającą na oczy grzywkę, są bardziej wycofane. Dziewczynka z kucykiem bez przerwy odgarnia grzywkę z czoła. Włosy jej towarzyszki wyglądają jak po niefortunnym spotkaniu z nożyczkami. Obydwie postanowiły usiąść między chłopcami.

Przechadzam się korytarzem, oglądając wiszące przy drzwiach zdjęcia. Przedstawiają ludzi ściskających sobie dłonie podczas ceremonii z przecinaniem wstęgi. Obok wisi tabliczka z nazwiskami darczyńców.

Patrzę, jak dzieci malują palcami, a kiedy doktor Wallace podnosi na mnie wzrok, zerkam na zegarek. Dzieci zanurzają palce w słoiczkach z farbą, a ja zastanawiam się, czy któreś z nich to Mia. Nie czuję żadnego impulsu, przyciągania, ani też jej nie rozpoznaję. Wyobrażam sobie, jak jej niemowlęca twarz się wydłuża, wyglądam w myślach zmarszczkę pomiędzy nosem i brwiami. Nie miała żadnych znaków szczególnych, żadnej blizny na kolanie, która pomogłaby mi ją zidentyfikować.

Z miejsca odrzucam trzy jasnowłose dziewczynki z chabrowymi oczami. Oczy Mii były brązowe, tak jak oczy Jacka. Co prawda była blondynką, ale włosy ciemnieją dzieciom z wiekiem.

Rozlegają się dwa cieniutkie głosy; dwóch chłopców klóci się o słoiczek farby. Jeden z nich, z poluzowanym fartuchem, popycha drugiego w kierunku jego krzesła. Tamten zaczyna płakać, a dziewczynka z kucykiem coś do niego mówi. Zastanawiam się, czy uszłoby mi na sucho, gdybym zajęła miejsce w głębi pokoju, kiedy doktor Wallace mówi dzieciom, że jestem policjantką. Nie usłyszała tego ode mnie – pewnie sama doszła do takiego wniosku, widząc mnie wcześniej w towarzystwie detektywa Wilczka. Powiedziałam jej tylko, że jestem tu razem z nim.

Dzieci odwracają się i wlepiają we mnie wzrok. Płaczący chłopiec nie chce się uspokoić, a kiedy orientuje się, że nikt już na niego nie zwraca uwagi, wkłada całą dłoń do słoiczka z czerwoną farbą. Lepkość na skórze natychmiast doprowadza go do szału, więc próbuje pozbyć się farby, gwałtownie potrząsając palcami. W końcu odwraca się w lewo i wyciera ręce w koszulkę siedzącego obok chłopca.

Trzy blondynki zaczynają krzyczeć i próbują ocalić swoje rysunki przed pobrudzeniem farbą, zabierając je ze stołu.

Dzieci nie zwracają uwagi na doktor Wallace, która prosi, żeby się uspokoiły. Pozostali chłopcy też zanurzają dłonie w słoiczkach z farbą. Psycholożka, po której widać napięcie, przyciąga do siebie tacę, żeby odciąć maluchom dostęp do farb. Dzieci są rozbawione, rozsmarowują farbę sobie na koszulkach. Ktoś wybucha niepohamowanym śmiechem, później dołączają do niego inni, w końcu śmiech przechodzi w chichot.

Doktor Wallace gorączkowo nakłada wieczka na słoiki z farbą.

– Posłuchajcie mnie wszyscy. Wytrzymajcie teraz ręce i posprzątajcie ten bałagan. – Spogląda w moją stronę i zaprasza mnie gestem do sali. – Pomoże mi pani? – pyta, podając mi garść wilgotnych chusteczek. – Ja się zajmę chłopcami – mówi, kierując ich w stronę stojących pod ścianą krzesel.

Rozdają chusteczki dziewczynkom, które zaczynają sobie wycierać ręce. Buzie im się przy tym nie zamykają. Jako ostatniej podają chusteczkę dziewczynce z kucykiem i spadającą na oczy grzywką. Patrzy na mnie zdziwiona i nie sięga po chusteczkę. Pochylam się i delikatnie zaczynam wycierać z jej palców smugi farby. Dziewczynka zabiera ręce i sprawdza, czy nadal się lepia, pocierając jedną o drugą.

Nagle jej oczy napęlniają się łzami. Jej obrazek jest pobrudzony farbą i ma rozdarty brzeg. Przedstawia patykowatą figurkę w żółtej sukience, z dużymi zielonymi kropkami zamiast oczu. Przyglądam się koronie z rudych włosów na portrecie.

– To mój obrazek. – Wskazuje na kartkę. – Cały zniszczony – dodaje, wydymając usta. Wyciera oczy wierzchem dłoni i odgarnia z nich grzywkę.

– Może zdołamy go uratować – mówię.

Chcę ocalić dla niej ten rysunek, wszystko naprawić. Chcę ją przekonać, że możemy wyciąć z niego mamusię i przekleić na czystą kartkę papieru. Że czasami można zacząć wszystko od nowa i okazuje się, że tak naprawdę nic się nie zepsuło.

Dziewczynka podnosi na mnie wzrok, chłonąc każde moje słowo. Patrzy na mnie oczami Jacka, uważnie obserwując świat spod uniesionej brwi. Składam wilgotną chusteczkę i ujmuję rękę małej. Wystawia kciuk, czysty i lśniący. Jego koniuszek pokrywają okrągłe białe kropki, jakby miała pod skórą drobinki lodu.

Żołądek mi się zaciska, a ręce zaczynają się trząść. Delikatnie ujmuję nadgarstki dziewczynki. Przekręcam jej dłonie i zamasztytymi ruchami wycieram palec po palcu. Na skórze pojawiają się białe linie przypominające soplek lodu – pamiątka po nocy sprzed kilku lat, lampce w kształcie żółwia i niedoskonałej matce. Trzymam ją kurczowo za rękę, chcąc wymazać wszystko, co złe, z nadzieją, że nie tracę jej zaufania.

– Już czyste – mówi dziewczynka i chowa ręce za plecami. – Co z moim rysunkiem?

– Rysunek – mówię, zdobywając się na niepewny uśmiech. – Może narysujemy nowy?

*

Po pewnym czasie – godzinie albo i dłużej – zjawia się Wilczek. Ma pusty wzrok i nerwowo zaciśnięte szczęki.

– Nie mam pojęcia, jakim cudem się dowiedziała, dokąd przewieziono dzieci. Wszystkie wiadomości trąbią o policyjnym nalocie, może po prostu dodała dwa do dwóch. Wyciekło sporo informacji, wielu reporterów węszy wokół tej sprawy. Ktoś mógł się z nią podzielić tą informacją, nie wiedząc, kim ona jest. – Cierpliwie czekam, aż skończy. – Kiedy zorientowała się, że ją śledzę, próbowała uciec, ale jej się nie udało – mówi, wciskając guzik na komórce. W końcu daje za wygraną. – Wezwałem posiłki, ale owinęła się wokół słupa przy Alei Woodside, zanim przyjechały.

Ręce mi się trzęsą.

– Mia ma blizny na dłoniach i wygląda jak Jack.

– O Boże – mówi detektyw. Tylko „o Boże”. Nic więcej. Rozluźnia szczękę, chociaż nadal się w nim gotuje od emocji.

Dzwoni jego telefon. Zanim zdąży coś powiedzieć, Wilczek odbiera i odchodzi, zostawiając za sobą smugę papierosowego dymu.

– Niech pan zaczeka! – wołam za nim.

Odwraca się.

– Proszę mi wszystko opowiedzieć – dodaję, podchodząc bliżej.

– Śledziłem ją i jeszcze zanim dojechaliśmy do pierwszych świateł, zorientowałem się, że spanikowała. Spojrzała w obydwie strony, a później po prostu nacisnęła...

– Nie o to mi chodzi. Niech mi pan ją opisz.

Po krótkiej chwili detektyw mówi:

– Nawet nie zadała sobie trudu, żeby zapiąć pasy. Słup przeciął jej samochód na pół, cały przód praktycznie przestał istnieć. Kolana dotykały klatki piersiowej, nogi zostały zmiażdżone. Na czole miała długą poziomą ranę. Zmarła błyskawicznie. Rana nawet nie zaczęła krwawić.

– Ale ja mam tyle pytań. – Sama nie wiem, o co najpierw zapytałabym Annę Lieberman. Dlaczego mi jej nie oddałaś? Dlaczego zatrzymałaś ją przy sobie? Czy dobrze się nią opiekowałaś? Czy moja córka mówiła do ciebie „mamusiu”? Czy wie, że została porwana? W głowie huczy mi od pytań, ale śmierć Anny pozbawiła mnie odpowiedzi, konkluzji, zamknięcia. Dalsze myślenie o niej nie ma większego sensu. – Najwyraźniej nie można mieć wszystkiego – stwierdzam, zastanawiając się już nad czymś innym. Pewna osoba jest mi coś winna.

Rozdział 29

Wchodzę do szklanej świątyni konsorcjum medialnego Donner Broadcasting, symbolizującej jego potęgę ekonomiczną i definiującą Nowy Jork w równym stopniu co samą firmę.

Kiedy siedzę na czarnej skórzanej kanapie z błyszczącymi nogami ze stali, zaglądam przez poziome paski na drzwiach z trawionego szkła. Oznajmiam asystentce, że mamuśka z amnezją czeka na rozmowę.

W końcu asystentka zaprasza mnie do gabinetu, a Liza Overton z komórką wciśniętą między ramię a ucho wskazuje mi stojący przed biurkiem fotel. Jej twarz nie wyraża żadnych emocji, przypomina gładką kartkę papieru.

– Musimy porozmawiać – mówię, odchylam się w skórzanym fotelu i krzyżuję nogi. – Potrzebuję pani pomocy.

– Mojej pomocy? – W tym momencie jej twarz ożywa. Liza mruży oczy i zaciska wargi. – O co chodzi?

– Potrafi pani przemówić do ludzi, prawda?

– Tak mi się wydaje.

– A do policji?

– Nie jestem pewna, czy panią rozumiem. Jeśli chce pani usłyszeć publiczne przeprosiny od policji, trafiła pani pod niewłaściwy adres.

– Potrzebuję od pani dwóch rzeczy. Po pierwsze chcę, żeby poświęciła pani dzisiejszy program na żywo sprawie mojej córki. Po drugie, żeby w czasie programu przekonała pani policję do wszczęcia śledztwa. Może pani zadzwonić na antenie do szefa policji, jeśli pani chce.

Dziennikarka odrzuca głowę do tyłu i zanosi się gardłowym śmiechem.

– Mówi pani poważnie?

– Odnalazłam swoją córkę i chcę, żeby namówiła pani policję do poddania jej testom DNA, żebyśmy mogła ją wreszcie odzyskać.

– Znalazła ją pani? Gdzie?

– Najpierw proszę powiedzieć, czy się pani zgadza.

– A co ja będę z tego miała?

– Proszę pomyśleć o słupkach oglądalności.

Liza naciska guzik telefonu i prosi asystentkę, żeby nie łączyła żadnych rozmów.

*

Tego samego dnia, oglądając wieczorne wiadomości, dzwonię do Jacka. Nie rozmawialiśmy od miesięcy, a mimo to odbiera natychmiast.

– Jesteś w domu? – pytam.

– A dlaczego? – Jego głos brzmi szorstko, ale wyczuwam w nim niepokój.

- Włącz telewizor na program *Na tropie zbrodni*.
- Co się dzieje, Estelle? Co się do diabła dzieje?
- Po prostu to zrób.

Twarz prezentera wieczornych wiadomości zastępuje czołówka *Na tropie zbrodni*.

– Mamy dla państwa wiadomość z ostatniej chwili – rozlega się z ekranu głos Lizy Overton, która jak zawsze ma nienaganny makijaż i usztywnioną fryzurę. – Pięć lat temu z kamienicy na Brooklynie zniknęło niemowlę. Matka stała się główną podejrzaną w tej sprawie, zaś media okrzyknęły ją „mamušką z amnezją”. Okazało się, że dziecko zostało porwane. Nigdy go nie odnaleziono, a matka została całkowicie oczyszczona z zarzutów. Po pięciu latach dziecko nadal nie wróciło do domu. I tu niespodzianka. Chociaż śledztwo dawno umorzono, istnieją powody by sądzić, że matka odnalazła swoje dziecko, ale władze nie chcą jej pomóc go odzyskać. Tak, dobrze zrozumieliście. Matka odnalazła zaginione dziecko po pięciu latach. Nie ruszajcie się sprzed telewizorów. Po przerwie podzielimy się z wami najświeższymi doniesieniami w tej sprawie.

Zaczyna się blok reklamowy. Przełączam telewizor na stację CNN i czekam.

*

Samolot Jacka z Bostonu do Nowego Jorku jest opóźniony. Jack prosi, żebym na niego nie czekała, i umawia się ze mną w nowojorskim Stanowym Biurze ds. Opieki nad Dziećmi i Rodziną.

Pracownik opieki społecznej, potężny mężczyzna z podniszczoną aktówką, nadzoruje nasze pierwsze spotkanie z Mią. Nie ma parku, placu zabaw ani kaczek. Nazywa to „wymianą”. Po podpisaniu przeze mnie kilku dokumentów mężczyzna bezskutecznie próbuje zatrzasnąć aktówkę.

– Została pani poinstruowana? – pyta i po raz pierwszy nawiązuje ze mną kontakt wzrokowy.

– Tak – odpowiadam i myślę o tak zwanej oczekiwanej jakości relacji. Ten termin zawiera w sobie wszystko, czego można się spodziewać, kiedy dzieci po długim czasie wracają do swoich rodziców.

– Nie wiemy, czy była molestowana ani nawet czy miała zapewnioną odpowiednią opiekę. Uważała inną kobietę za swoją matkę, innych ludzi za krewnych. Ona nie ma pojęcia, kim pani jest.

W takim razie jest nas dwie – myślę, lecz nie mówię tego głośno. Najbardziej się boję, że nie będzie chciała ze mną zostać. Że kiedy pozna prawdę, to mnie znienawidzi i nigdy mnie nie pokocha.

– Po przeprowadzeniu oceny sędzia przyzna opiekę nad dzieckiem. To on ma decydujący głos w tej sprawie. Prawo ma na uwadze dobro dziecka.

Urzędnik odwraca się i otwiera ciężkie metalowe drzwi. Przez chwilę wygląda tak, jakby miał ochotę mi uściśnąć rękę.

Przechodzę przez drzwi, czekam na Mię i w końcu to do mnie dociera. Nigdy więcej nie będę wypatrywać maleńkich części ciała na wysypisku, sprawdzać internetowych baz zaginionych osób ani podsłuchiwać na dźwięk dzwonka telefonu. Czytałam gdzieś, że ból spowodowany utratą lub śmiercią dziecka nigdy nie mija, chyba że dziecko do nas wróci. Jestem jedną z nielicznych osób, którym się poszczęściło i oto nadszedł ten dzień.

Siedzę z rękami złożonymi na kolanach. Na dźwięk otwieranych drzwi podnoszę wzrok.

A później moje serce eksploduje.

FINAŁ NIEROZWIAZANEJ SPRAWY PORWANIA: MIA CONNOR WRACA DO RODZICÓW

Brooklyn, Nowy Jork – Mia Connor, rozdzielona z rodziną pięć lat temu, kiedy została porwana, powróciła do swoich rodziców, Estelle Paradise i Jacka Connora.

Jej matka, Estelle Paradise, stała się główną podejrzaną w sprawie, kiedy nie potrafiła podać miejsca swojego pobytu w ciągu kilku dni od porwania jej siedmioletniej córki Mii z łóżeczka w mieszkaniu na Brooklynie.

Porywaczami okazali się David Lieberman, mieszkający w tym samym domu, i jego siostra, Anna Lieberman. Śledztwo nigdy nie nabrało tempa, a po kilku latach je umorzono.

W ciągu tych kilku lat pani Paradise odrzuciła liczne oferty od wydawnictw i producentów filmowych zainteresowanych sprawą zaginięcia jej córki. Liza Overton, gospodyni programu *Na tropie zbrodni* i jedna z osób najostrzej krytykujących matkę zaginionej dziewczynki, w swoim ostatnim programie podzieliła się z widzami informacją o tym, że Estelle Paradise odnalazła swoją córkę. Kiedy zaczęły o tym mówić wszystkie kanały informacyjne, policja zarządziła przeprowadzenie testu DNA. Matka i córka spotkały się zaledwie kilka dni później.

„Jesteśmy szczęśliwi, że rodzina znowu jest razem – powiedziała Joanna Walls, rzeczniczka nowojorskiej policji. – To prawdziwy cud, niczego więcej nie moglibyśmy sobie dla nich wymarzyć”.

Moją matkę rzadko można było zobaczyć bez aparatu. Pamiętam ją leżącą na łóżku, wspartą o poduszki, z aparatem przy boku. W rękę trzymała książkę poświęconą oświeceniu, kątowi widzenia albo perspektywie.

W tych wspomnieniach wdrapuję się na jej łóżko i ze złością wpycham jej w rękę sfatygowany i poźólkły egzemplarz *Alicji w Krainie Czarów*.

– Mamo!

Matka śmieje się z mojego oskarżycielskiego tonu i ponieważ wydaje jej się, że chcę, by mi poczytała, mówi, nawet na mnie nie patrząc:

– Nie teraz. – Obejmuje mnie ramieniem. – A może ty mi poczytasz?

– Już skończyłam. Pamiętałaś, żeby kupić mi tę drugą książkę?

– Przepraszam, zapomniałam.

– A pamiętasz chociaż tytuł?

– *Po drugiej stronie lustra*, prawda? Tego samego autora?

Nie odpowiadam; to moja kara za jej zapominalstwo.

– Co to znaczy „po drugiej stronie lustra”? – pytam.

– To znaczy, że możesz zobaczyć siebie taką, jaką widzą cię inni.

– Czy chodzi o zwyczajne lustro?

Matka nie odpowiada, tylko przewraca strony swojej książki. Nienawidzę tych jej książek, aparatu i tego, że zawsze jest zajęta wszystkim, tylko nie mną. Na co komu książka, w której nie ma słów, myślę, i na co mi matka, która nigdy ze mną nie rozmawia.

Matka zamyka książkę, obejmuje mnie drugim ramieniem i gładzi po włosach. Siedzimy tak przez dłuższy czas. Zdarza mi się zasnąć, ale ona zawsze przy mnie jest, kiedy się budzę. I trzyma mnie mocno w ramionach.

Podziękowania

Jestem bezgranicznie wdzięczna mojej agentce Laurze Longrigg, która jako jedyna dała mi szansę, redaktorce Michelle Vedze, która zrozumiała moją historię i w niezwykle subtelny sposób pomogła nadać jej ostateczny kształt, oraz wszystkim tym, którzy pracują w cieniu: łowcom talentów, redaktorom technicznym i adiustatorom – zrobiliście kawał dobrej roboty.

Dziękuję również moim kolegom pisarzom i moim pierwszym czytelnikom, którzy towarzyszyli mi w tej drodze. Jest Was tylu, że nie zdołam wszystkich wymienić z nazwiska, lecz dziękuję Wam z głębi serca.

Jako że tematem tej książki jest macierzyństwo, chcę podziękować mojej matce, która podzieliła się ze mną miłością do książek i swoim krótkim życiem, oraz mojej córce, która świeci najjaśniej ze wszystkich gwiazd. Wyobrażam sobie, że pewnego dnia się spotkacie, a ja będę świadkiem tego, jak wielkie wrażenie wywrze na was to spotkanie.

Na końcu dziękuję mojemu mężowi. Dałeś mi przestrzeń i fundusze niezbędne do napisania tej książki. Jesteś moją opoką.